

Prowokuje w perłach

Hunter Madeline

Książka II z Najrzadziej kwitnąca



calibre 0.9.43

Hunter Madeline

Prowokuje w perłach

Istnieją pocałunki... i pocałunki. I prawdziwi mistrzowie sztuki uwodzenia...

Hrabia Hawkeswell żyje w zawieszaniu, odkąd jego żona

Verity zniknęła w dniu ślubu. Nie została oficjalnie uznana za zmarłą, hrabia nie może się więc ożenić ani co gorsza korzystać z majątku żony, który bardzo by mu się przydał.

I nagle po dwóch latach spotyka Verity – całą, zdrową i zdecydowaną nie wracać do niekochanego męża. Lecz

Hawkeswell składa żonie osobliwą propozycję ...

Dobry przyjaciel pozwala druhowi się wyżyć, nawet jeśli go to nudzi. Licząc na to, Grayson, hrabia Hawkeswell, dał upust swoim żalom, gdy wraz z Sebastianem Summerhaysem, z którym od dawna łączyły go więzi przyjaźni, jechali powozem tego ostatniego w ten słoneczny sierpniowy poranek.

- Przeklinam dzień, w którym kuzynka przedstawiła mnie temu draniowi. - Głos drżał mu ze złości. Przysięgał sobie, przysięgał, że tego nie zrobi, ale oto ział ogniem jak smok, wściekając się na głupotę życia i sącząc jad rozpaczony w ucho Summerhaysa.

- Thompson nie był zbyt chętny do współpracy? - zapytał tamten.

- Do diabła, nie. Ale jej powiernik majątkowy zgodził się poprzeć moje wystąpienie do sądu o ponowne dochodzenie i z pomocą opatrności i sędziów wypłacę się z tej katastrofalnej sprawy do końca roku.

- Nie ma sensu wtrącać się w dochodzenie. Ten człowiek stracił rozum, jeśli próbuje to zrobić.

- Zależy mu na koneksjach. Albo raczej zależy jego żonie. Ona nie zaprzestanie czerpać z nich korzyści, ile się da, póki to możliwe, w nadziei, że nowe więzi nie zostaną zerwane, nawet jak powinowactwo ustanie. A i jemu odpowiada obecny stan rzeczy.

Sprawuje kontrolę nad firmą, a tego chciał. Jeśli wyjdziemy z impasu, on ryzykuje utratę wszystkiego.

- A zatem wyjazd na wieś dobrze ci zrobi. Potrzebujesz spokoju.

Summerhays uśmiechnął się jak dobry, pełny zrozumienia przyjaciel. Był takim zresztą dla Graysona. Wyraz jego twarzy przywodził na myśl współczującego pacjentowi medyka, martwiącego się o zdrowie człowieka, którego stara się uspokoić.

Hawkeswell spojrział na siebie oczami Summerhaysa i zamiast złości poczuł gorzkie rozbawienie.

- Komiczna ze mnie figura, co? To pewnie kara za to, że się sprzedałem za kilka srebrników, godząc się na to małżeństwo.

- Takie związki są na porządku dziennym. Padłeś ofiarą szczególnych okoliczności, i tyle.

- Miejmy nadzieję, że okoliczności wkrótce się zmienią. Tkwię w bagnie po uszy, sprzedałem, co się dało. Tej zimy będzie mi musiała zapewne wystarczyć owsianka.

Zaczęli rozmawiać o czymś innym, ale Hawkeswell nie mógł porzucić myśli o dręczącej go od dwóch lat łamigłówce, jaką stało się jego małżeństwo. Verity utonęła w Tamizie, ale jej ciała nigdy nie znaleziono. Jak tam się znalazła w dzień swojego ślubu, dlaczego w ogóle opuściła posiadłość nowo poślubionego męża, pozostało tajemnicą. Byli tacy, którzy chcieli zrzucić całą winę na niego.

Już od dawna ciążyła na nim reputacja gwałtownika, co podsycalo podobne domysły, ale każdy głupiec mógł się domyślić, że zniknięcie Verity tego dnia było ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył.

Nieskonsumowane

małżeństwo

było

małżeństwem

niewpewnym pod względem prawnym, jak to jasno wyłuszczył powiernik majątku Verity, odmawiając przekazania dochodów z jej funduszu powierniczego. Kościół mógłby zdecydować, czy faktycznie małżeństwo zostało zawarte, jeśli kiedyś zostanie ona uznana za zmarłą. A tymczasem...

Tymczasem jej mąż, a może wcale nie mąż, mógł tylko czekać. O kolejnym małżeństwie nie było mowy, póki Verity oficjalnie uchodziła za żyjącą. A do jej pieniędzy, dla których stanął z nią przed ołtarzem, nie mógł się dostać. Był zawieszony w próżni.

Bezsilność doprowadzała go do szału. Nie chciał, aby ślepy los decydował o jego życiu. Co gorsza, to się mogło ciągnąć latami.

- Doceniam twoje towarzystwo, Summerhays. Jesteś tak dobry dla mnie, że nie chcesz mi powiedzieć, iż masz dosyć mojego nudziarstwa. To wspaniałomyślne z twojej strony, że zaproponowałeś mi tę wycieczkę za miasto, zanim pojedę do Surrey.

- Nie nudzisz mnie. Jesteś w trudnej sytuacji i żałuję, że nie mogę ci wskazać żadnego z niej wyjścia. Skoro nie pozwolisz mi pożyczyć ci... - Nie chcę zaciągać kolejnego długu, zwłaszcza u przyjaciela. Nie spodziewam się, że będę kiedyś w stanie odzyskać to, co już straciłem.

- Oczywiście. Jednakże, jeśli istotnie skończy się na owsiance,

być może przyjmiesz moją propozycję ze względu na kuzynkę i ciotkę. - Nie mogę jej przyjąć. - Choć oczywiście mógł. Jeśli sytuacja go zmusi, zapewne zdobędzie się na to. Co innego cierpieć samemu, a co innego patrzeć, jak cierpią ci, za których był odpowiedzialny. Czuł się już dostatecznie winny, nie tylko z powodu ciotki i kuzynki, ale także wszystkich poczciwych ludzi, którzy mieszkali na ziemiach odziedziczonych przez niego tytułem majoratu i zasługiwali na większą opiekę i hojność z jego strony, niż mógł im zapewnić.

- Czy uprzedziłeś żonę, że zjawisz się dzień wcześniej? - zapytał.

Summerhays ożenił się na wiosnę, a jego żona dość często odwiedzała przyjaciółki w Middlesex. Tego lata wyjechała tam na dłuższy pobyt, żeby uniknąć duchoty w mieście.

- Uporałem się wczoraj ze swoimi sprawami tak późno, że nie było już sposobu jej uprzedzić. Sprawię jej niespodziankę. Audrianna nie będzie miała nic przeciwko temu.

Hawkeswell podziwiał pewność siebie, z jaką przyjaciel to powiedział. Zazwyczaj kobiety nie znoszą być zaskakiwane i bardzo nie lubią, kiedy mężowie krzyżują im plany. Gdyby Summerhays był innego typu mężczyzną, a jego żona innego typu kobietą, niespodziewany przyjazd dzień wcześniej, do domu na wsi wymagałby kłopotliwych wyjaśnień z jego strony.

Powóz toczył się główną drogą wioski Cumberworth, za nim, uwiązany, kłusował czarny wałach Graysona. Będzie musiał złożyć ciotce wizytę, kiedy dotrze do Surrey, i powiedzieć jej, że wkrótce

sprzeda jej miejską rezydencję. Wizyta nie zapowiadała się przyjemnie.

Jeszcze gorsza mogła okazać się rozmowa z zarządcą majątku, który znowu doradzi mu odgrodzenie wspólnej ziemi w majątku, użytkowanej przez włościan, i jej sprzedanie. Hawkeswell długo opierał się tego rodzaju praktykom, ostatnio coraz częstszym. Chciał oszczędzić biedy rodzinom, które utrzymywały się z tej ziemi.

Ludzi, którym właściciel majątku nie potrafił zapewnić godziwego życia, nie powinno się narażać na jeszcze większe cierpienia. Jednak jego finanse znalazły się w opłakanym stanie i jeśli szybko się nie poprawią, wszyscy i tak na tym ucierpią.

Powóz skręcił za wioską. Pół mili dalej skręcił ponownie w prywatną drogę. U wjazdu do posiadłości ustawiono tablicę: „Najrzadsze Kwiaty”.

Wóznica zatrzymał konie tam, gdzie drzewa rosnące wzdłuż drogi się przerzedziły. Ich oczom ukazał się ładny dom z kamienia, otoczony pięknym ogrodem w swobodnym wiejskim stylu.

Summerhays otworzył drzwi powozu.

- Musisz wysiąść i poznać damy. Audrianna zechce cię zobaczyć.
- Odwiążę mojego konia i ruszę w swoją drogę. To na twój widok się ucieszy.
- Koń musi odpocząć. Nalegam, żebyś ze mną poszedł. Pani Joyes ugości cię, zanim wyruszysz do Surrey, poza tym obejrzysz ogród za domem. To jeden z najpiękniejszych w Middlesex.

Hawkeswellowi niezbyt się śpieszyło do Surrey, ruszył więc z przyjacielem w stronę drzwi wejściowych. Otworzyła je chuda kobieta. Dygnęła, widząc Summerhaysa.

- Lady Sebastian nie spodziewała się pana dzisiaj. Nie jest spakowana, a teraz odpoczywa w ogrodzie.

- W porządku, Hill. Mogę poczekać. Trafię sam do ogrodu, jeśli jesteś zajęta.

Hill dygnęła ponownie, ale przeszła z nimi przez dom. Minęli salon i małą, zaciszną bibliotekę z kilkoma miękkimi fotelami. Hill zostawiła ich w bawialni na tyłach domu.

- Chodź ze mną - zwrócił się Summerhays do przyjaciela. Poprowadził go korytarzem, który wychodził na dużą szklarnię. - Pani

Joyes i dwie pozostałe panie prowadzą tutaj firmę o nazwie

Najrzsadsze Kwiaty. Podziwiałeś ich artyzm na moim ślubie i na wielu przyjęciach w zeszłym sezonie. To tutaj odprawiają swoje czary.

Szklarnia robiła wrażenie. Drzewka cytrynowe, paprocie, rozmaite rośliny i pnącza wypełniały obszerne pomieszczenie bujną zielenią i upajającymi zapachami. Przez wysokie okna wpadał wietrzyk, wprawiając w drżenie liście i płatki kwiatów.

Przeszli na tył, gdzie winorośl obciążona kiśćmi owoców zwieszała się nad żeliwnymi krzesłami i kamiennym stołem.

Hawkeswell spojrział przez szklaną ścianę. Nierówności powierzchni prostokątnych szyb nadawały scenerii poza nią charakter bardziej akwareli niż renesansowego obrazu olejnego,

ponieważ kolory bladły, zlewały się i rozplływały. A jednak można było rozróżnić cztery kobiety w czymś w rodzaju altanki pod ceglany murem okalającym posiadłość.

Summerhays otworzył drzwi i obraz nabrał wyrazistości. To była różana altanka obsypana białymi kwiatami. Audrianna siedziała na ławce pod krzewem róż obok bladolicej, przepięknej pani Joyes o ciemnych szarych oczach. Hawkeswell miał okazję poznać Daphne Joyes na ślubie Summerhaysa.

Dwie pozostałe kobiety siedziały na trawie, odwrócone twarzami w stronę ławki. Jedna z nich, blondynka, miała kunsztownie ułożone włosy. Prosty słomkowy kapelusz z szerokim rondem skrywał profil drugiej z nich.

Pani Joyes, zauważywszy dżentelmenów wychodzących ze szklarni, uniosła rękę na powitanie.

Kobiety siedzące na ziemi odwróciły głowy ciekawe, kogo wita pani Joyes. Głowa w kapeluszu ponownie zwróciła się ku Audnannie.

Hawkeswella ogarnęło dziwne uczucie, jakby ktoś szarpnął w nim strunę bezgłośnego instrumentu. Ten fragment trawnika znajdował się w cieniu, a kapelusz rzucał jeszcze więcej cienia.

Jednak...

Przyjrzał się badawczo owemu kapeluszu, w tej chwili nieruchomemu. Nie poruszył się, kiedy Audrianna i pani Joyes zawołały do Summerhaysa, żeby się do nich przyłączył. Przechylenie głowy w kapeluszu sprawiło, że struna ponownie drgnęła.

Szedł ku nim z Summerhayssem piaszczystą ścieżką, wijącą się między tysiącami kwiatów.

- Kim są dwie pozostałe? - zapytał. - Te, które siedzą na ziemi.

- Blondynka to panna Celia Pennifold. Druga to panna Elizabeth Smith. Lizzie, mówią do niej.

- Poznałeś je już?

- Och, tak. Znam dobrze wszystkie „najrzadsze kwiaty”.

Hawkeswell odetchnął głęboko. Oczywiście, Summerhays musiał je wszystkie poznać. Alarm okazał się bezzasadny.

- Cóż, nie nazwę ją Lizzie, skoro o tym mowa. Widziałem ją w ogrodzie, przez okna szklarni, i nawet przechodziłem obok niej, w tym kapeluszu, ale nie sądzę, żeby nas kiedyś sobie przedstawiono.

Podeszli do pań. Głowa w kapeluszu uparcie nie odwracała się w ich stronę. Wśród chaotycznych serdecznych powitań nikt nie wydawał się zwracać na to uwagi ani uważać za niegrzeczne.

Nikt też lepiej od samego Summerhaysa nie wiedział, że Lizzie nigdy nie została mu oficjalnie przedstawiona. Jednak hrabia

Hawkeswell znalazł się w tym ogrodzie po raz pierwszy i uparte niepodnoszenie głowy w kapeluszu nie mogło trwać wiecznie, bo byłoby skrajną nieuprzejmością. Audrianna w końcu musiała dokonać oficjalnej prezentacji Lizzie.

Kapelusz uniósł się wraz z Lizzie. Hawkeswellowi zaszumiło w głowie, kiedy drobna, wiotka dziewczyna w prostej sukience z niebieskiego muślinu odwróciła się ku niemu. Głowa skłoniła się

skromnie, kapelusz zasłonił twarz. Lizzie dygnęła.

Szum ustał. Nie, mylił się. Przecież tak niewiele szczegółów pamiętał. Tak szokująco niewiele. Pamięć splątała mu figła, to wszystko.

- Pójdę i poproszę Hill, żeby przyniosła napoje - powiedziała cicho Lizzie. Bardzo cicho. Niemal szeptem.

Dygnęła ponownie i skierowała się do wyjścia. Gromadka pogrążona w ożywionej rozmowie nie zauważyła nawet jej odejścia.

To przechylenie głowy. Sposób chodzenia. Krew ponownie zaszumiała mu w żyłach.

- Stój.

Wszyscy zamarli, wpatrując się w niego. Z wyjątkiem Lizzie. Nie zatrzymała się i nie obejrzała za siebie. Jednak jej krok się zmienił.

Wydawała się gotowa do ucieczki.

Pośpieszył za nią i chwycił ją za ramię.

- Lordzie Hawkeswell, doprawdy... - zawołała z naganą w głosie pani Joyes. Jej twarz wyrażała bezbrzeżne zdumienie. Spojrzała na Summerhaysów.

- Hawkeswell... - zaczął Summerhays.

Podniósł rękę, żeby uciszyć Summerhaysa. Patrzył na delikatny nosek, widoczny spod szerokiego ronda.

- Spójrz na mnie, proszę. Teraz. Żądam tego.

Nie spojrzała na niego, ale po długiej chwili odwróciła się w jego stronę. Strząsnęła jego rękę z ramienia i stanęła twarzą w twarz.

Długie, gęste, czarne rzęsy niemal dotykały śnieżnobiałych policzków.

Zadrzała. Z gniewu? Ze strachu? Nigdy przedtem nie odczuł tak głęboko, co przeżywa druga osoba, jak teraz.

Rzęsy uniosły się. To nie twarz go upewniła. Nie jej łagodny uśmiech ani czarne włosy, ani różane usta. To raczej rezygnacja, smutek i błysk buntu w niebieskich oczach.

- Do diabła, Verity. To ty.

Jeśli ona nie zejdzie za dwie minuty, to ja wejdę na górę.

Przysięgam, że zburzę ten dom gołymi rękami, jeśli będę musiał, i...

- Proszę się uspokoić. Jestem pewna, że zaszło nieporozumienie.

- Mam się uspokoić? Uspokoić? Moja zaginiona żona, od dwóch lat uważana za zmarłą, wiodła sielski żywot na wsi, o kilka mil od Londynu, wiedząc doskonale, że wszyscy stają na głowie, żeby ją znaleźć, a pani mówi, że mam się uspokoić? Pozwolę sobie zwrócić uwagę, pani Joyes, że pani rola w tej historii graniczy z przestępstwem i że...

- Nie będę słuchać gróźb, lordzie Hawkeswell. Gdy uspokoi się pan na tyle, żeby rozmawiać jak człowiek cywilizowany, proszę dać mi znać. A na razie będę na górze, z pistoletem, gdyby przyszło panu do głowy zachować się brutalnie. - I elegancka eteryczna pani Joyes wyszła z bawialni.

Summerhays sprawdzał zawartość szafek.

- Ach, tu jest porto. Przestań miotać się jak opętany i weź się w garść, Hawkeswell. Grozi ci, że popełnisz niewybaczalne głupstwo.

Grayson jednak nadal nerwowo chodził z kąta w kąt i popatrywał w sufit, tam gdzie ukryła się ta kobieta.

- Jeśli kiedykolwiek w historii świata można było usprawiedliwić głupotę jakiegoś mężczyzny, to właśnie moją, Summerhays. Zrobiła ze mnie niezłego durnia, więc niewiele tracę, grając taką rolę.

- Nie ma kieliszków. To musi wystarczyć. - Summerhays nalał

porto do delikatnej filiżanki. - A teraz wypij i policz do

pięćdziesięciu. Jak w dawnych, dobrych czasach, kiedy wpadałeś we wściekłość.

- Będę kretyńsko wyglądać, pijąc porto z czegoś takiego; och, a niech to. - Chwycił filiżankę i wychylił ją do dna. Niewiele pomogło.

- Teraz licz.

- Raczej szczenę niż...

- Licz. Albo skończy się na tym, że wbiję ci rozsądek do głowy, a minęło wiele lat, odkąd twoje humory mnie do tego zmusiły. Jeden, dwa, trzy...

Zgrzytając zębami, Hawkeswell zaczął liczyć. Chodził dalej.

Wściekłość go opuszczała, ale gniew nie złagodniał.

- Nie wierzę, że pani Joyes nie wiedziała, kim ona jest. Albo twoja żona.

- Jeśli ośmielisz się insynuować, że moja żona skłamała, twierdząc, że nic nie wiedziała, nie skończę z tobą, póki nie trzeba będzie odtransportować cię do miasta na wiejskim wozie- warknął groźnie Summerhays.

- Nie zapominaj, skoro już wspominamy dawne czasy, że oddaję tyle samo, ile dostaję, jeśli nie więcej. - Hawkeswell powstrzymał złość i wrócił do liczenia. - Co to za miejsce, do jasnej cholery? - zapytał, doszedłszy do trzydziestu. - Kto przyjmuje obcą kobietę i nie pyta nawet, skąd się wzięła? To chore. To obłąd.

- Tutaj panuje zasada, żeby nie pytać. Widocznie pani Joyes ma

powody, żeby przypuszczać, iż kobiety często nie mają innego wyjścia, jak tylko wyrzec się swojej przeszłości.

- Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego.

- Nie możesz?

Hawkeswell przestał spacerować i spojrzał z gniewem na Summerhaysa.

- Jeśli insynuujesz, że miała powód, żeby się mnie bać, przysięgam, że wyzwę cię na pojedynek. Do wszystkich diabłów, ona mnie przecież ledwie знаła.

- Przypuszczam, że to wystarczy, żeby wystraszyć niejedną kobietę.

- Gadasz bzdury.

Summerhays wzruszył ramionami.

- Jesteś dopiero przy czterdziestu pięciu.

- Już się opanowałem.

- Niech będzie okrągła liczba. Hawkeswell zrobił jeszcze pięć kroków.

- Dość. Uspokoilem się. Idź i powiedz pani Joyes, że żądam rozmowy z moją żoną, do pioruna.

Summerhays skrzyżował ramiona, przyglądając mu się uważnie.

- Jeszcze pięćdziesiąt, jak sądzę.

Lizzie siedziała na łóżku, słuchając dochodzących z dołu wrzasków oburzenia. Wkrótce będzie musiała tam zejść. Powinno jej się darować, pomyślała, tych parę minut, żeby się przygotowała,

oswoiła z myślą o więzieniu, zanim brama się za nią zatrzaśnie.

Była taka głupio sentymentalna. Należało wyjechać, jak tylko Audrianna zgodziła się minionej wiosny wyjść za mąż za lorda Sebastiana. Albo przynajmniej w zeszłym tygodniu, po swoich dwudziestych pierwszych urodzinach. Wiedziała, że czekają batalia, gdy uzyska pełnoletność. Teraz nie czuła się zdolna, żeby oddać choć jeden strzał.

Hawkeswell znalazłby ją w końcu, kiedy przestałaby się ukrywać. Nie dałoby się tego uniknąć. Zamierzała jednak przebywać wśród ludzi, którzy ją znali i którzy chcieliby jej pomóc, a ona miałaby czas, żeby się przygotować do spotkania z nim. Ociąganie się spowodowało katastrofę, która groziła uwięzieniem w małżeństwie, a tego najbardziej się obawiała.

Przestała robić sobie wyrzuty. To nie tylko sentymenty sprawiły, że odkładała wyjazd. Wcale nie była głupia. Miłość ją tutaj zatrzymała, więcej miłości niż doznała w ciągu minionych lat. Można jej było wybaczyć, że uległa pokusie spędzenia ostatniego tygodnia wśród najdroższych przyjaciółek; wszystkie razem nie miały się już nigdy spotkać. Wiadomość, że odwiedzi je Audrianna, nadeszła właśnie tego dnia, gdy chciała się pożegnać, a to wystarczyło, żeby zachwiać jej słabym postanowieniem i pokonać coraz silniejszy strach.

Ciężkie kroki wstrząsały domem. Kolejne przekleństwo przeniknęło przez deski podłogi. Hawkeswell był w doskonałej

formie. Można się było tego spodziewać po każdym mężczyźnie, który dokonałby tak niespodziewanego odkrycia, ale zawsze podejrzewała, że on miał w sobie więcej męskiej furii niż inni. Już podczas pierwszego spotkania uznała, że nie pasują do siebie. W przyszłości też nie będą, teraz to nie ulegało wątpliwości. Był, naturalnie, w zмовie z Bertramem. A ona upokorzyła go, uciekając i nie umierając naprawdę. Jej uwagę zwróciło delikatne pukanie do drzwi. Nie chciała widzieć przyjaciółek, tak jak nie chciała widzieć człowieka miotającego na dole obelgi, ale nie miała wyjścia.

Zawołała, żeby weszły.

Wyraz ich twarzy jej nie zaskoczył. Audrianna otwierała szeroko oczy ze zdumienia; była zbyt naiwna, żeby móc sobie wyobrazić, że jakaś kobieta mogłaby się zdobyć na coś podobnego. Celia, która zapewne mogła sobie wyobrazić kobiety w różnych sytuacjach, była jedynie bardzo zaciekawiona. A Daphne - cóż, Daphne, jak zwykle, wyglądała wspaniale, blada i opanowana, i wcale nie tak bardzo zdziwiona.

Daphne usiadła obok niej na łóżku. Celia z drugiej strony, a

Audrianna stanęła przed nimi.

- Lizzie... - zaczęła Audrianna.

Przerwała na dźwięk imienia i zaczerwieniła się.

- Myślałam o sobie jako Lizzie przez dwa lata. Teraz jednak sądzę, że powinniście się do mnie zwracać moim prawdziwym imieniem. Verity. Przypuszczam, że lepiej będzie dla mnie, jeśli się

do tego szybko przyzwyczaję.

Twarz Audrianny zastygła, jakby nadal wciąż wierzyła, że to pomyłka.

- A zatem on ma rację - odezwała się Daphne. Jej ton wskazywał, że ona także wolałaby, żeby to była pomyłka. - Nie myli się. Ty jesteś zaginioną żoną Hawkeswella.

- Czy nigdy się nie domyślałaś, Daphne? - zapytała Verity.

- Nie. Może byłam ślepa. Tamta tragedia wydawała się daleka, z innego świata. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że młoda kobieta, którą tamtego dnia spotkałam nad rzeką, to ta sama dziewczyna, która zaginęła.

- Ja się domyślałam. Albo raczej zastanawiałam się nad tym -

oznajmiła Celia. - Raz czy dwa przyszła mi taka myśl do głowy.

Audrianna spojrzała ze zdumieniem na śliczną jasnowłosą Celię.

Tamta zaś ujęła Verity za rękę i poklepała delikatnie. - Ale wtedy

mówiłam sobie: nie, to niemożliwe. Ta dziewczyna z pewnością nie

żyje. Lizzie nie może być tamtą kobietą, chyba że straciła pamięć.

Kobieta nie ucieka w dniu ślubu, żeby żyć skromnie i w cieniu.

Zwłaszcza, jeśli jest dziedziczką majątku, a jej mąż ma tytuł hrabiego.

Nikt się nie odezwał. Taka zasada panowała w tym domu. Nie

należało się wtrącać w cudze sprawy. Nie domagano się wyjaśnień.

To dlatego mogła tam zostać. Teraz, jak zdawała sobie sprawę,

wszyscy oczekiwali, że uchyli choć rąbka tajemnicy.

- Dlaczego? - szepnęła Audrianna.

- Jestem pewna, że miała swoje powody - powiedziała Daphne, śpiesząc Verity z pomocą.

Verity wstała z łóżka. Podeszła do lustra, oceniając szkody, jakie kapelusz wyrządził jej włosom. Czy powinna zadbać o swój wygląd, zanim zejdzie na dół, żeby stawić czoła Hawkeswellowi? Tego wymaga grzeczność. Bała się jednak, że ten uprzejmy gest postawi ją w jeszcze gorszej sytuacji.

Uśmiechnęła się do własnych myśli. Podejrzewała, że przy Hawkeswellu żadna kobieta nie mogła liczyć na przewagę i że dla niego to było oczywiste. Nie tylko tytuł przechylał szalę na jego stronę. Był przystojnym mężczyzną, wysokim, szczupłym, o szerokich ramionach - wyglądał niczym posąg starożytnego boga. Nawet gdyby nie miał tej surowej, o wyrazistych rysach twarzy, większość kobiet zaczęłaby się jąkać, czując na sobie spojrzenie jego niebieskich oczu.

To właśnie te oczy powiedziały jej, kiedy wszedł do ogrodu, że została odkryta. Zerknąwszy na niego przelotnie, dostrzegła tylko te oczy i poznała go od razu. Nawet z dużej odległości w słoneczny dzień nie dało się nie zauważyć oczu barwy szafirów.

- Nie wyszłam za mąż z własnej woli. - Zaczęła poprawiać przekrzywiony kok czarnych włosów. Celia podeszła, odsunęła jej ręce i zgrabnie ułożyła włosy. - Mój kuzyn Bertram doprowadził do tego. Próbował mnie zmusić, ale się nie zgodziłam. W końcu mnie oszukał. Od razu po uroczystościach ślubnych odkryłam, co się stało,

dowiedziałam się, że złamał obietnicę, którą mi złożył, żeby wymusić na mnie zgodę.

- Jaka obietnica skłoniła cię do podjęcia tego nieodwracalnego kroku? - zapytała Daphne.

Dwa lata milczenia wyrobiły silny nawyk; Verity się zawahała.

Nie chciała sprowadzić na Daphne jeszcze poważniejszych kłopotów.

Bała się jednak także, że teraz widziały ją w innym, gorszym świetle i zastanawiały się, czy tamta obietnica nie dotyczyła jakiegoś głupstwa, jakiejś całkiem nieistotnej sprawy.

- Niedaleko mojego domu mieszka kobieta, którą kocham jak matkę. Bertram zagroził, że każe wywieźć jej syna do kolonii albo uczynić mu jeszcze coś gorszego za jego poglądy polityczne. Mój kuzyn ma wpływy w hrabstwie i jeszcze bardziej wpływowych przyjaciół. Nie wątpię, że mógłby skrzywdzić tę kobietę i jej syna, gdyby zechciał. Zaraz po ślubie powiedziano mi, że Bertram istotnie wyrządził krzywdę tamtemu człowiekowi, a przez to również jego matce.

Przeżycia tego dnia sprawiły, że znów zadrżała gwałtownie. I ponownie przejął ją gniew i bunt. Celia odstąpiła do tyłu. Teraz odbicie w lustrze ukazywało ciemne włosy ułożone ręką artystki i młodą kobietę o przestraszonych niebieskich oczach, usiłującą zachować godną postawę.

Verity odwróciła się do swoich zdumionych przyjaciółek.

- Powinnam była zostać? Po prostu pogodzić się z losem?

Wykorzystano mnie. Zgodziłam się z powodu wstrętnego oszustwa i sądzę, że lord Hawkeswell brał udział w spisku. Co gorsza, oszustwo miało poważniejszy skutek niż moje zamążpójście. Gniew sprawił, że ledwie mogłam myśleć. Postanowiłam, że nie pozwolę tak ze sobą postępować. Nie chciałam, żeby ich plan uczynił ze mnie tylko dodatek do majątku. Więc uciekłam.

Audrianna przycisnęła dłonie do policzków. Jej zielone oczy zaszkliły się od łez.

- Sebastian miał przyjechać jutro, nie dzisiaj. Nie spotkałabyś się z lordem Hawkeswellem, gdyby mój mąż nie zmienił planów, prawda? Mówił, że był na twoim ślubie i poznałby cię, więc unikałaś go z powodzeniem. Nie zdawał sobie z tego sprawy aż do dzisiaj, ale ty sprytnie zawsze się wymykałaś. - Popatrzyła na Verity, wciąż nie posiadając się ze zdumienia. - Ja także tego nie zauważyłam. Tak mi przykro, że moja obecność i jego niespodziewany przyjazd sprowadziły to wszystko na ciebie. Powinnam była...

- Będę ci zawsze wdzięczna, że nas odwiedziłaś - odparła Verity, obejmując przyjaciółkę. - Ten ostatni tydzień, kiedy byliśmy tu wszystkie, należał do najpiękniejszych w moim życiu. Nigdy tego nie zapomnę.

Verity zdjęła długi fartuch zakrywający prostą, niebieską sukienkę.

- Zejdę na dół. Mam nadzieję, że ten obcy człowiek, którego poślubiłam, nie jest aż tak bardzo rozgniewany, żeby mnie nie

wysłuchać.

Audrianna ukazała się w drzwiach bawialni i gestem przywołała męża. Summerhays podszedł do niej i przez chwilę rozmawiali szeptem. Audrianna potem wyszła, a Summerhays wrócił do pokoju.

- Verity schodzi na dół. Błagam cię, żebyś jej wysłuchał. Być może jest w stanie wszystko wytłumaczyć.

Hawkeswellowi przychodziły do głowy różne wyjaśnienia, ale żadne nie wydawało się przekonujące.

- Przrzekam wysłuchać wszystkiego, co powie.

Summerhays wcale nie wydawał się pewien, że burza minęła.

Panie jednak uznały widocznie, że jest dość bezpiecznie, ponieważ na schodach rozległy się lekkie kroki. Ukazała się Verity. Fartuch zniknął. Prosta, pozbawiona ozdób suknia, zamiast nadać jej pospolity wygląd, uwydatniała wdzięk i pewność siebie Verity, którymi zawstydzilaby niejedną księżniczkę. Stała na progu pokoju.

Summerhays ruszył do wyjścia.

- Zamknij, proszę, drzwi - zwrócił się do niego Hawkeswell.

Summerhays spojrzał na Verity, by się upewnić, że ona się na to zgadza. Skinęła głową.

Po raz pierwszy od dwóch lat Hawkeswell mógł przyjrzeć się swojej żonie. Ponownie zdziwiło go, że zapamiętał tak mało szczegółów. Jej obraz zbladł, pozostawiając jedynie niewyraźne wspomnienie. Podobnie jak jej charakter - wcale go nie znał.

Śliczna, pomyślał, kiedy się zobaczyli po raz pierwszy, i do tego

potulna. A także młoda i niewinna. Z wyjątkiem pierwszej, nie były to cechy, których szukał u kobiet, ale też nigdy nie starał się o rękę żadnej i wtedy, oczywiście, co innego było dla niego ważne.

W tej chwili nie sprawiała wrażenia szczególnie potulnej.

Śliczna, owszem. Bardziej niż przedtem. Odrobina dojrzałości jej posłużyła. Włosy miała równie czarne, twarz równie białą, oczy tak samo niebieskie, ale większa wyrazistość rysów sprawiła, że stała się bardziej kobieca. Wyraz jej twarzy wydał mu się zbyt śmiały jak na kogoś przyłapanego na tym, co zrobił. To go wzburzyło i skupił się na tym, żeby nie dać się ponieść złości.

- Proszę, żebyś nie winił Daphne czy którejś z innych za to, że udzieliły mi schronienia. Nie wiedziały, kim jestem. Chciałabym, żebyś przyrzekł, że nie sprowadzisz kłopotów na żadną z nich.

- Interesuje mnie tylko twoje zachowanie, a nie twoich przyjaciółek. Lepiej jednak odłożyć tę rozmowę na później, kiedy wrócimy do domu.

- Pewnie nie mam wyboru. Będę musiała wyjechać z tobą, ale uczynię to z największą niechęcią.

Nie wahała się rzucić mu rękawicy, mimo że wciąż była opanowana i spokojna. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko próbować ją przekonać i ułagodzić, co nie było w porządku, jako że nie ciążyła na nim żadna wina. Przecież nie użyje wobec niej siły i nie zachowa się jak brutal, czym by potwierdził podejrzenia pani Joyes.

Nie wybaczone by mu tego. Ani też Summerhays nie zgodziłby

się pomóc mu w zabraniu jej stąd. Verity wiedziała, w jak niezręcznej znalazł się sytuacji, i zamierzała to wykorzystać. A to oznaczało, że wcale nie jest potulna. W każdym razie teraz już nie jest. Wskazał na sofę.

- Może usiądziesz? Skoro mamy o tym rozmawiać tu i teraz, warto zadbać o wygodę.

Przyjęła zaproszenie, ale nie usiadła na sofie. Przycupnęła na zwykłym, drewnianym krześle.

- Każesz nam uważać, Verity, że to ciebie dotknęła tragedia. Czy nigdy nie pomyślałaś, na co naraziłaś innych ludzi?

- Jestem całkowicie pewna, że mój kuzyn i jego żona nie rozpaczali po tej stracie. A co do ciebie, czy obchodziłeś po mnie żałobę, lordzie Hawkeswell? Nasz związek był krótki i formalny i nie było to małżeństwo z miłości.

Poczuł, że się czerwieni. Nie, nie obchodził żałoby. Chłodna zręczność, z jaką uzyskała nad nim przewagę, zwiększyła jego złość.

- Może nie rozpaczalem, Verity, ale martwiłem się. Bardzo.

- Przykro mi z tego powodu. Sądziłam, że zostanę uznana za zmarłą po paru miesiącach, skoro pojawią się dowody, że wpadłam do Tamizy.

Nigdy nie myślałam, że miną dwa lata, a ja wciąż będę uważana za zaginioną.

- Mówisz o tych dowodach z zadziwiającą pewnością siebie.

Sama je tam umieściłaś, tak?

- Och, tak. Nie chciałam, żebyś ty albo Bertram mnie szukali, więc pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli wszyscy uznają, że nie żyję.

Tak, zrobiłam to. Celowo. Tak mi przykro, że naraziłam cię na piekło, pomyślała.

- Są jednak ludzie, którzy, jak sędzę, opłakiwali mnie - powiedziała, okazując w końcu jakąś skruchę. - Żałuję, że przysporzyłam im bólu.

- A więc to skaza w twoim planie.

- Tak. I jedyna dobra strona tego, że mnie znalazłeś tak niespodziewanie. Teraz mogę dopilnować, żeby poznali prawdę. Przemierzał pokój, zastanawiając się, jak zabrać się do zadawania pytań, które kłębiły mu się w głowie. Wiedział, że na niego patrzy, i wyczuwał w niej dziwną mieszaninę rezerwy i gniewu. To ostatnie nie wpływało na poprawę jego nastroju.

- Czy szukasz odpowiednich słów, żeby zapytać o stan mojej cnoty, lordzie Hawkeswell? Przypuszczałam, że to dla ciebie sprawa pierwszej wagi.

Zdumiała go jej szczerość.

- To jedno z pytań, jakie chciałem zadać, Verity.

- Pozwól, że cię uspokoję. Nie było żadnego wielkiego ani też małego romansu. Wciąż jestem dziewicą. Ta odpowiedź go zadowoliła. Ale jej dziewictwo nie rozwiązywało wszystkich problemów. I tak mógł się za tym kryć inny mężczyzna. To było

najbardziej logiczne wyjaśnienie, ale nie chciał teraz poruszać tego tematu.

- A ty, lordzie Hawkeswell? Skoro już o tym mowa... Jak było z twoją cnotą podczas mojej nieobecności?

Znowu wprawiała go w zdumienie. W jej oczach błysnęła kpina, kiedy zauważyła jego reakcję.

- Czytałam wszystkie gazety i wiadomości o skandalach -
oznajmiła. - Bliskość Londynu umożliwiła mi otrzymywanie wiadomości z całego kraju i orientowanie się na bieżąco w życiu wyższych sfer, zwłaszcza londyńskiej socjety. Myślę, że jeśli porównamy cnoty, zgodzisz się, że nie masz prawa deliberować nad moją.

Jak to się, na ogień piekielny, stało, że wylądował na tak grząskim gruncie?

- Myślałem, że nie żyjesz. Ty wiedziałaś, że ja żyję.

Spuściła powieki.

- Żaden sąd nie uznał mnie za zmarłą, a zatem byłam tylko zaginiona. Wiem wszystko o twoich romansach; tylko to miałam na myśli. Nie mam pretensji, ale mam nadzieję, że nie jesteś takim hipokrytą, żeby podawać moje słowo w wątpliwość albo dalej roztrząsać tę kwestię.

Walczył, żeby opanować rosnącą irytację, że w tej potyczce, w której nie powinna dysponować żadną bronią, zdołała go już dwa razy pobić.

Rozdrażnienie wzięło górę. Skrzyżował ramiona na piersi i

przykuł ją do miejsca gniewnym spojrzeniem, które poczuła aż w tyle głowy.

- Czy zamierzasz mi powiedzieć, dlaczego to zrobiłaś? Sądzę, że mam prawo wiedzieć.

Chłodne opanowanie wydawało się ją opuszczać. Błękitne oczy załśniły pod długimi rzęsami. Na jej twarzy nie pojawiła się ani odrobina skruchy i tylko przemknął po niej cień strachu. Podniosła się z krzesła, jakby uznając, że sytuacja wymaga, aby odpowiedzieć mu, stojąc na wprost niego.

- Odeszłam, ponieważ nie byłam już potrzebna, żeby wprowadzić w życie twój i mojego kuzyna wielki plan. Każdy dostał, co chciał, w ciągu tych dwóch lat na mocy kontraktu ślubnego. Ty otrzymałeś pieniądze, o które ci chodziło, a Bertram nadal zarządza firmą mojego ojca, zaś Nancy zyskała koneksje, o których marzyła. Warunki kontraktu to było jedyne, co was obchodziło. Nie miało znaczenia, czyja rzeczywiście żyłam, już jako poślubiona ci żona, czy nie żyłam. Jej wyraźna satysfakcja o mało nie pozbawiła go resztek panowania nad sobą.

- Zapewniam cię, że to nie wyszło tak, jak przewidywałaś. Prawo w takich sytuacjach jest dużo bardziej skomplikowane, niż sądziłaś.

Jego słowa zaskoczyły ją na tyle, że na chwilę utraciła tę przekłętą dumną pozę. Doskonale, stwierdził w duchu.

- Co masz na myśli?

- Umowa nie została dopełniona. Wisi w pustce. - Tak jak ja, do wszystkich diabłów, znów pomyślał.

- Czy chcesz powiedzieć, że nic nie dostałeś? Nie masz dostępu do pieniędzy w funduszu powierniczym? Nawet dochodów z ostatnich dwóch lat?

- Nie dostałem ani pensa.

Niewątpliwie była zdumiona jego słowami.

- A zatem mam podwójnego pecha, że mnie znalazłeś. Jeśli do tej pory nie dostałeś nawet części majątku, boję się, że nigdy nie zechcesz posłuchać głosu rozsądku.

- Jestem niezwykle rozsądny. A także bardzo cierpliwy.

Większość mężów zareagowałaby inaczej.

Zesztywniała, jakby jej groził, chociaż wcale nie zamierzał. Miał wrażenie, że przygotowuje się na uderzenie, i to go uraziło i rozżłościło jeszcze bardziej.

- Chodziło mi o to, że pewnie nie wysłuchasz mojego bardzo rozsądnego planu, co dalej robić - powiedziała ostrożnie.

- Jedyne, co możemy zrobić, to wrócić do Londynu, pokazać światu, że żyjesz, i spróbować zapomnieć o twoim kaprysie, żeby podjąć, w końcu, życie małżeńskie.

- To nie był kaprys. Poza tym nie masz racji. To nie jest jedyna możliwość.

- Nie przychodzi mi do głowy nic innego.

Teraz to ona zaczęła chodzić po pokoju, jak zwierzę w potrzasku.

Chodziła tam i z powrotem, marszcząc brwi ze zmartwienia.

- Możesz wystąpić o unieważnienie małżeństwa. To jest możliwe.

Nie mieliśmy nocy poślubnej, a mówiono mi...

- Dlaczego miałbym starać się o unieważnienie?

Zatrzymała się na wprost niego. Nie grała już roli łagodnej, cichej żony, miał teraz przed sobą wroga. Jej twarz stężała; wyprostowała się sztywno.

- Ponieważ ja nigdy nie chciałam tego małżeństwa - oznajmiła. -

A tobie na nim nie zależy.

- Oczywiście, że mi zależy. Zgodziłem się na nie. Podpisałem dokumenty. Złożyłem przysięgę. - Tak samo, jak ty, dodał w duchu.

- Chcesz powiedzieć, że zależy ci na pieniądzach. Znajdę jakiś sposób, żeby ci je dać, tak czy inaczej. Życie, jakiego to małżeństwo ode mnie wymaga, nie jest takie, jakie mi zostało przeznaczone.

- Nie chce mi się wierzyć, że proponujesz coś tak niemądrego, Verity. Kościół nie daje unieważnień ślubu z powodu kobiecej zachcianki.

- Nie uciekłam tamtego dnia, żeby zaspokoić przelotną zachciankę.

- A więc dlaczego? Zaczęliśmy od tego pytania i teraz do niego wracamy.

Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Zgodziłam się nie nie z własnej woli.

Zaskoczyła go. Kościół mógł wydać unieważnienie z tego

powodu.

- Mnóstwo ludzi słyszało, jak wyrażasz zgodę. Świadek, który to słyszał, znajduje się w tym domu.

- Odkryłam, że moją zgodę uzyskano w sposób niegodny i podstępny.

- Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Skoro tak mówisz.

Czuł jej nieufność, rozpacz i bunt. Ta mieszanina nie wróżyła niczego dobrego na przyszłość. Zmusił się do zachowania spokoju. Ją też chciał zarówno uspokoić, jak i pocieszyć.

- Tak mówię. Kiedy dowiedziałaś się o tym podstępie?

- Zaraz po weselnym śniadaniu.

- Powiedz mi, co zaszło.

Przyjrzała mu się, jakby się zastanawiała, czy jest wart wysiłku.

- Sprzeciwiałam się temu związkowi. W końcu złożyłam małżeńską przysięgę tylko po to, żeby pomóc rodzinie, którą znam i kocham. Bertram groził, że ich skrzywdzi, jeśli nie zgodzę się na małżeństwo.

Opowiedziała swoją historię zupełnie szczerze, bez przekonania, że jej mąż przejmie się cokolwiek tym, co usłyszy. Albo może jej nie obchodziło, co on o tym myśli. Nie mógł się domyślić, jak było naprawdę.

- Innymi słowy, dla tych ludzi przestałaś sprzeciwiać się poślubieniu mnie. Chciałaś ich chronić przed Bertramem.

Skinęła potakująco głową.

- Zaraz po śniadaniu weselnym Nancy podeszła do mnie, żeby ze mną porozmawiać. Na osobności. Powiedziała mi, że Bertram już złamał naszą umowę. Że zrobił to, czego obiecywał nie robić, jeśli się zgodzę na małżeństwo.

- Przykro mi, że uważasz, że twój kuzyn Bertram cię oszukał. W końcu jednak, Verity, ślub się odbył. Wątpliwe, żeby teraz wysłuchano twoich oskarżeń, że zostałam do niego zmuszona. Nie możesz tego udowodnić. Gdyby takim żądaniom dawano posłuch, zbyt łatwo byłoby rozwiązać małżeństwo, ponieważ ludzie by kłamali. Pora się pogodzić z tym, że nasze małżeństwo będzie trwało.

- Skąd ta pewność, że nie zostanę wysłuchana? Nie chcesz się o tym przekonać. Nie chcesz ryzykować, że stracisz pieniądze.

Znowu wrócili do pieniędzy. Trudno mu było zaprzeczyć.

Ostatecznie to był główny cel małżeństwa.

- Tak się zawiera związki. Twój gniew jest, być może, zrozumiały, ale z czasem poczujesz się szczęśliwsza, jeśli sobie na to pozwolisz. A teraz musimy się zająć powrotem do Londynu.

Zacisnęła drobne pięściki po bokach ciała, jej oczy płonęły.

- Nie słuchałeś, co mówię.

- Słuchałem uważnie każdego słowa. To niczego nie zmienia.

Według prawa jesteś moją żoną i nie da się tego cofnąć.

- Tylko dlatego, że nie chcesz zgodzić się mi pomóc.

- Nie, nie chcę.

- A jeśli nie zgodzę się wrócić do Londynu?

- Proszę, nie rób tego. Nie każ mi zmuszać cię do powrotu.

Nawet jeśli teraz uda ci się tego uniknąć, w końcu i tak będziesz musiała do mnie wrócić. Wiesz o tym. Mam swoje prawa, jako twój mąż. Tak już jest.

- Wychował mnie człowiek, który nie myślał w ten sposób, że tak już jest. Ja też tak nie myślę. To bardziej niż cokolwiek innego świadczy o tym, że do siebie nie pasujemy.

- Dwa lata temu uznaliśmy, że do siebie pasujemy. Nie należy zmieniać zdania. Ja swojego nie zmieniłem.

- Ty i ja nie zgadzamy się pod żadnym względem, w żadnej sprawie. Cóż, to nasza pierwsza w życiu prywatna rozmowa. Gdybyś postarał się o to, żeby wtedy, dwa lata temu, mnie poznać, zrozumiałbyś, że nie pasujemy do siebie, a przede wszystkim poznałbyś powody mojego sprzeciwu.

Ledwie nad sobą panował, ale zachował spokój pomimo jej doprowadzającego go do wściekłości uporu.

- Dałaś mi jasno do zrozumienia, że twoim zdaniem to małżeństwo będzie piekłem, Verity. Mogę ci tylko powiedzieć, że powinnaś znaleźć sposób, żeby płomień piekielny cię nie pochłonęły, ponieważ to, co się stało, już się nie odstanie, znalazłem cię i nic tego nie zmieni. Wysłuchałem cię i rozumiem twoje racje aż za dobrze. Jednakże poślę do Cumberworth po wynajęty powóz i wrócimy do Londynu.

Uniosła brodę, jej oczy błysnęły gniewem.

- Nie pojedę dobrowolnie. Nigdy nie miało dojść do tego małżeństwa. Ty nigdy nie powinienes się tu pojawić.

- Nic mnie to nie obchodzi - warknął. - Radzę ci się spakować, bo pojedziesz w tym, co masz na sobie.

Obrzuciła go taksującym spojrzeniem od stóp do głów.

Zniechęcenie zaczęło podkopywać jej upór, ale upierała się nadal.

- Spodziewam się, że masz dość siły, żeby zmusić mnie, abym wsiadła do powozu, gdy nadjedzie. Niech tak będzie. A na razie schronię się w domu, gdzie znalazłam spokoju, i będę czekała na to, aż siłą wyegzekwujesz swoje prawa.

Nowa krzyżówka pelargonii wyglądała mizernie. Dwa listki położyły na brzegach.

- Miała za dużo słońca. Musisz mi obiecać, że będziesz ją przynosić na dawne miejsce popołudniami, aż do końca września - zwróciła się Verity do Celi. - O nowych krzyżówkach tak niewiele wiemy.

- Zapamiętam, żeby przekazać tę informację Daphne.

Spacerowały dalej alejką między rzędami stołów zastawionych różnymi roślinami doniczkowymi, w tym wyhodowanymi eksperymentalnie przez Verity.

Miała szczęście czy też los tak chciał, że to właśnie Daphne znalazła ją owego dnia i zabrała do domu, do którego należała szklarnia. Chociaż zawsze lubiła kwiaty, nigdy nie zajmowała się ogrodnictwem, póki nie zamieszkała tutaj. Teraz stało to się jej pasją i najszcześniejsza czuła się w ogrodzie albo w szklarni, opiekując się roślinami i obserwując codziennie cud rozwijającego się życia.

- Lord Sebastian próbował namówić Hawkeswella, żeby nie działał w pośpiechu; słyszałam to, gdy akurat przechodziłam przez bawialnię.

- Wątpię, żeby mu się powiodło. Ani też, jeśli zajdzie taka potrzeba, żeby stanął po mojej stronie przeciwko Hawkeswellowi. Już niedługo stracę wolność, którą miałam nadzieję zachować, i pewnie nigdy już nie zobaczę tego domu.

- Przekonasz Hawkeswella, żeby ci pozwolił nas odwiedzać, tak jak Audrianna przekonała lorda Sebastiana.

- Hawkeswell to hrabia. Szczyci się swoimi przywilejami i wysokim urodzeniem. Popęłił mezalians, ale nie zgodzi się, abym pozostała taka, jaka jestem, ponieważ to się na nim niekorzystnie odbije. Od ciebie się dowiedziałam, jacy są ludzie dobrze urodzeni, więc nie rób teraz dobrej miny do złej gry, Celio, żebyś się poczuła lepiej. Ty i ja wiemy doskonale, że ten człowiek nie pozwoli mi odwiedzać ani was, ani też nikogo związanego z moją przeszłością. A jeszcze gorzej wróżyło bliskim jej sercu przyjaźniom to, że jej pobyt tutaj stanowił dla niego zniewagę. Obwinił Daphne o to, że udzieliła jej schronienia, choć Daphne o niczym nie wiedziała.

Zastanawiała się, co by powiedział albo pomyślał lord

Hawkeswell, gdyby się dowiedział, w jakich okolicznościach doszło do jej spotkania z Daphne nad Tamizą.

Dzień zrobił się chłodny, kiedy wóz, na którym wyblagała przejazd z Surrey, minął most. Jechała już na tyle długo, że szok minął, a gniew osłabł i zdołała obmyślić prosty plan. Rozrzuci strzępki welonu i sukni na krzakach rosnących nad rzeką. Liczyła na to, że władze uznają to za dowód, iż wpadła do wody i utonęła. A wtedy nikt nie będzie szukać jej zbyt wytrwale.

Gdy stała nad rzeką, wpatrując się w wodę, w pobliżu przejeżdżała bryczka. Powoziła nią piękna, blada jak światło księżyca młoda kobieta. Być może Daphne wyczuła rozpacz, która ją ogarnęła,

kiedy końce welonu zanurzyły się w wodzie. Jak łątwo, doprawdy, byłoby uciec od poczucia winy i upokorzenia, rzucając się w ślad za nimi.

Zaznała tak niewiele szczęścia po śmierci ojca i tak mało miłości.

Gdyby wcześniej wychowywano ją bez miłości i ciepła rodzinnego domu, może zniosłaby to lepiej, ale dzieciństwo miała tak cudowne, że nagle odmiana uczyniła lata bez opieki ojca znacznie cięższymi.

Oszustwo Bertrama przepełniło czarę goryczy po latach maltretowania i upokorzeń. Nie pamiętała, żeby odznaczał się takim okrucieństwem za młodu, a jej ojciec z pewnością nie uczyniłby go jej opiekunem, gdyby tak było. Być może Nancy go zmieniła czy też wyzwoliła ciemną stronę jego charakteru, nad którą łatwiej by zapanował, gdyby poślubił inną kobietę.

Nancy chciała dostać się do kręgów najlepszego towarzystwa i Bertram też zapragnął. A ona, Verity, okazała się znakomitym środkiem do osiągnięcia tego celu. Pokażą dziedziczkę sporej fortuny w Londynie, a w końcu jakiś zubożały lord połknie przynętę.

Połykając ją, musi także przełknąć upokorzenie, ale smakowity kąsek, urodziwy i bogaty, będzie łatwy do strawienia.

Złowienie Hawkeswella miało ją uszczęśliwić. Spodziewali się, że, olśniona, nie zwróci uwagi, jak małżeństwo z nim wpłynie na jej własne plany i jak będzie wyglądało jej życie.

Ileż to razy Nancy czyniła jej grubiańskie wyrzuty. Może być stary i gruby i pachnieć grobem, krzyczała. Tylko szalona odrzuciłaby

mężczyznę tak przystojnego. Każda inna traci głowę, patrząc w te oczy. Jesteś głupia i niewdzięczna, skoro nie umiesz docenić, ile dla ciebie robimy.

Dziesięć lat starszy od niej, nie był jeszcze stary. Miał cudowne oczy, ale nie tylko dla niej. Podejrzewała, że nie wzgardziłby żadną kobietą. Ona zaś była tylko niskiego pochodzenia dziedziczką pokaźnego majątku, zdobytego przez przedsiębiorczego człowieka - utalentowanego rzemieślnika i handlowca - dzięki której mógłby rozwiązać swoje problemy finansowe.

- Jest przynajmniej przystojny. To, przypuszczam, jedyna pociecha - powiedziała Celia, jakby czytając w jej myślach. - Podoba się damom, więc z pewnością nie jest niezręczny w łóżku, jeśli to jakaś dla ciebie pociecha.

- Wątpię, żeby miał ochotę wypróbować swoje umiejętności na mojej osobie. Na nieszczęście, nie jest aż tak na mnie rozgniewany, żeby chcieć się mnie pozbyć. - Schyliła się, żeby powąchać frezję. Uwielbiała zapach tych kwiatów. - Miałam nadzieję, że stanie się inaczej. Byłam niemądra.

Celię rzadko dziwiły sytuacje, w jakich życie stawiało ludzi, ale teraz wydawała się zaskoczona.

- Spodziewałaś się, że będzie chciał się z tobą rozwieść? Czy ma powód?

- Zabrakło mi śmiałości, żeby dać mu powód. Teraz żałuję. Nie, miałam nadzieję, że okaże się skłonny poprzeć moją petycję w

sprawie unieważnienia małżeństwa, gdy się ode mnie dowie, że zawarłam je wbrew mojej woli. Wiesz, jestem już pełnoletnia. Więc jeśli odzyskam wolność, nie będę podlegać władzy kuzyna. Stanę się niezależna.

- Sądzę, że odmówił, ponieważ to by go postawiło w bardzo kłopotliwej sytuacji. Równie kłopotliwej jak rozwód. Dla niego to byłoby gorsze niż dla ciebie.

- Uważałam, że raczej zależy mu na pieniądzu. Przeliczyłam się. Sądziłam, że Hawkeswell otrzymał pieniądze zgromadzone na moim funduszu powierniczym. To wielki majątek, który czekał na mnie, aż wyjdę za mąż albo skończę dwadzieścia jeden lat. Gdyby go dostał, być może nie byłby taki skory do trzymania mnie przy sobie. Niestety, jak twierdzi, do tej pory nic nie wpłynęło do jego kieszeni.

- W razie unieważnienia małżeństwa być może musiałby zwrócić pieniądze, gdyby je dostał wcześniej. To nadal możliwe, nawet jeśli dostałby je teraz - stwierdziła Celia. - Byłby wyjątkowym mężczyzną, gdyby się na to zgodził. - Powiedziałam mu, że dopilnuję, by dostał te pieniądze tak czy inaczej. Zamierzałam mu wyjaśnić, jak to zrobię.

Ale nie zdążyliśmy o tym porozmawiać.

Gdyby zdołała przedstawić mu to teraz w prostych słowach, klarownie, może spojrzałby na całą sytuację innymi oczami. Myśl, że nie wszystko stracone, podniosła ją nieco na duchu, ale nie na tyle, żeby ustąpiło nieprzyjemne uczucie mdłości. Była zdenerwowana.

Minęły kilka doniczek na podłodze ze starannie przyciętymi

krzaczkami mirtu.

- Bardzo żałuję, że wyjeżdżasz, ale sądzę, że i tak byś nas opuściła - odezwała się Celia. - Po prostu ukrywałaś się tutaj do ukończenia dwudziestego pierwszego roku życia, prawda?

Verity zatrzymała się i wzięła Celię za obie ręce. Ścisnęła je.

- Wszystkie jesteśmy tutaj przejściowo, czyż nie? Tak, zamierzałam wkrótce odejść. Modliłam się, żebyście obie, ty i Daphne, mnie zrozumiały. - Oczywiście, że byśmy zrozumiały. Ale dokąd się wybierałaś? - Na północ. Chciałam wrócić do domu, daleko od Londynu i Hawkeswella, i stamtąd starać się o unieważnienie małżeństwa. Chcę spędzić życie wśród ludzi, wśród których dorastałam, Celio, i uratować to, co pozostawił po sobie ojciec.

Chciałabym przeznaczyć moje pieniądze na godziwe cele, a nie na wspomaganie zubożalego arystokraty. I muszę się przekonać, jaką krzywdę wyrządził Bertram tym, których kocham, i czy uda mi się zadośćuczynić im za ich cierpienia spowodowane jego okrutnym postępowaniem. - Przełknęła łzy. - Być może to tylko dziecinne marzenia, ale podtrzymywały mnie na duchu przez dwa minione lata.

Celia pochyliła się i pocałowała ją w policzek.

- Rozumiem, droga Lizzie. Każda z nas tutaj ma jakieś sekrety i marzenia, ale nie domyślałyśmy się, że twoje marzenia są aż tak dalekosiężne. Nie wątpię, że ukrywając się tutaj i zajmując się spokojnie kwiatami, snułaś wielkie i ważne plany na przyszłość. Być może jednak będziesz musiała je teraz zmienić. - Obawiam się, że masz

rację. A jednak wciąż liczę na to, że może uda mi się go przekonać, iż najlepiej będzie dla niego, jeśli się rozstaniemy.

- Ożenił się dla pieniędzy. Dogadaj się z nim w kwestii finansowej, a może uzyskasz to, na czym ci zależy. Verity miała taką nadzieję. Ale nawet jeśli Hawkeswell nie pozwoli jej stąd wyjechać samej, przynajmniej będzie mogła przebywać wśród ludzi, już się nie ukrywając, jak przez ostatnie dwa lata. Może uda jej się zrealizować niektóre plany. Usiłowała się tym pocieszać, ale w głębi duszy nadal się bała.

- Powiedz Daphne, że nie udał się przeszczep tego drzewka cytrynowego, Celio. Warto było spróbować, ale roślina zmarniała. - Podeszła do drzewka pomarańczowego. - Nadstaw fartuch, to zerwę kilka pomarańczy. Zaniesiemy je pani Hill, żeby przyrządziła z nich sos na kolację.

Zerwała trzy owoce.

- Wkrótce chyba nadjedzie wynajęty powóz - powiedziała cicho Celia. - Czy naprawdę zmusisz Hawkeswella do wyprowadzenia cię stąd siłą?

Obie ogarnęło przygnębienie. W wypełnionej roślinami szklarni, w której spacerowały, zapanował nastrój oczekiwania na egzekucję.

- Chyba nie posunie się aż do tak dramatycznych kroków. Jasno dałam mu do zrozumienia, co myślę o tym wszystkim.

- Gdyby jednak do tego doszło, Daphne nie wahałaby się użyć pistoletu. Jest zdesperowana. Uważa, że się go boisz i że masz powód,

by się go bać. Wiesz, ona już przedtem widziała podobne sceny.

Uczucie mdłości jeszcze się nasiliło. Ona także zastanawiała się, czy powinna bać się Hawkeswella i jego złych humorów, chociaż dzisiaj, podczas ich rozmowy sam na sam, zachował spokój.

- Wyjadę, nie stawiając oporu. Nie chcę, żeby Daphne miała kłopoty. Pójdę i powiem jej to.

Celia spojrzała w stronę domu; jego okna widać było przez szybę szklarni.

- Możesz teraz jej to powiedzieć. Właśnie tu idzie, razem z Audrianną.

W chwilę potem Daphne i Audrianna weszły do szklarni i stanęły przed Verity.

- Lizzie, posłuchaj, jaki mamy plan - powiedziała Audrianna. - Sebastian sądzi, że Hawkeswell pójdzie na ustępstwa, jeśli i ty pójdziesz.

Verity spulchniała małymi ogrodniczymi grabkami ziemię w donicach z drzewkami cytrynowymi, żeby zapewnić korzeniom lepszy dostęp powietrza.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi na końcu korytarza, który łączył szklarnię z bawialnią na tyłach domu. A potem kroki. Hawkeswell nadchodził, żeby zaproponować plan obmyślony przez jej przyjaciół.

Plan jej nie ratował, ale dawał czas na pogodzenie z losem. To było najlepsze, co dało się wymyślić, więc, oczywiście, przystała na niego. Liczyła jednak na to, że uda jej się nieco zmodyfikować

warunki.

Kroki ucichły. Stał niedaleko niej. Cudowne oczy, wszystkie kobiety zgodnie to stwierdzały. Gdyby w tych oczach odbijała się bezmyślność czy głupota, ich kolor nie fascynowałby tak bardzo. Ale te oczy były inne. Lśniła w nich inteligencja, biła z nich pewność siebie, a czasem, w lepsze dni, pojawiała się poczucie humoru i błyski dowodzące, że w pełni opanował umiejętności, o których napomykała Celia. A także arogancja, naturalna u człowieka o jego pozycji społecznej i prezencji.

Była normalną kobietą, nie mogła więc pozostać obojętna na te oczy i twarz. Przed dwoma laty, gdy przyjmowała jego wizyty, przymuszona groźbami Bertrama, w obecności hrabiego miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Takie jak ona nie wychodziły za mąż za takich jak on. Nie dlatego, że nie była go warta, i nie dlatego, że widziała siebie u boku mężczyzny z innej sfery i że wybrała dla siebie inną przyszłość.

Szansę na szczęście w małżeństwie z hrabią przekreślało to, że pochodzili z dwóch różnych światów, z dwóch różnych Anglii i nie mieli ze sobą niemal nic wspólnego.

Jedynie, co wydawało się w nim znajome, to władcze zachowanie się. Jej ojciec również tak się zachowywał. Ale jej ojciec nie był wysokim, postawnym mężczyzną, jak hrabia, więc nie mógłby użyć wobec niej fizycznej siły. A ona miała złe przeczucia co do hrabiego i w jego obecności chciała skurczyć się... wycofać... zniknąć.

A jednak odczuwała niezrozumiałą przyjemność, patrząc na jego twarz. Był przystojny, z pewnością, ale nie był piękny. Nie miał twarzy tak gładkiej i niemal kobiecej, jak niektórzy wymuskani elegancy lordowie. Był przystojny w typowo męski sposób; takich silnych, twardych mężczyzn widywało się w kuźni czy w stajni.

Mocne kości szły w parze z doskonałą proporcją kształtów. Ta doskonałość wydawała się bardziej dziełem przypadku niż arystokratycznego urodzenia. W jego surowej twarzy nie było śladu pogardy wobec innych, jak w twarzach o łagodniejszych rysach.

- Summerhays i Audrianna zaproponowali, żebyśmy pojechali z nimi do Essex - powiedział. - Uważają, że pobyt tam pomógłby ci oswoić się z przyszłością i ze mną.

- To miłe z ich strony. A także z twojej, skoro się zgodziłeś.

- Współczuję ci nawet, bo wiem, że przeżyłaś szok. Jeśli tych kilka dni w Essex pozwoli ci dojść do siebie, nie musimy się spieszyć z powrotem do Londynu.

Starał się okazywać życzliwość. Nie była pewna, czy to dobrze.

Jeśli okaże się zbyt dobry, może być jeszcze trudniej.

-

Będę

wdzięczna

za

tę

zwłokę,

zanim

oficjalnie

zmartwychwstanę, lordzie Hawkeswell. Powszechna ciekawość, jaką wzbudzi moje pojawienie się, może być nieprzyjemna, więc chętnie odłożę powrót. Ale zastanawiam się, czy mogę cię prosić o coś jeszcze. Ponieważ wizyta będzie krótka, być może się zgodzisz.

W jego oczach pojawiła się podejrzliwość, a także coś w rodzaju urazy. Z pewnością uważał, że już zgodził się na więcej, niż należało.

- A mianowicie?

- Ponieważ w istocie nie spodziewałam się, że sprawy przybiorą taki obrót, byłabym wdzięczna, gdybyśmy odłożyli noc poślubną na później, póki wizyta nie dobiegnie końca. Może wykorzystamy ten czas, żeby się lepiej poznać, więc... - Wzruszyła ramionami, mając nadzieję, że rozumie kobiety tak dobrze, jak twierdziła Celia.

- Grasz ostro, biorąc pod uwagę, że nie masz kart. Nie mam nic przeciwko temu, żeby zaczekać jeszcze kilka dni, skoro nalegasz. Po dwuletnim oczekiwaniu kilka dni to drobiazg. Jeśli jednak sądzisz, że namówisz mnie do unieważnienia małżeństwa, to się mylisz.

Jakie to typowo męskie podejście myśleć, że da się przewidzieć przyszłość. Skąd on może wiedzieć, co będzie sądził o tak ważnej sprawie za cztery dni. Gdy poznają, Verity, nieco lepiej i dowie się, jaką ma ona dla niego propozycję finansową, z pewnością zmieni zdanie.

- Proszę także, żebyś nie zawiadamiał nikogo, żeś mnie odnalazł,

dopóki nie wyjedziemy z Essex - dodała. - Jeśli uda się uniknąć

plotek przez tych kilka dni, lepiej się do tego przygotuję.

- Przystanę na obie twoje prośby, jeśli ty także zgodzisz się co do paru spraw - odparł. - Po pierwsze, musisz przyrzec, że dzisiejszej nocy nie uciekniesz i znów nie znikniesz.

To nie był warunek trudny do spełnienia. Nie było sensu uciekać, mając go tak blisko za plecami. Poza tym miała parę rzeczy do zrobienia i dlatego nie mogła dalej się ukrywać. Zamierzała wyjechać z Najrzadszych Kwiatów, ale nie zniknąć z tego świata.

Podszedł bliżej i spojrzał na nią uważnie. Jego bliskość sprawiała, że czuła się fizycznie słaba i mała.

- Domagam się, żebyś zgodziła się na jeszcze jeden warunek, Verity. Nie będę egzekwować swoich praw małżeńskich, jeśli przystaniesz na trzy pocałunki dziennie.

Zaskoczył ją. Byłoby lepiej, gdyby tego nie robili.

- Jakie pocałunki?

- Takie, na jakie pozwolisz.

- A zatem bardzo krótkie.

- Poza pocałunkami niczego więcej się nie spodziewam.

- Ale nikogo przy tym nie będzie. Nie chcę się całować z tobą przy Audriannie. - Nie są im potrzebni świadkowie zastanawiający się, czy poza pocałunkami nie łączy ich coś więcej. I tak trudniej będzie uzyskać unieważnienie małżeństwa, jeśli spędzą razem jakiś czas w jednym domu, nawet jako goście.

- Przrzekam, że będziemy to robić wyłącznie na osobności. -

Uśmiechnął się lekko, jakby rozumiał, dlaczego o to poprosiła.

Uznała, że to dobry znak. To był też jego pierwszy uśmiech tego dnia.

Musiała przyznać, że miał miły uśmiech, jego oczy się wtedy rozświetlały, a twarz stawała się sympatyczniejsza.

- Jeśli będą krótkie i na osobności, mogę się zgodzić na trzy. Nie rozumiem jednak, dlaczego zachciałeś tak nagle, i jeszcze chcesz, żebyśmy się całowali codziennie.

- Być może dlatego, że jesteś śliczna, i dlatego, że jesteś moją żoną. - Wciąż ten lekki uśmiech, ale w oczach cień zastanowienia.

To miało tak wyglądać. Gdy ona stara się go przekonać, żeby nie sprzeciwiał się unieważnieniu małżeństwa, on daje jej jasno do zrozumienia, że prędzej czy później ona znajdzie się w jego łóżku i nie uniknie swego losu.

- Zatem postanowione. Kiedy lord Sebastian zamierza wyruszyć do Essex? Dzisiaj? Jeśli tak, to powinnam się spakować. To nie potrwa długo.

- Jutro. Dzisiaj wieczorem wybieramy się obaj do zajazdu w Cumberworth, gdzie przenocujemy, a rano sprowadzimy jego powóz.

A więc jeszcze jedna noc z przyjaciółkami. Zapowiadał się nostalgiczny wieczór.

Skinęła głową i zabrała się znów do spulchniania ziemi wokół drzewek cytrynowych. Nie odszedł, jak się spodziewała, ale stał niedaleko, przyglądając się jej.

- Verity, chciałbym teraz otrzymać jeden z tych pocałunków.

Wyprostowała się.

- Jeszcze nie jesteśmy w Essex.

- Nie mówiłem, że mamy z tym czekać do Essex. Możesz z pewnością dać mi jeden dzisiaj. To spotkanie nie poprawiło mojego humoru i wiesz doskonale, że nie musiałem zgadzać się na te warunki. Mógłbym dostać znacznie więcej, gdybym zechciał.

Znowu to samo - przypomnienie, jakie on ma wobec niej prawa, i że ona nie może o niczym decydować. Poczła dreszcz niezrozumiałego strachu. Zapewne zawsze tak będzie. Kobieta powinna przynajmniej naprawdę wiedzieć, na co się decyduje, zanim zostanie oddana pod władzę mężczyzny i będzie narażona na jego kaprysy.

Stłumiła strach i towarzyszący mu odruch buntu. Nie dał jej w istocie powodu, żeby tak reagowała. Spotkanie rzeczywiście mogło nie usposobić go do niej najlepiej i uraziło jego dumę. A jednak zachował się powściągliwiej, niżby musiał.

- Masz rację. Jeden pocałunek to minimum, co mogę zrobić, żeby ci podziękować za okazanie dobrej woli.

Rozbawiło go to trochę, ale nie tak, jak tego oczekiwała.

Przysunął się bardzo blisko i silnymi palcami uniósł jej brodę. To nieoczekiwane dotknięcie nieco ją przestraszyło. Nie była przyzwyczajona do tego, żeby mężczyzna jej dotykał, nawet w tak niewinny sposób.

Spojrzał jej głęboko w oczy, aż poczuła się nieswojo. Zamknęła oczy przygotowana odstąpić do tyłu od razu po tym, gdy ich wargi się zetkną. - Czy już cię ktoś całował?

- Lata temu, kiedy byłam młodziutką dziewczyną. - Wróciło na chwilę blade wspomnienie.

Zobaczyła zażenowany uśmiech Michaela Bowmana przed tym pierwszym pocałunkiem. Przejął ją głęboki smutek.

- Ile lat temu?

- Chyba sześć. Dlaczego pytasz?

- Być może uciekłaś nie tyle ode mnie, ile do innego mężczyzny.

To ją zaniepokoiło.

- Nie ma tu żadnego mężczyzny, jak mogłeś się przekonać.

- To, że jesteś tutaj i nie ma przy tobie mężczyzny, nie znaczy, że nie uciekłaś z tego powodu.

Nie dał jej szansy, żeby odpowiedzieć. Przechylił jej głowę i dotknął wargami jej ust.

Nie pamiętała dokładnie, jak zareagowała na tamten pierwszy, dziewczęcy pocałunek poza tym, że miała ochotę chichotać. Z pewnością nie przygotował jej na tę dziwną, intymną bliskość mężczyzny i sposób, w jaki nagle zawładnął on jej zmysłami. Jego usta były silne, choć aksamitnie miękkie, podobnie jak silna była jego dłoń, delikatnie podtrzymująca jej brodę.

Uprzytomniła sobie, jak nikła odległość dzieli ich ciała i jak przenikają całą jego zapach, i jeszcze coś, niewidoczne, ale prawie

namacalne. W tym pocałunku było zbyt wiele bliskości, i to emanującej raczej z ukrytego przed jej oczami wnętrza niż z fizyczności tego mężczyzny.

Nie pozwoliła, by to trwało dłużej. Wystarczyć powinno trochę więcej niż muśnięcie warg, które wywołało w niej dziwne mrowienie, i lekki nacisk jego ciała, któremu się oparła. Odsunęła się szybko, uwalniając się od delikatnego dotyku jego dłoni.

Popatrzył na nią, głęboko się nad czymś przez chwilę zastanawiając, po czym się odwrócił.

- Do zobaczenia jutro, droga żono.

- To dobrze, że dzisiaj pada - mruknął Hawkeswell. - Całkiem odpowiednia pogoda.

- Jesteś zły, że Audrianna poprosiła, by Verity dzieliła z nią pokój dzisiaj w nocy, w zajezdzie? - zapytał Summerhays. - Z pewnością nie zamierzałeś...

- Nie, nie zamierzałem. Wystarczy, że gram jako aktor w farsie.

Nie chcę widowni w postaci gości w publicznej gospodzie.

Obaj jechali konno za powozem Summerhaysa. W ciepłym powozie, chronione przed deszczem, Verity i Audrianna z pewnością spiskowały przeciwko niemu.

Z eleganckim wdziękiem obie panie wymogły na swoich mężach, że większość podróży odbędą same w powozie, podczas gdy oni będą im towarzyszyć konno. Minęło już półtora dnia, odkąd wyruszyli do Essex, a Verity nie rozmawiała z nim i nie przebywała w jego obecności dłużej niż kilka minut.

Ostatnia kolacja stanowiła wyjątek. Audrianna i Summerhays rozmawiali, Verity wpatrywała się w talerz, w ściany, podłogę i swoich przyjaciół. Hawkeswell przyglądał się jej, obserwując, jak światło świec podkreślało śnieżną biel jej skóry i delikatność rysów.

- To zupełnie zrozumiałe, że jesteś w złym nastroju - odezwał się Summerhays, doprowadzającym Graysona do wściekłości łagodnym tonem, którym zwracał się do niego, odkąd odnaleźli Verity. - Jednak mam nadzieję, że stłumisz urazę i wykorzystasz ten czas jak najlepiej.

To bardzo ważne, żeby wszystko dobrze poszło.

Hawkeswell zerknął przez zasłonę deszczu spływającego z runda jego kapelusza.

- Nie jestem w złym humorze, ponieważ czuję się urażony.

Jestem w paskudnym nastroju, ponieważ przemokłem.

- Oczywiście.

- I co masz na myśli, mówiąc o „wykorzystaniu tego czasu”. I

jeszcze ten nonsens: żeby wszystko dobrze poszło?

- Pomyślałem po prostu, że gdybyś użył swojego czaru i przestał się złościć, gdy... Cóż, to byłoby mniej nieprzyjemne.

- Do diabła, dajesz mi rady, jak mam postępować z kobietą? I do tego z własną żoną?

Summerhays westchnął.

- A więc do diabła, Hawkeswell. Z tego, co słyszałem, ona cię prawie nie zna. Audrianna twierdzi, że nigdy nie zalecałeś się do Verity, jak przystało, nie starałeś się ojej rękę. Przyznaję, że źle postąpiła, ale jeśli nie chcesz, żeby twój dom był pełen gniewu i goryczy, mógłbyś nie skąpić jej nieco pochlebstw, zamiast srożyć się na nią. Wyglądasz bardzo groźnie.

Deszcz zaczynał słabnąć. Hawkeswell zdjął kapelusz, mocno nim potrząsnął i włożył z powrotem.

- Wyglądam groźnie?

- Wszystkie panie chyba tak sądzą. Audrianna powiedziała, że miałeś wilczy wyraz twarzy wczoraj przy kolacji.

- To dlatego że byłem głodny.

- Wczoraj rano pani Joyes nie chciała pozwolić Verity wyjechać z Najrzadszych Kwiatów i trzymała w pogotowiu wyczyszczony pistolet. Gdyby Verity stawiała opór, obawiam się, że doszłoby do dramatycznej sceny. Sądzę, że nie zrobiłeś dobrego wrażenia na pani Joyes.

- Tak mi przykro. Opinia pani Joyes ma dla mnie ogromne znaczenie.

- Teraz ironizujesz. Kolejny przejaw twojego złego humoru.

- Summerhays, nie przejmuję się za bardzo opinią kobiety, która przez dwa lata ukrywała moją żonę pod innym nazwiskiem i dopiero co groziła, że mnie zastrzeli. Pani Joyes w ogóle wydaje mi się podejrzaną osobą. Jednak postaram się nie złościć i nie wyglądać groźnie. Będę się uśmiechać jak dureń, podczas gdy nasze żony zajmą się obmyślaniem sposobów, jak uwięzić mnie na sznurkach niczym marionetkę. Z pewnością już obmyślają.

- To niesprawiedliwe. Audrianna niczego nie knuje.

- Jesteś po uszy w niej zakochany, prawda? Widzę, że nie mam co na ciebie liczyć. Żaden z ciebie sprzymierzeniec. Przeszedłeś do obozu mojego wroga i on cię wykorzysta. Zostałem sam.

Summerhays zaprotestował.

- Mówię jako twój przyjaciel, a nie ktoś z wrogiego obozu, nawet jeśli okoliczności nie pozwalają ci tego dostrzec. Uwiodłeś w swoim życiu mnóstwo kobiet, Hawkeswell. Byłoby rozsądnie uwieść jeszcze

jedną.

Grayson nie potrzebował rad innego mężczyzny. Zeszłego wieczoru obmyślił już plan działania, patrząc, jak Verity rumieni się pod jego spojrzeniem, i czując narastające napięcie w ciele, gdy widział, jaka jest śliczna w świetle świec.

Nie potrzebował rad Summerhaysa, bo sam dobrze wiedział, że uwiedzenie było najłatwiejszym, najszybszym, najszcześniejszym i najbardziej skutecznym rozwiązaniem problemu.

- To piękna posiadłość, Audrianno. - Verity spoglądała przez okno powozu na ukazującą się na jednym ze wzgórz rezydencję w Airymont. - Czuję zapach morza w powietrzu.

- Wybrzeże jest niedaleko. Zrobimy sobie parę wycieczek, jeśli zechcesz. - Audrianna zawiązała czepek, przygotowując się do wyjścia. Z zewnątrz dobiegał stukot końskich kopyt.

Verity wydawało się, że potrafi odgadnąć po stukocie kopyt, którego wierzchowca dosiada Hawkeswell. Te kopyta uderzały o ziemię twardo, z bezlitosnym, bezkompromisowym naciskiem.

Mężczyzna jadący na tym koniu także nie wykazywał skłonności do kompromisu, odkąd opuścili Middlesex.

Wczoraj przy kolacji głównie milczał, patrząc na nią w zamyśleniu. Czowała się przestraszona i skonfundowana. Jego zachowanie wytrącało ją z równowagi i mogłoby poważnie ją zaniepokoić, gdyby nie założyła, że Hawkeswell dotrzyma jednak swoich obietnic.

- Posiadłość należy do brata mojego męża - powiedziała

Audrianna, gdy podjechali bliżej i można było ocenić ogrom wspaniałego pałacu. - Być może po powrocie z Czech, gdzie jeden ze słynnych medyków obiecał przywrócić mu w pełni władzę w sparaliżowanych nogach, znowu będzie się cieszyć życiem na wsi, jeśli wyzdrowieje. Jeśli jednak pozostanie kaleką, wygodniej mu będzie w mieście, gdzie przynajmniej częściej można go będzie odwiedzać.

Verity wątpiła, żeby markiz Wittonbury kiedykolwiek wrócił do Anglii, a co dopiero zamieszkał w swoim majątku ziemskim.

Wiedziała, że Audrianna też w to wątpi. Wyjeżdżał w atmosferze politycznego skandalu, który byłby jeszcze większy, gdyby nie poniesiona przez markiza ofiara na wojnie z Francuzami. Wrócił z niej sparaliżowany. Ale Audrianna ciągle miała nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży i szwagier, z którym się serdecznie zaprzyjaźniła, pewnego dnia powróci do kraju.

Powóz zatrzymał się na obszernym dziedzińcu, między skrzydłami pałacu. Służący pomógł Audriannie wysiąść. Verity opuściła powóz za nią, a w tym czasie ich mężowie zsiadali z koni. Deszcz ustał, zrobiło się gorąco i parno. Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy znaleźli się w holu rezydencji w Airymont. Marmurowa posadzka i stosunkowo niewiele mebli tworzyły z niego chłodną oazę. Podano napoje, bagaże zabrano do pokojów.

- W Southend-on-Sea jest przycumowany mój jacht - powiedział

lord Sebastian. - Jutro, przy dobrej pogodzie, możemy pożeglować.

Hawkeswell poweselał. Mężczyźni zaczęli rozmawiać o jachcie, wybrzeżu i sportach, jakie można tam uprawiać. Verity popijała poncz i starała się nie zwracać na siebie uwagi.

Nauczyła się tego, gdy Bertram został jej opiekunem i zamieszkał w domu, który ona dzieliła kiedyś z ojcem. Odkryła, że jeśli zatopiła się w sobie, inni przestawali ją dostrzegać i także przestawali dla niej istnieć. W domu Daphne przez ostatnie dwa lata ta umiejętność także się jej przydała. Ponieważ nie musiała znajdować się w żadnym określonym miejscu w określonym czasie, mogła w razie potrzeby rozpląnąć się w powietrzu. Na przykład podczas wizyt lorda Sebastiana.

Jednak unikając go, nie miała także okazji widzieć Audrianny w nowej roli, jako jego żony. Nie była na ich ślubie, nigdy nie odwiedziła ich nowego domu w Londynie. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jakie szczęście spotkało przyjaciółkę, gdy tak siedziała na grubo wyściełanym krześle w holu gościnnym, większym niż niejeden wiejski dom, spoglądając na sufit unoszący się trzydzieści stóp nad głową, a jej obute w skromne trzewiki stopy spoczywały na posadzce ułożonej z czterech różnokolorowych gatunków marmuru. Audrianna nie wydawała się onieśmielona wspaniałym otoczeniem. Lord Sebastian i lord Hawkeswell również czuli się tu swobodnie. Ona zaś nigdy nie widziała takiego przepychu, chociaż odziedziczyła po ojcu niemałą fortunę.

Jakiś niewidzialny i niesłyszalny sygnał zaalarmował Audriannę.

Wstała, zwracając się do pozostałych:

- Gospodyni zaprowadzi was teraz do waszych pokoi. Na tyłach domu, niedaleko w ogrodzie, jest małe jezioro. Może spotkamy się tam o piątej i zjemy kolację na świeżym powietrzu?

Lord Sebastian uznał to za świetny pomysł. Pogratulował żonie, a gospodyni poprosiła Verity i Hawkeswella, by udali się za nią.

Dwa piętra wyżej przekazała Hawkeswella lokajowi czekającemu przed wysokimi, podwójnymi drzwiami, a sama odprowadziła Verity do podobnych drzwi o trzydzieści stóp dalej. Verity oceniła spojrzeniem odległość między ich pokojami, podobnie jak Hawkeswell. Potem drzwi do pokoju Hawkeswella się otworzyły i Hawkeswell zniknął w środku.

- Mam nadzieję, że ten apartament spodoba się pani, lady Hawkeswell - odezwała się gospodyni, otwierając drzwi, za którymi ukazała się obszerna sypialnia w modnych odcieniach zieleni. - Latem jest tu świeże powietrze, po południu cień. Proszę dać mi znać, jeśli nie będzie pani odpowiadać.

Wszystkie trzy okna już wcześniej otwarto, żeby wywietrzyć pomieszczenie.

Po raz pierwszy nazwano ją „lady Hawkeswell”. O mało nie odwróciła głowy, żeby spojrzeć na tę ważną osobistość, do której zwracała się gospodyni. Powstrzymała się w ostatniej chwili, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Pokój, umiejscowiony na

końcu tylnego skrzydła, wychodził na wschód.

Zapach morza wydawał się tutaj silniejszy. Tuż za oknem rosło potężne stare drzewo, ale z lewej strony wyłaniał się fragment kwietnego ogrodu. A dalej, za krzewami, dostrzegła błękitne jezioro, o którym wspomniała Audrianna.

- Bardzo mi odpowiada - zapewniła gospodynię, bo odniosła wrażenie, że tamta czeka na aprobatę z jej strony.

Weszła Audrianna w towarzystwie młodej kobiety. Służącą, o imieniu Susan, przydzielono Verity jako osobistą pokojówkę. Pod czujnym okiem gospodyni Susan zaczęła rozpakowywać kufer. Obie zdawały się nie zauważać, jak niewiele rzeczy przywiozła ze sobą Verity i jak bardzo skromna jest jej garderoba.

Rozpakowywanie nie trwało długo. Zostawiły wodę do mycia.

Audrianna postukała palcami w dwa stosiki listów i gazet na łóżku.

- To są chyba listy, o których wspominałaś w powozie. Te, które otrzymała Lizzie Smith od oficjeli arcybiskupa i od prokuratorów w sprawie unieważnienia małżeństwa. A te wycinki z gazet?

- Zbierałam ogłoszenia i wiadomości dotyczące moich rodzinnych stron. - Verity otworzyła szufladę i wsunęła papiery do środka. - Chyba powinnam je schować. Pokoje Hawkeswella są tak blisko, że w każdej chwili może tu zajrzeć.

- Trudno mi było umieścić go w innym skrzydle, Verity. Może się domyślać, że zwierzyłaś mi się z układu, jaki z nim zawarłaś, ale lepiej nie okazywać tego tak wyraźnie.

- Dał słowo. Przecież jest człowiekiem honoru. Nie sądzę, żeby miało znaczenie, który pokój zajmuje. - Wierzyła w to, ale jego bliskość stanowiła próbę dla jej nerwów.

- Jednak jeśli jego poczucie honoru nie okaże się niezachwiane, znowu może rozboleć cię głowa. - Uśmiechnęła się konspiracyjnie.

- Wiosną naprawdę miewam bóle głowy, Audrianno. Nie kłamałam. - Poczwała krew napływającą do głowy. - Nie tak często, jak twierdziłam zeszłej wiosny, oczywiście, kiedy musiałam unikać lorda Sebastiana. Czy ty i pozostałe przyjaciółki gniewacie się na mnie, że kilka razy skłamałam? To nie było wielkie kłamstwo i nie miałam wyboru, ale, naturalnie, kłamstwo to kłamstwo.

Audrianna wzięła ją za rękę i poprosiła, żeby usiadła obok niej.

- To drobne oszustwo. Ale cieszę się, że mi to powiedziałaś i że zwierzyłaś się także z targu, jaki dobiłaś z hrabią. Daphne, Celia i ja czułyśmy się zaszczyczone ostatniej nocy w Cumberworth, że zechciałaś opowiedzieć nam o wszystkim, co cię spotkało. Zrobię, co w mojej mocy, żeby udało ci się przeprowadzić twój plan, ponieważ uważam, że żadna kobieta nie powinna być zmuszana do małżeństwa.

Słowa Audrianny wyrażały nadzieję, ale oczy mówiły co innego.

- Nie wierzysz, że to się uda, prawda? Myślisz, że to małżeństwo przetrwa - stwierdziła Verity.

- Myślę, że on jest hrabią, i dlatego to od jego woli zależy, czy małżeństwo przetrwa, czy nie. Celia i Daphne powiedziały ci to samo, a mają większe obycie w świecie ode mnie.

Celia i Daphne istotnie wyraziły taką opinię i to ją przestraszyło.

Przez dwa lata planowała, jak wyjdzie z ukrycia i jak będzie walczyć o swoją wolność. Nie poszłoby łatwo, zapewne by przegrała, ale przynajmniej mogłaby spróbować.

Teraz zaś obawiała się, że nie zdoła uzyskać nawet posłuchania przed organami prawa, ponieważ Hawkeswell będzie ją kontrolować i nie pozwoli na to. Chyba że, jak powiedziały przyjaciółki, przekona go do swojego planu.

Miała kilka dni w Essex, żeby tego dopiąć. Najwyżej tydzień, zanim on spełni groźbę i doprowadzi do konsumpcji małżeństwa.

Listy w szufladzie dowodziły, że i w przeciwnym wypadku można byłoby uzyskać unieważnienie, ale okazałoby się to o wiele trudniejsze. Jednak najważniejszym argumentem za unieważnieniem był brak potomstwa.

Celia uważała, że Hawkeswella da się namówić do zmiany zdania, kusząc go pieniędzmi. Verity przemyśliwała nad tym od dwóch dni.

- Bez względu na to, jak postąpi Hawkeswell, mogę przynajmniej sprawdzić, czy Bertram rzeczywiście skrzywdził bliskich mi ludzi.

Teraz, odkąd jestem pełnoletnia, Bertram nie może mnie tknąć, bez względu na to, czy będę żoną Hawkeswella, czy nie.

- A jak już poznasz prawdę? Co wtedy?

- Wynagrodzę krzywdę najlepiej, jak zdołam. Zadośćuczynię niesprawiedliwości, jakiej ta rodzina doznała z mojego powodu.

Będzie musiała, rzecz jasna, zrobić coś więcej. Jeśli Michaela Bowmana spotkał najgorszy los, ona po otrzymaniu unieważnienia małżeństwa będzie musiała zmienić swoje życiowe plany.

Zastanawiała się, czy Hawkeswell okazałby więcej zrozumienia, gdyby wyjaśniła wszystko dokładniej. Nie to, oczywiście, co dotyczyło Michaela, ale całą resztę. Powinien wreszcie uświadomić sobie, że tutaj, na południu, jako lady Hawkeswell, nie będzie mogła wieść takiego życia, jakie dla siebie wybrała.

Być może, gdyby odsłoniła przed nim serce i zwierzyła się z marzeń, zrozumiałby, jak bardzo do siebie nie pasują. Może by uznał, że uwolnienie się od niej to dobry pomysł.

Audrianna zeskoczyła z łóżka.

- Zostawię cię, żebyś odpoczęła, zobaczymy się przy kolacji.

Służba zaprowadzi cię nad jezioro, jeśli boisz się zabłądzić.

- Widzę je przez okno, z pewnością trafię.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za Audrianną, Verity spoczęła przy sekretarzyku w rogu bawialni, przylegającej do sypialni. Usiadła wśród zdobiącej pomieszczenie zieleni, żeby napisać pierwszy po dwóch latach list do świata swojego dzieciństwa.

Hawkeswell oglądał swój apartament, a w tym czasie kamerdyner rozpakowywał bagaże. Apartament był bardzo wygodny, złożony z kilku pokoi, ale nie spodziewał się innego w pałacu Wittonbury'ego. Stwierdził, że dywan pochodzi z renomowanych warsztatów tkackich w Brukseli, a jedwabne zasłony w oknach - z Indii. Meble były na

tyle stare, żeby pokryć się gęstą patyną, ale na tyle nowe, że można się było domyślić niezbyt odległego w czasie gruntownego przemeblowania i odnowy rezydencji.

Nie mógł się powstrzymać od porównań z własną rezydencją czy też raczej z tym, co z niej zostało. Za życia co najmniej jednego pokolenia w jego rodowej siedzibie nic się nie zmieniło, z wyjątkiem tajemniczego zniknięcia obrazu Tycjana po którejś z hazardowych katastrof ojca.

Na szczęście dziadek dokonywał trafnych zakupów, ze smakiem, który dorównywał jego rozrzutności. Poza zniszczoną w niektórych miejscach tapicerką i zasłonami dom nie prezentował się źle, ponieważ rzeczy dobrej jakości zawsze opierają się upływowi czasu.

A jednak rodowa rezydencja prosiła się o zbyt często odkładaną na później renowację i takie uporządkowanie, żeby zarówno wyglądem, jak i wygodami pasowała do obecnego wieku.

Kamerdyner nucił, prasując ubranie w garderobie. Hawkeswell nasłuchiwał innych odgłosów - z sąsiedniego apartamentu.

Spodziewał się, że Audrianna umieści jego i Verity w przeciwległych skrzydłach pałacu. Może jednak Audrianna nie spiskowała przeciwko niemu. Zostawił kamerdynera, zajętego swoimi obowiązkami, i wyszedł na korytarz. Zbliżył się do drzwi pokojów Verity. Zapukał i czekał długą chwilę, zanim odsunęła zasuwę. Wydawała się przestraszona jego widokiem.

- Czy jest ci tu wygodnie? - zapytał. - Odpowiada ci ten

apartament?

- Bardziej niż odpowiada, będzie mi tu doskonale, dziękuję.

Zapadło milczenie. Na wpół schowana za drzwiami nie zdecydowała się otworzyć ich na rozcież.

- Nie zaprosisz mnie do środka?

- Właśnie chciałam napisać list i...

- Nie muszę pytać, Verity. Nie muszę pukać.

Zagryzła dolną wargę i otworzyła drzwi szeroko.

- Wejdz, proszę.

Główny pokój sprawiał wrażenie względnie wygodnego. Nie taki duży, jak jego własny, mieścił kilka krzeseł i szerokie łóżko przykryte jedwabiem koloru zielonych jabłek. Podeszedł do okna. Z jego okien rozciągał się ładniejszy widok. Wysokie drzewo rosło tuż za jednym z jej okien. Skryty w listowiu wierzchołka ptaszek wyśpiewywał swoje trele.

- To drzewo rośnie w wyjątkowo dogodnym miejscu.

Podejrzewam, że potrafisz wspinać się po drzewach, niezależnie od eleganckich manier. Uśmiechnęła się i o mało nie roześmiała.

Żałował, że tego nie zrobiła. Nigdy nie słyszał, jak się śmieje.

- Kiedyś, w dzieciństwie, byłam w tym dobra. - Uniosła się na palcach i zerknęła, stojąc za jego plecami, na drzewo. - Komuś w tym wprawionemu wystarczą cztery minuty, by wejść na sam wierzchołek. Ja natomiast spadłabym i skręciła sobie kark. A może przyszedłeś tutaj, żeby sprawdzić, czy byłoby mi łatwo zejść po tym

drzewie na dół?

- Przyszedłem, aby się upewnić, że jest ci wygodnie, i powiedzieć, że wybieram się na spacer po ogrodzie. Dołącz do mnie.

Spojrzała przez ramię, na sekretarzyk widoczny w bawialni obok.

- Jak powiedziałam, zamierzałam napisać list.

- Myślę, że ogród bardziej ci się spodoba. Lubisz je, prawda?

Ogrody? Zarumieniła się.

- Tak, lubię. Jednak list...

- Można go napisać wieczorem. - Podeszedł do drzwi, stanął z

boku i wskazał ręką na korytarz gestem wyrażającym zarazem zaproszenie i rozkaz.

Czy przyjęła zaproszenie, tego nie wiedział. Wyraz jej twarzy

wskazywał jednak, że rozpoznała w tym geście rozkaz. Podeszła do

Graysona i razem opuścili pałac.

Zeszła kamiennymi schodami do ogrodu, który rozciągał się za

pałacową werandą. Hawkeswell wziął ją za rękę, prowadząc i

pilnując, żeby się nie potknęła. Nie mogła protestować przeciwko

temu dotykowi, ale czuła się wzajemną bliskością zmieszana.

Za mało uwagi poświęciła ich umowie co do pobytu w tym

domu. Należało go skłonić, żeby zgodził się zachowywać tutaj tak,

jakby w ogóle nie byli po ślubie. I nie chodziło jedynie o odłożenie na

później fizycznego skonsumowania małżeństwa.

Gdyby dokładniej przedstawiła swoje żądania, nie zachowywałby

się teraz jak mąż, który miał prawo domagać się od niej poświęcania

mu czasu i uwagi, wchodzić do jej pokoju, kiedy mu się podobało, i brać ją za rękę, kiedy tylko miał ochotę.

Dał jej jasno do zrozumienia, że ma do tego wszystkiego prawo.

Podejrzewała, że przyszedł do niej i zaprosił na spacer po ogrodzie specjalnie po to, żeby nie miała co do tego wątpliwości.

Jednak posiadłość była piękna. Dom często stał pusty, ale ogrodnicy z wielką starannością wykonywali swoją pracę. Weranda schodziła do dużego ogrodu na dziedzińcu, pomiędzy dwoma skrzydłami pałacu. Wraz z dwoma skrzydłami od frontu, budynek pałacowy tworzył ogromną literę „H”.

Teren obniżał się stopniowo w miarę oddalania się od domu, potem ogród wychodził poza dziedziniec, rozciągając się szeroko, tak że widać było duże połacie rabat porośniętych kwiatami późnego lata.

W odległym końcu, co najmniej pięćset jardów dalej, krzewy ustępowały miejsca drzewom, za którymi znajdowały się kolejne kwietne ogrody i jeziorko, o którym wspomniała Audrianna.

- Podoba ci się? - zagadnął Hawkeswell.

- Wolę mniej formalny układ, ale jest wspaniały w swoim rodzaju.

- W takim razie pewnie bardziej przypadł ci do gustu ogród

Wittonbury'ego przy jego londyńskiej rezydencji. - Uśmiechnął się trochę krzywo. - Tyle że nigdy go nie widziałas, prawda? Nie chciałaś odwiedzić tam Audrianny, ryzykując, że jej mąż cię rozpozna.

- Nie, nigdy tam nie byłam. - Przystanąła przy późnych

mieczkach i odruchowo usunęła zwiędłą kwietną główkę z jednej z wysokich łądyżek.

- Bardzo sprytnie ukrywałaś swoją tajemnicę, muszę ci to przyznać. To dziwne, że panie stanęły po twojej stronie, zamiast czuć się oszukane.

- Nie rozumiesz, do jakiego stopnia akceptujemy się nawzajem i jakimi rządzymy się prawami. Żadna z nas nie rozwodzi się nad przeszłością i wszystkim nam to służy.

- Tamten dom to przedziwne miejsce. Panują tam jakieś reguły, powiadasz. Jak w klasztorze, opactwie czy szkole? - Podobnie. Celowo. Na przykład, jako niezależne dorosłe osoby, nie domagamy się od siebie wyjaśnień, co robimy i dokąd się udajemy. Nie wtrącamy się w osobiste sprawy innych. A także dokładamy się do utrzymania domu w miarę swoich możliwości. Audrianna udzielała lekcji muzyki, Celia ma niewielki dochód. Ja pracuję w szklarni i w ogrodzie.

- Tym bardziej dziwne. Każdy musi mieć jakieś sekrety.

Tolerujecie to, że nie wiecie wszystkiego o innych, bo nie chcecie, żeby inni zanadto interesowali się wami.

- To nie tajemnice decydują o tym, że wspólne zamieszkiwanie może przebiegać bezkonfliktowo, ale wzajemne zrozumienie i dobro, jakie z tego wynika. Nie sądzę, w każdym razie, żeby któraś z mieszanek tego domu miała za dużo tajemnic, poza mną.

- Przypuszczam, że się mylisz. Na przykład, czy nie przyszło ci

nigdy do głowy, że pani Joyes nie domagała się opowieści o twoim życiu, ponieważ sama nie chce odpowiadać na pytania?

Zatrzymała się, patrząc na niego uważnie.

- Co masz na myśli?

Wzruszył ramionami.

- Tylko tyle, że ma bardzo ładną posiadłość, jak na wdowę po kapitanie. Tak przynajmniej mi o niej mówił Summerhays. Nie żądając wyjaśnień z twojej strony, chroniła także siebie.

- Sądzę, że insynuujesz jakiś skandal.

- Zastanawiam się głośno; to wszystko. Nie udawaj zaszokowanej. Mogłaś nie pytać, ale na pewno byłaś ciekawa.

- Sugerujesz, a nie się zastanawiasz. Nie zgadzam się na to.

Daphne jest dla mnie jak siostra, to uosobienie dobroci. Po prostu chcesz o niej źle myśleć, bo winisz ją za to, że udzieliła mi schronienia.

- Być może, w takim razie myliłem się. Wybacz.

Poddał się podejrzeniu szybko. Wątpiła, żeby naprawdę uważał, że się myli. Po prostu ją ugłaskiwał, by lepiej znosiła jego towarzystwo. Doszli na tył kwietnego ogrodu. Przed nimi ciągnęły się krzewy, drzewa i tereny przez nikogo nieuprawiane, porośnięte dziką roślinnością.

- Jeśli pozwolisz, wrócę teraz do siebie, żeby odpocząć przed kolacją.

- I napisać list?

- Być może.

- Z kim tak pragniesz korespondować? Chciałaś, żebym zachował twój powrót w tajemnicy, póki tu jesteśmy, dziwię się więc, że sama zamierzasz kogoś tak szybko o tym poinformować.

- Piszę do Katy Bowman. Bowmanowie to rodzina, której groził Bertram. Katy przez wiele lat prowadziła dom mojemu ojcu i była dla mnie jak matka.

- To pewnie ona, jak się obawiałaś, martwiła się o ciebie.

Rozumiem, że chciałabyś naprawić ten błąd.

Budził w niej poczucie winy. I tak czuła się winna. Katy była analfabatką, ktoś więc będzie musiał jej przeczytać list. Proboszcz.

Być może zgodzi się także, żeby podyktowała mu odpowiedź.

Verity miała taką nadzieję. Byłoby cudownie, gdyby przyszedł list z zapewnieniem, że Nancy kłamała i Bertram nie zrobił nic złego Michaelowi, synowi Katy, i że Michael nadal wykorzystuje swoje rzemieślnicze umiejętności w odlewni tak, jak nauczył go jej ojciec.

Nie śmiała na to liczyć, ale mogła się o to modlić.

- Pójdę już, lordzie Hawkeswell, zobaczymy się wieczorem.

Odwróciła się, żeby przejść z powrotem przez ogród, ale on chwycił ją za rękę i zatrzymał.

- Jeszcze nie, Verity. Najpierw dostanę pocałunek. Kilka pocałunków.

- Kilka! To mają być trzy pocałunki w różnym czasie, a nie wszystkie trzy naraz.

- Tej klauzuli nie umieściłaś w naszym kontrakcie. Cóż za niedopatrzenie.

Pociągnął ją za sobą delikatnie, w stronę kępy wysokich rododendronów. Naprawdę nie chciała znaleźć się za tymi krzewami. Próbowwała zaprzeć się piętami, ale nawet ciągnąc ją leciutko, z łatwością pokonałby jej najbardziej zaciekły opór.

- Nie jesteś uczciwy - sprzeciwiła się.

- Ciesz się, że zażądałem tylko trzech pocałunków dziennie, a nie dużo więcej. Tak się składa, że nie żądam dzisiejszych pocałunków ani też wszystkich naraz. Domagam się tych, które wciąż jesteś mi winna od wczoraj. - Nie umawialiśmy się, że możesz je oszczędzać i nadrabiać we wtorek to, czego nie zrobiłeś w poniedziałek. - Nie umawialiśmy się, że nie mogę tak zrobić.

- Mówię to teraz. Cóż, gdyby taka była umowa, mógłbyś się powstrzymać przez pół tygodnia, a ja musiałabym potem znosić dwanaście albo piętnaście z rzędu jednego dnia.

- Cóż za kusząca perspektywa. A jednak z łatwością unikniesz takiego losu. Po prostu dopilnuj, żebym został pocałowany trzy razy przed końcem dnia, a nic ci więcej nie będzie groziło.

Miał diabelskie błyski w oczach, kiedy się z nią drażnił. Tyle że mówiły one, iż Grayson wcale nie żartuje.

Jak do tego doszło, że całkiem rozsądna umowa co do trzech krótkich pocałunków postawiła ją w tak niekorzystnej sytuacji?

Takiej, w której byłoby mądrze pierwszej go pocałować, zamiast

czekać, aż on to zrobi?

- A zatem trzy - zgodziła się. - Nadrabiamy więc. - Podeszła do niego szybko, uniosła się na palcach i dziobnęła go pospiesznie ustami w usta. Chciała to powtórzyć, ale odsunął się.

- To jeden - powiedział. - Zostały dwa.

Wydawał się doskonale bawić jej kosztem. Wyprostowała się sztywno, gotowa na kolejne dwa.

Ku jej najwyższemu zdumieniu ujął jej twarz w dłonie. Dotyk był delikatny, ale bardzo intymny. Zaskoczyła ją własna reakcja na jego ciepłe dłonie na jej policzkach.

- Nie umawialiśmy się, że możesz mnie dotykać w ten sposób.

Miałeś tylko...

- Cicho - szepnął z ustami bardzo blisko jej ust, ale jeszcze jej nie całując. - Kiedy całuję kobietę, robię to należycie.

„Należycie” oznaczało, że przesuwał kciukiem po jej wargach, wywołując w nich mrowienie. Oznaczało, że chwycił leciutko zębami jej wargę, aż poczuła wstrząs w całym ciele. Oznaczało niezwykłą bliskość sprawiającą, że była aż zanadto świadoma jego obecności.

Kiedy w końcu dotknął ustami jej warg, straciła oddech.

Nie odstepiła w tył od razu. Ponieważ ją trzymał, nie była nawet pewna, czy zdołałaby to zrobić. Ale pocałunek obudził w niej coś, co kazało jej na chwilę zapomnieć, że chce się odsunąć.

Wciąż obejmując jej twarz dłońmi, spojrział na nią, przyglądając się jej niebieskimi oczami, zadowolony z tego, co zobaczył,

cokolwiek to było.

- To dwa.

- Wystarczy!

Pokręcił głową i pocałował ją znowu.

Pocałunek, bliskość mężczyzny, podniecające odczucia, które ta bliskość budziła, to wszystko wprawiało ją w oszołomienie. Nie miała pojęcia, że pocałunek może być taki długi, angażujący i...

urozmaicony. Składał się z wielu drobnych ruchów jego ust - przy jej policzkach, szczęce, wargach, przy czym nacisk ust się zmieniał, a język wdawał się w jakieś diabelskie zabawy. Ten pocałunek bardzo się różnił od pocałunków z Michaeliem w dziewczęcych latach. Był dużo bardziej niebezpieczny i wywoływał w niej inną niż wtedy reakcję.

Własna fascynacja przerażała ją, nawet jeśli pozwalała mu na pocałunek dłuższy, niż należało. W końcu jednak uświadomiła sobie, że ten pocałunek, ściśle rzecz ujmując, można by uznać za wiele pocałunków naraz, a od niego trudno by oczekiwać uczciwości w tym względzie.

Wspomnienie Michaela pozwoliło jej wyzwolić się od czaru. Nie byli po słowie z Michaeliem. Teraz może już nawet nie żył, a jeśli żył, to nie miał pojęcia o jej planach. A jednak... Zdjęła ręce Hawkeswellę z twarzy i odstepiła do tyłu.

- Myślę, że w sumie to było więcej niż trzy. Wykorzystałeś te jutrzejsze.

- Wykorzystałem najwyżej połowę dzisiejszych.

- Ostatni trwał za długo.

- O tym ty decydujesz, nie ja. Jeśli nie decydujesz, żeby skończyć pocałunek, nie spodziewaj się, że podejmę decyzję za ciebie.

Rumieniąc się po korzonki włosów, odwróciła się i odeszła. Musi pamiętać, żeby w przyszłości szybko kończyć takie rzeczy. Dzisiaj została zaskoczona i to wszystko.

Te pocałunki były całkiem inne od tego, czego się spodziewała, kiedy przystała na tę część umowy. Teraz, poznawszy jego intencje, będzie się miała na baczności.

Zapadał wieczór. Woda spokojnego jeziora lśniła złotymi iskrami w świetle powoli zachodzącego słońca. Promienie przenikały między gałęziami a listowiem drzew, pod którymi we czworo siedzieli, tworząc ruchome, składające się z plam światła i cienia, wzory na obrusach, talerzach i włosach dam.

Hawkeswell stwierdził, że zbyt często zerka na Verity, chociaż udawał, że wcale na nią nie patrzy. Pocałunki tego popołudnia były cudownie słodkie, a jej reakcja go oczarowała.

Gdyby nie była jego żoną, mógłby czuć się winny, że ją wykorzystuje. Ponieważ należała do niego, nie musiał zastanawiać się nad aspektem moralnym i mógł cieszyć się odkryciem, że pocałunki były dla niej czymś zupełnie nowym.

A to oznaczało, że nie całowała się wcześniej wiele razy albo nawet nie całowała się z nikim nigdy. To nie wykluczało możliwości, że uciekła, by związać się z jakimś innym mężczyzną. Może jednak kochała innego. Może dlatego proponowała ten nonsens z anulowaniem małżeństwa.

Zwrócił uwagę na jej postawę pełną godności i na doskonałe maniery. W jej zachowaniu przy stole było coś z pensjonarki, która niedawno ukończyła szkołę etykiety. Zastanawiała się nad każdym słowem i ruchem, jakby cały czas się pilnowała, żeby mówić i zachowywać się jak prawdziwa dama.

- Cieszę się, że podoba ci się twój apartament - zwróciła się

Audrianna do Verity. - To jedne z moich ulubionych pokoi w tym domu. Kolory i światło przypominają mi wiosenny ogród.

- Za oknem rośnie piękne drzewo - zauważył Hawkeswell. -

Sądzę, że Verity miałaby ochotę na nie wejść. Stwierdziła, że wystarczy na to cztery minuty. Zna się na tym.

- Zatem musisz zostawić któregoś dnia okno otwarte i wspiąć się po nim - powiedziała Audrianna.

- Czy w Cumberworth nie wchodziła na drzewa?

- Nigdy tego nie widziałam. Ale na tyłach posiadłości rośnie wysoka jabłoń i owoce ze szczytu nigdy się nie marnowały, tak jak by je ktoś starannie zrywał.

- Twoje dzieciństwo musiało być wspaniałe, lady Hawkeswell - odezwał się lord Sebastian.

Obie kobiety zamarły, słysząc ten tytuł. Audrianna spojrzała na męża. Sebastian udał, że tego nie widzi. Hawkeswella ucieszył ów drobny dowód, że jednak może ma w nim sprzymierzeńca.

- Mieszkałam z ojcem w domu blisko należącego do niego młyna i bawiłam się na okolicznych polach. Przez długie lata nie zauważał, że dorastam, więc cieszyłam się dzieciństwem dłużej niż inne dziewczęta.

- A jak już zdał sobie z tego sprawę? - zapytał Sebastian.

- Zrobił to, co zrobiłby każdy ojciec córki wychowywanej bez matki. Wynajął guwernantkę. - Zrobiła nadąsaną minkę i przez chwilę wyglądała jak tamta dziewczynka sprzed lat.

- I, bez wątpienia, zaczął się dryl - zauważył Hawkeswell.

- Z potrójną siłą, żeby nadrobić stracony czas - przyznała Verity.

- Guwernantka bardzo poważnie potraktowała swoje obowiązki i energicznie zabrała się do mojej edukacji. Codziennie pouczała mnie, jak zachowują się osoby z wyższych sfer i jakie mogą być społeczne konsekwencje grzechu.

- Mogłabym oszczędzić twojemu ojcu mnóstwa pieniędzy -

wtrąciła się Audrianna. - Są książki, które kosztują niecałego szylinga, a w których to wszystko jest dokładnie opisane. Pamiętasz te książki, Sebastianie, prawda? Te, które dała mi twoja matka?

Sebastian wznosił z rezygnacją oczy do nieba, mając nadzieję, że jego żona zdoła zapomnieć o zniewagach ze strony teściowej.

Audrianna się roześmiała. Verity, chwilę później, również się zaśmiała, po raz pierwszy od trzech dni.

Jej oczy zaiskrzyły się. Na policzku ukazał się mały dołeczek. To był bardzo kobiecy, wdzięczny śmiech, a nie jakiś niemądry czy piskliwy chichot. Cichy, urzekający śmiech.

- W każdym razie - Verity podjęła przerwana opowieść - nie byłam najlepszą uczennicą. Przyznaję, że sprawiałam czasem sporo kłopotu. Jeśli lekcja była, moim zdaniem, pasmem udręki, wymykałam się do domu Katy, gdzie znowu mogłam być dzieckiem przez godzinę, czy dłużej.

- Może nienawidziłaś tych lekcji, ale dobrze zapamiętałaś naukę - stwierdziła Audrianna. - Nawet Celia uznała, że jesteś urodzoną

dama, a ją niełatwo zwieść.

- Podejrzewam, że ona nie dała się zwieść. Zauważyła z pewnością, że recytuję wyuczoną lekcję, a nie wyrażam własnych poglądów i tego, co wiem o świecie, moim świecie.

Hawkeswell nie omieszkał zauważyć, w jaki sposób Verity wplotła tę uwagę. Po raz kolejny przypominała mu, że „nie pasują do siebie”, jak się wcześniej wyraziła. Zastanowił się, czy nie bała się, że w jego i społeczeństwa oczach zawsze będzie dla niego niewłaściwą żoną.

To mogło być dla niej nieprzyjemne. Nawet teraz, gdy siedziała z nim i Sebastianem, starała się uważnie dobierać słowa i bardzo poprawnie się zachowywać.

- Czy napisałaś list do Katy? - zapytał. - Była gospodynią pana Thompsona przez wiele lat - wyjaśnił Sebastianowi i Audriannie. - Prawie skończyłam. Chciałabym go jutro wysłać, Audrianno.

- Oczywiście. Czy jeszcze do kogoś powinnaś napisać?

Verity się zamyśliła.

- Z pewnością do pana Trávisa. Chciałabym się dowiedzieć różnych rzeczy, które mnie niepokoiły, a on mi odpowie uczciwie.

Muszę jednak poczekać, dopóki moja sytuacja się nie wyjaśni.

Twoja sytuacja jest taka, że jesteś zamężna, po raz kolejny stwierdził w duchu Grayson. To ostatnie stwierdzenie Verity jasno wskazywało, że wciąż spodziewała się, iż zdoła tę sytuację zmienić.

Należało jej bardzo stanowczo dać do zrozumienia, że traci na próżno

czas.

- Kim jest pan Travis?

- To on naprawdę kieruje pracami walcowni. To także jedyny mężczyzna, któremu mój ojciec powierzył sekret tokarki, którą wynalazł. Z pewnością nadal tam pracuje. Bertram nie może się go pozbyć.

- To byłoby bardzo ryzykowne - przyznał Sebastian. - A jeśli coś by się stało panu Travisowi? Firma ogromnie by na tym ucierpiała.

Verity wzięła filiżankę z herbatą z rąk służącej.

- Powiedziałam, że to jedyny mężczyzna, któremu mój ojciec ufał. Owa guwernantka uczyła mnie etykiety, ojciec zaś czegoś zupełnie innego. Ja także znam ten sekret.

Hawkeswell zapieczętował list do ciotki. Wyjaśniał w nim, że się spóźni i przyjedzie do Surrey dopiero za tydzień lub jeszcze później.

Tę samą informację zawierał leżący obok na biurku list do kuzynki, Colleen.

To, że nie ujawniał ciotce, iż odnalazł Verity, nie martwiło go.

Colleen to co innego. To dzięki niej doszło do małżeństwa i to ona najbardziej cierpiała, kiedy Verity zniknęła. Opłakiwała ją, traktując Verity jak nowo zyskaną siostrę. Z drugiej strony jednak Colleen miała pewną wprawę w obchodzeniu żałoby, więc może przyszło jej to nieco łatwiej.

Wyjął czystą kartkę, zastanawiając się, jak sformułować następny list. Obiecał Verity, że nie zawiadomi nikogo o jej odnalezieniu, póki

są w Essex, ale przy kolacji doszedł do wniosku, że musi się porozumieć z powiernikiem jej majątku, panem Thornapple. Jego stosunki z panem Thornapple nie układały się najlepiej. Zeszłej wiosny okazało się, że ktoś wynajął detektywa, aby zajął się sprawą zniknięcia Verity. Hawkeswell uznał, że zrobił to Bertram, ale w istocie krył się za tym ów powiernik. Ponieważ detektyw zadawał niepokojące pytania na temat męża zaginionej, stało się jasne, że Thornapple podejrzewał Hawkeswella o najgorsze.

Starannie dobierając słowa i nie zawiadamiając o swej nowej sytuacji, prosił o wyjaśnienie statusu Verity teraz, kiedy pojawiła się szansa na wznowienie sprawy uznania jej za zmarłą.

Zdumiały go jej słowa o panu Travisie. Być może popełnił błąd, przyjmując zapewnienie Bertrama Thompsona, że to on, Bertram, prowadzi firmę, i zgadzając się zostawić mu wolną rękę po ślubie z Verity. Teraz już wiedział, że Bertram nie tylko nie kierował pracą walcowni na miejscu, ale także nie znał szczegółów wynalazku, który uczynił tę firmę tak dochodową. Znał je tylko pan Travis. I Verity.

Hawkeswell dokończył list, zapieczętował i odłożył na bok.

Położył się na łóżku. Czuł chłodny powiew wiatru niosącego silny zapach morza. Grzech marnować taką piękną noc na sen.

Nie spodziewał się, że szybko uśnie. Po pierwsze, musiał się zmagać z niskimi instynktami, które przypominały mu, że niedaleko spoczywa w łóżku śliczna młoda kobieta, jego legalna małżonka.

Musiał walczyć z fizyczną reakcją ciała na myśl o tym i zająć głowę

czymś innym.

Gdyby uwierzył, że jest tak nieczuła, jak sama twierdzi, pokusa nie byłaby tak silna. Znał jednak kobiety za dobrze, żeby dać się oszukać, i trudno mu było dotrzymać umowy. Jej oczy, jej westchnienia, gdy ją całował, mówiły o podnieceniu, jakie ją ogarniało, choć usiłowała temu zaprzeczyć.

Wyjaśniła powody, dla których odrzucała małżeństwo z nim, ale podejrzewał, że kryje się za tym coś więcej. Jak również za jej wiarą, że uda się go skłonić do zgody na unieważnienie małżeństwa - był pewien, że prowadziła jakąś grę. Coś więcej musiało się kryć za jej ucieczką. Być może także za tym, że w ogóle nie chciała tego małżeństwa.

List do powiernika wyjaśni pewne sprawy dotyczące firmy, którą założył i rozwinął jej ojciec. To były szczegóły, które mógł poznać dwa lata wcześniej, ale które mu umknęły, ponieważ nie słuchał dość uważnie. To była kwestia dumy. Ucieszyłby się, otrzymując znaczący dochód z walcowni, i byłby zachwycony, zgarniając pieniądze zgromadzone na funduszu powierniczym Verity w czasie jej niepełnoletności, ale tak naprawdę nie chciał nic wiedzieć o samej walcowni. Teraz, jak podejrzewał, nadszedł czas, żeby dowiedzieć się tego, co przedtem go w ogóle nie interesowało.

Jakiś dźwięk wdarł się w jego myśli. Dobiegał od strony otwartego okna - odgłos szurania gdzieś niedaleko. Jakby jakieś zwierzę wspinało się na mury budynku lub z nich ześlizgiwało.

Zaciekawiony podszedł do okna.

Jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Dźwięk dobiegł go ponownie - z drzewa, które rosło pod oknem Verity. Wpatrując się uważnie, dostrzegł ciemną sylwetkę zawieszoną między parapetem a najwyższymi gałęziami tuż przy murze.

Postać zakołysała się i oderwała od budynku. Rozległo się ciche westchnienie ulgi. Nie powinien się dziwić. Sam ją sprowokował do zejścia po tym drzewie. Albo obudził pokusę, napomykając o wolności, jakiej pragnęła.

Wystarczą jej cztery minuty, jak powiedziała.

Nigdy nie wspięła się na wysoką jabłoń na tyłach ogrodu

Daphne. Nie pozwalały na to wąskie spódnice damskich sukni.

Jednak, z pomocą drabiny, udawało jej się usadowić na niższej gałęzi i postrzącać dojrzałe jabłka drągiem od wideł.

Nie wchodziła na drzewa od lat, ale nie utraciła dawnej sprawności. Związała nocną koszulę wysoko między nogami, a także wokół ud i kolan, dzięki czemu miała znaczną swobodę ruchów. Ten strój umożliwił jej wypróbowanie drzewa i sprawdzenie własnych umiejętności. Następnym razem, kiedy zdecyduje się odejść na dobre, poszuka jakiegoś przyzwoitszego odzienia.

Przeskoczyła na drzewo i poczuła dawne dziewczęce podniecenie. Wysoko na drzewie człowiek ma wrażenie, że jest ptakiem. To było zupełnie co innego niż wyglądanie przez okno. To było także bardzo intymne i tajemne doświadczenie. Gałęzie tworzyły

schronienie, do którego nikt inny nie mógł wejść.

Usadowiła się na grubej gałęzi i spojrzała w górę. Księżyc był w nowiu, prawie niewidoczny, ale za to gwiazdy świeciły jasno.

Uwielbiała patrzeć, jak liście drżą na tle nieba, i wpatrywać się w cudowne wzory, jakie tworzyły.

Wciągnęła głęboko morskie powietrze i obietnicę wolności. Nie spodziewała się, że to drugie tak na nią wpłynie, ale zaszumiało jej w głowie. Możliwości, jakie otwierało przed nią życie wśród ludzi, oszołamiały ją. Czowała, że ostrożna, gotowa wycofać się w każdej chwili osoba, którą stała się po śmierci ojca, rozpada się i ginie, że zostaje odrzucona niczym stara skóra. Siedząc na drzewie, znów doznawała dziecinnej radości życia.

Chciało jej się śmiać. Uśmiechnęła się nie wiedzieć czemu.

Rozpoznała w sobie Verity Thompson sprzed lat, która od kilku dni wracała do życia. Tamta Verity była trochę obca po tak długim czasie, wciąż niepewna siebie, ponieważ wtedy, kiedy pozostawała uśpiona, zdążyła także dorosnąć.

Przypomniał jej się Michael, dużo wyraźniej niż w ciągu ostatnich miesięcy. Zobaczyła go jako małego chłopca i jako młodzieńca, który skradł jej pierwszy pocałunek. Wróciło wspomnienie jego zażenowanego uśmiechu i braku uśmiechu, kiedy widzieli się po raz ostatni. Wtedy, gdy zakradła się do domu Katy i zastała w nim Michaela, pełnego gniewu na świat.

W niczym nie przypominał Hawkeswella. Znała Michaela równie

dobrze jak samą siebie, a Hawkeswell na zawsze pozostanie dla niej tajemnicą. Może to ta tajemniczość spowodowała, że w taki, a nie inny sposób zareagowała na jego pocałunki. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby Michael wywołał w niej podobne odczucia. Nie chciałyby, żeby tak było.

Zamknęła oczy i znowu wyobraziła sobie Michaela, próbując przywołać coś z tamtego podniecenia, które ją ogarnęło, gdy całował ją Hawkeswell. Pewnie dobrze byłoby jakieś odczuwać, gdyby Michael zgodził się ją poślubić. Najpierw, oczywiście, musiała się przekonać, czy on w ogóle żyje i gdzie przebywa, i czy ona zdoła naprawić zło, które wyrządził zapewne Bertram.

Gdyby tak się stało i zamieszkaliby razem w tamtym domu, w jej rodzinnym domu, czy w małżeńskim łóżu doznawałyby dreszczy podniecenia, czy też łączyłyby ją z Michaelem tylko więzi przyjaźni i wsparcie z jego strony? Otworzyła oczy i spojrzała na ogród. Znała odpowiedź. Nie była to zła odpowiedź. Może nawet dobra. Ogień mógł fascynować, ale również niszczył. Żywił się tym, co dawało mu moc, a potem zamierał z braku paliwa.

Sprawdziła węzły zasupłane w dziwacznych pantalonach i zaczęła schodzić po drzewie. To trwało dłużej niż cztery minuty. Drzewo było wysokie. Wyszła z wprawy i była dużo większa niż w dzieciństwie. Następnym razem pójdzie szybciej. Zrzuci walizę, ześlizgnie się po drzewie i ucieknie. Biegała świetnie.

I nagle jej noga zawisła w powietrzu, szukając pnia, żeby się na

nim oprzeć, gdy będzie zeskakiwała z najniższej gałęzi na ziemię.

Stopa znalazła solidne oparcie. Verity zaczęła się opuszczać. I nagle drzewu wyrosły pazury, które, ku jej przerażeniu, pochwyciły jej stopę.

Wciąż zawieszona na gałęzi spojrzała w dół, zszokowana. Nawet w ciemności zobaczyła szafirowe lśnienie jego oczu i biel koszuli.

- Źle oceniłaś odległość. Spadłabyś - stwierdził Hawkeswell.

- Miałam zamiar skoczyć - skłamała. Źle oceniła odległość, ale upadek nie byłby groźny.

Umieścił jej stopę na swoim ramieniu, potem sięgnął wyżej, chwycił ją w pasie i postawił na ziemi.

- Twoje szczęście, że akurat przechodziłem. - Przechylił głowę, patrząc na jej odzienie. - Masz bardzo ładne nogi. Zachwycił mnie widok jednej z nich, zwisającej z drzewa. Czy to, co widzę na tobie, to pantalonek czy kalesony?

Schyliła się, żeby rozwiązać koszulę i ukryć tak skandalicznie wystające nogi.

- Ani jedno, ani drugie. Dziękuję za pomoc. Możesz dalej spacerować.

- Nie śpieszy mi się.

Nie mogła rozplątać jednego supła. Nie ustępowała, zmagając się z nim zacięcie.

- Naprawdę powinieneś iść. Nie spodziewałam się, że ktoś mnie zobaczy, i nie jestem odpowiednio ubrana.

- Jestem twoim mężem. Gdybym cię zobaczył kompletnie gołą,
też byłoby to odpowiednie.

Zamarła pochylona nad nogą, z palcami wplecionymi w supeł.

Ogarnęło ją przedziwne uczucie, rodzaj mrowienia, podobnie jak
podczas ostatniego pocałunku. Wyprostowała się. Koszula z jednej
strony spływała luźno, z drugiej wciąż była przywiązana do uda i
kolana. Wątpiła, żeby mrok skrywał jej śmieszne przebranie.

- Muszę iść. Supeł się zaplątał i chcę wrócić do sypialni, żeby...

- Zadałaś sobie wiele trudu, żeby wyjść z sypialni. Szkoda byłoby
wracać tak szybko. Chodź ze mną. - Wziął ją za rękę i wyprowadził
na światło księżyca, w tę samą stronę, gdzie rosły rododendrony, za
które ją przedtem wciągnął.

Uklęknął na jednym kolanie i podniósł jej nogę, stawiając stopę
na swoim drugim kolanie. Skóra jej obnażonej nogi lśniła w mroku
jak biały kwiat, dobrze widoczna od kolana do pantofla. Pochylił
głowę nisko, żeby rozwiązać supeł.

- Nie kłopotz się, proszę. Mogę to sama zrobić na górze.

Niepokoili ją bardzo odczucia, jakie budziła bliskość jego dłoni
przy jej ciele. Jego głowa i twarz także znajdowały się niebezpiecznie
blisko.

- Nalegam. Dobrze, żebyś się przekonała, jak pożyteczni bywają
mężowie.

Zniosła to. Wydawało się, że czas ciągnie się w nieskończoność,
ale supeł rzeczywiście był mocno splątany. Przeżywała każdą

mijając opornie chwilę, patrząc na jego ciemną głowę.

W końcu poczuła, jak materiał opada nisko wokół jej uda i kolana. On się jednak nie poruszył. Nie pozwolił jej postawić stopy na ziemi ani koszuli nocnej zakryć obnażonej nogi.

Spojrzał na nią, pieszcząc jej łydkę i bardzo powoli przesuwając dłonie w górę, do kolana. Drugą dłonią przytrzymywał jej stopę. Był roslym mężczyzną i nawet kiedy klęczał, jego twarz nie znajdowała się zbyt daleko od jej twarzy. Widziała ją na tyle dobrze, żeby zrozumieć, że to przypadkowe spotkanie może źle się dla niej skończyć, bo on nie dotrzyma przyrzeczenia.

Czuła jego męską siłę i nie miała pojęcia, jak bronić się przed nią.

Kobiecy instynkt nie tylko ją ostrzegał, ale także popychał do reagowania na tego mężczyznę tak, jak zareagowałyby wszystkie kobiety. Bała się, że on za chwilę zachowa się tak, jak zapowiadał wyraz jego twarzy, ale także czekała na to z szokującą niecierpliwością.

Puścił jednak jej stopę i wstał.

- Jeśli zamierzasz chodzić po drzewach, trzeba będzie zapewnić ci odpowiedni strój. Chociaż ta koszula nocna jest bardzo ładna, a ty ślicznie w niej wyglądasz w nocy.

Obszedł ją dookoła, żeby lepiej przyjrzeć się jej strojowi. Ona z kolei zwróciła uwagę na jego ubranie. Nie miał fularu ani wierzchniego okrycia. Miał na sobie tylko spodnie, wysokie buty i białą, rozpiętą przy kołnierzyku, koszulę. Nie odwróciła się, kiedy

stanął za nią. Poczowała lekkie dotknięcie na związanych w długi ogon włosach, gdy Susan je rozczesala.

Wzial ją pod ramie.

- Chodz ze mna.

Wiedziala, ze nie powinna z nim pojść. Z pewnością to nie bylo rozsadne. Ale nie miala wyboru, poniewaz podjal decyzje za nia.

- Czy weszlas na to drzewo, zeby sprawdzic, czy uda ci sie uciec, jezli tak postanowisz?

Hawkeswell byl prawie pewny, co ona mu odpowie, ale niecalkowicie pewny, wiec wolał zapytac. Rozmowa takze moglaby mu pomoc w zapomnieniu, o czym rozwalal tej nocy, i o mozliwosciach, ktore sie zarysowaly, i, jak sie okazalo, byly zgodne z pragnieniami zarowno jej, jak i jego.

Krew w nim zawrzala, a wtedy mężczyzni sa sklonni zbyt pospiesznie oceniać sytuacje, z czego czesto wynikaja klopoty. Nawet jezli rozumiala, co sie z nimi obojgiem dzialo, a wcale nie byl tego pewien, wyparlaby sie tego. Dlaczego, pozostawalo kwestia do wyjasnienia. Pytanie bylo na tyle istotne, ze po raz pierwszy zaczal sie zastanawiac, czy dwa lata wczesniej nie okazal sie niewybaczalnie lekkomyślny co do swojej i jej przyszlosci.

- Mysle, ze powinienes dbac o wlasny honor, a nie zajmowac sie moim - zauwazyła.

Biel jej skory byla dobrze widoczna, az do pogniecionego skraju nocnej koszuli. Rownie dobrze widzial delikatny kobiecy ksztalt jej

nogi. Wyraźnie czuł zapach Verity, wraz z leciutką wonią piżma, która zdradzała, że jego bliskość budziła w niej nie tylko obawę, ale także podniecała erotycznie.

- Przypominasz mi o honorze tylko po to, żeby uniknąć odpowiedzi na pytanie. Nie masz powodu w niego wątpić. Mogłem mieć ochotę pieścić o wiele więcej niż twoją nogę, a nie zrobiłem tego, sama przyznaj.

Zesztywniała, słysząc jego śmiałe słowa, ale nadal szła równym krokiem. Pozostała zwrócona do niego delikatnym profilem, wpatrując się w ścieżkę. Oparł się pokusie, żeby ją odwrócić, pocałować i zmusić, żeby na niego spojrzała.

- Kiedy rozmawialiśmy w Cumberworth, powiedziałaś, że gdybym zdobył się na wysiłek, żeby cię lepiej poznać, zrozumiałbym, dlaczego opierałaś się małżeństwu - powiedział. - Mieliśmy wykorzystać tych parę dni, żeby dowiedzieć się więcej o sobie, może więc wyjaśnisz mi to teraz.

Jej koszula była szeroka i bezkształtna, ponadto ozdobiona koronkami. Materiał uderzał go po nogach, kiedy szli obok siebie. Jej ciało go nie dotykało. Bardzo się o to starała, co wymagało pewnego wysiłku z jej strony.

- Oboje wiemy, że nigdy nie zostaną zaakceptowana. Nie naprawdę. To nie mój świat. Wiesz, że się nie mylę. Tytuł, wyższe sfery pociągały mnie początkowo, ale jeśli chcę być uczciwa wobec siebie samej, muszę uznać, że rzeczywistość nigdy nie dorówna

marzeniu.

Innymi słowy, podsumował w myślach, niczego jej nie miał do zaoferowania, ponieważ jego pozycja w społeczeństwie była jedynym elementem przetargowym w tym układzie.

Chłodna wzgarda dla jego statusu społecznego była dla niego czymś nowym. Mimo gniewu domyślił się jednak, że stara się go udobruchać, dając odpowiedź, która nic ją nie kosztuje, a dla niego może brzmieć logicznie.

- Nie sądzę, żeby przeszkadzało ci tych kilka kamieni na drodze przez życie. Inne kobiety mogłyby się domagać całkowitej akceptacji, ale nie sądzę, żebyś ty była do nich podobna. Myślę, że jest w tym coś więcej.

- Dużo więcej. To, co najważniejsze. To, co mój kuzyn celowo zniszczył, wymuszając małżeństwo, oraz, być może, powód, dla którego to zrobił.

Znowu do tego doszli.

- Co to takiego?

- Nie było życzeniem mojego ojca, żebym poślubiła kogoś takiego jak ty. Chciał, żebym wyszła za kogoś, kto przejąłby jego firmę i mój spadek po to, żeby kontynuować jego dzieło.

- Nigdy nie spotkałem człowieka, który nie chciałby, żeby jego dzieci wzniosły się wyżej w hierarchii społecznej. Zapewne byłby zachwycony, wiedząc, że zostałeś hrabiną.

- Gdybyś go znał, wiedziałbyś, jak zabawne jest to, co mówisz.

Twierdził, że gilotyna zapewniła właściwy koniec francuskim arystokratom i że tutaj przydałoby się nam kilka takich urządzeń. Nigdy nie przekazałby mi udziałów w firmie, gdyby podejrzewał, że poślubię kogoś, kto gardzi przemysłem i poświęca życie jedynie dogadzaniu własnym przyjemnościom.

Wiadomo było powszechnie, że ojciec Verity nie należał do zwolenników tradycyjnego porządku rzeczy. Takiemu wynalazcy można było wybaczyć przekonanie, że w każdej dziedzinie warto wprowadzać innowacje.

Jednak Joshua Thompson nie uchodził za radykała, a już na pewno nie był jednym z tych rewolucjonistów, którzy nawoływali do zlikwidowania arystokracji. Albo wyjawiał swoje prawdziwe poglądy tylko wobec najbliższych, albo Verity przesadzała w opisie ojca z jakichś jej tylko znanych powodów.

- Ty też mnie nie znasz, Verity. Co więcej, przemawiają przez ciebie pospolite, fałszywe uprzedzenia. Człowiek z moją pozycją nie może oddawać się jedynie przyjemnościom, w przeciwnym razie nie jest szanowany. Moje obowiązki w parlamencie to poważne zajęcie, jestem też odpowiedzialny za ziemie, które otrzymałem w spadku, i za poprawę życia tych, którzy się z mojej ziemi utrzymują. - Zmienił ton na łagodniejszy, żeby nie odniosła wrażenia, iż robi jej wymówki.

- Przyznaję jednak, że częściowo masz rację. My, arystokraci, oddawaliśmy się rozmaitym przyjemnościom od pokoleń, a praktyka uczyniła z nas mistrzów.

- Nie wiem, dlaczego mnie pytałeś, skoro moje argumenty traktujesz jedynie jako wymówkę do pouczenia mnie i gry słownej. -
Usiłowałem być uprzejmy. Próbuję nie przejmować się zbytnio tym, że właśnie przed chwilą dałaś mi do zrozumienia, iż wolałabyś widzieć moją ściętą głowę niż zostać moją żoną. Z jakiegoś powodu budzi to we mnie gwałtowny sprzeciw.

Uznał, że jako żona powinna odpowiedzieć, że oczywiście nie chciałaby, żeby ucięto mu głowę.

- Jestem uczciwa - brzmiała jej odpowiedź. - Pytałeś, dlaczego, i powiedziałam ci, dlaczego. Ty nigdy nie miałeś się pojawić. To nie jest życie, jakie mi przeznaczono. - Zatrzymała się i zdołała uwolnić swoje ramię. - Mam propozycję. Teraz, kiedy dowiedziałeś się czegoś o mnie, myślę, że zrozumiesz, iż jej przyjęcie leży w twoim interesie.

- Słucham zatem.

- Jestem już pełnoletnia. Jeśli odzyskam wolność, do mnie będzie należała firma. Bertram chciał, żebym poślubiła człowieka, którego to nie interesuje, tak żeby on sam mógł sprawować kontrolę, nawet bez większościowych udziałów. Ale jeśli odzyskam wolność...

- Chyba nie myślisz o samodzielnym prowadzeniu firmy.

- Chcę skorzystać z praw właścicielki, które należą mi się na mocy spadku. Zgodnie z nimi mogę przeznaczyć dochody na co mi się podoba. Moja propozycja jest następująca: jeśli zgłosimy petycję o unieważnienie małżeństwa, żeby się od siebie uwolnić, i nam się powiedzie, oddam ci połowę dochodów, bez względu na ich

wysokość. Zawrzemy kontrakt, tak żeby nawet mój mąż nie mógł tego zmienić.

Jej głos brzmiał szczerze. Chciało mu się śmiać, nie tyle z jej naiwności co do spraw tego świata, ile z własnego zdumienia, że gotowa jest narazić się na tyle trudu i kosztów, żeby się go pozbyć.

- Verity, jeśli nie postaram się o unieważnienie, dostanę cały dochód. Mówienie o tym nie ma sensu, ale skoro się upierasz...

- Mówisz tonem cierpliwego dorosłego, który zwraca się do dziecka, lordzie Hawkeswell, ale to ty jesteś dziecinny, sądząc, że Bertram kiedykolwiek uczciwie poda ci wysokość dochodów. Wierz mi, lepiej wyjdiesz na mojej propozycji, niż egzekwując swoje prawa małżeńskie.

Podeszła bliżej, patrząc w mroku na jego twarz.

- I niech Bóg mnie skaże, jeśli nie zamieszczę twojej części w testamencie, tak żebyś dalej z tego korzystał, ty i twoi spadkobiercy.

Jak powiedziałam, dostaniesz to na zawsze.

Uświadomił sobie, że dokładnie to przemyślała. Spędziła dwa lata, planując, co zrobi, kiedy wyjdzie z ukrycia. Małżeństwo, w każdym razie z nim, nie stanowiło części jej planu. To przynajmniej było oczywiste.

- Nie interesuje mnie twoja propozycja, Verity.

Ale też nie był całkiem nią niezainteresowany i to, że zawahał się na moment przed odpowiedzią, prawdopodobnie upewniło ją co do tego. Chyba rzeczywiście do siebie nie pasowali, poza erotycznym

pociągiem, który mógłby ich jakoś do siebie zbliżyć. Bertram

niewątpliwie fałszowałby księgi, żeby ukraść część dochodu.

Ożenił się, ostatecznie, dla pieniędzy, a jej propozycja

gwarantowała przypuszczalnie więcej pieniędzy na dłuższą metę.

Musi to przemyśleć oraz przyjąć do wiadomości, że właśnie ujawniła

przed nim bystry umysł, który skrywała za potulnym obejściem i

śliczną buzią.

Musi i to przemyśleć, na osobności, później, kiedy jej widok -

bogini księżycy otulona mrokiem nocy - nie będzie rozpalał w nim

krwi. A teraz był gotów nie zgadzać się na żadne rozwiązanie, które

nie pozwoliłoby mu jej wkrótce osiąść.

Wiedziała, że zastanawiał się nad przynętą, którą zarzuciła.

Wyczuła jego zainteresowanie i się uśmiechnęła. Był pewien, że w jej

oczach pojawiły się gwiazdy.

W następnej chwili zorientował się, że stoi tuż przed nim.

Położyła mu ręce na ramionach i wspięła się na palce. Bardzo szybko

dziobnęła go wargami trzy razy w usta. Zaskoczyła go tak bardzo, że

nie zdążył jej pochwycić, zanim odwróciła się na pięcie i pobiegła w

stronę domu.

- Pomyśl o mojej propozycji - zawołała przez ramię. - Poza tym

jesteśmy kwita z pocałunkami i jutro możemy zacząć na nowo.

Uniosła fałdy nocnej koszuli i pomknęła przez mrok, powiewając

długim ogonem włosów i błyskając białymi nogami.

- Jak minęła ta noc, Verity? Spałaś dobrze?

Słowa, jakimi powitała ją Audrianna następnego dnia rano, kiedy

Verity weszła do pokoju śniadaniowego, brzmiały trochę dziwnie.

Nie same słowa, ale ton, jakim zostały wypowiedziane.

- Bardzo dobrze, dziękuję. - Usiadła naprzeciwko Audrianny i

wzięła filiżankę kawy z rąk służącego.

Audrianna się uśmiechnęła. Skrzyżowała ręce na blacie stołu i

znów się uśmiechnęła.

- O co chodzi? Coś cię gnębi? - zapytała w końcu Verity.

- Nie. Nic. - Audrianna uniosła dłoń i musnęła swe kasztanowe

włosy, szukając bezwiednie zbłąkanych nieposłusznych kosmyków,

choć jej fryzura ułożona przez osobistą pannę służącą była doskonała.

- Cóż, może nie całkiem nic. - Tylko że, po wszystkich wyjaśnieniach

w powozie, dlaczego to małżeństwo nie może się utrzymać,

spodziewałam się większej odporności z twojej strony na czar, jaki

Hawkeswell zaczął przed tobą roztaczać. Nie, nie ganię cię, zrozum,

proszę. Hrabia jest przystojnym mężczyzną, temu nie można

zaprzeczyć, ale, doprawdy, byłaś w takiej rozpacz, że sądziłam, iż

zmusisz najpierw Hawkeswella do galopu, zanim przestaniesz brać

udział w tym wyścigu. - Uśmiechnęła się. - To wszystko.

- Niczego nie zaprzestałam. Dlaczego tak sądzisz?

- Nie? A zatem przepraszam. Tylko że widziano cię zeszłej nocy.

W ogrodzie. Nie samą. W dezabilu. Was oboje. - Uśmiechnęła się

lekko. - Oboje, jak powiedziałam. Domyślano się po prostu... -

Wzruszyła ramionami. - Kto nas widział? Kto się czego domyślał?

- Sebastian. Moja pokojówka. Kto wie, może jeszcze ktoś?

Prawie z każdej sypialni widać ogród, a białą męską koszulę i białą damską nocną koszulę widać nawet w słabym świetle księżyca... -

Znowu wzruszyła ramionami.

- Rozmawialiśmy tylko o naszej niefortunnej sytuacji. Musisz powiedzieć swojemu mężowi i pokojówce, że się mylili. Wyprowadź ich z błędu, Audrianno. Stanowczo. Nie mogę pozwolić, żeby służba i kto jak kto, ale lord Sebastian domyślali się więcej, niż się w istocie wydarzyło.

- Oczywiście. Przyznam, że wydało mi się dziwne to, co mi powiedzieli, jako że znam twój plan.

- Nadal jestem zdecydowana go przeprowadzić. Mam powód sądzić, że chyba przekonałam Hawkeswella do mojego punktu widzenia. Wierzę, że jesteśmy blisko rozwiązania tej całej sprawy z obopólną korzyścią.

Audrianna uniosła brwi.

- Doprawdy? Jestem zdumiona, Verity. Uważam, że nie powinnaś trwać w tym małżeństwie po tym, co mi powiedziałaś o oszustwie kuzyna, ale nie spodziewałam się, że Hawkeswell się na to zgodzi. Zwłaszcza kiedy zobaczyłam, podczas kolacji w gospodzie, że zamierza cię przekonywać na swój sposób.

- Wierzę, że przejrzał. Ponieważ małżeństwo nie zostało

skonsumowane, możemy wygrać w sądach kościelnych, jeśli on poprze moją petycję.

Twarz Audrianny wyrażała stan jej ducha - pośredni między optymizmem a sceptycyzmem. Verity nie zamierzała wysłuchiwać słów najlepszej przyjaciółki o stojących przed Verity i Graysonem trudnościach i nikłych szansach powodzenia całej sprawy, więc skierowała rozmowę na temat okolic Airymont.

- Southend-on-Sea jest urocze, chociaż przyjezdni z Londynu tłoczą się tam w sierpniu. Może odwiedzimy je później, bo dzisiaj przed południem popływamy naszym jachtem - powiedziała Audrianna, opisując najbliższą małą miejscowość, wioskę rybacką na wybrzeżu.

- Wołałabym nie brać udziału w rejsie jachtem. Czy będzie niegrzecznością z mojej strony, jeśli odmówię? - Chyba nie boisz się teraz, że cię ktoś rozpozna? Zresztą gdy włożysz swój słomkowy kapelusz, wątpię, żeby ktoś dojrzał twoją twarz, nawet jeśliby jakimś dziwnym trafem w Southend znalazł się ktoś, kto cię zna.

- Nie boję się rozpoznania i chętnie zwiedzę wybrzeże.

Wołałabym nie spędzać całego dnia z lordem Hawkeswellem. A także nie lubię żeglowania po morzu. Przeraza mnie myśl o zdaniu się na łaskę żywiołu na maleńkim stateczku. Czy mogłabym pojechać z wami na wybrzeże i zwiedzać Southend przez parę godzin, podczas gdy wy będziecie żeglować?

Audrianna poklepała ją po ręce.

- Oczywiście, że możesz. Powiemy po prostu, że boisz się morza.

- A więc przygotuję się i jeszcze napiszę szybko list do Daphne i

Celii, zanim wyjedziemy. - Podniosła się. - Udzielisz mężowi i

pokojówce stanowczych wyjaśnień co do ubiegłej nocy, dobrze? To

bardzo ważne, Audrianno.

- Naturalnie, Verity. Jednak byłoby mądrze, skoro chcesz się

trzymać swojego planu, unikać bytności z nim sam na sam, kiedy

jesteś na pół rozebrana. Bez względu na to, co ci obiecał przed

przyjazdem tutaj, to tylko mężczyzna.

- Naprawdę nie przyłączysz się do nas, lady Hawkeswell? - Lord

Sebastian ponowił propozycję, podczas gdy służący wnosili na pokład

rzeczy niezbędne do spędzenia kilku godzin na morzu.

Jacht miał co najmniej pięćdziesiąt stóp długości, grube maszty i

dużo żagli. Lord Hawkeswell i lord Sebastian zdjęli już wierzchnie

okrycia, przygotowując się do odgrywania roli marynarzy, ale to dwaj

służący mieli, w razie potrzeby, wspinać się na maszty.

- Będę szczęśliwsza, czując pod stopami suchy ląd - oznajmiła

Verity. Audrianna sadowiła się na fotelu pod baldachimem. Kapelusz

z szerokim rondem i parasolka miały ją także chronić przed słońcem.

Hawkeswell trzymał się przy wędkach.

- Nie ma się czego bać - powiedział. - Jestem dobrym pływakiem,

a morze jest dzisiaj spokojne. Gdyby się coś stało, bezpiecznie

odstawię cię na brzeg.

- Twoja sprawność z pewnością nie ma sobie równych, lordzie

Hawkeswell, ale to samo można powiedzieć o moim tchórzostwie.

Mój ojciec utonął w czymś nieco tylko większym od wezbranego strumyka i potęga morza naprawdę mnie przeraża. Znajdę sobie zajęcie w tej nadmorskiej miejscowości, czekając na wasz powrót. Audrianna dała mi listę miejsc do obejrzenia, więc z pewnością się nie zanudzę.

Hawkeswell odłożył wędki i podszedł do niej.

- Weź to. - Wcisnął jej kilka funtów w dłoń. - Nie jest rozsądnie poruszać się samej bez pieniędzy choćby na wynajęcie bryczki, w razie potrzeby.

Spojrzała na banknoty. Było tego razem z piętnaście funtów.

- Naprawdę nie mogę...

- Potraktuj to jako kieszonkowe. Kup nowy kapelusz, jeśli w jakimś sklepie je sprzedają. Chcę jednak, żebyś dała słowo, że nie wykorzystasz tych pieniędzy na wynajęcie powozu po to, żeby uciec.

Pojadę za tobą i znajdę cię w ciągu jednego dnia, więc szkoda fatygi.

Nie spodziewała się takiej podejrzliwości z jego strony.

Popatrzyła na papierowe funty.

- Twoje wahanie mnie niepokoi, Verity. Zastanawiam się, czy nie powinienem razem z tobą wybrać się na zwiedzanie wioski, żeby mieć pewność, że znowu nie znikniesz.

- Nie mam zamiaru zniknąć. Nie byłbyś poza tym miłym towarzyszem w zwiedzaniu, gdybym pozbawiła cię możliwości oddania się ulubionemu sportowi. - Spojrzała mu w oczy. - Masz moje słowo,

ze nie użyję tych pieniędzy, żeby wynająć powóz i uciec.

Wydawał się zadowolony, że przejrzał grę Verity i położył jej kres, zanim się zaczęła, i razem z lordem Sebastianem zajął się przygotowaniami do rejsu.

Ukończywszy przygotowania, odbili od brzegu. Verity ruszyła w stronę wsi. Zatrzymała się, kiedy jacht znajdował się daleko na morzu, i otworzyła torebkę, żeby schować pieniądze.

Znalazły się obok innych banknotów na miękkiej, zwiniętej chusteczce, skrywającej złoty łańcuszek i inne skromne kosztowności.

Zajrzała do torebki i wyszeptała przekleństwo zupełnie niepasujące do damy. Zamierzała wynająć powóz i odjechać daleko, zanim jacht powróci. Być może przekonała Hawkeswella zeszłej nocy do przyjęcia propozycji, ale nie liczyła na to za bardzo. Gdyby uciekła, może posłuchałby głosu rozsądku.

Zostawiła nawet list w swoim pokoju w Airymont, wyjaśniając wszystko Audriannie. Hawkeswell wykazał diabelski wręcz spryt, dając jej pieniądze, które znacznie ułatwiłyby jej ucieczkę, dzięki którym nie musiałaby zastawiać złotego łańcuszka, a jednocześnie wymuszając na niej przyrzeczenie, że nie ucieknie.

Pocieszając się tym, że jej plan nie był do końca przemyślany, oraz tym, że Hawkeswell być może przyjął w istocie ofertę z poprzedniej nocy, zdecydowała się spędzić tych kilka godzin na spacerze, jak obiecała.

Wioska rybacka Southend-on-Sea rozrosła się, żeby pomieścić

przyjezdnych z Londynu, o których wspominała Audrianna. Nad wodą, na niskim klifie nadbrzeżnym, ciągnął się płaski teren, rodzaj naturalnego tarasu. Na drodze, która prowadziła przez tę miejscowość, widać było drogie kapelusze i wytworne buty osób z miasta przemieszane z prostymi ubiorami miejscowych. Wzdłuż tarasu od zachodniej strony wyrosły hotele i pensjonaty, zwrócone ku morzu.

Po zwiedzeniu kościółka ze ślicznym, dobrze utrzymanym ogrodkiem i zabytkowymi grobami oraz sławnego hotelu Royal ruszyła uliczką, gdzie znajdowały się lepsze sklepy. A potem skręciła na wschód, ku starej osadzie i łodziom rybackim.

Żaden z londyńczyków tam się nie zapuszczał i mieszkańcy osady zajmowali się swoimi sprawami, jakby nic się nie zmieniło od pokoleń, i prawdopodobnie rzeczywiście tak było.

Kilka łodzi już wróciło z morza i kobiety przejmowały połów na ryneczku przy drodze. Zapach ryb - słony, niedający się pomylić z żadnym innym - unosił się w powietrzu. Spojrzeń, jakie rzucano w jej stronę nie prowokował jej strój, na tyle zwyczajny, żeby nie zwracać uwagi. Tu' było jak w Oldbury, wsi w pobliżu walcowni. Wszyscy dobrze się znali, więc obcy się wyróżniał.

Zatrzymała się, podziwiając wyroby na wózku jednej z żon rybaków. Rudowłosa, o ogorzalej twarzy kobieta obrzuciła ją zaciekawionym wzrokiem.

- Szukasz tej dziewczyny? Była za wsią, tam gdzie klify są

wyższe. Po prostu tam siedziała. Pewnie nadal tam jest.

- Nikogo nie szukam. Spaceruję tylko po wsi.

- Niewielu przyjezdnych tędy przechodzi. Ona nie jest tutejsza i wydaje mi się, że się zgubiła. Myślałam, że ktoś będzie jej szukać, to wszystko.

Verity nie rozumiała, jak ktoś mógł się zgubić w tej wsi - z jedną drogą nad morzem i drugą, równoległą, niewiele dalej. Jednak może to była jakaś młodziutka dziewczyna.

Przepchnęła się przez tłum kobiet oblegających stragany i rozejrzała się po wybrzeżu. Droga wznosiła się wyżej we wschodniej stronie wsi. Wydawało jej się, że dostrzega jakąś sylwetkę, i postanowiła pójść tam i sprawdzić. Jeśli dziecko się zgubiło, nie należało go zostawiać własnemu losowi.

Zbliżając się, zobaczyła, że dziewczyna nie jest dzieckiem.

Chociaż siedziała na skraju urwiska, po dziecinnemu machając nogami, była co najmniej w pełni dojrzała. Na głowie miała kapelusz podobny do kapelusza Verity - z szerokim rondem i bez ozdób.

Zaciekawiona, Verity udawała, że szuka ładnego widoku na wybrzeże i wioskę. Zatrzymała się obok dziewczyny, która ani się nie odwróciła w jej stronę, ani w żaden inny sposób nie dała po sobie poznać, że ją zauważyła.

Zwróciła uwagę, że dziewczyna nosi bardzo ładną, muślinową sukienkę, wyszywaną w liliowe kwiaty na białym tle, z lawendowymi rękawami. Suknia była jednak mocno przybrudzona. Nie, dziewczyna

nie pochodziła z wioski, a zapewne w ogóle nie z tych stron.

- Wybacz śmiałość, ale wieśniacy myślą, że się zgubiłaś. Czy mogę ci pomóc? - odezwała się Verity.

Głowa się nie poruszyła. Po pewnym czasie jednak rozległ się zbyt dojrzały jak na dziewczynę, nie mówiąc już o dziecku, głos:

- Nie zabłądziłam. Wiem, gdzie jestem.

Dobry uczynek został spełniony. Verity ruszyła z powrotem, ale się obejrzała. Coś w nieruchomej postawie i głosie poruszyło jej pamięć. Czy Daphne pod wpływem podobnej intuicji zatrzymała swój po-wozik na drodze nad rzeką? Czy zobaczyła młodą kobietę, pogrążoną w rozmyślaniach, wyraźnie nie w tym miejscu, gdzie powinna przebywać? Zawróciła.

- Morze budzi grozę? Dla mnie jest przerażające.

- Mnie wcale nie przeraża. Wydaje mi się łagodne.

Oczyszczające.

- Jesteś odważniejsza ode mnie. W tym miejscu nie ma plaży, a brzeg jest niepokojąco wysoki. Jeden fałszywy krok... Umiesz pływać? Ja nigdy nie zdołałam się nauczyć.

Tym razem nie było odpowiedzi.

- Jesteś z Londynu? - spróbowała ponownie.

- Jestem z północy.

- Czy odwiedzasz rodzinę w tej okolicy?

- Nie. Wybłągałam przejazd na łodzi rybackiej. Ludzie, którzy na niej płyną, mieszkają tutaj. Więc też się tutaj znalazłam.

- Zabierają pasażerów? Nie miałam pojęcia.

- Za pieniądze niektórzy się zgadzają.

Verity spojrzała w dół na łodzie. Przyrzekła nie wynajmować powozu, żeby uciec. Nie było mowy o łodzi.

To by oznaczało konieczność pokonania strachu przed wodą.

Popatrzyła na rozciągającą się w nieskończoność przestrzeń wodną, a potem w dół, tam gdzie fale bezustannie rozbijały się o brzeg. Być może gdyby łódź trzymała się blisko brzegu...

Młoda kobieta naprawdę nie miała ochoty na rozmowę. Chciała, żeby Verity odeszła, to było jasne. Verity wolałaby wierzyć, że tak byłoby w porządku. Zamiast prowadzić rozmowę z tą dziewczyną powinna porozmawiać z którymś z rybaków.

Popatrzyła na plecy kobiety. To naprawdę nie była jej sprawa. A jednak nie wydawało się w porządku zostawić ją samą, bezbronną.

Instynkt podpowiadał jej, że kobieta jest zagubiona, w głębszym sensie tego słowa, i potrzebuje pomocy.

Zerknęła znowu na łodzie i westchnęła. Może później starczy jeszcze czasu, jeśli nie, to może innego dnia zyska kolejną szansę, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Skierowała całą uwagę na kobietę. Co tamtego dnia zrobiła

Daphne, żeby jej pomóc i obdarzyć przyjaźnią? Z pewnością nie żądała wyjaśnień, dlaczego Verity stoi sama w pięknej sukni nad brzegiem rzeki. Nie besztła jej ani nie ostrzegała. Domyśliła się, co jedynie może zainteresować pozostawioną samej sobie kobietę.

Jedzenie. Po prostu zaprosiła nieznajomą do domu na obiad.

- Zamierzam znaleźć coś do jedzenia. W tej osadzie, a nie w pobliżu jachtów i pensjonatów. Pójdiesz ze mną? Mam dość pieniędzy na dwa posiłki.

Głowa odwróciła się. Ciemne oczy w końcu na nią spojrzały. Nad czym by się ta kobieta zastanawiała, głód okazał się najsilniejszy.

- To uprzejme z twojej strony. Nie jadłam cały dzień.

- No to chodźmy i znajźmy dobrą kobietę, która da nam chociaż chleb.

Nieznajoma wstała i otrzepała spódnicę. Jej but poruszył kamień.

Stoczył się w dół, a rumor ją nieco spłoszył. Pochłonęły go spienione fale przybrzeżne.

- Nazywam się Verity - powiedziała, kiedy szły w stronę wsi. -

Jak mogę się do ciebie zwracać?

Chwila milczenia. Znajome wahanie, które powiedziało Verity dużo więcej niż słowa.

- Możesz mnie nazywać Katherine.

Ryby nie mogły się doczekać, żeby dać się złapać na wędki

Summerhaysa. Same wręcz wskakiwały na pokład na jego rozkaz.

Duża beczka była już wypełniona rybami i wkrótce miało być ich wystarczająco dużo, żeby nakarmić wszystkich domowników w Airymont.

Hawkeswell nie złowił ani jednej ryby. Z pewnością miało to symboliczne znaczenie. Przeklęta złowróżbna metafora. Siedząc

bezczytnie, miał mnóstwo czasu na przemyślenie propozycji Verity.

Okazała się bardzo bystra. Wystarczył jej jeden dzień, by podać mu wszystkie powody, dla których nie mogli być szczęśliwi w tym związku, wypomniała mu, że jest nic niewart, i wyraziła żal, iż podstępem nakłoniono ją do małżeństwa.

Ponieważ łagodną perswazją niczego nie zdziałała, uciekła się teraz do przekupstwa. Proponowała mu łapówkę. I to w bardzo sprytny sposób.

Uznał to za uwłaczające dla siebie. Ona uważała, że można go kupić. Musiał jednak przyznać, że nie bez racji. Ożenił się dla pieniędzy, czyż nie? Można go było kupić - w pewnym sensie to już się stało. Ona jedynie oferowała mu rekompensatę finansową, gdyby wystąpili o unieważnienie małżeństwa i je otrzymali.

Z tego punktu widzenia była to nie tyle obraźliwa łapówka, ile nagroda pocieszenia.

Czymkolwiek by było, on nie będzie kłamać, żeby to otrzymać.

Jednak, jeśli Verity rzeczywiście została zmuszona do małżeństwa, to byłby wystarczający powód, żeby wystąpić o jego unieważnienie.

Zerknął na Audriannę. Siedziała pod baldachimem, czytając książkę. Oparł wędkę o burtę i podszedł do niej.

- Nie zostawiaj wędki - ofuknął go Summerhays, zmagając się z kolejną dużą rybą. - Jeśli coś się na nią złapie, wędka wylądnie za burtą.

- Jeśli lina się napnie, złap kij. Mam dosyć gapienia się w kotłują-

cą wodę i słuchania okrzyków zachwytu nad twoją zręcznością. Wolę porozmawiać.

Audrianna odłożyła książkę, kiedy usiadł obok na krześle.

- Ryba nie chce brać, lordzie Hawkeswell?

- Myślę, że moja przynęta wydaje im się gorzka.

- Trudno odgadnąć, co przyciągnie rybę. Nie wszystkie łapia się na tę samą przynętę. Przypuszczam nawet, że niektóre widzą haczyk i zastanawiają się nad konsekwencjami połknięcia smacznego kąska.

- A zatem takie już moje szczęście, że tylko podejrzliwe ryby przepływają obok mojej przynęty.

- Z czasem, jak sądzę, znajdzie się ryba, która uzna, że posiłek wart jest ryzyka.

Spojrzał na Summerhaysa, który wyciągał kolejną ogromną rybę, podczas gdy służący czekał w pogotowiu z nadstawioną siecią.

- Pomówmy otwarcie, lady Summerhays. Interesuje mnie tylko jedna ryba, a ta została już nabita na haczyk i wyciągnięta na ziemię.

Jak wiesz, podejrzewam, że chce wyskoczyć z beczki i chlupnąć z powrotem do morza. Oczy Audrianny błysnęły rozbawieniem, ale jej twarz wyrażała współczucie.

- Z pewnością cię to dziwi. Mnie bardzo.

- A zatem nie popierasz jej planu?

- Och, popieram. Jeśli została zmuszona do tego małżeństwa i oszukana, nie powinna potulnie akceptować łajdactwa. Zdumiewa mnie, że nasza Lizzie wykazuje taką determinację. Zawsze była

najłagodniejsza spośród nas. Cicha. Daphne to lśniący wodospad, a

Celia rwący strumień. Lizzie była cichym jeziorem.

- Ale za to, być może, głębokim.

- Wydaje się, że głębszym, niż się domyślałyśmy.

- Czy wierzysz jej, wierzysz, że została do tego zmuszona?

Audrianna zmrużyła lekko oczy, wpatrując się w morze i

zastanawiając nad pytaniem.

- Okazuje dużo gniewu, kiedy o tym mówi, więc tak, wierzę jej.

Myszę także, że obwinia samą siebie. Pewne rzeczy, które mi

powiedziała podczas podróży, skłaniają mnie do takiego sądu.

Zapomina, być może, jaka była młoda, kiedy kuzyn przejął nad nią

opiekę. Teraz, kiedy jest dorosłą, pełnoletnią kobietą, patrzy wstecz i

robi sobie wyrzuty za to, że nie była silniejsza, mądrzejsza i bardziej

podejrzliwa wobec jego obietnic, i mniej potulna. Wiem także, że

martwi się o tę nieszczęsną rodzinę i wini siebie za nieszczęścia, jakie

spadły na nich z racji przyjaźni z nią.

- Nie ma powodu, żeby się obwiniała.

- Kobiety często to robią, lordzie Hawkeswell. Biorą winę na

siebie. Świat na to pozwala. Oczekuje tego. Daphne mówi, że są

kobiety bite przez mężów, które uważają, że same są temu winne.

Trudno w to uwierzyć, prawda?

Nie miała na myśli Verity, był tego pewien. To nie była aluzja do

jego porywczoci ani sugestia, że Verity miała powód, żeby się go

bać. A jednak uwaga Audrianny, rzucona w tej rozmowie, podsunęła

wyjaśnienie, jakie przedtem nie przyszło mu do głowy. Zaczęła w nim narastać furia.

- Kuzyn Bertram zmusił ją do tego, jak powiada. Czy wiesz może, lady Sebastian, w jaki sposób to zrobił?

- Nie powiedziała. Poruszyłam tę kwestię. W powozie miałyśmy mnóstwo czasu. Zmieniła temat.

Już to samo mówiło bardzo wiele. Ledwie panował nad ogarniającą go wściekłością. Jeśli ten drań ją skrzywdził, rozerwie go na strzępy.

- Powiem teraz coś, czego nie powinnam mówić, lordzie Hawkeswell. Znam jej myśli i zamiary, i nie mogę się z nią nie zgodzić. Jednak... - Zawahała się, ważąc słowa. - Sądzę jednak, że ze swej strony padła ofiarą nieporozumienia w jednej ważnej sprawie.

Tylko ty, oczywiście, możesz to wyjaśnić.

- Co to takiego?

- Cokolwiek się stało, ona sądzi, że o tym wiedziałeś i pozwoliłeś na to. Powiedziała, że brałeś udział w spisku.

Wstał i podszedł do burty, żeby Audrianna nie widziała, jak bardzo go jej słowa zaszokowały. Bez względu na to, jakich sposobów Bertram użył, żeby wymusić na niej zgodę, żadnego spisku nie było. Bertram nawet słowem mu nie wspomniał, że oświadczyzny zostały odrzucone.

Przypomniał sobie, co mu wtedy powiedział Bertram: jest młoda i strachliwa, jak to często bywa z młodymi kobietami. Zabierzemy ją

do domu i dany czas, żeby przemyślała pańską hojną ofertę, lordzie Hawkeswell. Być może ponowi ją pan za miesiąc lub później, a ona będzie na to przygotowana.

Co to Verity mówiła niedawno? - Gdybyś znał mnie lepiej, wiedziałbyś, dlaczego opierałam się temu małżeństwu. - Sądziła, że on wiedział o jej oporze. Ale gdyby to ona znała go lepiej, wiedziałaby, że nigdy nie przystałby na coś podobnego.

Czy zadufanie uczyniło go ślepym? Wolał tak nie myśleć o sobie.

Próbował przypomnieć różne szczegóły z tamtych miesięcy, kiedy to w pierw odmówiła, a potem przyjęła oświadczenia. Nie domyślał się, że ją zmuszono i oszukano. A ona nadal uważała, że doskonale o tym wiedział.

Odwrócił się ku Audriannie.

- Dziękuję, lady Sebastian, za szczerość. Twój mąż nie skończył jeszcze opróżniać morza z ryb, ale ja skończyłem z przyglądaniem się temu. Poproszę, żebyście odstawili mnie na brzeg. Potem oboje będziecie mogli cieszyć się resztą dnia na falach morza.

- Dziękuję - powiedziała Katherine, wytarłszy usta serwetką. -

Było pyszne.

W gruncie rzeczy wcale nie było pyszne. Rosół z kurczaka okazał się lurą, a kucharka skąpiła na przyprawach. Nasyciły się jednak, a pusty żołądek nie wybrzydza.

Verity i Katherine spożywały obiad w skromnym domku przy drodze odchodzącej od głównej ulicy. Verity wróciła do rybaczki, która skierowała ją do Katherine, i zapytała, gdzie mogłyby zjeść posiłek. Polecono im wdowę, u której codziennie na ogniu buzowała zupa w garnku.

Ściany oblażące z farby wskazywały na wpływ soli w powietrzu.

Stół i krzesła były bardzo proste, ale z okna kuchni z niebieskimi okiennicami rozciągał się ładny widok na morze i wpadało przez nie łagodniejsze o tej porze dnia słoneczne światło.

Katherine rzadko się odzywała. Verity obserwowała ją uważnie.

Szlachta, uznała. Musiała być co najmniej tak wysoko urodzona jak Daphne i Audrianna. Ta młoda kobieta miała wpojona od dziecka etykietę, którą demonstrowała teraz przy stole. Nie uczyła się jej w taki sposób jak Verity.

- Byłaś bardzo miła - powiedziała Katherine. - Teraz powinnam już pójść. - Podniosła się od stołu.

- Dokąd pójdziesz?

Katherine spuściła głowę. Verity domyśliła się, że milczy,

ponieważ nie wie, co odpowiedzieć.

Niestety, sytuacja teraz nie była zupełnie taka sama, jak niegdyś jej i Daphne. Nakarmiwszy Katherine, nie mogła zaoferować jej noclegu, a rano zachowywać się tak, jakby gość był jednym z domowników, i nie oczekiwano od niego, że wkrótce wyjedzie.

Minęły dwa tygodnie, zanim Daphne oficjalnie zaproponowała jej stały pobyt, ale Verity od pierwszego poranka w Najrzadszych Kwiatkach wiedziała, że taka propozycja nadejdzie.

- Czy masz jakieś pieniądze?

- Żadnych pieniędzy. Ale mam rzeczy, które mogę sprzedać.

Zapewne klejnoty.

Verity domyślała się, że Katherine ma dwadzieścia kilka lat. I jest, być może, mężatką.

- Usiądź, proszę. - Zniżyła głos, tak żeby nie słyszała ich robiąca na drutach w sąsiednim pokoju gospodyni. - Mam przyjaciółkę.

Niestety, nie mieszka w pobliżu. Sądzę jednak, że mogłabyś się u niej zatrzymać na jakiś czas. To znaczy, dopóki nie będziesz wiedziała, dokąd chcesz pójść.

Katherine zareagowała ze sceptycyzmem, ale także nadzieją w głosie.

- Ona będzie chciała... Nie mogę ryzykować...

- Nie będzie o nic ciebie pytać, podobnie jak ja. Mam tylko jedno pytanie, i błagam, odpowiedz uczciwie. Jest dla mnie jak siostra i nie śmiem narażać jej na żadne kłopoty. - Verity mówiła teraz jeszcze

ciszej. - Czy zrobiłaś coś złego? Czy uciekasz, popełniwszy przestępstwo?

Katherine pokręciła głową. Jej brązowe oczy zaszklily się łzami.

- Nie jestem przestępczynią. Nie jestem zła, głupia czy nic niewarta, ani nawet nieposłuszna.

Odpowiedź okazała się pełniejsza i wyjaśniała więcej, niż Verity mogła się spodziewać, i to ją poruszyło. Nagle była znowu dziewczynką, obcą we własnym domu, próbującą nie zwracać uwagi dwojga ludzi, którzy mieli jej za złe, że żyje, i dawali jej to do zrozumienia zniewagami i okrutnym traktowaniem.

Ścisnęła dłoń Katherine, żeby dodać jej odwagi.

- Nie, nie jesteś taka, chociaż ktoś ci to stale powtarzał. O ile się nie mylę, to dobrze, że odeszłaś.

Ta próba pocieszenia odniosła przeciwny skutek. Twarz Katherine wykrzywiła się z bólu. Wybuchła rozdzierającym łkaniem, zakrywając twarz dłońmi.

Verity otoczyła ją ramieniem. Wdowa zajrzała ciekawie do kuchni, ale Verity gestem dała kobiecie do zrozumienia, by wyszła.

Nie starała się uciszyć płaczu, nie była w stanie tego zrobić, boją samą dusiły łzy. Wróciły wspomnienia. Nie obrazy, ale uczucia, przeraźliwy strach i obawa przed karą. Usłyszała w płaczu Katherine wściekłość i bunt, i to także zabrzmiało znajomo. To był dobry znak.

Jeśli człowiek nie odczuwał już gniewu, to znaczyło, że został złamany na zawsze.

Płacz ucichał. Katherine w ramionach Verity powoli się

uspokajała, aż w końcu odsunęła się i wytarła mokrą twarz.

Verity spojrzała jej prosto w oczy, a Katherine nie odwróciła

wzroku. Poczują się sobie bliskie; wiedziały o sobie więcej, niż

większość ludzi wie o swoich bliźnich.

Verity zastanawiała się gorączkowo. Oczywiście nie mogła

zostawić Katherine bez pomocy. Nie miała pojęcia, ile kosztowało

wysłanie kogoś dyliżansem do Cumberworth ani czy w Southend-on-

Sea w ogóle znajdował się postój dyliżansów. Po drodze należało

kupować żywność, płacić za noclegi i...

- Chodźmy, Katherine. Mamy dużo do zrobienia.

Gdzie ona się, do czarta, podziała?

Hawkeswell sprawdził każdy sklep. Zwiedził wszystkie duże

hotele, kościółek i wszelkie inne atrakcje we wsi. Zajrzał na

nadbrzeże, gdzie stały biedniejsze domy. Czy mogła tam pójść? Musi

się sam o tym przekonać.

Skierował się na wschód wioski, zły, że tak trudno znaleźć

Verity, niemal pewny, że skłamała i uciekła wynajętym powozem.

Już podjął decyzję, chciał więc jak najszybciej ją o tym

poinformować, zanim zdrowy rozsądek zwycięży altruizm. Opłakany

stan jego finansów znowu zaczynał go dręczyć, po kilku zaledwie

rozkosznych dniach spokoju, kiedy mogło mu się zdawać, że

wszystko zostało załatwione.

Prawdopodobnie znowu się zacznie piekło. Powiernik nie

wypuści z rąk ani grosza z jej majątku, póki nie przeprowadzą unieważnienia małżeństwa. To może trwać lata. Perspektywa ponownego zawieszenia w próżni nie wpływała na poprawę jego humoru, niezależnie od tego, jak bardzo był zdecydowany.

Wypatrywał kobiety w bladozółtej sukni i prostym słomkowym kapeluszu. Mimo to dosłownie wpadł na nią, zanim ją zauważył. Jej pojawienie się zaskoczyło go, ale tylko dlatego, że nie była sama.

Obok niej szła druga kobieta, mniej więcej w tym samym wieku, o ciemnych włosach i bardzo ciemnych oczach. Rozprawiały o czymś tak żywo, że Verity nawet nie spostrzegła, że stanął im na drodze.

Kiedy w końcu się zorientowała, przestraszyła się, jak dziecko przyłapanie na kradzieży cukierków.

- Lord Hawkeswell! Tak szybko skończyliście przejażdżkę po morzu?

- Prosiłem, żeby mnie odstawili na brzeg. Szukałem cię.

- Och, spacerowałam... - Machnęła ręką w nieokreślonym kierunku za sobą.

Spojrzał uważnie na jej towarzyszkę. Młoda kobieta utkwiała oczy w ziemi. Verity powiodła wzrokiem od jednego do drugiego.

- Lordzie Hawkeswell, to moja przyjaciółka, Katherine...
Johnson. Katherine, to lord Hawkeswell.

Katherine uniosła głowę. Jej oczy rozszerzyły się, ale nie z podziwu. To było coś innego niż podziw.

- Czuję się zaszczycona, milordzie. Odejdę już, żeby...

- Nic podobnego. Panna Johnson zgubiła swoje towarzystwo, lordzie Hawkeswell. Wydaje się, że wyjechali bez niej. Miałam właśnie pomóc jej w znalezieniu jakiegoś środka transportu, którym by dotarła do domu. A może ty nam pomożesz?

- Oczywiście. Z pewnością uda się wynająć powóz albo co najmniej bryczkę, panno Johnson.

- To dosyć długa podróż. Jednak bryczka może panią, miss Johnson, dowieźć do stacji dyliżansów, a stamtąd wróci pani do domu. - Verity uśmiechnęła się promiennie. - Tak będzie najprościej, lordzie Hawkeswell, prawda?

- Naturalnie. Dopilnuję tego.

- Jest pan niezwykle uprzejmy - powiedziała panna Johnson.

- Nieco dalej, po lewej stronie drogi, jest sklep z różnościami - oznajmiła Verity. - Poczekamy tam, aż sprowadzisz bryczkę, lordzie Hawkeswell.

Uklonił się i wyruszył na poszukiwanie bryczki. Verity szybko się go pozbyła, nie ulegało wątpliwości. Nie wiedziała, że odsuwała na później chwilę, kiedy dowie się, że wygrała.

Katherine włożyła kilka niezbędnych w podróż rzeczy, które kupiły, do liliowej torebki, wraz z kilkoma banknotami. Verity schowała wydaną przez sklepikarza resztę.

- Nie jestem w stanie wyrazić, jak jestem ci wdzięczna. Masz dobre serce.

- Cieszę się, że mogę pomóc. Co do ubrania, nie możemy nic

zrobić. Musisz podróżować bez sukni na zmianę. Tym mydłem możesz przynajmniej coś wyprać w nocy. - Verity pociągnęła Katherine w nieco odosobnione miejsce w sklepie, tak żeby nikt ich nie słyszał. - Muszę szybko napisać list, bo lord Hawkeswell wkrótce wróci. Lordowi, jak sądzę, znalezienie bryczki nie zajmie dużo czasu.

Zanurzyła pióro w atramencie. Za kilka pensów kupiła jedno i drugie u sklepikarza. Napisała parę linijek do Daphne, prosząc o przenocowanie Katherine przez jedną noc lub dłużej. To Daphne zdecyduje, jak daleko posunąć gościnność.

Złożyła kartkę i podała ją Katherine.

- Pamiętaj, co ci mówiłam, jak trafić do Najrzadszych Kwiatów, kiedy już dotrzesz do Cumberworth?

Katherine kiwnęła głową. Verity wciągnęła głęboko powietrze, zbierając siły.

- Teraz cię zostawię. Zaczekaj tu do powrotu lorda Hawkeswella, Katherine. Wsadzi cię do bryczki i wyruszysz w drogę. Ja mam coś do załatwienia i nie mogę razem z tobą czekać.

Katherine zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem.

- Powiedz mu, że wkrótce tu się z nim spotkam. Potraktuje cię jak dżentelmen, którym jest, nie martw się więc, jak zareaguje na moją nieobecność.

Katherine wydawała się w to wątpić, wyraźnie przestraszona.

Verity ujęła ją za nadgarstek.

- Dasz sobie świetnie radę w podróży. Tutaj też dotarłaś sama.

Trafisz do Cumberworth. Szczęśliwej podróży, Katherine. Jestem pewna, że się kiedyś jeszcze spotkamy.

Wsadziwszy Katherine do bryczki, Hawkeswell czekał jeszcze dziesięć minut na Verity, zanim zrozumiał, że się jej nie doczeka.

Szedł drogą, zaglądając do sklepów i wiedząc, że nie ma jej w żadnym z nich. Uciekła. Kłamała, składając obietnicę, i znalazła środek transportu, gdy on szukał bryczki dla panny Johnson.

Ostrzegał Verity, że pojedzie za nią i ją znajdzie, ale w istocie nie miał pojęcia, dokąd mogła się udać.

Doszedł aż na skraj starej osady. Zszedł na plażę, by zobaczyć, jak daleko od wybrzeża jest jacht Summerhaysa i czy uda się z nim porozumieć.

Kiedy, mrużąc oczy, wpatrywał się w lśniącą wodę, do płytkiej zatoczki wpłynęła łódź rybacka. Widział ją kątem oka, ale w końcu zwróciła jego uwagę.

Przyjrzał się łodzi. Przybijała do brzegu, a nie odpływała z młodą kobietą w morze, ale to mu przypomniało, że nie tylko drogi łączyły wioskę z resztą świata.

Ależ z niego głupiec. Obiecała mu, że nie wynajmie powozu, ale na wybrzeżu morskim wcale nie potrzebowała powozu. Mogła bać się morza, ale determinacja zapewne pozwoliłaby ten strach, w razie potrzeby, pokonać.

Odwrócił gwałtownie głowę w lewo, gdzie stały inne łodzie

rybackie. Ruszył w ich kierunku.

- Czy nie możecie się pospieszyć? — zapytała Verity z rozpaczą.

- Idzie z wodą, pani. Bez niej byłoby marnie. Minie sześć godzin, albo i więcej, zanim znowu przybijemy do brzegu.

Żołądek jej się ścisnął na myśl, że tak długo będzie zdana na łaskę żywiołu. Ale i tak tupała nogą niecierpliwie, podczas gdy syn rybaka podtoczył beczkę do łodzi, a potem wciągnął ją na pokład.

Nigdy by nie pomyślała, że tyle czasu trwają przygotowania do wypłynięcia małą łódką w morze.

- Gotowe - oznajmił mężczyzna. Wyciągnął rękę. - Pani wskoczy teraz na pokład i odbijamy.

Weszła na łódź niezgrabnie, ale w końcu mężczyźni zaczęli odwiązywać liny. Strach przed ponownym schwyтaniem przez Hawkeswella ustąpił miejsca radości, że ucieka od niego. Siedziała plecami do morza, żeby jeszcze większy strach przed morskim żywiołem nie stłumił radości.

Ostatnia lina puściła. Patrzyła, jak domy stają się coraz mniejsze, w miarę jak odbijali od brzegu i otaczało ich coraz więcej wody.

Akurat wtedy, kiedy przed oczyma jej wyobraźni pojawił się przerażający obraz ogromnej fali, która wznosi się i ją pochłania, zauważyła na plaży człowieka idącego energicznym krokiem w ich stronę. Hawkeswell.

- Pośpieszcie się - zawołała. - Dodatkowy funt, jeśli odpłyniemy natychmiast.

Syn rybaka zabrał się do rozwijania żagla.

Odплыnęli może ze sto jardów od brzegu, kiedy Hawkeswell ich zauważył. Wpadł na zniszczoną, niewielką przystań i stanął tam, łypiąc gniewnie. Czowała jego wściekłość.

Wrzasnął na nich, żeby zawrócili.

- Co za jeden? - zapytał syn.

Ojciec wzruszył ramionami.

- Pewnikiem dżentelmen. Pani go zna?

- Jest dość daleko, a w słońcu trudno zobaczyć wyraźnie. Nie zwracałabym na niego uwagi, dobry człowieku. Kiedy opuścimy ujście rzeki, pamiętaj, że chcę płynąć na północ.

Hawkeswell machał uparcie na łódź, żeby zawróciła. Miała nadzieję, że wkrótce mu się znudzi.

- Co on tam krzyczy? - zapytał znowu syn.

Ojciec przyłożył zwiniętą dłoń do ucha.

- Trudno powiedzieć. Brzmi jak porwanie. - Zaniepokoił się. -

Chyba oskarża nas o porwanie.

- Co za nonsens - parsknęła Verity. - Prosiłam, żebyście zabrali mnie w tę podróż. To niesłychane, żeby obcy człowiek wtrącał się w nie swoje sprawy.

Na nieszczęście Hawkeswell zdołał już zwrócić uwagę kapitana.

Mężczyzna przeszedł na rufę łodzi i ponownie przyłożył trąbkę z dłoni do ucha. Krzyki Hawkeswella dla Verity brzmiały jak ptasie piski, nie chciała wierzyć, że rybak rozumie z tego cokolwiek.

- Myślę, że wykrzykuje jakieś nazwisko. Yerl Awkswell? Merl

Fawksell? - Pochylił się do przodu. Nagle dłoń mu opadła, z oczami pełnymi zdumienia odwrócił się do syna. - On chyba mówi, że jest hrabią Hawkeswellem.

- Może też chce płynąć na północ - odparł syn. - Dobrze byłoby go zabrać, jeśli tego chce.

Ojciec się zamyślił. Syn przestał stawiać żagiel. Verity się przeraziła.

- Jeśli to w istocie hrabia, co wydaje mi się mocno wątpliwe, miałby własny jacht - zauważyła. - Nie musiałby wynajmować łodzi, żeby popłynąć na północ.

- Prawda. Prawda - przyznał ojciec, drapiąc się po brodzie.

Spojrzał na brzeg, gdzie Hawkeswell przyjął postawę pełną godności i siły, stojąc ze skrzyżowanymi ramionami, na rozstawionych nogach.

- Ale wygląda jak szlachetny dżentelmen. Może być hrabią. W życiu żadnego nie widziałem.

- A ja tak - odezwała się Verity. - Wyglądają dużo szlachetniej niż ten tam.

- Znowu krzyczy - powiedział syn. - Podpłynę bliżej, żeby lepiej słyszeć.

- Nie! - krzyknęła Verity.

- To zajmie minutkę. Jeśli jest hrabią, to nie będzie dobrze tak po prostu odpłynąć, nie? Moja żona urwałaby mi uszy, gdybym przepuścił taką okazję i nie wynajął łodzi hrabiemu.

Łódź zaczęła zawracać, zataczając szerokie koło, podczas gdy syn manewrował żaglem. Verity zrobiło się niedobrze, kiedy zobaczyła, że podpływają tak blisko.

Jego postać stała się wyraźnie widoczna. Niebieskie oczy przeszywały ją na wylot.

- Mądrze z waszej strony, że zawróciliście - zawołał do kapitana.

- Inaczej odpowiedzialibyście przed sędzią.

Kapitanowi oczy o mało nie wyszły z orbit.

- Za co?

- Porywaliście moją żonę.

- Do diabła! - Zaszokowany kapitan odwrócił się do pasażerki.

- Wcale mnie nie porywaliście. Gdyby jakiś sędzia się w to wmieszał, w co nie wierzę - to tylko puste groźby - przysięgłabym, że wynajęłam tę łódź i...

- Jeśli ja twierdzę, że to porwanie, to tak jest - zawołał

Hawkeswell. - Oddajcie ją natychmiast albo odpowiecie za to.

- Jeśli przybijecie do brzegu, odpowiecie przede mną -

oświadczyła Verity.

Kapitan znowu podrapał się w brodę. Zdjął czapkę i przejechał palcami przez włosy. Spojrzał na Hawkeswella, a potem, nieśmiało, na Verity.

- Nie chcę się wtrącać w kłótnię, rozumie pani. Lepiej wróćmy. -

Machnął ręką do syna i łódź skierowała się ku Hawkeswellowi.

Verity złościła się całą powrotną drogę. Jeszcze trzy minuty i...

Lepiej było nie próbować, niż pozwolić sprzątnąć sobie taką okazję sprzed nosa. Zdołała nawet pokonać strach przed morzem!

Hawkeswell nie wydawał się już wściekły, kiedy łódź wpłynęła na płytką wodę. Uśmiechał się uroczo, jakby witał przyjaciela z Francji przybyłego na królewskim statku. Nie dała się zwieść ani trochę. Łódź wślizgnęła się do wąskiej przystani. Hawkeswell podszedł do nich.

- Wystawiasz na próbę swoją odwagę, moja droga? - Uśmiechnął się do kapitana. - Boi się morza. Jeszcze pięć minut i mielibyście do czynienia z wrzeszczącą i ze strachu oszalałą kobietą.

- Zatem niewiele brakowało, panie.

- Och, z pewnością. - Wciąż z uśmiechem pod płonącymi oczami zwrócił się w stronę Verity. - Nie ma potrzeby, żebyście cumowali, panowie. Chodź, moja droga.

Posłuchała, bo naprawdę nie mogła zrobić nic innego. Chwycił ją w pasie i, jakby nic nie ważyła, przeniósł ją ponad burtą i postawił na ziemi. Łódź zaczęła odpływać.

Hawkeswell spojrzał na nią niezadowolony. Odwzajemniła spojrzenie, które też nie wyrażało zachwyty.

- Przyjmiesz zapewne z ulgą wiadomość, że panna Johnson wyruszyła bezpiecznie w drogę.

- Dziękuję. Wiedziałam, że dopilnujesz tego lepiej ode mnie.

- Następnym razem, kiedy poproszę cię o przyrzeczenie, że nie uciekniesz, sformułuję to jak prawnik, uwzględniając wszystkie

okoliczności i wszystkie środki transportu.

Nie wydawał się aż taki zły, jak się spodziewała. Prawdę mówiąc, był tylko trochę zirytowany. Bardziej zamyślony niż rozgniewany.

- Czy tak mało ufasz swojej zdolności przekonywania, Verity? - ciągnął. - Nie dałaś mi nawet możliwości, żebym przyjął albo odrzucił twoją propozycję z ostatniej nocy.

- Nadarzyła się okazja, więc skorzystałam. - Ruszyli spacerem. -

Ponieważ nie sprawiasz wrażenia zbytnio rozzłoszczonego, czy mogę mieć nadzieję, że postanowiłeś przyjąć moją ofertę?

- Zastanawiałem się nad nią. Odsuwając dumę na bok. To dlatego wróciłem i zacząłem cię szukać.

- Podjąłeś decyzję?

- Niezupełnie. Pospacerujmy jeszcze, żebym miał więcej czasu i żebym mógł ostatecznie opanować gniew z powodu twojej ostatniej drobnej przygody.

Z chęcią towarzyszyła mu do głównej drogi, a potem na nadbrzeże. Nie odzywała się, pozwalając mu rozmyślać do woli.

Modliła się, żeby jej próba ucieczki nie usposobiła go do niej bardziej nieżyczliwie. Nie będzie chyba tak okrutny czy tak głupi, żeby mimo wszystko więzić ją przy sobie. Czy też będzie?

Pomyślała o swoim rodzinnym domu i ogarnęła ją radość. Zrobi to, była tego pewna. Przyjmie jej propozycję.

Minęli wieś, idąc płaskim nadmorskim wybrzeżem. Za sklepami

zeszli na plażę. Dzień był piękny i inne jachty także wypłynęły z przystani; łagodny wiatr wzdymał ich żagle.

Hawkeswell zauważył w pewnym oddaleniu jacht Summerhaysa, wciąż walczącego z rybami. Z pewnością nie wrócą wcześniej niż za godzinę.

Gdyby został na tym jachcie, Verity byłaby już wiele mil od Southend, zanim ktokolwiek zorientowałby się, że uciekła. Jak dotąd, zdołała go przekonać, że potrafi przysporzyć więcej kłopotów niż mężczyźnie w życiu potrzeba.

- Chodźmy tędy - zaproponował.

Oddalali się od zachodniego krańca wioski. Wędrowali brzegiem morza ciągle na zachód. Wiatr targał wąską, bladożółtą suknią Verity, opinając ją na jej nogach i biodrach i jeszcze wyraźniej podkreślając kształty jej ciała, z czego chyba nie zdawała sobie sprawy.

Wieś leżała nad małą zatoką, dalej teren wznosił się w kierunku zachodnim. Pomógł Verity wspiąć się po klifie i na wzgórze. Tam wyszukał zakątek, gdzie między skałami rosło trochę trawy. Ze wzgórza rozciągał się wspaniały widok na całą zatokę i wybrzeże po obu jej stronach. Daleko na horyzoncie od strony południowej widać było duże statki o wysokich masztach wpływające w szerokie ujście Tamizy.

- Chcę porozmawiać o twojej propozycji - powiedział.

Ściągnął surdut i położył na ziemi, żeby mogła na nim usiąść.

Byli tam zupełnie sami. Świat nigdy się nie dowie, o czym mówili i

co uzgodnili, i czy on, ten, który wcześniej złożył przysięgę
małżeńską za garść srebrników, teraz zdecyduje się sprzedać również
honor.

Ktoś lepszy od niego puściłby ją wolno, nie przyjmując na
pociechę pieniędzy w zamian za utratę jej majątku. Nie mógł sobie
pozwolić na taką szlachetność.

Usiadła, uśmiechając się z optymizmem, w oczekiwaniu na
słowa, które padną z jego ust. Z pewnością ona już to wie. Poznała po
wyrazie jego twarzy, na co się zdecydował. Jej oczy iskrzyły się
radością z odniesionego zwycięstwa.

Spojrzał na nią i przypomniała mu się ubiegła noc i jej obnażona
noga. Zdumiewająco trudno było mu tę nogę wypuścić z rąk.

Diabelnie trudno było nie pocałować tej nogi, kolana, uda i jeszcze
więcej. Wciągnął do płuc powietrze, popatrzył na morze i z
największym trudem wygnał z myśli ową nogę.

Usiadł i on. Wyciągnęła nogi przed siebie, jak mała dziewczynka,
spod jasnej sukni wyrzwały jej kostki. Zwrócił uwagę, że przydałyby
jej się nowe pantofelki.

- Muszę coś wiedzieć - oznajmił. Jego duma i miłość własna
domagały się tego, żadne inne względy. - Jeśli zgodzę się na twój
plan, czy zamierzasz poślubić kogoś innego? Czy w gruncie rzeczy
chodzi właśnie o innego mężczyznę?

- Nie czeka na mnie żaden mężczyzna, jeśli to masz na myśli.

Mogę jednak wyjść za mąż, jeśli znajdę kogoś odpowiedniego.

- Takiego, którego zaakceptowałby twój ojciec. Który sprawowałby pieczę nad pozostawionym przez niego dziedzictwem.

- Tak.

- Kogoś takiego jak pan Travis?

Roześmiała się i klasnęła w dłonie.

- Pan Travis? O, mój Boże. Nie, nie pan Travis. Pan Travis jest starszy nawet od ciebie.

Mógłby poczuć się urażony, że mówi o nim jak o staruszkę, gdyby nie to, że jego uwagę przykuły jej usta, kiedy śmiała się i uśmiechała. Kiedy się śmiała, wydawały się większe, zmysłowe, kuszące.

- Mam tylko trzydzieści jeden lat, Verity. Chociaż o dziesięć lat starszy od ciebie, nie jestem aż tak stary, żeby chodzić o lasce i nosić sztuczną szczękę.

- Chciałam tylko powiedzieć, że pan Travis jest dla mnie o wiele za stary. Nie zamierzam wyjść za niego. A gdybym nawet wyszła za mąż, będziesz otrzymywać obiecany przeze mnie dochód. Jak powiedziałam, załatwilibyśmy to, zanim mój mąż, kimkolwiek by był, mógłby ingerować w tę sprawę, i tak, żeby później nie mógł naszej umowy zmienić. Ojciec zawsze powiadał, że w Anglii da się przeprowadzić wszystko, mając dobry kontrakt.

- Cóż, musiałem wiedzieć.

- Rozumiem - powiedziała łagodnym tonem, jakby rzeczywiście pojmowała męski umysł i powód, dla którego chciał to wiedzieć. -

Czy zgadzamy się ze sobą, lordzie Hawkeswell? Czy pomożesz mi naprawić wyrządzone zło?

- Wciąż się nad tym zastanawiam - usłyszał własne słowa.

Zamierzał załatwić to szybko, powiedzieć coś zupełnie innego, ale nagle jego uwagę przyciągnął kosmyk jej włosów, który wymknął się spod kapelusza, dotykając brwi. Ten jeden kosmyk, muskający jej białą skórę, miał w sobie coś niezwykle erotycznego.

Doprowadzało go to do szaleństwa. Jak ona sama.

- Być może mogłabyś spróbować mnie przekonać.

- Przekonać?

- Pocałunkiem. Jeśli się zgodzę, pewnie uznasz, że skoro zrzekłem się praw do ciebie, pocałunki już mi się nie należą.

Chciałbym dostać od ciebie jeden słodki pocałunek. Jeszcze gdy nadal jesteśmy małżeństwem i zanim nasz związek oficjalnie zostanie zakwestionowany.

Przekomarzał się z nią, wiedziała o tym. Jej twarz wyrażała nie tyle irytację, ile rozbawienie.

- Chcesz, żebym cię pocałowała, zanim oznajmisz mi swoją decyzję.

- Tak, ale masz pocałować inaczej niż zeszłej nocy. To ma być słodki pocałunek, nie dziobnięcie niczym ptaszek.

- Ale i tak będzie krótki, chociaż może być słodki. Jesteś niemądry, myśląc teraz o pocałunkach. Byłoby rozsądniej już się nie całować.

- Co w tym złego? Nikt nas tu nie zobaczy.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Tylko jeden. Nie więcej.

- Oczywiście. - Pociągnął za wstążkę jej kapelusza z szerokim rondem. - Zrobiono go, żeby uniemożliwić wszelkie pocałunki. To jak kwefy, które noszą zakonnice we Francji. Nie zdołałabyś mnie pocałować, mając na głowie coś takiego. - Rozwiązał kokardę, zdjął kapelusz i położył go na trawie.

Wyglądała pięknie z włosami lśniącymi w słońcu i promienną twarzą. Zastanowiła się nad sytuacją, podniosła z ziemi i uklękła. Wydawała się bardzo poważna, jak uczennica rozwiązująca trudne arytmetyczne zadanie.

Pochyliła głowę. Jej usta delikatnie dotknęły jego ust. Pocałowała go miękko. Słodko. Jej wargi nie odrywały się przez moment od jego warg. Czuł ich aksamitną miękkość tylko chwilę dłużej, ale jednak dłużej, niż było to konieczne, i to powiedziało mu wszystko, co chciał wiedzieć.

Położył dłoń na jej karku, żeby nie mogła szybko przerwać pocałunku. Zachęcił ją, żeby nie odrywała ust jeszcze przez kilka chwil. A potem jeszcze dłużej.

Powód, dla którego dotarli do tego ustronnego wzgórza, wypadł mu z pamięci. Liczył się tylko jej delikatny oddech i gorąco, które go przejęło, niwecząc dobre intencje.

Zadrzała. Jej wargi pulsowały leciutko na jego wargach. Poczł

ledwie zauważalny nacisk na dłoń, jakby chciała odsunąć głowę.

Teraz nie mógł na to pozwolić. Objął ją drugim ramieniem i przyciągnął ku sobie szybko, tak że znalazła się w jego objęciach.

Spojrzała na niego zaskoczona, zmiana pozycji ją zdumiała.

Pocałował ją, zanim zdołała się odezwać.

Nie słodko. To miał za sobą. Delikatną zachętę i subtelną grę.

Wpił się w jej usta zdecydowanie, zaspokajając głód, który narastał od trzech dni.

Dotknęła ręką jego ramienia. Nie w geście oporu. Jeśli chciała się uwolnić, nie dała żadnego znaku. Jej ręka po prostu została na jego ramieniu, które ją otaczało i podtrzymywało jej ciało.

Bezwzględnie, z furją, zmusił jej usta, żeby się otworzyły, żeby móc je smakować, badać, posiąść. Jej westchnienia i oddech mówiły o szoku i akceptacji. Przyjemność pokonała obawy.

Tak. Badał jej usta uważnie, wywołując jej okrzyki i drzenie w całym ciele. Tak. Położył ją na ziemi i spojrzał w pełne zdumienia niebieskie oczy. Tak. Całował jej szyję i pieścił ciało, przesuając dłonie po żółtej sukni, a z jej gardła wydobyły się dźwięki układające się w słodką pieśń kobiecego zachwyty i zdumienia.

Wydawała się mała pod jego dłońmi. Krucha. Nie walczyła z nim, kiedy poczynął sobie coraz śmieiej, gładząc jej biodro i udo, przesuając dłoń wzdłuż nogi, poznając jej ciało i oglądając je oczami wyobraźni, nagie, pod nim, ze zgiętymi i rozsuniętymi dla niego kolanami, poddające się jego dłoni, ustom, ciału...

Obrazy go wzywały. Ogarnęło go pożądanie. Całował jej dekolt widoczny nad wycięciem sukni, potem przesunął usta niżej. Podniosła rękę do jego głowy czy po to, żeby go zachęcić, czy powstrzymać, tego nie wiedział. Pocałował czubek jej piersi prężący się pod cienkim materiałem sukni, a ona krzyknęła zaskoczona. Uniósł się i położył rękę na jej piersi, widząc w jej oczach przyzwolenie.

Wsunął rękę pod nią, szukając tasiemki sukni. Otworzyła szerzej oczy. Wiodła wzrokiem dookoła, usiłując oprzytomnieć. Pocałował ją delikatnie, potem mocno, zsuwając suknię z jej ramion i obnażając piersi. Były krągłe i piękne. Pochylił głowę i zaczął je całować.

Szok zamienił się w rozkosz, a rozkosz w szok, żadne z tych uczuć nie mogło zwyciężyć. Patrzyła, przerażona i zafascynowana, przepojona bolesnym oczekiwaniem, jak jego ciemna głowa pochyła się nad nią, a oddech łaskocze jej ciało.

Zacisnął delikatnie zęby i jej ciało przeszła strzała rozkoszy.

Pieścił językiem jej pierś, a ona pomyślała, że umrze od tej pieśczoły. Zamknęła oczy. To było niewłaściwe zachowanie.

Skandaliczne. Ktoś mógłby ich zobaczyć nawet tutaj. Powinna to zakończyć, przerwać, odepchnąć go. Jednak jego usta i dłoń wywoływały w niej kaskadę uczuć zbyt cudownych, żeby się miała ich pozbawić.

Uniósł się na ramieniu, przyglądając się jej. Nie robił tego złośliwie, ciekaw był jej reakcji, których nie potrafiła ukryć.

- Podoba ci się to. - To nie było pytanie. - I to. - Schylił głowę,

pieszcząc ustami drugą pierś, podczas gdy jego dłoń wciążył jej dotykała. Odczucia kumulowały się, doprowadzając ją na skraj szaleństwa i budząc niecierpliwość.

Pocałował jej ramię, szyję, ucho.

- I to. - Przesunął dłonią wzdłuż jej nogi, a potem powiódł dłonią w górę, pod spódnicą.

Przestraszyła się. Nie była jakąś ignorantką. Doskonale zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Jego oddech i usta grzały jej policzek i ucho.

- Nie poznam cię do końca, ale to wiem i ty też wiesz. Jesteś moja i nie powstrzymasz mnie, ponieważ nie chcesz.

Jego gorący dotyk już niemal pokonał jej strach i sprzeciw. Czowała powiew wiatru na nogach. Rozkosz sprawiała niemal ból.

Jeden dotyk. Szok, który sprawił, że chciała błagać o więcej.

Przestał jej dotykać.

Rozkosz ustępowała. Ciało się rozluźniło. Otworzyła oczy.

Patrzył na nią. Uczucia, jakie odbijały się w jego oczach, wydawały się mroczne, niebezpieczne, nie do końca skryzalizowane.

Jej własna nagość zdumiała ją nagle. Zakryła się ramionami i usiadła, żeby poprawić koszulkę i suknię. Sięgnęła za plecy, jej twarz płonęła. Przechylił się, z głową za jej plecami, i poczuła, że wiąże tasiemki sukni. Ogarnął ją gniew i zażenowanie. Podniosła się na kolana, odwróciła i uderzyła go z całej siły w ramię.

- Przyrzekłeś!

Złapał ją za rękę.

- Dotrzymałem słowa. Wciąż jesteś dziewicą.

- Prawie.

- Zbyt mało wiesz, żeby rozumieć, co znaczy „prawie”. Zaufaj mi, to nadal jest więcej niż „prawie”.

Podniosła się z ziemi i spojrzała na morze. Nie dostrzegła jachtu Summerhaysa. Wreszcie go zauważyła, przycumowany w zatoce.

- Pośpieszmy się. Wrócili. - Rozejrzała się szybko przerażona, że być może, szukając ich, Audrianna i Sebastian znaleźli się gdzieś w pobliżu.

Hawkeswell wstał, otrzepał surdut i włożył go na siebie. Podniósł jej kapelusz. Wyrwała mu go z ręki.

- Zwabiłeś mnie tutaj, mówiąc, że chcesz porozmawiać o mojej propozycji - powiedziała. - Kłamałeś? Czy to była część gry i starego spisku?

Wyraz jego twarzy się nie zmienił. Nadal wyglądał tak jak wtedy, kiedy ją pieścił. Niebieskie oczy przyglądały jej się zbyt uważnie.

Nagle znalazł się tuż przed nią i władczo ją osaczył.

Wziął ją w objęcia i mocno pocałował. W tym pocałunku była zmysłowość i intymność jego wcześniejszych pieszczot.

- Nie ma gry. Ani spisku. To było tak samo, jak z tobą i tą przeklętą łodzią. Nadarzyła się rzadka okazja, więc z niej skorzystałem. - Podniósł jej brodę, żeby móc na nią spojrzeć, a ona musiała spojrzeć na niego. - Co do twojej propozycji...

Czekała, wstrzymując oddech, modląc się, żeby się nie myliła, widząc wcześniej w jego oczach zgodę, zanim to wszystko się wydarzyło.

- Nie - powiedział z namysłem.

- Nie?

- Nie.

Nie mogła w to uwierzyć. Taka była pewna, że przyjął jej ofertę.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ tak mówię.

- Ponieważ tak mówisz? Czy to całe wyjaśnienie, jakie otrzymam? - Miała ochotę krzyczeć. Oszukał ją. Podstępnie ją tu, bez świadków, przyprowadził, żeby mógł... żeby mógł...

Uderzyła go jeszcze raz i wyrwała się z jego ramion. Zbiegła ze wzgórza, odrzucając jego pomocną dłoń i nie zważając na to, czy się przewróci albo czy wygląda jak niezręczną wariatka.

Hawkeswell próbował się pocieszyć tym, że postąpił mniej lub bardziej honorowo. Było to dla niego trudne i bolesne. Starał się nie mieć Verity za złe, że nie doceniła jego poświęcenia.

Jego ciało także tego nie doceniło. Godzinami urządzało mu piekło. Nie mógł się uspokoić, bo za każdym razem, kiedy na nią spojrzał, widział piękne, śnieżnobiałe piersi z prowokującymi ciemnymi sutkami i kobietę oczarowaną pierwszym doznaniem cielesnej rozkoszy.

Przez resztę dnia nie odzywała się do niego. Udawała, że on nie istnieje. Niezaspokojone pożądanie wisiało między nimi jak gęsta mgła, która ogarniała go w najmniej odpowiednich chwilach, budząc nieczyste myśli, podniecając do ostatecznych granic i skłaniając do wyobrażenia erotycznych sytuacji. Gdyby je poznała, tej samej nocy zapewne uciekłaby, skacząc z tamtego drzewa, i zniknęła na zawsze.

Dlaczego nie?

Ponieważ tak mówię.

Podał żaloszny, niewystarczający powód. Głupi. Jednak nie miał nic więcej do powiedzenia.

Trudno byłoby mu powiedzieć, że jej pragnie i że pożądanie stało się silniejsze niż podjęta wcześniej decyzja. Zapewne nigdy nie uznałaby, że zaspokojenie dręczącego go głodu to dobry powód, żeby nie pozwolić jej na takie życie, jakie chciała prowadzić. A jednak to było wszystko, co mógłby jej powiedzieć.

Audrianna i Sebastian zauważyli jej pełne urazy rozdrażnienie.

Podejmowane dzielnie z ich strony próby prowadzenia lekkiej konwersacji nie zmieniły lodowatego wyrazu jej twarzy ani na jotę.

Przeprosiła i wcześniej oddaliła się do sypialni.

Hawkeswell także przeprosił i wyszedł na taras, żeby zapalić cygaro. Był pogrążony w głębokich rozmyślaniach, kiedy obok niego pojawił się jarzący się czubek innego cygara, a jakaś ręką postawiła na murku przed nim kieliszek brandy.

Razem z Summerhaysem palili w milczeniu cygara, patrząc na klomby, gdzie kwiaty kołysały się na wietrze. Białe i żółte jaśniały wyraźniej w mroku, przez co klomb wyglądał jak ciemna kobieca suknia wyszywana w jasne kwiaty.

- Możesz mi podziękować - odezwał się Summerhays. -

Audrianna wypatrzyła dwoje ludzi nad zatoczką i bała się, że stanie się coś złego. Nalegała, żebyśmy natychmiast przy płynęli, ale wiatr był nieodpowiedni i szybciej się nie dało.

- Dziękuję.

- Jednak twoja żona nie wydawała się uszczęśliwiona.

- Ja też nie jestem. Tak to jest, jak się ma dobre intencje, a miejsce i czas im nie sprzyjają. Gdybym okazał jej mniej szacunku, oboje bylibyśmy bardziej zadowoleni. - Udawał większą rozwagę niż tę, na którą się zdobył w rzeczywistości. To nie szacunek go powstrzymał, ale przeklęta obietnica, jaką złożył w szklarni w Cumberworth.

Summerhays zachichotał cicho.

- Masz dużo czasu, żeby być zadowolonym, jak sądzę. Całe życie.

- Przyszło mi do głowy, że twój brak pośpiechu z przybiciem do brzegu oznacza, że jednak mam w tobie sprzymierzeńca. Najpierw doradzasz uwiedzenie, ale teraz zalecasz wstrzeźliwość. To ostatnie to niewątpliwie wpływ twojej żony. Nie bądź taki oburzony.

Zaprzeczasz, że cię tu przysłała? Czy też jest na górze, pocieszając nieszczęsną Verity?

- Nie ma pojęcia, co zaszło. Kiedy zobaczyła Verity, pomyślała tylko, że się strasznie pokłóciliście.

- Pokłóciliśmy się. Krótko. Padło kilka słów, nie więcej. Ale owszem, sądzę, że można to określić jako kłótnię.

- Burza zapewne ucichnie do rana.

- Być może. - Raczej nie. - Kłótnia nie kłótnia, myślę, że za trzy dni pojedziemy do Londynu.

Dymek z cygar wił się wężowato w mroku nocy. Summerhays miał na tyle taktu, żeby mówić o czymś innym. Odciągnął myśli Hawkeswella od kłótni i niespełnienia, i od żywego wspomnienia budzącej się w Verity cudownej namiętności.

Następnego dnia Verity nie odstępowała Audnanny. Próbowwała zapomnieć o własnym, szokującym zachowaniu w obecności Hawkeswella na wioskowym wzgórzu, a jednocześnie nie mogła sobie darować, że okazując słabość w jednej bitwie, przegrała całą

wojnę.

Była niemal pewna, że kiedy prowadził ją w tamto miejsce, miał zamiar powiedzieć coś zupełnie innego, niż powiedział. Być może, po dobrze przespanej nocy, przypomniał sobie o swoich dobrych zamiarach.

Czekała z nadzieją na jakiś znak od niego, że zmienił zdanie. Ale on w ogóle do tego nie wracał. Ani też nie przeprosił za to, co się stało na wzgórzu.

Jeśli się do niej odzywał lub na nią patrzył, to tak, jakby to skandaliczne obściskiwanie się spowodowało, że stali się sobie bliżsi, dzieląc wspólną tajemnicę. Jego obecność wpływała na nią nawet wtedy, gdy starała się nie zwracać na niego uwagi. Wspomnienia, doznania fizyczne i obrazy tamtych chwil wciąż ją nawiedzały, chociaż starała się słuchać uważnie tego, co mówi Audrianna.

Tamtego wieczoru, kiedy odeszła wcześniej od stołu, on zrobił to samo. Serce podeszło jej do gardła, kiedy on wspinał się tuż za nią po schodach, dwa stopnie niżej. Nienawidziła tego, jak działa na nią jego obecność. Nienawidziła tej mieszanki oczekiwania i strachu.

Na półpiętrze odwróciła się do niego.

- Nie próbuj mnie teraz pocałować. Żebyś nie śmiał tego zrobić.

Miałeś dość pocałunków wczoraj i nie jestem ci dzisiaj nic winna.

- A ty, Verity? Czy miałaś wczoraj dość pocałunków?

- Więcej niż dość. Zbyt wiele. - Pod wpływem jego spojrzenia miękkły pod nią kolana. - Nie podobały się mi. To wszystko było

bardzo nieprzyjemne. Nie pasujemy do siebie, nawet jeśli chodzi o pocałunki. Powinieneś zmienić zdanie co do tamtego „nie”. Naprawdę powinieneś.

Pokonał dzielące ich dwa stopnie i stanął przed nią. Wydawał się lekko rozbawiony.

- Pasujemy do siebie doskonale, jeśli chodzi o pocałunki i przyjemność, Verity. Po jakimś czasie przestanie cię to przerażać.

- Wcale się nie boję. I mylisz się. Okropnie mi się to nie podobało. Ja...

Uciszył ją, kładąc palec na jej ustach.

- Czy mam udowodnić, że mam rację? Kuisz mnie, żebym to zrobił.

Jej wargi pulsowały pod jego dotykiem. Całe jej ciało wibrowało.

Zacisnęła zęby, żeby nie reagować tak niemądrze.

- Przypominam ci o twoim przyrzeczeniu - powiedziała, odwracając głowę, żeby już jej nie dotykał.

- Nie potrzebuję przypominania. A jednak może będę musiał spędzić noc w twoim pokoju, żeby mieć pewność, że nie skorzystasz z kolejnej rzadkiej sposobności i nie uciekniesz.

To ją zaniepokoiło. Nie sądziła, żeby zamierzał całą noc przesiedzieć na krześle. Drań spodziewał się, że znowu będzie robił z nią to, co niemal pozbawiło ją dziewictwa. Odczucia, które już dobrze znała, przejęły jej ciało zachwytem. To ją pociągało, dlatego przeraziła ją także własna reakcja.

Nie wolno jej tak się zachowywać, jeśli chciała zachować choć trochę dumy, kiedy się rozstaną na dobre. Nigdy go nie przekona, żeby zmienił zdanie, jeśli on nie przestanie jej całować i dotykać w ten sposób. A poza tym, kiedy poślubi odpowiedniego człowieka, nie chciałyby się przed nim tłumaczyć, skąd ma doświadczenie w sprawach ciała.

- Nie. Nie zrobisz tego. Wiesz, że dzieląc ze mną pokój, kuszysz diabła i twój honor może na tym ucierpieć.

Roześmiał się.

- Jak to ładnie z twojej strony, Verity, że troszczysz się o mój honor.

- Tak, to dla mnie ważne, i obiecuję, że nie musisz mnie pilnować. Przysięgam, że będę tu rano. Tak sformułowana przysięga obejmuje wszystkie możliwe sposobności, które mogą się pojawić.

Błękitne oczy wpatrywały się w nią, zamyślane. Kusily. Ich błękit pociemniał. Uśmiechnął się lekko, z rezygnacją. Odsunął się na bok i wskazał ręką schody.

- Niech tak będzie. Ale teraz biegnij, i to szybko, zanim uznam, że twój śliczny rumieniec oznacza, że w istocie masz nadzieję, iż wkrótce stanę przed drzwiami twojej sypialni.

Verity nie spała dobrze tej nocy. Hawkeswell nie powiedział, że nie zjawi się pod drzwiami jej sypialni, więc cały czas nasłuchiwała. To, że przez większą część nocy paliły ją policzki, nie budziło w niej ciepłych uczuć wobec niego. Przewracała się z boku na bok, łamiąc

sobie głowę nad tym, w jaki sposób się z tego wyplątać, i bojąc się, że to jej się nigdy nie uda.

Sytuacja, w jakiej się znalazła, budziła w niej złość, drażliwość i nieufność. Uznała, że musi spędzić trochę czasu tylko we własnym towarzystwie, nawet bez Audrianny. Tak więc następnego ranka wstała o świcie i włożyła prostą, muslinową suknię. Zarzuciła na to fartuch i szal, żeby nie zmoczyła jej poranna rosa. Potem wyszła na dwór.

Ogrodnicy krzatali się już w ogrodzie z motykami, grabiami, nożycami i wózkami. Zaglądała im przez ramię, obserwując, jak przycinają rośliny. Podziwiała żyzną ziemię, którą naczelny ogrodnik polecił w zeszłym roku zwozić z pól stojących odłogiem.

Prawie zapomniała o Hawkeswellu, o tamtych pocałunkach i o swoim zawstydzeniu, że widział ją półnagą, i o jego insynuacjach poprzedniego wieczoru, że miałaby ochotę na takie doznania ponownie. Zatem kiedy ogrodnicy spojrzeli w stronę tarasu, a naczelny ogrodnik skłonił się lekko, odwróciła się i ona i ze złością zobaczyła stojącego na tarasie Hawkeswella.

Patrzył na nią, zasępiony, poważny i zbytnio zainteresowany jej osobą. Doznania, które stały się jej udziałem tam na wzgórzu, znowu napłynęły i przejęły dreszczem jej ciało, jakby na jego rozkaz.

Wskazał gestem, żeby do niego podeszła. Przeprósiwszy ogrodnika, przeszła przez ogród i wspięła się po schodach na taras.

- Chodź ze mną do pokoju śniadaniowego - powiedział. - Są tam

Audrianna i Sebastian, a mam nowiny, które powinni usłyszeć.

Weszli razem do pałacu; pokój poranny na niższym piętrze

jednego ze skrzydeł wychodził na dziedziniec. Audrianna siedziała

przy śniadaniu, a lord Sebastian nakładał sobie potrawy z naczyń

ustawionym na długim kredensie.

- Mam nadzieję, że twoja ciotka nie choruje - zwrócił się lord

Sebastian do Hawkeswella, kiedy wszyscy usiedli.

- Skąd takie podejrzenie? - zapytała zaskoczona Verity.

- Umyślny kurier przybył dziś rano z listem do lorda

Hawkeswella - wyjaśniła Audrianna.

- Ciotka, o ile wiem, cieszy się dobrym zdrowiem. Te wieści

dotyczą czegoś zupełnie innego. - Wyjął list z kieszeni surduta i

położył go na stole. Spojrzał na niego, potem na Verity. - To od radcy

prawnego z Londynu, pana Thornapple.

- Pana Thornapple? Mojego powiernika majątkowego?

- Napisał do mnie do Surrey, potem dowiedział się, że jestem

tutaj. - Rozpostarł papier i zerknął na treść listu. - Informuje mnie, że

udało mu się doprowadzić do podjęcia nowego dochodzenia w

sprawie prawdopodobnej śmierci lady Hawkeswell, z domu Verity

Thompson. Sprawa odbędzie się jutro w Surrey, pod przewodnictwem

koronera i w jego domu. To będzie pierwszy krok, niepełne

rozwiązanie, ale ułatwi nam apelację do sądu wyższej instancji. Pan

Thornapple zamierza wybrać się do Surrey.

Odłożył list na bok.

- Musimy tam, oczywiście, natychmiast pojechać.

- Musisz wziąć powóz i czwórkę koni. Podam ci nazwy

zajazdów, gdzie trzymają nasze konie na zmianę - oznajmił lord

Sebastian. - Jeśli pogoda się utrzyma, jutro do południa powinniście dotrzeć na miejsce.

Verity siedziała spłoszona, podczas gdy inni obmyślali plany.

Ogarniała ją panika. Czowała się tak, jakby sama powoziła zaprzęgiem i nagle straciła lejce.

- A jeśli nie pojedziemy do Surrey? - wydusiła z siebie.

Jej pytanie przerwało rozmowę Hawkeswella z lordem

Sebastianem udzielającym przyjacielowi jakiejś rady. Wszystkie spojrzenia obróciły się na nią.

- A gdyby kurier nie trafił do tego domu? A gdybyśmy zatrzymali się o dzień drogi dalej od Surrey?

- Czy masz na myśli, co by się stało, gdyby uznano cię za

zmarłą? - zapytał Hawkeswell. - Musielibyśmy wyjaśnić pomyłkę po

powrocie do hrabstwa. Byłoby łatwiej, gdyby błędny wyrok nie

zapadł. - Cóż, sądzę, że jeśli ktoś zostanie uznany za zmarłego, to

powinno mu się pozwolić takowym pozostać przez parę tygodni, jeśli chce tego - szepnęła.

Widząc wokół siebie tylko pozbawione wyrazu twarze, ustąpiła.

- Ale to, naturalnie, nie jest możliwe. Musimy dopilnować, żeby nie popełniono błędu. Pójdę do pokoju, żeby się przygotować.

Przeprosiła pozostałych, żeby pójść i spakować się przed podróżą.

Musiała także przygotować się na to, co się stanie, gdy opuści ten dom.

Porozumienie

zawarte

w

szklarni

Daphne

przestanie

obowiązywać z chwilą, gdy powóz wyjedzie poza teren posiadłości.

Tak samo jak obietnice. W przyszłości będzie musiała polegać tylko na sobie, żeby utrzymać Hawkeswella na wodzy.

Susan spakowała większość jej rzeczy w ciągu dziesięciu minut.

Verity podziękowała jej za służbę, dała parę monet, które zostały z piętnastu funtów od Hawkeswella, i odprawiła. Potem włożyła do walizki rzeczy osobiste - szczotkę do włosów, wodę fiołkową i dwa grzebienie.

Drzwi otworzyły się, wszedł Hawkeswell. Wskazała na walizkę.

- Jestem gotowa.

Hawkeswell popatrzył na nią i na walizkę.

- Jesteś nieszczęśliwa.

- Myślałam, że zostaniemy dłużej. Myślałam... - Podniosła

kapelusz i odwróciła się do lustra.

- Myślałaś, że będziesz mieć więcej czasu, żeby mnie przekonać

do swojego planu.

- Sądzę, że powinieneś dać mi w Surrey ten czas, który miałabym tutaj.

- Jeden dzień czy trzydzieści, to nie ma znaczenia, Verity. Nie chcę już się z tobą rozstać.

Już nie chce. Gardło jej się ścisnęło. Te pocałunki na wzgórzu rzeczywiście wpłynęły na zmianę jego postanowienia. Chciał ją utrzymać siłą w tym małżeństwie dla przelotnej przyjemności i mijającego pożądania. Popatrzyła na niego, a potem zabrała się ponownie do wiązania wstążek pod brodą. Chciało jej się płakać.

Teraz jej sytuacja stała się dużo trudniejsza. Miała nadzieję znaleźć się we własnym domu, kiedy świat dowie się, że ona nadal żyje i ma się dobrze. Zamierzała wykorzystać miesiące, które zajęłoby rozpatrywanie petycji, na to, żeby zaopiekować się dziedzictwem po ojcu, dowiedzieć, co się stało z Michaeliem, i zapewnić dobrobyt Katy. Sama jej obecność w pobliżu walcowni mogłaby pomóc i powstrzymać Bertrama przed wyrządzaniem zła tym poczciwym ludziom.

- Wybacz moją reakcję. - Wytarła oczy. - Widzę, że muszę teraz żyć wśród obcych, ludzi, którzy nie mają powodu, żeby mnie dobrze traktować.

- Przesadnie boisz się przyszłości. Wcale nie będzie tak, jak myślisz.

- Czy jesteś na tyle liberalny, lordzie Hawkeswell, żeby pozwolić mi jechać do domu odwiedzić bliskich mi ludzi?

- Nie widzę powodu, żeby postąpić inaczej.

- Jak często?

- Tak często, jak będzie mi wygodnie cię tam zawieźć.

- Dlaczego mi się wydaje, że rzadko uznasz to za wygodne?

Nie okazał irytacji. Wyraz jego twarzy można było raczej uznać za współczujący.

- Ponieważ upierasz się, żeby myśleć o mnie jak najgorzej.

Myśląc inaczej, nie zdołałabyś siebie oszukiwać.

To ją zdumiało. Odwróciła się od lustra, twarzą do mego.

- Nie oszukuję się.

- Ostatnie dwa dni spędziłaś, okłamując samą siebie. Wmawiałaś sobie, że nadal możesz mnie przekonać, żebym się ciebie pozbył.

Wmawiałaś sobie, że to małżeństwo oznacza zwycięstwo twojego kuzyna i twoją klęskę, podczas gdy wcale nie musi tak być.

- Może wciąż gniewam się na mojego kuzyna, ale nie mam już wobec mego żadnych zobowiązań ani też on me ma władzy nade mną bez względu na to, co się zdarzy, więc gniew nie ma znaczenia.

- Zatem uznaję, że twój gniew jest skierowany przeciwko mnie, za spiskowanie z Bertramem. Mnie także nie chcesz przyznać zwycięstwa. - Nie chcę, żeby zatriumfował spisek. Ani nie powinnam być zmuszana do przyłożenia się do tego triumfu. Udajesz, że to rozumiesz, ale to był tylko kolejny podstęp, żeby osiągnąć swój cel i żeby przestała się mieć na baczności.

Uśmiechnął się.

- Och oszukujesz samą siebie. Nie tylko wciąż zaprzeczasz, że odczuwałaś wtedy przyjemność, co jest jawnym kłamstwem, ale teraz jeszcze twierdzisz, że uciekłem się do podstępu w ramach strasznego spisku.

Przeszyła go złym wzrokiem.

- Czy przejrzałaś starannie wspomnienia, Verity, zanim doszłaś do tego wniosku? Oburzając się na moje nieczne postępowanie, czy przypomniałaś sobie, co czułaś, gdy moje usta dotykały twojej piersi, a moja dłoń dotykała twojej...

- Oczywiście, że nie! - przerwała mu zarumieniona. - Jesteś podły, ale ja przejrzałam twoją grę. - Pochwyciła walizkę i ruszyła ku drzwiom.

- Możesz uważać mnie za drania, Verity, ale jestem także twoim mężem. A jeśli prowadziliśmy jakąś grę, to ja ją wygrałem.

Czy sprawy nie powinien rozstrzygnąć sąd wyższej instancji, panie Thornapple? Zgodziłem się ją wznowić, ponieważ do zniknięcia doszło w naszym hrabstwie, ale wobec braku ciała moje obowiązki nie są jasne.

- W takich przypadkach, sir, nie ma ustalonych procedur, ponieważ są bardzo rzadkie. Pańską decyzję przedstawię Sądowi Najwyższemu, prosząc o oficjalne potwierdzenie zgonu. Jak pan powiedział, sprawa zaczęła się tutaj i miejscowy sąd jest jak najbardziej odpowiednim miejscem na to, żeby ją ciągnąć.

Verity usłyszała tę wymianę zdań, gdy otworzyły się drzwi biblioteki. Trwało posiedzenie.

Hawkeswell zatrzymał się w progu. Patrzyła, jak omiata wzrokiem grupę obecnych.

- Istnieje, jak pan wie, domniemanie kontynuacji życia w przypadku osoby zaginionej - oznajmił koroner. - Stąd tradycja czekania siedem lat.

Spodziewała się, że posiedzeniu będzie przewodzić sędziwy szlachcic pełniący funkcje koronera, a nie modnie ubrany mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. To była ładna posiadłość, a bibliotekę, w której odbywało się posiedzenie, urządzono wygodnie i gustownie.

Pan Thornapple wyglądał imponująco - z siwymi włosami, w nie-nagannym stroju. Radca prawny, skromnego pochodzenia, był jednym z kilku ludzi, którym jej ojciec zaufał całkowicie.

Pan Thornapple odchrząknął.

- Zgodnie z duchem prawa w tym przypadku należy wziąć pod uwagę obie możliwości, skłaniając się ku tej, o której wspominałem.

Gdy zatonił statek, nie ma domniemania kontynuacji życia w odniesieniu do załogi, która znika. Nie czeka się siedmiu lat, aby móc rozporządzić prawnie ich majątkami. Przeważa domniemanie, że załoga zatonała. Żona Hawkeswella zaginęła, zgromadzono dowody na to, że utonęła w Tamizie. Co więcej, gdyby wciąż żyła, z pewnością dałaby do tej pory znać o sobie. Jakiż miałyby wybór, o ile nie chciałyby umrzeć z głodu? Co więcej...

- Muszę panu przerwać - odezwał się koroner. - Widzę, że przybył lord Hawkeswell. Proszę podejść, lordzie Hawkeswell, jako że sprawę otwarto zarówno na żądanie pana Thornapple, jak i pana.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę drzwi. Verity nie zauważyła Bertrama ani Nancy i nieprzyjemne ściskanie w żołądku złagodniało.

Ciemnowłosa kobieta w liliowej sukni uśmiechnęła się radośnie do Hawkeswella. Verity rozpoznała Colleen, która pierwsza przedstawiła

Bertrama

swojemu

kuzynowi,

aby

pomóc

Hawkeswellowi wybrnąć z problemów finansowych.

Hawkeswell ujął Verity pod ramię i podprowadził ją do biurka koronera.

- Sprawę otwarto na moją prośbę, ale teraz muszę się wycofać.

Nie ma potrzeby jej kontynuować.

- Milordzie, pora rozwiązać tę sprawę - odezwał się Thornapple zarazem zirytowany i zmieszany. - Pan sam namawiał mnie...

- Dochodzenie jest niepotrzebne, ponieważ moja żona znalazła się wreszcie żywa i w dobrym zdrowiu, jak pan widzi. - Ustawił Verity naprzeciwko koronera. - Zdejmij, proszę, kapelusz, Verity.

Rozwiązała wstążki i zdjęła kapelusz. Pan Thornapple otworzył usta i rzucił Hawkeswellowi zdumione spojrzenie.

- Czy to jest ta młoda kobieta, panie Thornapple? - zapytał koroner. - Czy znają pan z widzenia?

- Tak jest. To ona, Verity Thompson, dziedziczka majątku Joshuy Thompsona.

Rozległ się szmer zdumionych głosów.

Wyraz twarzy pana Thornapple w mgnieniu oka zmienił się ze zdumionego na rozgniewany.

- Chciałbym się dowiedzieć, gdzie przebywała przez te dwa lata.

Czy pan ją ukrywał, lordzie Hawkeswell? Nie mogę sobie wyobrazić, jaką by to mogło przynieść panu korzyść, chyba że uznał pan to za dobry żart.

- Pan wie najlepiej, że nie przyniosłoby mi to żadnej korzyści.

Odkryłem jej miejsce pobytu przez przypadek mniej niż tydzień temu.

Zawiadomiłbym pana od razu, ale nie spodziewałem się, że tak szybko uda się panu wznowić sprawę.

- Na szczęście nie aż tak szybko - zauważył koroner. - Gdyby została wznowiona dzień wcześniej, mógłbym uznać, że przeważa prawdopodobieństwo zgonu. - Przyjrzał się Verity, ale niezbyt krytycznie. Wydawał się zafascynowany rozwojem wypadków i wcale nie zmartwiony tym, że przed zapadnięciem nocy to zdarzenie będzie na ustach wszystkich. - Gdzie się pani podziewała przez cały ten czas, lady Hawkeswell?

- W Middlesex.

Pan Thornapple o mało nie zaklął.

- A zatem nie mógł umknąć pani uwagi fakt, że uznano panią za prawdopodobnie zmarłą.

- Co pani robiła w Middlesex? W jaki sposób znalazła się pani tutaj? - zapytał koroner.

- To sprawa między mną a moją żoną - stwierdził Hawkeswell. -

Na dzisiaj wystarczy, jak sądzę, zobaczyć jej żywe ciało. Ona oddycha, czyż nie?

- Najzupełniej wystarczy. - Koroner nie potrafił ukryć rozbawienia. - Uważam, że należy sprawę z oczywistych względów zamknąć. -

Wstał i ukłonił się Verity. - Miło jest mi panią poznać. Thornapple, łyknie pan kieliszek brandy w moim towarzystwie, zanim dostanie pan apopleksji. Lady Hawkeswell, pozwoli pani, że ją przedstawię

kilku sąsiadom. Wielu z nich było na pani ślubie, jak sądzę, ale zapewne zdążyła pani już zapomnieć ich twarze.

Za jej plecami rozległo się szuranie odsuwanych krzeseł. Pan Thornapple stanął przed Verity i Hawkeswellem.

- Spodziewam się paru odpowiedzi.

- We właściwym czasie - odparł zwięźle Hawkeswell. - Wkrótce musimy ruszyć do Londynu.

Pan Thornapple wydawał się zmieszany. Spojrzał uważnie na Verity.

- Czy jest coś, co chciałaby pani powiedzieć mi teraz, lady Hawkeswell?

Uciekłam, ponieważ nie wyszłam za mąż z własnej i nieprzymuszonej woli, pomyślała. Czy powinna mu to powiedzieć tutaj, w tej chwili? Czy mogłoby to coś zmienić?

Rozejrzała się. Sąsiedzi najwyraźniej nie mieli ochoty opuszczać przedstawienia, które okazało się znacznie bardziej zajmujące, niż się spodziewali, kiedy przyszli tutaj dla zabicia czasu. Większość oczu zwracało się na Hawkeswella i na nią, a kilku mężczyzn, którzy uważali, że po takim szoku należy się wzmocnić, próbowało brandy koronera.

- Dziękuję panu, że tak dobrze opiekował się pan moją własnością przez te ostatnie lata - zwróciła się do pana Thornapple. - W istocie miałam powód, żeby wcześniej nie stawić się przed panem. Jednakże, jak zapowiedział lord Hawkeswell, powód ten zostanie

ujawniony w stosownym czasie. Nie chcę dzisiejszemu wydarzeniu

nadawać

jeszcze

bardziej

teatralnego

charakteru.

Czekam

niecierpliwie na spotkanie z panem w Londynie.

Pan Thornapple skinął głową; ten gest przeszedł w ukłon.

Verity zebrała siły i odwróciła się do Hawkeswella. Słyszał, co

powiedziała przedtem. Miał wyraz twarzy podobny do tego, jaki

przybrał, kiedy opuszczali Airymont. Jeśli prowadziliśmy jakąś grę,

to ja ją wygrałem, powiedział wtedy. Jednak drogo go to kosztowało.

Sąsiedzi przyglądali się jej z ciekawością, ale spojrzenia, jakie

kierowali w jego stronę, wyrażały zbyt wielkie rozbawienie, jak na

męską dumę.

- Nie uda nam się wyjść, nie przywitawszy się z nimi - odezwał

się, wskazując ludzi stojących między nimi a drzwiami. - Załatwimy

to szybko. Na Boga, nie mam ochoty już dłużej dawać przedstawienia

w roli psa, który tańczy. - Wprowadził ją w środek gromadki.

Usta wygięte w uśmiechu. Ciekawość w oczach. Ukradkowe,

kpiące spojrzenia rzucone w stronę Hawkeswella. W każdym

wypadku ściśle przestrzeganie zasad dobrego wychowania i starannie

wypracowany wyraz ulgi na twarzach. Wszyscy zdawali sobie

sprawę, że kryje się za tym historia godna wysłuchania, mieli nadzieję, że usłyszą choćby jakiś jej okruch, i ani myśleli po prostu się rozejść.

Colleen czekała z boku. Objęła Verity, kiedy wreszcie do niej podeszli.

- Moja droga - zawołała Colleen. - Co za ulga cię widzieć i przekonać się, że nie stało się to najgorsze. Czy Thompsonowie wiedzą?

- Jeszcze ich nie zawiadomiliśmy - odparł Hawkeswell. - Może zrobisz to w naszym imieniu. Nie zachęcaj ich jednak, bardzo proszę, do przyjazdu tutaj. Verity nie czuje się na siłach, żeby tak szybko podejmować rodzinę.

- Napiszę do nich natychmiast i będę stanowcza. Trudno byłoby w tej chwili zajmować się kuzynostwem, nawet jeśli bardzo ich ta historia poruszy. - Ponownie objęła Verity. - Mam jednak nadzieję, że mnie pozwolisz na odwiedziny. Mogłabym ci pomóc, kiedy przejmiesz obowiązki pani domu w Greenlay Park.

Wydawała się szczerą, a Verity nie cieszyła myśl, że sama miałyby zgłębiać kwestie związane z prowadzeniem domu Hawkeswella. Nie znała Colleen dobrze, wiedziała tylko, że jest ona kuzynką Hawkeswella i tą osobą, która przedstawiła go Bertramowi. Podejrzewała, że Bertram i Nancy w większym stopniu wykorzystali dobroć Colleen, niż ta uroczą damą mogła się domyślać.

- Przyjdź, proszę. Z wdzięcznością przyjmę wszelkie rady.

- Ale nie ze strony twojej matki - dodał Hawkeswell, biorąc kapelusz i rękawiczki z rąk lokaja. - Złożymy jej wizytę za jakiś czas.

Nie chcę, żeby się teraz wtrącała.

Colleen uśmiechnęła się szelmowsko na dowód, że rozumie, dlaczego wszyscy wolą omijać jej matkę.

Hawkeswell pomógł Verity wejść do powozu. Po raz pierwszy w trakcie tej podróży wszedł za nią. Verity zrozumiała, dlaczego. Pozostali, którzy uczestniczyli w rozprawie, postanowili oddalić się dokładnie w tej samej chwili, tak żeby jeszcze chwilę móc popatrzeć na powstałą z grobu hrabinę i jej męża.

- Czy roześlą konnych posłańców z wieściami? - zapytała.

- Na swój sposób, owszem. - Spojrzał na zegarek kieszonkowy. -

Ich listy dotrą do Londynu jutro późnym popołudniem. Oczekamy tutaj parę dni, żeby podniecenie trochę opadło. Większość socjety wyjedzie wkrótce z Londynu na wieś, rzecz jasna, więc nie będziesz musiała wysłuchiwać całej tej gadaniny.

- Ale i tak padną pytania. Jak zamierzasz na nie odpowiedzieć?

- Niech mnie diabli, jeśli mam pojęcie.

A zatem prawdę wolał zachować dla siebie. Widziała, że ta historia wprawiała go w zakłopotanie. Rozbawienie koronera i podejrzliwość pana Thornapple'a przyczyniały się do tego najmniej.

Ciekawskie spojrzenia, niecierpliwość, żeby poznać szczegóły, wieściły, co go jeszcze czeka.

Z pewnością nie chciałby przyznać, że panna młoda nie zgodziła

się wyjść za niego z własnej woli, więc po ślubie uciekła i ukrywała się do pełnoletności, żeby potem móc stanąć przed sądem. Z drugiej strony nie mógł skłamać i powiedzieć, że straciła pamięć, nawet gdyby na to przystała. Być może po prostu będzie milczał.

Przyglądała się krajobrazom Surrey wśród których przejeżdżali.

Nie zwróciła uwagi na ich piękno w drodze do koronera. Sama w powozie, w ogóle nie przyglądała się nikomu i niczemu przez ostatnie dwa dni. Podróż minęła jej na usiłowaniu zachowania spokoju i przygotowania się na szok, jaki musiało wywołać jej pojawienie się w sądzie.

Teraz stwierdziła, że hrabstwo jest piękną krainą. Wokół rozciągała się paleta różnych odcieni zieloności, z pasmami ciemnego brązu na polach świadczącymi o żyznej glebie. Wszędzie widziała bogactwo kwiatów, nawet przy najskromniejszych domach, polne kwiecie porastało zbocza wzgórz i pobocza drogi. Minęli małe gospodarstwo, gdzie różnorodność kwiatów nie zdołała jednak ukryć jego nie najlepszego stanu.

- Tej rodzinie potrzebny jest nowy dach na domu - zauważyła.
- Nie tylko nowy dach, ale także nowa podłoga. Poprawa systemu irygacji zwiększyłaby plony z ziemi, którą uprawiają. Niestety, człowiek, od którego dzierżawią te grunta, nie był w stanie im pomóc, choć bardzo tego pragnął.

Z jego tonu wywnioskowała, że to on jest owym człowiekiem.

Znajdowali się na jego ziemiach.

- Czy są przynajmniej w stanie się wyżywić?

- Z ledwością i to tylko dzięki temu, że nie pobrałem od nich renty dwa lata temu, w czasie nieurodzaju, kiedy były chłody. -

Mężczyzna idący drogą w stronę gospodarstwa pomachał powozowi ręką, a Hawkeswell pozdrowił go tym samym gestem. - Znam tego gospodarza całe życie. Jego rodzina mieszka tutaj niemal tak długo jak moja własna, od pokoleń. Uczono mnie, że odpowiadam za tych ludzi, nie tylko jako dzierżawców. Ich dobrobyt zależy od mojego, podobnie jak od słońca.

- Tak samo było między moim ojcem a jego pracownikami, nawet jeśli ta więź nie trwała od pokoleń. Uważał, że odpowiada za ich dobrobyt. Wiedział, że inni właściciele fabryk tak nie uważają, ale on tak.

Uśmiechnął się, słysząc jej wspomnienie o domu i przeszłości.

- Wydaje się, że jednak mamy ze sobą coś wspólnego.

Wolałaby raczej, żeby nie mieli. Uznała dwa lata wcześniej, że potrzebował jej pieniędzy, żeby zachować pański styl życia, a nie po to, żeby założyć nowy system nawodnienia czy naprawić czyjś dach.

Więcej zapewne zamierzał wydawać na własne, kosztowne przyjemności.

To niczego nie zmieniało. Nie wpływało na poprawę jej sytuacji.

Jedynie trudniej było go winić.

- Verity, mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że poprosiłem Colleen, żeby napisała do twojego kuzyna - powiedział. - To chyba

lepsze niż list od ducha.

- Nie mam nic przeciwko temu. W ogóle nie zamierzałam do nich pisać.

- Jeśli ty nie chcesz pisać, ja to zrobię. Za parę dni, kiedy zdążą przetrwać niespodziankę.

- Jak sobie życzysz.

- Zapewne będzie chciał cię zobaczyć.

- Bardziej prawdopodobne, że będzie chciał zobaczyć ciebie.

Upewnić się, że cokolwiek obaj postanowiliście, pozostaje w mocy.

Jestem pewna, że uzyskał jakieś ważne dla siebie obietnice.

Nie musiała na niego patrzeć, żeby wiedzieć, że ta uwaga mu się nie spodobała. Jego niezadowolenie wyczuła w powietrzu. Dziwne, jak to się działo. Niekiedy wyczuwała jego nastroje, nawet jeśli ich nie uzewnętrzniał.

- Powinnaś się z nim spotkać, Verity, jeśli przyjedzie do

Londynu, niezależnie od jego prawdziwych motywów. Powiedziałaś, że cię nie oplakiwał, ale przecież tego nie wiesz. To twoja rodzina i należy im się coś po tym, co się stało. Przynajmniej przeprosiny.

Jego reprimenda rozgniewała ją tak bardzo, że z trudem panowała nad sobą. Ten człowiek najwyraźniej nie chciał przyjąć do wiadomości i zrozumieć, kto komu był winien przeprosiny.

- Nie przeproszę ani jego, ani nikogo innego. Jeśli nalegasz, żebym się z nim spotkała, musisz dać mi słowo, że nigdy nie zostawisz mnie z nim samej ani z jego żoną.

To żądanie wzbudziło jego ciekawość. Jej gniew zaskoczył go tak, że zapomniał o własnym. Nie potrafiła ukryć swoich uczuć względem Bertrama, mówiła o nim suchym, ostrym tonem.

- Verity, z pewnością...

- Nigdy. Przynajmniej albo Bertram prędzej trafi do piekła, niż się z nim znowu zobaczę.

Znowu to samo ciekawe zamyślane spojrzenie.

- Jeśli tego chcesz, przysięgam.

Nie zachowała żywych wspomnień z Greenlay Park poza tym, że była to imponująca rezydencja o świetnej przeszłości i staromodnych meblach. Na ślubie była zbyt smutna i zmartwiona, żeby zauważyć coś więcej. Teraz jednak, kiedy się zbliżali, przyjrzała się uważnie domostwu.

Górowało na niewielkim wzniesieniu, a żaden las nie zasłaniał widoku w promieniu wielu mil. Masywna główna część budowli kierowała się ku podjazdowi. Same kamienie, kremowej barwy, były wielkie, a wysokie okna wzdłuż fasady mówiły o wielu piętrach, wysokich sufitach i labiryncie pokoi, który dwa lata temu sprawił, że czuła się mała i kompletnie zagubiona.

Z prawej i lewej strony ciągnęły się skrzydła budynku.

Klasyczny, starofrancuski styl, jak powiedziała Nancy na widok domu. Miała na myśli styl starej monarchii. Styl arystokratów, którym przed niespełna trzydziestu laty, ku zadowoleniu jej ojca, ścięto głowy.

Zauważyła, że otoczenie domu nie znajduje się w najlepszym stanie. Gdzieś widziała wpływ sztuki ogrodniczej pana Reptona - sztuczne wzgórza, kanał wijący się malowniczo wśród kwiatów i krzewów. Wskutek braku dbałości teren zdziczał ponownie, a sztucznie posadzone drzewa straciły formę.

Zastanawiała się, gdy powóz się zatrzymał, a Hawkeswell otworzył drzwi, co powiedziałby jej ojciec na to, że jego córka miała zamieszkać w takim miejscu.

Z potężnych drzwi frontowych wyłonili się starszy mężczyzna i kobieta w średnim wieku. Mężczyzna ruszył pospiesznie w stronę powozu, zapinając po drodze kubrak.

- Jaśnie panie. Nie spodziewaliśmy się... Poślaniec nie mówił, że...

- To długa historia, Krippin, być może opowiem z innej okazji.

To powóz lorda Sebastiana Summerhaysa i jutro trzeba go odesłać do Essex. Zaopiekuj się na noc woźnicą i końmi.

- Oczywiście, jaśnie panie. Pani Bradley, proszę zająć się gośćmi jaśnie pana.

Pani Bradley podeszła bliżej, kiedy Verity wysiadła z powozu.

- Pamiętasz panią Bradley i pana Krippina, prawda, kochanie? -

Hawkeswell podprowadził Verity do nich. - Hrabina wróciła do domu, Krippin. Proszę zawiadomić służbę.

Pani Bradley ukryła zaskoczenie, ale Krippin na moment otworzył szeroko usta. Potem jednak nawyki wyrobione od wielu lat

przeważały.

- Przekażę im, oczywiście, tę szczęśliwą nowinę. Witaj w domu, madam.

Podeszli razem do drzwi, tak jakby wracała po dwóch tygodniach nieobecności z Londynu. Dwaj lokaje ruszyli po bagaż.

- Chciałabym pójść do moich pokoi, pani Bradley - powiedziała Verity, zanim ktokolwiek zdążył zaproponować coś innego. - Pragnę odpocząć po podróży.

- Oczywiście, madam.

Pani Bradley poprowadziła ją po schodach. Obie udawały, że nie zauważają, iż Verity nie ma pojęcia, jak trafić do własnych pokoi ani w ogóle gdziekolwiek w tym domu, z wyjątkiem ogrodu.

Hrabia Hawkeswell potrzebował pieniędzy.

Przed dwoma laty to się tak nie rzuciło Verity w oczy.

Pochłonięta własnymi zmartwieniami, ubezwłasnowolniona, nie zwracała uwagi na otoczenie. Teraz setki drobnych dowodów potwierdzały to, co już wcześniej zauważyła, jadąc tutaj.

W wielkim domu zatrudniano bardzo mało służby. O wiele mniej niż w Airymont. Pani Bradley obiecała przysłać dziewczynę na górę, ale wątpić należało, żeby okazała się pokojówką z prawdziwego zdarzenia.

Umeblowanie i wystrój pokoi nosiły ślady zniszczenia. Na wysokich oknach od południa, tam gdzie słońce dokonało najwięcej szkód, należało wymienić spłowiałe zasłony. W domu brakowało wygód. W Airymont korzystano z klozetów wodnych, a nawet z nowej łazienki z wanną. Tutaj zaś najwyraźniej zadowolano się nadal nocnikami i przenośnymi wanienkami.

Każde takie spostrzeżenie pogłębiało jej zły nastrój. Były dla jej planów jak gwoździe do trumny. Brak pieniędzy, tak dla niego dotkliwy, nie skłoni go do przystania na jej propozycję, bo w trakcie przeprowadzania sprawy unieważnienia małżeństwa wciąż nie miałby, jak podejrzewała, żadnych widoków na dopływ gotówki.

Małżeństwo miało mu przynieść fortunę. Tak się nie stało, jak twierdził. Może powinna się zobowiązać, że poczeka z petycją, póki on nie dostanie pieniędzy. Będzie musiała zapytać pana Thornapple'a,

czy to miałyby jakiś wpływ na sprawę.

Pani Bradley zaprowadziła ją do tego samego apartamentu, który dostała przed ślubem. Verity zauważyła, że przynajmniej w tych pokojach przeprowadzono pewne inwestycje. I to niedawno.

Zawieszono nowe zasłony na oknach, również zasłony wokół łóżka były nowe, w kolorze pruskiego błękitu. Tapicerkę na fotelach też wymieniono na nową, a wypucowana kamienna obudowa kominka jaśniała świeżością.

Wyobraziła sobie, jak hrabia dwa lata temu poleca wprowadzić te wszystkie zmiany, by nowo poślubiona małżonka nie odczuła skutków jego kłopotów finansowych. Ciekawa była, skąd wziął pieniądze. Być może zaciągnął dług.

Mógł zostawić wszystko tak jak było, a ona nie zwróciłaby na to uwagi. To by jej nie sprawiało różnicy. Męczennik nie zastanawia się, czy pał, przy którym zostanie zamęczony, jest nowy i dobrej jakości.

- Są tu, oczywiście, wszystkie pani rzeczy - powiedziała pani

Bradley. Zaprowadziła ją do garderoby i otworzyła trzy szafy i dwa kufry.

Verity dotknęła doskonałych gatunkowo materiałów. Prawie zapomniała o tych strojach, zakupionych w Londynie w ciągu paru miesięcy przed ślubem. Nancy ciągnęła ją od modystki do modystki, od krawcowej do krawcowej, żądając najlepszych koronek i jedwabii. Zamówiły dla niej dość sukni, żeby je zmieniać cztery razy dziennie i żadnej nie włożyć po raz drugi przez dwa tygodnie.

Nancy dużo bardziej cieszyła się zakupami niż Verity.

Wyciągnęła kilka sukien, przyłożyła do siebie i przyjrzała się sobie.

W Najrzadszych Kwiatkach ubierała się bardzo skromnie, ale nie dlatego, że niewyszukana odzież bardziej jej odpowiadała. Nie uprawia się ogrodu w drogich muślinach i jedwabiach. Nie mogła też pozwolić, żeby Daphne wydawała pieniądze na jej ubrania.

Stwierdziła, że się uśmiecha do cytrynowożółtej spacerowej sukni z cieniutkiego jedwabiu, która spływała z jej nóg. Przyjemnie będzie nosić ładne stroje. Nigdy te kobiece przyjemności nie stały się jej udziałem, ale teraz miała do swojej dyspozycji całą garderobę.

- Każę przynieść wodę na górę - oznajmiła pani Bradley, rozpakowawszy jej skromną walizkę. - Potem zostawimy panią, madam, by pani odpoczęła. Zwykle spożywamy posiłki w porach przyjętych w wiejskich rezydencjach, ale kucharka, zaskoczona, że pan już wrócił, spóźni się trochę z kolacją. Za dwie godziny przyślę dziewczynę, żeby pomogła się pani ubrać.

Verity uznała, że odpoczynek przed kolacją dobrze jej zrobi.

Zmartwychwstanie okazało się męczące, a musiała być w najlepszej formie, jeśli wieczorem miała stawić czoło Hawkeswellowi.

Zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział, więc wszedł do środka.

Mały salonik Verity był pusty. Z garderoby też nie dobiegał żaden szmer. Zajrzał do sypialni. Zasłony na oknach zaciągnięto i panował w niej, mimo dnia, półmrok.

Spała w koszuli i pończochach. Spokojne rysy twarzy zakłócało

tylko lekkie zmarszczenie brwi. Może śniło jej się coś przykrego.

Leżała na boku, z podciągniętymi nogami; koszula podwinęła się na tyle, że odsłaniała lewe udo i biodro.

Cudowna linia tego uda i biodra, łagodny łuk, jaki tworzyło jej ciało w tej pozycji, przykuły jego uwagę. Nadejdzie dzień, już wkrótce, gdy on posłucha instynktu, położy się obok niej i będzie pieścić te miękkie wdzięczne kształty. Dzisiaj panował nad pożądaniem, podobnie jak nauczył się powstrzymywać gniew.

Postawił na łóżku obok niej, blisko twarzy, małą szkatułkę i otworzył ją. Perły, na poduszczyce z niebieskiego aksamitu, zaśniły w przyćmionym świetle.

Kilka razy w ciągu ubiegłych dwóch lat był prawie gotów je sprzedać, mimo że należały do pamiątek rodzinnych. Jak głosiła legenda, hrabina Hawkeswell otrzymała je przed dwoma wiekami w darze od królewskiego kochanka. Doskonałe, bez skazy, bezcenne, pozwoliłyby na długo odsunąć upadek jego domu.

Nie sentyment go powstrzymał. Raczej to, że nie miał pewności, czy ma prawo je sprzedać. Podarował je przecież Verity w prezencie ślubnym. Spojrzał na liścik, jaki do nich wtedy dołączył, uznał, że lepiej go nie zostawiać, i wyszedł po cichu.

Uderzyła nosem w coś, kiedy się odwróciła. To ją wybiło ze snu.

Opuściło ją cudowne uczucie lekkości i uświadomiła sobie, gdzie się znajduje. Otworzyła oczy. Coś dziwnego zasłaniało jej widok.

Uniosła się na łokciu i przyjrzała temu czemuś.

Ładna drewniana szkatułka, pięknie rzeźbiona i wysłana
aksamitem, stała obok na łóżku. Była otwarta, wewnątrz spoczywały
sznury małych, kremowych kul, kontrastujących fakturą i barwą z
aksamitem i drewnem.

Perły.

Służący przyniósł je, kiedy ubierała się do ślubu dwa lata temu.

Nancy zafascynowało ich piękno i bezcenna wartość. Nalegała, żeby

Verity włożyła perły na ceremonię zaślubin. Włożyła je, tak jak

stosowała się bez sprzeciwu do wszystkiego, czego od niej żądano

tamtego dnia. Ale ich wyjątkowa uroda nie zmieniła w najmniejszym

stopniu jej nastroju, nie sprawiła, że czuła się szczęśliwsza.

To właśnie te perły pierwsze zdjęła po weselnym śniadaniu w

obawie, że zerwie się któreś pasmo naszyjnika. Napłynęło wyraźne

wspomnienie, jedno z najwyraźniej szych z tamtego dnia - Nancy

podeszła do niej, kiedy odkładała perły na toaletkę w sąsiednim

pokoju.

- Muszę ci coś powiedzieć. - Tak Nancy zaczęła rozmowę, która

wywołała w niej wściekłość i skłoniła do ucieczki.

Podniosła perły. Żaden służący nie zostawiłby ich tutaj, na

poduszce. To musiał być Hawkeswell. Zwrócił jej prezent ślubny,

żeby miała go przed oczami, tak jakby nigdy nie opuściła tego domu i

tej posiadłości. Spodziewał się, że włoży je dziś wieczorem, tego była

pewna. Obrazilby się, gdyby tego nie zrobiła.

Sznury pereł opadły na jej dłoń i ramię. Ich dotyk był zupełnie

wyjatkowy, z niczym nieporównywalny. Czuła ich cudowny ciężar, gładkość perłowej powierzchni, dyskretne wrażenie luksusu. Te prawdopodobnie warte były fortunę. Nacieszy się nimi przez jeden wieczór. Ale te perły nie należały do niej.

Verity zeszła na kolację zjawiskowo odmieniona. Hawkeswell nie mógł oderwać od niej oczu. Nigdy dotąd nie widział jej w niczym innym niż w prostych, zwyczajnych sukniach, jakie ostatnio nosiła.

Uszyte z pozbawionego ozdób muślinu, zatarły wspomnienie jej sukni ślubnej.

A teraz interesujący, jasnobrązowy jedwab wpadający w odcień różu zamykał ją w długim, wąskim, miękkim pokrowcu elegancji.

Koronka zdobiąca rękawy, kraj sukni i głęboko wycięty dekolt kontrastowała przyjemnie z niezwykłą barwą materiału, przydając

całemu strojowi pikantnej świeżości. Wspaniały szal tego samego koloru, ale w bledszym odcieniu, okrywał jej ramiona, opadając

głęboko na plecy. Liczne sznury pereł otaczały szyję Verity, podkreślając jej wdzięk i ten szczególny sposób przechylania głowy, jakby w geście milczącego pytania.

Przechyliła ją i teraz, podchodząc do niego. Zauważyła, że patrzy na perły, i dotknęła ich. Z jej spojrzenia wyczytał, że je poznała, i wie, skąd się wzięły na jej łóżku.

- Wieczór jest ciepły. Zjemy na tarasie - powiedział.

- To mi odpowiada.

Jemu także. Będzie dość czasu na przestrzeganie reguł męczącej

etykiety, związanych z jej obecną pozycją towarzyską. Nie musieli spożywać kolacji w jadalni, która mogła pomieścić czterdzieści osób.

Wyszli na taras, gdzie ustawiono stół. Płomyki świec drżały w lekkich podmuchach wiatru, rozświetlając srebra i porcelanę, wciąż widoczne w gęstniejącym mroku. Zaczęto wnosić dania, bardziej wyszukane niż te, które zwykle tu podawano. Pani Bradley i kucharka uznały widocznie, że powrót hrabiny należy uczcić i na dziś wieczór zapomnieć o umiarkowaniu.

Zerknęła na ogród.

- Pamiętam, że był większy. Głębszy.

- Tyły ogrodu zdziczały. To była decyzja ogrodnika, gdy połowę jego ludzi trzeba było zwolnić. Trawa i krzaki rosną z niezwykłą szybkością. To coś niesłychanego.

- Utrzymanie takiej posiadłości musi sporo kosztować.

- Nauczyłem się oszczędzać. Jeśli to konieczne, można się zdobyć na wyrzeczenie się podziwiania ładnych widoków.

- Tę dalszą część ogrodu wciąż można odzyskać. Albo pozwolić, żeby cały ogród zdziczał. Za parę lat zarośnie krzewami wszystko i żaden fragment nie będzie się już wyróżniał.

Wypiła cały kieliszek wina i służący napełnił go na nowo.

Hawkeswell przyglądał się, jak Verity podnosi kryształowy kielich do ust. Ostatnie światła w domu zgasły i jej usta wydawały się bardzo ciemne w blasku świec. Ciemne i pełne erotyzmu.

- W ogrodzie nie ma wysokich drzew - powiedział. - Przez cały

rok jest tam dobre światło. Może, zamiast odbudowywać kwietne klomby albo pozwolić, żeby natura dokończyła dzieła, lepiej będzie założyć tam szklarnię.

- Utrzymanie szklarni wymaga mnóstwa pracy. Skoro pozwalniałeś ludzi...

- Problem braku służby w majątku wkrótce zostanie rozwiązany.

- A zatem szklarnia to doskonały pomysł. Dostarczałyby świeże kwiaty rezydencji przez cały rok. Jeśli spędzasz tutaj większość roku, przydałyby się również cieplarnia. Miałbyś wtedy na stole egzotyczne owoce.

- Jak duże powinny być, twoim zdaniem, szklarnia i cieplarnia?

Zastanawiali się nad wielkością, a ona opisała typy szklarni, które znała. Wiedziała sporo na ten temat i rozmowa ją wciągnęła. Śmiała się nawet, choć podejrzewał, że nie było jej do śmiechu tej nocy.

Służba usunęła się dyskretnie po skończonym posiłku, tak żeby państwo mogli swobodnie rozmawiać.

- Nie sądzę, żeby nasz stary ogrodnik znał się na prowadzeniu szklarni - zauważył. - Musiałabyś udzielać mu wskazówek, gdybyśmy się na to zdecydowali. To byłoby twoje królestwo, gdybyś zechciała.

W słabym świetle świec jej niebieskie oczy stały się niemal czarne, a każde uczucie odzwierciedlało się na twarzy z niezwykłą wyrazistością. Widział jej wahanie i zaskoczenie, że nagle nie rozmawiają o jego rezydencji, tylko o ich wspólnym domu.

- W Londynie też można urządzić szklarnię. Mogłabyś dalej

przeprowadzać swoje ogrodnicze eksperymenty, niezależnie od miejsca pobytu.

Patrzyli sobie w oczy przez długą chwilę. Potem odwróciła wzrok, starając się patrzeć wszędzie, tylko nie na niego. Zerknęła na płomyki świec, na ogród, na mur, tak jakby unikając jego widoku, mogła uniknąć tego, co nieuniknione.

W końcu spojrzała na szczyt stołu.

- Wolałabym kontynuować je w Najrzadszych Kwiatkach, póki sprawy między nami się nie rozstrzygną.

- Nie.

- A zatem pozwól mi zostać z Audrianną. Powiedziałeś, że powóz lorda Sebastiana wróci jutro do Essex. Pozwól mi nim odjechać.

- Nie.

Nie zapytała, dlaczego. Wiedziała. Mówiły to jej oczy. Urok tej nocy, otaczająca ich pełna zmysłowości atmosfera oczekiwania nie pozostawiała jej obojętną.

Wreszcie spojrzała na niego.

- A jeśli mimo to odjadę, bez twojej zgody?

- Ponieważ jestem twoim mężem, nie potrzebujesz mojej zgody, tylko pozwolenia.

- Wiesz, że tego nie uznaję.

Sięgnął przez stół do jej dłoni.

- Zmuszasz mnie, żebym postępował z tobą surowiej, niż chcę i niż potrzebuję. - Podniósł jej dłoń do ust i pocałował. - Małżeństwo

zostało zawarte i pora, żeby zaczęło się naprawdę.

Delikatnie uwolniła rękę i podniosła się zza stołu. Wstał także, nie tylko ze względu na etykietę, ale również na znak szacunku.

Niewysoka, nie sprawiała wrażenia silnej. A jednak wykazywała więcej determinacji i uporu w realizacji swoich planów, niż spodziewałby się po jakiegokolwiek kobiecie.

Patrzyła na niego w mroku. Przechyliła głowę w ten charakterystyczny dla siebie sposób.

- Kiedy zamierzasz zacząć je naprawdę?

- Wkrótce.

- Spodziewam się, że najpierw mnie o tym uprzedzisz?

Dotknął pereł.

- Już to zrobiłem. - Delikatnie musnął perły, a potem pozwolił palcom ześlizgnąć się niżej i dotknąć skóry pod sznurem klejnotów

Zamknęła oczy. Była zbyt niedoświadczona, żeby zdawać sobie sprawę, ile zdradziła tym gestem i drzeniem ciała.

- A jeśli... - Oblizwała wargi. Nie miała pojęcia, jak bardzo było to prowokujące. - A jeśli odmówię?

Nie zdecydował jeszcze, kiedy to „wkrótce” się stanie, ale niech go diabli, jeśli dopuści, żeby otworzyła kolejny front w swojej małej wojnie.

W jednej chwili wkrótce zamieniło się w bardzo niedługo, a bardzo niedługo w teraz.

Nie odpowiedział na pytanie. Stał po prostu, zbyt blisko, zbyt wysoki zbyt ciemny. Można by pomyśleć, że całą uwagę skupił na powolnym' miękkim dotykaniu jej skóry pod naszyjnikiem w delikatnej pieszczocie.

Zebrała siły. Jakie to zdradzieckie, że taki lekki dotyk mógł wywołać dreszcze przyjemności, które odwracały jej uwagę od wszystkiego innego.

Oprócz niego. Już sama jego obecność stwarzała wrażenie szokującej intymności. Reagowała na to, jakby nie miała wyboru.

Czuła podniecające gorąco.

Ciało zdradzało ją w straszliwy sposób. Doznania ze wzgórza odżyły, choć ledwie jej dotykał. Pragnęła im się poddać, zapominając o poważnych powodach, dla których w ogóle nie powinna na to pozwalać

Odmowa wprost wydawała się niemożliwa, ale zdołała się cofnąć, dalej od niego i jego dotyku. Podniecenie niosło zbyt wielkie niebezpieczeństwo, żeby mogła pozostać bierna.

Szedł za nią, krok w krok. Nie groził jej. Tylko stanął blisko, uniemożliwiając ucieczkę przed jego milczącą siłą.

Plecami dotknęła muru, nie mogła się dalej cofać.

Położyła rękę na jego piersi. Poczwała pod dłonią, przyciśniętą do jego ciała, jedwab kamizelki i cienki materiał fularu. Nie zrobiła tego po to, żeby go dotknąć, tylko żeby utrzymać z dala od siebie. Z

pewnością ten gest nie oznaczał niczego innego.

Miała wrażenie, że widzi jego uśmiech w ciemności. Położył dłoń na jej ręce, przyciskając ją do siebie jeszcze mocniej, zamieniając ten gest w rodzaj pieszczoty. Jego serce biło pod jej dłonią, czuła, jak wpływa w nią pulsujący rytm życia, czuła ciepło jego ciała i mięśnie napięte pod skórą torsu.

Podniósł jej dłoń i pocałował. Najpierw wierzch, a potem wewnątrz. Uwodzicielskie, delikatne pocałunki. Słodkie, namiętne i niebezpieczne, pewne swojej hipnotyzerskiej mocy. Pocałunki, które sprawiły, że zaszumiała w niej krew.

Jeszcze bliżej. Za blisko. Ich ciała nie stykały się, ale i tak przejmował ją dreszcz. Teraz jego dłonie, ciepłe, suche, emanujące męską siłą, obejmowały jej głowę, przychylając ją tak, żeby mógł dobrze widzieć jej twarz.

Zrozumiała wtedy, gdy w świetle księżyca ujrzała mężczyznę ogarniętego namiętnością, zrozumiała, że te pocałunki będą inne niż poprzednie i że tej nocy nastąpi kies nadziei na odzyskanie wolności.

Usiłowała przywołać wspomnienie Michaela, żeby z poczucia winy uczynić tarczę. Twarz Graysona zdała jej się twarzą ducha, a pocałunki śmieszłą dziecinadą. Próbowwała schronić się w innym sanktuarium, powstrzymać go słowami albo czynem. Ale pocałował ją, zanim zebrała myśli. Wszelkie plany obrony zawiodły.

Pocałunek, który miał oszołomić, usidlić, obezwładnić. Przed którym nie mogła uciec. Nie miała wyboru, jak tylko mu się poddać.

Najpierw słodki, potem głęboki i jeszcze głębszy, aż w końcu tak zaborczy, że zabrakło jej tchu.

- Służba - szepnęła, kiedy wreszcie skończył, zostawiając ją niemal omdlałą.

Tyle tylko zdołała powiedzieć. Żałosna, nieudana próba buntu.

- Odeszli już dawno. Są daleko, na dole albo na górze. Mają dość rozumu, żeby nie plątać się w pobliżu. - Pocałował ją znowu, delikatnie, tak delikatnie, że przemknęło jej przez myśl, iż źle odczytała jego intencje. Potem ją objął i zrozumiała, że się nie pomyliła.

Trudno myśleć, kiedy umysł zapomina o wszystkim poza przyjemnością. Jej świadomość przyjmowała tylko to, co działo się z jej ciałem, wykluczając rozsądek.

- Nie chcę... - z trudem wykrztusiła słowa protestu i zamilkła, kiedy musnął pieszczotliwie jej pierś, a jej ciało zadrżało z rozkoszy.

- Nie chcesz tego? - zapytał, kusząco przesuwając gorącymi wargami po jej szyi, uchu i ramieniu. Jego dłoń spoczęła na jej piersi, znowu ją pieszcząc. - Jesteś pewna? A może znowu się okłamujesz?

Za wiele tego kłamstwa było dzisiaj, nie sądzisz?

Jego dłoń wyczyniała okropne rzeczy. Cudowne rzeczy. Ledwie trzymała się na nogach, opuściły ją siły. Rozkosz oszalała, pozbawiając ją woli, rozpraszając myśli i uniemożliwiając opór. Nie chciała tego, ale jej ciało chciało, a on robił wszystko, żeby głos ciała okazał się silniejszy.

Nie mogła się temu oprzeć. Nie miała pojęcia, jak. Pożądanie zagłuszało słabą chęć sprzeciwu. Nie dopuścił, żeby było inaczej. Ale wiedział, co ona czuje, w to nie wątpił. Wiedział i rozumiał, i postarał się, żeby nie zaprotestowała znowu.

Jeszcze raz próbowała zebrać słowa, uciec przed tym, co miało związać ją z nim na zawsze. Jednak jej umysł skapitulował, przyznając, że zwycięstwo jest niemożliwe, bez względu na słowa, teraz czy później, jej plan nie miał szans powodzenia, nigdy nie zdoła się uwolnić. Powinna pozwolić, by zawładnęła nią rozkosz, i cieszyć się nią.

Pocałował ją mocno, władczo, zamykając w objęciach. Straciła poczucie rzeczywistości. Zatraciła się w rozkosznej mgle.

Już nie kłamała. Nie udawała. Chciała teraz więcej, nie mniej.

Pieszczota piersi me zadowalała jej już, tylko doprowadzała do szaleństwa. Bliskość nie wydawała się dość bliska. Wtopiła się w mego, zlewając we wspólnym oddechu, zapachu, doznaniach. On też znalazł się we mgle, stał się mgłą, otaczającą ją, wnikającą w nią.

Posadził ją na niskim kwietnym murku przy tarasie i obsypał namiętymi pocałunkami, podczas gdy jego ręce szarpały tasiemki z tyłu sukni. Zadrżała, kiedy je poluźnił. Zsunął z jej ramion stanik sukni i koszulkę, obnażając ją do pasa. Popatrzyła na siebie, na swoje pełne piersi bielejące w świetle księżyca, pod lśniącym, perłami .

Czuła, jak wrażliwe stały się ciemne stwardniałe sutki.

Teraz błagała. Czekwała. Pragnęła. Patrzyła na jego palce,

wstrzymując oddech w oczekiwaniu. Potem tortura, słodka tortura, która tylko wzmagała pragnienie, by nie było jej końca.

Ciemna głowa pochyliła się, a jego język nie odrywał się od jej piersi. Przytrzymała ją, żeby nie mógł przerwać pieszczoty. Oby trwała w nieskończoność. Pieszczota przeniosła się na nogi, gładził pończochę i podwiązkę, potem nagie ciało. Bardzo wysoko.

Rozsunęła nogi, przyzwalając na to. Niech przyniesie jej ulgę, niech ustąpi wilgotne gorąco, które tam czuła. W pieszczocie, nieustępliwej i zdecydowanej, przesuwał się coraz wyżej, aż dotarł tam i nieoczekiwana rozkosz przywiodła ją na skraj szaleństwa.

Unosiła się na nieistniejących falach, odpływała w dal, rzucona silnymi ramionami. Zniknął taras i murek, pozostała noc i gwiazdy.

Zapach fuksji i fiołków wokół, wilgotne, aksamitne płatki na skórze pleców, ramion, piersi.

Ściągnął z niej suknię i koszulę. Spojrzała na swoją nagość pośród kwiatów, na swoje białe ciało, pończochy i perły połyskujące w mroku. Ukląkł obok, zrzucając surdut i fular, nie odrywając od niej wzroku. Szafirowe oczy pochłaniały ją, rozkazywały, hipnotyzowały.

Czekała niecierpliwie, drżąc całym ciałem, spragniona płaczu z rozkoszy.

Dał jej to, czego chciała. Wiedział, jak. Och, tak, aż za dobrze. Z nią w ramionach, wśród kwiatów, sprawił, że zapłakała naprawdę.

Jego pocałunki, język i dłonie obiecywały więcej i więcej. Krzyknęła w ekstazie, nie będąc w stanie znieść rozkoszy.

Panował nad wszystkim, co się z nią działo, nie miała teraz nic do powiedzenia, żadnego wyboru. Jej ciało nie chciało odmawiać sobie niczego i cieszyło się, kiedy położył się na niej, chociaż przerażała ją własna bezradność, gdy czuła na sobie jego ciężar. Rozsunął jej nogi i nie ustawał w pieszczotach i całowaniu, aż wreszcie wszedł w nią, wypełniając ją sobą powoli, ale nieubłaganie. Ich ciała się złączyły. Mgła intymności zgęstniała i opadła, przenikając w głąb jej duszy.

Jej ciało wciąż było głodne i spragnione rozkoszy, chociaż ból wyrwał ją z oszołomienia. Otworzyła oczy. Napięty, twardy i ciągle panujący nad sytuacją, poruszał się rytmicznie, ale czuła, że i on zbliża się do granic szaleństwa, że i on, płonący z pożądania, pragnie, by rozkosz trwała bez końca.

Ból i rozkosz. Poddała się narastającej rytmicznie sile i napięciu. Rytm przyspieszał, aż nagle ustał. A potem była już tylko cisza i spokój, gwiazdy w górze i kwiaty na dole, i jego głęboki oddech znaczący upływ czasu.

- Musimy iść.

Jego głos, cichy i spokojny. Zbyt bliski. Zbyt rzeczywisty.

- Idź. Ja jeszcze chcę zostać. - Patrzyła na gwiazdy, wdychała zapach kwiatów, odnajdywała samą siebie. Z trudnością. Postarał się, żeby nigdy już nie była zdolna odnaleźć dawnej siebie.

Pora, żeby to małżeństwo zaczęło się naprawdę. O to także się postarał. Pozwoliła na to. Nie walczyła i prawie nie protestowała. To był bardzo słaby protest. O wiele za słaby. Nie chciała tego, wy-

chodząc za męża, ale nie mogła twierdzić, że nie chciała tego dzisiaj.

Wiedział, że ona tego nie chce, ale uwiódł ją i wmówił jej, że jednak chce.

Zdradziła dzisiaj nie tylko samą siebie. Także swojego ojca i ludzi, którzy liczyli się w jej życiu. Konsekwencje jej impulsywnego czynu czekały poza mgłą, która wciąż czyniła ją rozmarzoną i bezwolną.

Będzie musiała stanąć w obliczu swojej klęski. Jutro albo nawet wcześniej. Nigdy nie zdoła prowadzić w pełni takiego życia, jak zamierzała. Zastanawiała się, czy w ogóle będzie mogła takie życie prowadzić.

Wstał i podniósł surdut. Jego koszula jaśniała ponad nią.

- Ziemia jest wilgotna, niezdrowo tak leżeć. Chodź. - Wyciągnął rękę.

Przycisnęła ubranie do ciała i podniosła się. Jej nagość wydawała się teraz szalona i skandaliczna. Z trudem trafiła rękami do rękawów koszuli i ubrała się, osłaniając się przed jego wzrokiem.

Odwrócił ją i związał tasiemki sukni. Potem ujął ją za rękę i poprowadził przez ogród z powrotem na taras. Popatrzyła na okna i wyteżyła słuch. Czy służba naprawdę się oddaliła? Z pewnością i tak wszyscy się domyślili, co się stało. Ostatecznie nie było jej dwa lata.

Ich pan musiał dostać to, co mu się należało. Cieszyła się, że się nie odzywał, kiedy szli na górę do swoich pokoi. Z pewnością nie miał nic do powiedzenia. Jednak, kiedy dotarli do drzwi, odczuła gniew,

gdyż szok minął, przynajmniej częściowo. Schylił się, żeby

pocałować ją w policzek, i pozwoliła na to.

- Uważam, że dzisiaj postąpiłeś niehonorowo - powiedziała, żeby nie myślał, że nie rozumie, co się stało i dlaczego.

- To wina pereł. Wyglądały tak pięknie na twoich nagich piersiach, Verity. Byłaś niebezpiecznie prowokująca i straciłem zdrowy rozsądek.

Pocałował ją znowu i poszedł do siebie. Otworzyła drzwi i wślizgnęła się do środka.

Wina pereł. Co za bzdura. Hawkeswell spał długo i obudził się cudownie zadowolony. Zażądał kąpieli, leniwie pławił się w wodzie nalanej do wanny, póki nie wystygła, ubrał się i zjadł śniadanie, wypytując lokaja o to, co się działo w hrabstwie. Cały czas zastanawiał się, co powie Verity, kiedy ją zobaczy. Nie sądził, żeby przeprosiny były potrzebne. Ostatecznie jest jego żoną. Jednak nie był wobec niej tak delikatny, jak zamierzał. Dziwne.

Zwykle, czerpiąc rozkosz, zawsze panował nad sobą, starając się dać ją partnerce w równym stopniu. Nie miał pojęcia, co czuła Verity zeszłej nocy. Szczegóły zatarły się we wspomnieniu dzikiego pożądania, przeogromnej rozkoszy i nieziemskiego zaspokojenia.

Podjejrzał, niestety, że intensywność jego doznań świadczyła o braku dostatecznej uwagi. Posiadł ją brutalnie, a choć miał niewielkie doświadczenie z niewinnymi kobietami, wiedział, że nie był to właściwy sposób postępowania z nimi.

Gdy południe dawno minęło, udał się do apartamentu Verity.

Uznał, że dobrze będzie zapukać. Czekał na reakcję z mniejszym poczuciem zadowolenia niż rano. Przypominał sobie więcej szczegółów. Dosyć, żeby podejrzewać, że kiedy drzwi się otworzą, powieje bardzo zimny wiatr.

Nie podeszła do drzwi. Otworzyła je służąca, młoda, jasnowłosa dziewczyna, niosąca suknię z wczorajszego wieczoru i trzymająca w palcach igłę.

- Pani nie ma tutaj, milordzie. Wyszła, zanim ja tu przyszedłam.

Jednak rano Verity nie zeszła na dół. Wstrząsnęła nim nagła pewność. Znowu uciekła. Próbował ją pokonać. Co gorsza, uwodzenie okazało się w jego wykonaniu niezdarne i zadał jej ból. A teraz, uciekając, dała mu jasno do zrozumienia, że nigdy się nie podda.

Walcząc z gniewem i dręczącą obawą, zszedł na dół i przywołał Krippina i panią Bradley. Chodził niespokojnie w tę i z powrotem, planując, co napisze w liście do Summerhaysa, a co, w znacznie bardziej stanowczym tonie, do Daphne Joyes. Dopiero wtedy, gdy Krippin i pani Bradley wpadli do biblioteki, zdał sobie sprawę, że krzyczy.

- Chcę wiedzieć wszystko, co robiła moja żona dziś rano.

Przepytajcie służbę, zapytajcie stajennych. Zróbcie wszystko, żeby się dowiedzieć, dokąd pojechała.

Krippin spojrzał na panią Bradley. Pani Bradley skuliła się.

- Milordzie - odezwał się Krippin. - Lady Hawkeswell wstała wcześniej, zeszła na dół, poprosiła o herbatę i wypła ją w porannym pokoju. Potem wyszła na dwór. Jest w ogrodzie. Przed chwilą ją widziałem. Sądzę, że była tam przez cały czas.

Ogród. Oczywiście.

Poczuł się jak dureń. Ogarnęła go większa ulga, niżby się spodziewał. Wyszedł na taras. Wypatrzył ją na tyłach ogrodu, tam gdzie wdzierała się dzika roślinność. Miała na sobie niebieską, muślinową sukienkę i kapelusz, które po raz pierwszy zobaczył w Cumberworth. Widział, jak się schyla i podnosi, schyla i podnosi. Zszedł na dół i ruszył w jej stronę. Stary ogrodnik przycinał bukszpany koło tarasu, tuż obok klombu z pogniecionymi leżącymi na ziemi kwiatami. Każdy, kto spojrział na te kwiaty, musiał się domyślić, co tam się stało. Hawkeswell był pewien, że dostrzega wyraźne odbicie kobiecej głowy, ramion i bioder.

- Ten klomb należy wyciąć, Saunders.

Saunders przerwał przycinanie krzewu i skłonił się.

- Wziąłem się za to dziś rano, milordzie, ale milady to zobaczyła i zabroniła mi tego. Można ściąć kwiat i nic się nie stanie, ale wycięcie całej rośliny o tej porze roku może ją zabić, powiedziała.

- To prawda?

Saunders kiwnął głową.

- Powiedziała, że biedne rośliny nie powinny cierpieć z powodu nieostrożności jakiegoś głupca.

- Mówiła coś jeszcze?

Saunders zmieszał się.

- Nie pamiętam. Moja pamięć nie jest już taka, jak kiedyś, milordzie.

Hawkeswell poszedł dalej ścieżką, aż zrównał się z Verity. Raz jeszcze schyliła się i podniosła, wrzucając wyrwany chwast do ustawionego w pobliżu wiaderka.

Stanęli twarzą w twarz. Wśród dzikich traw rosły tu także kwiaty liliowe o szorstkich liściach i licznych płatkach, podobne do małych fioletowych stokrotek.

- Postanowiłaś odzyskać ten fragment?

- Chyba tak. - Wróciła do pracy.

- Saunders powiedział, że nie pozwoliłaś mu wyciąć kwiatów, które wczoraj zniszczyliśmy.

- Nie myśl, proszę, że zrobiłam to przez sentyment.

- Nie myślę.

- Nie ma powodu, żeby niszczyć rośliny. Służba i tak wie, co się stało. Pani Bradley wykazała niezwykłą troskę o moje zdrowie, kiedy zesłam dziś rano na dół. Wciąż pytała, jak się czuję i czy czegoś mi nie potrzeba. - Wyrwała kolejny chwast. - W istocie odeszli, na górę i na dół domu. Masz swoich świadków, tak jak tego zapewne chciałeś.

- Jestem pewien, Verity, że ani nas nie widzieli, ani nie słyszeli.

To tylko domysły. Ostatecznie, minęły dwa lata.

- Bez wątplenia czuli się okropnie z tego powodu, że tak długo

zmuszałam cię, żebyś żył jak mnich. Któż tutaj, w Surrey, mógł przypuszczać, że nie umartwiałeś się przez cały ten czas. Nie czytają londyńskich skandalizujących gazet i nie mają pojęcia o twoich kochankach.

O mało nie powiedział, że kochanka to nie żona. Że, czego się właśnie uczył, różni się bardzo pod wieloma względami. Zdrowy rozsądek powstrzymał go przed zapuszczeniem się na niebezpieczny grunt. Uśmiechnął się.

- Co jeszcze powiedziałaś ogrodnikowi? Twierdził, że nie pamięta, ale jest po prostu dyskretny.

Zdjęła rękawiczkę, żeby odsłonić czystą dłoń. Chusteczką wytarła kropelki potu gromadzące się u nasady szyi niczym maleńkie perły.

- Powiedziałam, że ślady nocy są tak oczywiste, iż może powinniśmy ustawić tam tablicę, żeby już się tym nie zajmować.

Pamiętkową tablicę. „Tutaj spoczywała lady Hawkeswell, gdy jej pan posiadał ją po raz pierwszy”. Nie mógł zgadnąć, czy się złości, czy żartuje.

- A co powiedziałaś, kiedy pani Bradley okazała zbytnią opiekuńczość i zapytała cię rano o zdrowie?

- Powiedziałam, że rano było mi trudno chodzić, ale to mija.

- Nie powiedziałaś tego naprawdę. - Zaniepokoił się lekko. -

Przyznaj.

Wrzuciła do wiadra kolejną kępkę roślin i korzeni, zerkając na

niego z błyskiem w oku zachwycona jego reakcją.

- Ludzie z moich stron są bardziej rubaszni niż tutaj, lordzie

Hawkeswell. Ale nie, naprawdę tego nie powiedziałam.

Przynajmniej nie złościła się na tyle, żeby nie żartować. Wróciła do pielienia. Zapadła cisza. Być może jakieś przeprosiny byłyby na miejscu.

- Nie było moim zamiarem sprawić ci ból, Verity. Jeśli tak się stało...

- Znam dokładnie twoje intencje, mój panie. Te dobre i te złe.

Im mniej o tym mówili, tym lepiej. Miał dość rozumu, żeby nie odpowiadać.

- Co do bólu, uprzedzono mnie o tym. I chodzę dzisiaj jak zawsze, nic mi nie dolega. Dziękuję za troskę.

Schyliła się, owinęła wokół ręki kolejną wysoką łądygę i szarpnęła. Strząsnęła ziemię i wrzuciła chwast do wiadra.

- Co zamierzasz posadzić na tym kawałku ziemi?

- Rośliny cebulkowe. Zasadzę je jesienią i zakwitną na wiosnę.

- Ogrodnik może przygotować grządki.

- Jest za stary. To ciężka praca.

- Przed jesienią najmiemy młodszych.

- Sama chcę to zrobić. Dobrze jest mieć jakiś cel.

Zdjął surdut i ułożył go na ziemi. Zamarła. Lekko pochylona, z rękawiczką owiniętą zielem, patrzyła na niego nieufnie. To samo zrobił poprzedniej nocy, zanim pozbawił ją dziewictwa.

- Lady Hawkeswell nie musi być taka ostrożna. Jej pan nie zamierza posiąść jej ponownie, kiedy spocznie na trawie w ogrodzie.

- Przyglądał się zarośniętemu klombowi, podciągając rękawy. - Czy chcesz wszystko stąd usunąć? To małe drzewko też?

- Tak, trzeba oczyścić cały ten teren. Musimy zacząć od gołej ziemi.

Schylił się obok niej, chwycił cienki pieńek samosiejki i wyciągnął drzewko z korzeniami.

Przez trzy dni ciekawscy sąsiedzi trzymali się z daleka.

Czwartego dnia zaczęły się odwiedziny. Po południu powozy przyjeżdżały i odjeżdżały. Damy przyglądały się Verity, a dżentelmeni uśmiechali pobłażliwie. Oczy lśniły ciekawością, której usta nie śmiały wyrazić.

Verity uprawiała ogród rano, potem się myła i przebierała, by spokojnie oczekiwać na ich przybycie. Czasami przeglądała stosik wycinków gazetowych i układała je według dat wydarzeń, a nie dat wydania. Pisała również listy, do Audrianny w Essex i do swoich drogich przyjaciółek w Najrzadszych Kwiatkach.

Listy również otrzymywała. Daphne napisała, że Katherine dotarła do nich bezpiecznie i wciąż przebywa w Najrzadszych Kwiatkach. Dalej pisała, że cztery rodziny z Mayfair zamówiły kwiaty i rośliny doniczkowe. Audrianna zapewniała w liście, że przyjedzie do Londynu, jak tylko Verity się tam pojawi.

Jednak z północy kraju nie przychodziły żadne wiadomości.

Audrianna niczego się nie dowiedziała. Verity miała nadzieję, że przynajmniej proboszcz da jej znać, że list od niej doszedł i został przeczytany Katy. Napisała do pana Trávisa, ale on również nie zareagował na jej prośbę, żeby opisał, jak się obecnie rzeczy mają w walcowni. Martwiła się, że jej listy w ogóle nie dotarły na miejsce.

Zmartwiona i pełna niepokoju, napisała w końcu do pana Thornapple'a, pytając o pana Trávisa i walcownię i prosząc o pomoc

w uzyskaniu wiadomości o losach niektórych spośród jej starych przyjaciół. Może pan Thornapple dowie się, czy Michael Bowman nadal tam pracuje i dzięki temu pomaga finansowo matce, a przy tym doskonalili swoje zawodowe umiejętności, czy też został aresztowany i osądzony.

Odpowiedź pana Thornapple'a przyszła szóstego dnia jej pobytu w Surrey. Jego list zarówno dodawał jej otuchy, jak i zaniepokoił. Zapewniwszy ją, że pan Travis wciąż wykonuje swoje obowiązki, przypomniał, że sprawy dotyczące firmy pozostają obecnie w gestii jej męża. Uprzejmie, acz stanowczo nakłaniał ją do tego, aby poświęciła się obowiązkom domowym.

Musiała, rzecz jasna, jechać do domu. Tylko tam, na miejscu, dowie się tego, czego się chce dowiedzieć. Musiała namówić Hawkeswella, żeby pozwolił jej na wyjazd. Złościło ją, że wypełnienie nawet części planu wymagało teraz jego zgody. Miała nadzieję, że dowie się paru rzeczy listownie, zanim uda jej się ruszyć w podróż, ale los jej nie sprzyjał.

Składała właśnie list od pana Thornapple'a, kiedy przed dom zajechał wspaniały powóz. Obserwowała z okna sypialni, jak wysiada z niego piękna, szykowna kobieta, zjawisko w bieli z plamką czerwieni - czerwonym piórem w kapeluszu. Przyjechała z wizytą Colleen i to nie sama. Starsza kobieta, obleczone w pruski błękit i chuda jak patyk, opuściła powóz tuż za nią.

Verity posłała po Hawkeswella. Zamknął się w gabinecie z

zarządcą. Przez ostatnich kilka dni, kiedy zajmował się sprawami majątku, prawie go nie widywała. Wyjeżdżał konno wcześnie rano i czasami wracał późno, z butami pokrytymi błotem.

Dołączył do niej, zanim panie weszły do bawialni.

- Colleen - zawołał na powitanie. - Witaj, ciociu Julio. Kochanie, to pani Ackley siostra mojej matki.

- Także musisz się do mnie zwracać „ciociu Julio”, moja droga.

Ja będę się do ciebie zwracać po imieniu. W naszej rodzinie nie hołduje się formalnościom we wzajemnych stosunkach.

Verity nie była pewna, czy ma chęć nazywać tę kobietę ciocią.

Na jej wąskiej, pomarszczonej twarzy rysowało się wścibstwo.

Wydawała się chudsza, starsza i mniej przyjemną wersją swojej córki Colleen.

- Wiem, że obiecałeś wkrótce nas odwiedzić, Hawkeswell - odezwała się Colleen, kiedy wszyscy usiedli. - Jednak pani Pounton mówiła, że była tutaj z wizytą, i to nie jako jedyny gość, i mama nie chciała dłużej czekać.

- Zatrzymały nas te wizyty, jak również moje obowiązki - odparł Hawkeswell. - Zamierzałem zabrać Verity, zanim ktoś zdążyłby jutro do nas zajrzeć, i przywieźć ją do ciebie, ciociu Julio.

Pani Ackley przyjęła to jako rzecz oczywistą. Wymienili plotki o pani Pounton i kilku innych osobach z sąsiedztwa. Później pani Ackley skierowała swą uwagę na Verity.

- A więc, moja droga, gdzie się podziewałaś przez cały ten czas?

Pytanie, postawione bez ogródek, zdumiało wszystkich obecnych w bawialni, z wyjątkiem samej pani Ackley.

- Inni nie śmieli o to pytać - kontynuowała tamta - a ty, oczywiście, nie mogłabyś udzielić odpowiedzi, gdyby jednak zapytali, wierzę jednak, że mnie to powiesz i zaufasz mojej dyskrecji.

- Mamo, proszę - powiedziała Colleen, rzucając Hawkeswellowi przepraszające spojrzenie.

- Ciociu Julio, liczy się teraz tylko to, że ona jest tutaj - stwierdził. - Nie pozwolę nikomu jej wypytywać, włącznie z tobą. Ciotka Julia dała za wygraną, ale jej odęte usta świadczyły o niezadowoleniu. Colleen zapytała pośpiesznie, jakie ulepszenia zamierza Verity wprowadzić w Greenlay Park.

- Odwiedzałam przyjaciół, pani Ackley. - Verity zwróciła się do ciotki męża. - Hawkeswell spotkał się z nimi i zna prawdę. Tak jak my ufamy twojej dyskrecji, tak ty możesz zaufać naszym wyjaśnieniom.

Pani Ackley smakowała podany jej kąsek.

- Przyjaciół, powiadasz.

- Tak. Przyjaciółki.

- Dziwne, że wizyta tak się przeciągnęła.

- Istotnie. Powodował mną dziecinny impuls.

- Ufam, że nie będzie więcej podobnych impulsów, zwłaszcza takich, które trwają dwa lata.

- Nie spodziewam się, żebym im uległa. A teraz, być może,

udzieliś mi rady w sprawie, o której wspomniała twoja córka. Co nowego mogę wprowadzić w tej szacownej rezydencji?

Ciocia Julia miała w zanadrzu długą listę udoskonaleń.

Wymienianie ich zajęło jej dobry kwadrans. Potem przeszła do londyńskiej siedziby Hawkeswella, a na koniec do własnych włości.

- Mój dom w Londynie jest zamknięty od roku, Hawkeswell.

Musisz mi przyrzec, że ponownie go otworzymy. Wyślę Colleen do miasta w ślad za wami, żeby zacząć przemeblowywanie.

- Pomówimy o tym oraz o długiej liście wydatków, jakie mi doradzasz, innego dnia, ciociu Julio. Mam powinności wobec innych, bardziej potrzebujących osób niż osoby znajdujące się w tym pokoju.

Ciotka wyraźnie nie była kontenta z ostatniej uwagi. Ponownie bacznie przyglądała się nowemu członkowi rodziny.

- Nie jesteś rozmowną młodą kobietą, Verity. Można nie zauważyć twojej obecności.

- Trudno jej się wypowiadać na temat odnowy domu, którego nigdy nie widziała, mamó - zauważyła Colleen.

- Jako hrabina, będziesz musiała nauczyć się konwersować, nawet nie mając nic do powiedzenia. W przeciwnym razie zyskasz opinię osoby zarozumiałej, Verity, a zważywszy na twoje pochodzenie, nie zostanie to dobrze przyjęte przez socjetę. - Przybrała współczujący wyraz twarzy. - Pozycja hrabiny cię przeraża, prawda?

To dlatego wyjechałaś. Nie bój się, moja droga. Colleen i ja pomożemy ci sprostać temu zadaniu na tyle, na ile to będzie możliwe,

tak żeby mój siostrzeniec nie musiał się zbytnio wstydzić.

- Jesteś wielce łaskawa.

- W istocie - powiedział Hawkeswell. - Aż nadto, dlatego musimy odrzucić twoją wielkoduszną ofertę. Zabierać twój cenny czas, żebyś mogła pouczać Verity? Nie, nie chcę o tym słyszeć. Wątpię, żebym kiedyś musiał się wstydzić, tak więc nauka, o której wspomniałaś, wydaje się niepotrzebna. Co do milczenia Verity dzisiaj, ja także pozostałem milczący. Podobnie Colleen. Twoja elokwencja zawsze odbiera innym mowę, napełniając ich podziwem.

Riposta zdziwiła panią Ackley. Nabrała niejasnych podejrzeń co do intencji siostrzeńca. Wbiła wzrok w Hawkeswella, usiłując dociec, czy za jego słowami nie kryła się jednak zniewaga.

Colleen wstała.

- Pora się pożegnać. Chodź, mamó. Chciałaś dziś odwiedzić panią Wheathill, a popołudnie mija.

Gdy Hawkeswell odprowadzał ciotkę Julię do holu, Colleen została na chwilę sama z Verity.

- Napisałam do twojego kuzyna, jak prosiłaś. Odpowiedź przyszła wczoraj. Thompsonowie są zaszokowani, oczywiście, ale także ogromnie uradowani. W przyszłym tygodniu wybierają się do Londynu i mają nadzieję, że ty także tam będziesz. Pragną cię zobaczyć i wyrazić swoją ulgę i radość.

- Zamierzam wkrótce wyjechać do miasta, więc być może rzeczywiście spotkam się z Thompsonami.

- Daj mi koniecznie znać, kiedy planujecie powrót. Dołączę do was i przedstawię cię przyjaciołom, którzy przebywają w mieście przez cały rok. Większość socjety wyjeżdża latem na wieś, ale może tak nawet będzie lepiej. Dzięki temu zyskamy czas, żeby zaplanować wszelkie zmiany. To wspaniałe zajęcie.

Verity zachowała rezerwę, ale okazała wdzięczność. Miała nadzieję ze plany Colleen nie wypełnią każdego jej dnia. Zamierzała zająć się jeszcze czymś innym tego lata niż tylko odnową londyńskiego domu i składaniem wizyt.

Tego wieczoru jedli kolację w wielkim jadalnym pokoju, w którym stał ogromny stół bankietowy. Gigantyczna powierzchnia politurowanego stołu wydała się Verity zabawnie przesadna, przy niej oboje, zasiadający obok siebie z jednego końca stołu, stawali się malutcy jak karzełki. Deszcz łagodnie bębnił o szyby. Rozpadało się na godzinę przed porą posiłku

Hawkeswell poruszył temat ciotki i kuzynki, gdy jedli bażanta przyrządzonego w smacznym brązowym sosie.

- Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego niektórzy uważają, że pokrewieństwo rodzinne pozwala na to, żeby być dla kogoś nieuprzejmym, wręcz niegrzecznym.

Przyjmij

moje

przeprosiny, Verity. Ciotka potrafi być denerwująca. Urażona, że zwlekaliśmy ze złożeniem jej hołdu, dziś po południu zapomniała się zupełnie.

- Nie sądzę, żeby się zapomniała. Cieszę się, że to powiedziała.

Teraz, kiedy te słowa padły, nie ma potrzeby ich powtarzać.

Mówienie, co się myśli, nawet jeśli jest się niegrzecznym, pozwala uniknąć nieporozumień.

- Dałaś sobie z nią wspaniałe radę, niezależnie od tego, co chciała osiągnąć.

- Nie, to ty sobie dałeś z nią radę. Gdybyś nie ustawił jej na właściwym miejscu, nie przestałaby dziobać. Dziękuję, że mnie broniłeś. -

Wzruszyło ją, że to zrobił, i jej wdzięczność płynęła ze szczerego serca. Mógł przecież zostawić ją samej sobie i pozwolić, żeby ciotka bawiła się jej kosztem.

- Myślę, że Colleen chce się z tobą zaprzyjaźnić.

- Ponieważ świetnie daję sobie radę z jej matką?

- Być może. A może domyśla się, co się kryło za twoją nieobecnością, i czuje się poniekąd za to odpowiedzialna.

Czyżby to, że Colleen wyraźnie chciała się z nią zaprzyjaźnić, miało stanowić zadośćuczynienie? Dzisiejszego popołudnia Colleen nadal sprawiała wrażenie sprzymierzeńca Thompsonów. Bardziej prawdopodobne, że Colleen nie poznała się na charakterze Bertrama i była w tej grze niewinnym pionkiem.

- Napisała do mojego kuzyna, jak obiecała, i dostała odpowiedź - poinformowała Hawkeswella. - Chcą mnie odwiedzić w Londynie.
- Czy tak wolisz?
- Wcale nie chcę ich podejmować, ani tutaj, ani w Londynie. Jeśli jednak musi do tego dojść, niech to będzie Londyn. Z pewnością nie chcę, żeby gościli tutaj.
- Zatem za parę dni pojedziemy do Londynu. I tak muszę wracać.

Mam pewne sprawy do załatwienia.

- Domyślam się, że złożysz wizytę mojemu powiernikowi, panu Thornapple'owi.
- Tak. Muszę podpisać pewne dokumenty.
- Czy powinnam ci towarzyszyć?
- To nie jest konieczne.

Oczywiście, że nie. Nie miała już nic więcej do powiedzenia w sprawie spadku. W oczach prawa przestała istnieć. List pana Thornapple'a dawał jej to dobitnie do zrozumienia.

Począwszy od tej chwili jej mąż miał otrzymywać dochód z przedsiębiorstwa wraz z tym, co zdążyło się zgromadzić od śmierci jej ojca na funduszu powierniczym. Z chwilą zawarcia małżeństwa fundusz przestał działać i wszystko przechodziło na męża.

Zamierzała spotkać się sama z panem Thornapple'em, żeby prosić o radę w sprawie unieważnienia małżeństwa. Ale teraz nie było już po co. Nie mogła twierdzić, że wyszła za mąż nie z własnej woli, skoro zgodziła się na konsumpcję małżeństwa.

A tak właśnie było. Zgodziła się. Mimo że bardzo się starała przez ostatnich pięć dni, nie mogła się oszukiwać, co zaszło tamtej nocy. Uwiódł ją, to pewne, choć wiedział, że bardzo jej zależy na uniknięciu intymnego zbliżenia. Wykorzystał jej niewiedzę, niewinność, ale do niczego nie zmuszał.

Ta intymna bliskość wpłynęła na zmianę ich wzajemnego traktowania się. Hawkeswell demonstrował pewność siebie mężczyzny, który pomyślnie załatwił ważną sprawę. Ona za to czuła się gorzej - z nim i ze sobą - teraz, kiedy życie, którego nie miała prowadzić, stało się koniecznością.

- Czy pomagasz im finansowo? - zapytała, mając na myśli krewnie Hawkeswella, które złożyły im wizytę. - Odniosłam wrażenie, że oczekują, iż wyłożysz teraz na nie znaczne pieniądze.

- Matka prosiła, żebym zadbał o ciotkę, więc robię to. Ciotka Julia poślubiła oficera, który zostawił jej w spadku bardzo niewiele. Damy niekiedy mają spore wymagania, więc dotrzymanie obietnicy bywa dla mnie trudne.

- Z pewnością zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. Są świetnie ubrane, więc przypuszczam, że byłeś hojny.

- Żałuję, że nie mogłem powiększyć majątku Colleen. Jej fundusz powierniczy jest bardzo skromny. Chyba szczęśliwie się składa, że nie ma ochoty wychodzić za mąż. Wciąż opłakuje narzeczonego z lat dziewczęcych, który zmarł po nieszczęśliwym upadku z konia.

- Może teraz, kiedy będzie można ją lepiej uposażyć, młodzi

ludzie postarają się o to, żeby porzuciła żalobę. Będę ją do tego zachęcać.

- Sprawisz mi przyjemność. Jesteśmy sobie bardzo bliscy od dzieciństwa, traktuję ją jak siostrę.

- A zatem zrobię wszystko, żeby również widzieć w niej twoją siostrę, pod warunkiem że nie będę musiała uznać ciotki Julii za teściową.

- Boże broń.

Padał deszcz i mrok zapadł wcześniej. Zanim skończyli posiłek, w pokoju zrobiło się ciemno. Verity wstała.

- Pójdę do siebie i posłucham deszczu, czytając dobrą książkę.

Wziął ją za rękę, żeby nie mogła odejść od razu. Przyjrzał się jej.

Jasna suknie i wenecki szal. Szyja, na której nie pojawiły się od tamtej pory perły. Spojrzał jej w oczy.

- Verity, w twojej garderobie są drzwi. Otwierają się na wąski korytarz. Zauważyłaś je?

- Tak. To dziwny korytarz, który niczemu nie służy, ale ma okno z ładnym widokiem.

- Ten korytarz pełni ważną funkcję. Łączy nasze apartamenty.

W pamięci starała się odtworzyć układ pokoi. Wydawało jej się, że jego pokój znajduje się znacznie dalej.

- Verity, chciałbym, żebyś dzisiaj wieczorem zostawiła te drzwi otwarte.

- Tak, oczywiście. - Nie zaskoczyło jej to. Nie miała pojęcia, jak

często dochodzi do tych rzeczy, ale wiedziała, że to tylko kwestia czasu i że to znów ją spotka.

Pocałował jej dłoń i puścił ją. Ruszyła na górę, żeby przygotować się do najbliższej nocy.

Spodziewał się, że drzwi nie będą zamknięte, ale nigdy nie było wiadomo, co Verity przyjdzie do głowy. Ucieszył się więc, kiedy udało mu się wejść bez przeszkód do jej sypialni.

Przez ostatnich kilka dni zachowywała się dziwnie. Odnosiła się do innych osób bardzo oficjalnie, jakby to, że nieodwołalnie przybrała tytuł hrabiny, kazało jej przywołać całą wiedzę na temat etykiety i ćwiczyć ją całymi dniami. Dawała sobie znakomicie radę, podejmując gości z hrabstwa, i próbowała nawet okazać ciotce Julii arystokratyczną wyższość. Niestety, jego także traktowała z tą samą chłodną rezerwą.

Od sześciu dni trawił go ogień pożądania. Podczas posiłków siedziała wyprostowana jak struna, podnosząc do ust widelec powolnym, wystudiowanym ruchem, a część jego umysłu skupiała się tylko na erotycznych wyobrażeniach. Teraz, w ciemnościach sypialni, kiedy próbował odtworzyć w pamięci rozkład mebli, w jego duszy szalała burza.

Czekał, żeby oczy przyzwyczyły się do ciemności, ale pokój wciąż był pogrążony w atramentowej czerni. Przyszło mu do głowy, że mogła to zaplanować i zastawić pułapki w postaci krzeseł i kufrów. Uśmiechnął się do siebie na myśl o podobnej zemście, ale wrócił do

własnej garderoby i przyniósł małą lampkę. W jej świetle okazało się, że nie czekały na niego żadne pułapki. Verity spoczywała w łóżku, z ciemnymi włosami rozrzuconymi na białej pościeli.

Przypomniawszy sobie, że celem tej nocy jest dać jej rozkosz, zadośćuczynić za poprzednią niezręczność. Zona czy nie żona, prawo nie prawo, rozsądek nakazywał mu uczynić wszystko, żeby nigdy nie myślała o tym jako o bolesnym obowiązku. Zbliżył się do łóżka, walcząc z gwałtownym pożądaniem, które wzbudziło erekcję. Była ledwie cieniem pod przykryciem. Oczy miała zamknięte, ale długie rzęsy drżały. Postawił lampę na stole, zrzucił szlafrok i podszedł do niej.

Ku jego zaskoczeniu otworzyła oczy. Patrzyła na niego.

Przyglądała się mu. Minęło tylko sześć dni, odkąd straciła niewinność, a badała wzrokiem jego nagość z nieukrywaną ciekawością wytrawnej kurtyzany. Wsunął się pod przykrycie, sięgnął do niej ręką i zdziwił się ponownie.

- Rozebrałaś się już.

- Ty też.

- Tak. Jednak...

- Czy miałam czekać w wieczorowej sukni? Albo szlafroku? Nikt tych rzeczy nie wyjaśnia, w każdym razie nie mnie. Ostatnim razem podarłeś moją ulubioną suknię. Pokojówka świetnie radzi sobie z igłą, ale sukni nie da się już naprawić. Wybacz, jeśli popełniłam błąd, chciałam jednak ochronić garderobę przed twoją niecierpliwością.

- To rozwiązanie jest zarówno praktyczne, jak i pożądane. -

Przyciągnął do siebie jej ciepłe, miękkie ciało. - Tym razem nie będę niecierpliwy, a dla kobiety jest nieprzyjemny tylko pierwszy raz.

Dzisiaj poznasz prawdziwą rozkosz, Verity. Przyrzekam.

Ciepło. Siła. Ciało dotykające ciała i przerażająca fizyczna

bliskość, która zawładnęła wszystkimi jej zmysłami. Ukryła

zdumienie, ale jego nagie ciało, które dotykało ją w tak różnorodny

sposób, wciąż ją szokowało, tak jakby w swojej nagości nie

oczekiwała, że śmiałość może być obustronna.

Było inaczej niż wtedy, gdy ją pierwszy raz pocałował. Żadnych

niezdecydowanych protestów. Prób odzyskania panowania nad sobą.

Żadnego sprzeciwu wobec siły. Pogodziła się z sytuacją, kiedy

odpawiła służącą, zdjęła swój ulubiony szlafrok i weszła do łóżka.

Nie śpieszył się. Kusił ją i uwodził długimi, zmysłowymi

pocałunkami. Pieszczotą wprawnych rąk domagał się, żeby jej ciało

poszło za przykładem umysłu, poddając się temu, co nieuniknione.

Przykrycie zsunęło się, leżeli niczym nieosłonięci. W świetle

lampki jej ciało było wystawione na jego spojrzenia. Patrzyła, jak ją

całuje w różnych miejscach, zostawiając drobne piętna, a każdy

pocałunek przeszywał ją dreszczem. Natłok doznań pokonał resztki

nieśmiałości.

Patrzyła, jak wodzi po jej ciele dłonią. Miał bardzo męską rękę,

silną, twardą, ciemniejszą niż jej skóra. Pieścił delikatnymi ruchami

jej piersi, całując, szyję i ramiona, a w niej, o wiele niżej, zaczynało

coś pulsować. Drżała na wspomnienie tego, co miało nadejść.

Pożądanie. Dlatego drżała. Doznania stawały się coraz przyjemniejsze i pożądanie narastało. Wiedziała, co się z nią dzieje. Wiedziała, że z każdą coraz śmielszą pieszczotą i z każdym pocałunkiem będzie się coraz bardziej zatracać.

Nie opierała się temu, nie przeciwstawiała się własnej cielesności. Nie było już powodu. Skrępowanie ustąpiło. Poddała się z ulgą i rezygnacją. Podobnie jak poprzednim razem, przyjemność stłumiła na jakiś czas poczucie winy. Później zapewne zacznie rozpamiętywać, jak zdradziła swoje nadzieje, dziedzictwo, nawet życie, ulegając temu człowiekowi. Później pomyśli o Michaelu i jego uśmiechu z tęsknotą i obawą o jego los.

Palce Hawkeswella zaczęły drażnić jedną z jej wyprężonych, nagle bardzo wrażliwych brodawek i wtedy zamknęła oczy, żeby nic nie odciągało jej uwagi od cudownego podniecenia, jakie wywoływała w niej ta pieszczota. Pochylił się ku niej i jego wargi, język i zęby na jej drugiej piersi wzmogły to podniecenie. Przyłgnęła do niego, trzymając za ramiona. Jej plecy wygięły się w łuk, a ona podsuwała ku niemu piersi i błagała, by je pieścił.

Jej ciało reagowało na najdelikatniejszy dotyk. Cała była oczekiwaniem. Pożądanie narastało falami, ogarniało ich oboje, wybijało rytm w jej ciele, w jego oddechu. Jeszcze, tak, jeszcze. Radosna, cudowna przyjemność. Pocałunki i pieszczoty, na przemian delikatne i brutalne, i szaleństwo, wspaniałe szaleństwo. Rozkosz

porażająca wszystkie zmysły, w całej pełni ukazująca swoją pierwotną potęgę.

A teraz ta ręka, silna ręka, przesuwała się niżej, powoli, zbyt wolno, tak wolno, że z jej gardła wyrwał się jęk. Sunęła tam, gdzie w niej coś pulsowało. Nic już nie istniało, tylko to. To tam było źródło pożądania i rozkoszy. Pochwyciła w dłonie jego głowę i uniosła do pocałunku. Całowała go w porywie żądz, chcąc więcej, natychmiast więcej.

- Jesteś zbyt niecierpliwa - skarcił ją cicho.

Jego ręka spoczęła wysoko na jej udzie, od wewnętrznej strony.

Uniosła instynktownie biodra.

- Tego właśnie chcesz? - Palce dotknęły miękkiego miejsca,

zwilgotniałego i rozpaczliwie, szaleńczo wyczekującego.

Niewyobrażalny przyływ rozkoszy. I jeszcze jeden. I kolejny.

Szaleństwo narastało. Świadomość skupiona na maleńkim punkcie,

poza którym już nic nie istniało.

I wreszcie doznanie, którego dotąd nie doświadczyła, intensywne

i gwałtowne, przenikające całe ciało i docierające do głębi jestestwa

w jednym długim dreszczu, porażającym wszystkie zmysły.

Czekał na ten moment. Opadł na nią i ich ciała się spotkały.

Wszedł w nią, a ona nie wiedziała, czy sprawiło to jej ból, czy nie.

Ten dreszcz ciągle ją przenikał i był tak zachwycający, że przemógłby

ból. Intymność. Wzajemna bliskość. Jego ciało czyniące z jej ciałem

to, czego on chciał, a co wprawiało ją w cudowne oszołomienie.

Wprawna ręką ułożył jej nogi w pozycji, którą uznał za dogodną, i podciągnął ją ku wezłowiowi łóżka, dającemu oparcie, a potem wypełnił ją sobą i brał całą, brał jej ciało i duszę.

- Czy zawsze będziesz mnie uprzedzał, kiedy mam zostawić te drzwi otwarte? - Jej głos przerwał długą ciszę. Miłosne uniesienie zaczynało już opadać.

Czemu nie, mógłby, ale jego głowa nie nadawała się w tej chwili do logistycznych rozważań. Przywykł jednak do różnego rodzaju negocjacji z kobietami w łóżku.

- Powinnaś zostawiać je otwarte każdej nocy. Nie sądzę, żeby formalne zapowiedzi były ogólnie przyjętym zwyczajem.

- A zatem nigdy nie będę wiedziała? Mam czekać, nie śpiąc, przygotowana na twoje przyjście, jeśli tego zechcesz? A jak się nie zjawisz? Mogę czekać na próżno całą noc zamiast spokojnie spać.

- Nie sądzę, żeby ci to groziło.

- Chcesz powiedzieć, że zamierzasz przychodzić co noc?

Miał na myśli to, że nie grozi jej czuwanie całą noc, bo na pewno by w końcu usnęła, niezależnie od poczucia obowiązku. Jednak należało odpowiedzieć na pytanie, a jej zdziwienie jeszcze raz przypomniało mu o jej niewiedzy.

- Prawdopodobnie. Przez długi czas, tak, najprawdopodobniej będę przychodzić co noc.

Nie zapytał, czy się na to zgadza. Wolał nie podejmować dyskusji na ten temat.

- Nie sądzę, żeby to było takie nieprzyjemne - powiedziała. - Być może miałaś rację i pod tym jednym względem dobrze do siebie pasujemy.

Podniósł się na łokciu i spojrzał na nią. Uniesiona brew świadczyła, że się nad czymś zastanawia. Słyszał to również w jej głosie.

- Będziemy do siebie pasować bardziej niż dobrze, jeśli będziesz nadal śmiała i uczciwa.

- Śmiała i uczciwa? Taką mnie widzisz?

- Te słowa dobrze opisują sposób, w jaki przyjmujesz rozkosz. -

Uznał, że opisują także w dużym stopniu ją samą.

- Guwernantka uczyła mnie, że mężowie wolą skromne i cnotliwe żony.

- Cieszę się, że okazałaś się tak słabą uczennicą.

- A więc nie zaszokował cię mój brak powściągliwości?

- Wcale.

- Mnie tak. Przypuszczam, że ciebie nie, ponieważ doświadczyłeś wcześniej takich rzeczy z innymi kobietami.

Zupełnie niespodziewanie sprowadziła rozmowę na grząski grunt. Nie słyszał w jej głosie oskarżenia. Była tylko śmiała i uczciwa, jak to ona. Postanowił jednak zachować ostrożność.

- Inne kobiety? Ach, chodzi ci o moją odległą przeszłość. Tutaj zapomniałem o nich kompletnie.

Zachichotała, potem roześmiała się głośno. A gdy złapała

oddech, pochyliła się ku niemu i dziobnęła go w policzek ustami, po czym znów opadła plecami na łóżko.

- Dziękuję za twoje starania, Hawkeswell. Jednak, jako osoba śmiała i uczciwa, nie mam złudzeń.

Bagno stawało się coraz bardziej niebezpieczne. Uznał, że ta rozmowa trwa wystarczająco długo, żeby Verity nie poczuła się zlekceważona.

Pocałował ją, odczekał chwilę, pogrążony w przyjemnych wspomnieniach, a potem opuścił jej łóżko i wyszedł z sypialni.

Rezydencja Hawkeswella przy Hanover Square wydawała się w lepszym stanie niż Greenlay Park. Nie był to najlepszy adres, jak napisała w liście Celia. Eleganckie towarzystwo już dawno zdążyło się stamtąd wyprowadzić. To, że hrabiowie Hawkeswell wciąż tam pozostawali, dowodziło, że ich świetność gasła od paru pokoleń.

Widok niektórych pokoi upewnił Verity, że jednak będzie jej się tutaj żyło całkiem przyjemnie. Biblioteka mogła wymagać odnowienia, jak sugerowała ciotka Julia, ale Verity podobała się tapicerka i ciemne drewno, a także piękne, duże okna wychodzące na plac.

Salon natomiast wydawał się zimny ze swoim eleganckim

umeblowaniem

i

surowym,

klasycystycznym

wystrojem.

Podejrzewała, że rzadko go używano w ostatnich latach. Wątpiła, żeby Hawkeswell urządzał przyjęcia w domu. Jeśli zaglądali do niego jacyś dżentelmeni, zapewne przyjmował ich w bibliotece albo na górze, w swoim apartamencie.

- Oto i ogród - powiedział Hawkeswell, otwierając jedno z drzwi

balkonowych w długiej galerii na tyłach domu, która służyła także za

salę balową. - Obiecaj, że mnie nie złajasz.

Wyszła na szeroki taras, wyłożony czymś, co wyglądało na

surowy marmur. Ogród rozciągał się przed nią hen daleko, aż do ceglanego muru na tyłach, który skrywał jakieś zabudowania, zapewne powozownię i budynki gospodarcze.

- Och, mój Boże.

- Chcesz powiedzieć, że ogrodnik nie jest najlepszy.

- Jest niekompetentny. Cisy są w fatalnym stanie, krzewy źle przystrzyżone. Obawiam się, że on nie ma pojęcia o kształtowaniu krajobrazu.

- Wierzę, że nim pokierujesz.

Zeszła po stopniach i stanęła w nieszczęsnym, zaniedbanym ogrodzie.

- Nie jestem pewna, czy zdołam. To zadanie może mnie przerosnąć.

- Korzystaj z wszelkiej pomocy. Zwolnij ogrodnika i najmij innego. Najmij trzech. Decyzję zostawiam tobie.

Popatrzyła na szereg źle rozplanowanych małych klombów.

Należało ogród jeszcze raz zaprojektować i urządzić od nowa.

Obeszli całą posiadłość. Na koniec znaleźli się w jej apartamentach. Podobnie jak w Greenlay Park, niedawno wymieniono w nich materiały. Zastanawiała się, czy to Colleen i ciotka Julia zadbały o estetykę jej pokoi w obu rezydencjach, a nie sam Hawkeswell.

Jednak wydawało się, że czeka on na słowa jej aprobaty. Patrzył, jak Verity dotyka narzuty na łóżku i wygląda przez okno. Poszedł za

nią, kiedy otwierała drzwi i szuflady w garderobie.

Wypatrzyła drzwi za toaletką.

- Kolejne dziwne przejście?

Dotrzymał słowa i korzystał z tamtego korytarzyka w każdą noc.

Przyzwyczała się na niego czekać. Czasami, czekając, widziała go

takim, jak pierwszej nocy, idącego w jej stronę, nagiego,

pobudzonego, o pociemniałych oczach i ściągniętej pożądaniami

twarzą. Czowała, jak jej ciało rozbudza się i ożywia z podniecenia.

- Tym razem żadnego korytarza. Garderoby przylegają do siebie.

Otworzył drzwi, pokazując jej własną, z szafami, stołami i krzesłami.

Służący przestał wieszać ubrania i skłonił się.

- To pan Drummund. Jest moim kamerdynerem od... jak to już

długo, Drummund?

- Pełnię ten zaszczytny obowiązek od dwunastu lat, sir. Od pań-

skich uniwersyteckich czasów. - Drummund wydawał się poruszony

poświęconą mu uwagą.

- Na początku miał mnóstwo pracy - stwierdził Hawkeswell. -

Przez pięć ostatnich lat życie stało się dużo nudniejsze, prawda,

Drummund?

- Nigdy nudne, sir. - Wrócił do ubrań. - Jest poczta. Już miałem ją

przesłać do Surrey.

Hawkeswell zainteresował się nadesłanymi listami. Verity

wróciła do swoich pokoi i tam również na nią czekała poczta, która

przyszła rano.

Audrianna zawiadamiała, że ona i lord Sebastian także wrócili do Londynu. Verity westchnęła z ulgą uszczęśliwiona, że jedna z drogich przyjaciółek będzie tak blisko.

Hawkeswell zanurzył pióro w atramencie i zaczął podpisywać plik sporządzonych na welinowym papierze dokumentów, który położył przed nim Thornapple. Z każdym podpisem przejmował kontrolę nad majątkiem Verity.

Radca stanowił ideał profesjonalnej obojętności. Jednak kiedy obrócono ostatnią, ciężką kartę, zdjął okulary i spojrzał na Hawkeswella, składając jednocześnie papiery.

- Mam nadzieję, że przyjmie pan drobną radę w sprawie owego spadku, który otrzymała pańska żona, lordzie Hawkeswell.

- Oczywiście.

- To przedsiębiorstwo przemysłowe. Bardziej jest podatne na załamania gospodarki niż dochód czerpany z posiadłości ziemskich.

Jego potencjał jest większy, ale niebezpieczeństwo także. Lady Hawkeswell wniosła panu w wianie ładny dochód, a po rozwiązaniu drugiego funduszu, w którym gromadzono dochody, kiedy była niepełnoletnia, otrzymał pan do swojej dyspozycji spory majątek także z tego źródła. Nie ma jednak gwarancji, że dochód będzie wciąż napływać.

- Spodziewam się, że zapotrzebowanie na żelazo raczej wzrośnie, a nie spadnie. Nie ma gwarancji, ale nie ma też powodu, żeby obawiać się najgorszego.

- Myli się pan. Groźba jest bardzo realna. Walcownie są solidnymi przedsiębiorstwami, ale obecnie cierpią na skutek powojennej ekonomicznej depresji. Co więcej, ponad połowę rocznego dochodu w walcowni, którą założył Joshua, zawdzięcza się wykorzystaniu nowych rozwiązań technicznych. Na razie wynalazczy geniusz Joshuy zapewnia sukces. Nigdy nie opatentował swojego wynalazku, jak pan wie zapewne, ponieważ oznaczałoby to ujawnienie samej metody, a nie wątpił, że inni zaczną wykorzystywać jego pomysł. Gdyby jednak owa metoda stała się ogólnie znana, zyski znacznie by spadły. - A gdyby nikt, po śmierci wynalazcy, jej nie znał?

- Wówczas nie byłoby żadnych zysków.

Zależność fortuny finansowej od kaprysów samej bogini Fortuny nie uszła uwagi Hawkeswella. Zastanawiał się nad tym, odkąd Verity powiedziała mu, jak przedstawia się stan interesów w Essex.

- Jak miewa się lady Hawkeswell? Przygody, które ją spotkały, nie odbiły się na jej zdrowiu? - rzucił mimochodem radca. Thornapple był, oczywiście, ciekaw jak wszyscy inni, ale, w przeciwieństwie do innych, znał ojca Verity i, jako powiernik sprawujący pieczę nad jej majątkiem, naprawdę się o nią troszczył. - Nie ucierpiała ani trochę na skutek owych przygód, może dlatego, że nie były to prawdziwe przygody. Przez cały ten czas przebywała niedaleko Londynu. Zamieszkała u wdowy, którą uważa za bliską przyjaciółkę. Thornapple oparł się wygodnie w fotelu, wyraźnie odprężony.

- Jestem panu wdzięczny za te wyjaśnienia. Odczułem ulgę na jej widok, gdy weszła wtedy do biblioteki. Moja reakcja mogła się wydawać mało serdeczna, ale prawdę mówiąc... - Urwał i zabrał się ponownie do składania papierów. - Prawdę mówiąc?

- Uznałem, że nie żyje. Chyba jak wszyscy.

- Ale nie jej kuzyn.

- W swoim dobrze pojętym interesie Bertram Thompson wolał nie zakładać, że Verity nie żyje. Nie łączą ich więzy krwi i nie odziedziczyłby jej części majątku. Widzę, że jest pan tym zaskoczony, wnioskuje więc, że pan o tym nie wiedział.

- Nie.

- Jest synem żony wuja Verity. Ale jest jej dzieckiem z pierwszego małżeństwa. Bertram uważał, że powinien odziedziczyć więcej, można by jednak dowieść, że w ogóle nic mu się nie należy.

Bieg wypadków po zawarciu małżeństwa spowodował, że Hawkeswell stracił zainteresowanie testamentem ojca Verity, ale teraz jego ciekawość odżyła.

- Ojciec zostawił jej jednak dużo większe udziały niż jemu.

- Siedemdziesiąt pięć procent. Bertram Thompson dostał dwadzieścia pięć. Ojczym Bertrama, Jeremiaha, pomógł zbudować to przedsiębiorstwo, ale jego udział - połowa - przeszedł na Joshuę po śmierci Jeremiaha. Bertram sądził zapewne, że odzyska przynajmniej tamtą część - połowę - gdy z kolei zmarł Joshua. Nie był zadowolony, kiedy poznał prawdę.

Thornapple ułożył papiery w dwóch schludnych stosikach.

- Zgodnie z testamentem Joshuy własność ma być zachowana w jej imieniu i dziedziczona tylko w obrębie związków krwi. Myślę, że w Yorkshire mogą żyć jacyś odlegli krewni. Nie, Bertram nie chciałby, żeby ci obcy ludzie zjawili się nagle i odsunęli go na bok. Twierdzą, że nawet po siedmiu latach dowodziłby, że w związku z nieodnalezieniem ciała należy ją uznawać za żyjącą.

Hawkeswell pożegnał się i zabrał swój stosik papierów. Wracając do domu, zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Thornapple'a.

To przynajmniej wyjaśniało, dlaczego Bertramowi odpowiadał stan zawieszenia, panujący w dwóch ostatnich latach. Póki Verity żyła, nikt nie odebrałby mu przedsiębiorstwa. Być może modlił się o to, żeby Verity żyła, także dlatego, że była jedną z dwojga osób na świecie, którzy znali sekretną metodę jej ojca.

- Myślę, że powinna stanąć dokładnie w tym miejscu - oznajmiła Daphne, stanąwszy na ścieżce prowadzącej na tyły ogrodu. - Jeśli chcesz mieć szklarnię z prawdziwego zdarzenia, należy tutaj ją postawić, bo to najbardziej nasłoneczniona część ogrodu.

- Ona ma rację - odezwała się Celia. - Musisz także nadzorować budowę szklarni. To nie może być zwyczajna szklarnia, skoro ma zdobić miejską rezydencję hrabiego.

Verity przyjrzała się miejscu, które polecała Daphne. Niezależnie od tego, gdzie miała stanąć, i od piękna samej konstrukcji miała to być skromna szklarnia, nie taka jak w Najrzadszych Kwiatkach. Nie

zamierzała hodować niczego na sprzedaż.

- Jesteś pewna, że to się Hawkeswellowi spodoba? - zapytała

Audrianna.

- Wolalabyś zapewne nie drażnić go niepotrzebnie - dodała sucho

Daphne.

- Mówiłam wam, że to jego pomysł - odparła Verity. - Powierzył mi oba ogrody i mogę nimi rozporządzać wedle mojej woli, jak mi się żywnie podoba.

- To brzmi tak, jakbyś zamierzała zostać tutaj wystarczająco długo, żeby dopilnować ich uporządkowania - stwierdziła Daphne. -

Już pogodziłaś się z faktem, że jesteście małżeństwem?

- Jesteś wścibska, Daphne - skarciła ją Celia, śmiejąc się cicho. -

Ale, proszę, nie pozwól sobie przerywać.

Uśmiech Verity przeszedł w lekki grymas.

- Spodziewam się, że zostanę tutaj długo. Pogodziłam się z tym, że nie będzie unieważnienia małżeństwa, jeśli Hawkeswell nie poprze mojej petycji, a ja nie dostarczę nieodpartycho dowodów na to, że zostałam do małżeństwa zmuszona. Nic takiego nie nastąpi, więc jest, jak jest.

Celia, stojąca bliżej, objęła ją.

- To nie tego chciałaś, wiem. Ale to nie jest najgorsze rozwiązanie w porównaniu z wieloma innymi.

Małżeństwo z hrabią i dostęp do ogromnej fortuny to nie jest coś, z czym nie da się pogodzić, miała na myśli praktyczna, znająca ludzi i

świat Celia.

- To prawda i nie jestem aż taka uparta, żeby czuć się nieszczęśliwą w tych okolicznościach, skoro i tak nic nie mogę poradzić. Cieszę się tym, co mam.

Wróciły na taras, dyskutując nad planami dotyczącymi ogrodu.

Celia naszkicowała widok, jaki ogród miał przedstawiać od strony domu.

- Chciałabym przeprowadzić krętą ścieżkę biegnącą wzdłuż szeregu altanek - wyjaśniła Verity. - Dzięki temu szklarnia byłaby tylko jednym z wielu ogrodowych pomieszczeń.

- Zostawię ci ten szkic, żebyś sama nałożyła nań kolory - powiedziała Celia. - Sporządzę kilka kopii, żebyś mogła zaplanować ogród z myślą o różnych porach roku.

- Zrób tylko jedną kopię - odezwała się Daphne. - Zabierzemy ją do nas, a Katherine dokończy. To utalentowana artystka, Verity. Muszę przed powrotem zakupić dla niej w Londynie trochę farb.

Spojrzenia Verity i Audrianny się spotkały. Wyrażały zaniepokojenie. W niedawnej prywatnej rozmowie w cztery oczy przyznały, że dużo trudniej jest przestrzegać reguł przyjętych w domu Daphne, gdy nie dotyczą ich bezpośrednio.

- Wierzę, że jest taka jak my. Jej obecność w niczym nikomu nie zagraża - zauważyła ostrożnie Audrianna. - Sebastian zawsze się o to martwi.

Daphne pochyliła się, przyglądając się szkicowi Celi.

- Spodziewam się, że nie zagraża bardziej niż ty, nie tak dawno

temu, Audrianno. Zupełnie nie zainteresowała się moim pistoletem, na przykład.

Audrianna zaczerwieniła się na wspomnienie nieszczęsnej przygody z pistoletem, która, co prawda, w rezultacie doprowadziła do zawarcia przez nią znajomości z lordem Sebastianem.

- Czy on wkrótce wróci? - zapytała Daphne.

Miała na myśli Hawkeswella. Daphne zgodziła się złożyć Verity wizytę tylko dlatego, że Verity zapewniła w zaproszeniu, że hrabiego nie będzie w domu.

- Sebastian spotyka się z nim w klubie - wyjaśniła Audrianna. -

Przypuszczam, że nie wrócą wcześniej niż za kilka godzin.

- A zatem Verity zdąży pokazać mi swoją nową garderobę -

stwierdziła Celia, podnosząc jednocześnie oba swoje szkice, żeby je porównać.

- Wolałabym wam pokazać coś innego. Chcę usłyszeć wasze zdanie, bo cenię u was zdrowy rozsądek.

Pół godziny później znalazły się wszystkie w sypialni Verity.

Daphne, Celia i Verity siedziały na łóżku, medytując nad wyciętymi z gazet kartkami, Adrianna na krześle przysuniętym do łóżka, żeby też dobrze widzieć te kartki.

- Twoje zainteresowanie gazetami zawsze wydawało mi się przesadne - odezwała się Celia. - Ale widzę, że dobrze wiesz, czego w nich szukać, i przeglądasz je w poważniejszym celu, niż myślałam. -

Wskazała na stosiki artykułów. - Niektóre wycinki mają dwa lata i pochodzą z czasów, kiedy zjawiłaś się w Najrzadszych Kwiatkach.

Bunty robotników. Demonstracje. - Podniosła mały stosik. -

Aresztowania i egzekucje.

- Tutaj jest kilka o Brandrecie i jego poplecznikach - zauważyła

Daphne. - Na południe od Londynu panuje spore zamieszanie.

Musiałymy nawet dzisiaj dojechać do miasta inną drogą niż

zazwyczaj, bo na głównej drodze było jakieś zgromadzenie.

Oszczędzono nam jednak spotkania z rewolucjonistami w rodzaju

Brandretha.

- Myślę, że został w to wplątany. Tak w każdym razie sugeruje

pan Shelley w swoim poemacie. Wielu się z nim zgadza - zauważyła

Audrianna, przeglądając zgromadzone przez Verity wycinki prasowe.

- Wydaje mi się jednak, że twojemu domowi w hrabstwie, skąd

pochodzisz, i domom w jego pobliżu może grozić niebezpieczeństwo,

Verity. Może rozsądniej będzie mieszkać tutaj.

- Nie gromadziłam tych wycinków po to, żeby ustrzec się przed

jakimś niebezpieczeństwem. Szukałam nazwisk. Spójrzcie tutaj. To są

informacje z moich okolic, o ludziach, którzy zaginęli. Prawie

wszyscy to mężczyźni. A tu są informacje o tych, którzy się odnaleźli,

po tym, jak się zagubili czy ulegli wypadkowi. Tu z kolei nazwiska

tych, którzy stanęli przed sądem oskarżeni o popełnienie zbrodni.

Jeśli porównamy te wszystkie nazwiska, to okaże się, że sześciu ludzi

zniknęło bez śladu.

- Dlaczego zachowałeś te wycinki? - zapytała Daphne.

- Zbierałam informacje o procesach. Szukałam w szczególności jednego nazwiska, o którym nie ma nigdzie żadnej wzmianki.

Dopiero niedawno to zauważyłam.

- A więc szukałaś informacji o jednej zaginionej osobie?

- Tak. To ten młody człowiek, o którym wam opowiadałam. Ten, któremu groził mój kuzyn.

Celia spojrzała z ukosa na Daphne.

- To przyjaciel z dzieciństwa - wyjaśniła Verity, czując jednak, jak się rumieni. - Muszę się dowiedzieć, co się z nim stało, jeśli Bertram w istocie nadużył mojego zaufania.

- Oczywiście, że tak - powiedziała Daphne. - Zniknięcie tych innych ludzi może jednak wcale nie znaczyć, że stało im się coś złego. Mogli po prostu uciec od swoich rodzin i swojego życia. Niektórzy tak robią.

- Mogłabym się z tobą zgodzić. Ale spójrz na to. - Wyjęła kilka kartek. - Obaj ci mężczyźni pochodzili ze Staffordshire koło Birmingham. Obu przesłuchiwał sędzia pokoju w związku ze skargami właścicieli ziemskich. Ten sędzia ich nie aresztował, ale oni i tak zniknęli. A ten tutaj zaginął po sprzeczce na drodze z lordem Cleoburym. Ten z kolei został aresztowany w Shropshire po tym, jak mój kuzyn doniósł na niego, że wywołuje niepokoje w walcowni, ale go z aresztu zwolniono. A potem i on zniknął.

- Prawdopodobnie uciekli, kiedy zwrócono na nich uwagę -

stwierdziła Audrianna.

Prawdopodobnie, pomyślała Verity. Jednak im częściej przeglądała, w ciągu ostatnich tygodni, wycinki, tym większych nabierała podejrzeń, że za tą całą sprawą kryło się coś podejrzanego. Mogę narobić kłopotów temu jej synalkowi. Nikt mnie nie powstrzyma. Mogę kazać wywieźć go z kraju albo coś gorszego, i kto ją wtedy będzie karmił? Tak powiedział Bertram, grożąc Verity. Był pewny swojej władzy. Pewny i nieustępliwy.

Daphne wzięła do ręki wskazane wycinki.

- Dziwne, że puszczono ich wolno. Gdyby wzniecali niepokoje, przecież zostaliby zatrzymani. Opowiadałaś nam dużo o swoim kuzynie, a lord Cleobury jest znany ze swoich konserwatywnych poglądów. Nazwisko tego urzędnika też mi jest znane, ale nie pamiętam, dlaczego.

- Ja o nim nie słyszałam - rzekła Verity. - Nie przypominam sobie, żeby mój ojciec albo nawet kuzyn wspominali kiedykolwiek o panu Jonathanie Albrightonie.

To nazwisko wywołało reakcję u jednej z obecnych. Celia wzięła artykuł z rąk Daphne i przyjrzała się uważnie tekstowi.

- Znasz go, Celio? - zapytała Daphne.

Celia zmarszczyła brwi.

- Był znany w Londynie parę lat temu. Wydaje mi się, że potem wyjechał za granicę. Widocznie wrócił, o ile to ten sam człowiek.

- Być może go poznam, kiedy pojedę do domu - powiedziała

Verity. - Chciałabym ocenić jego charakter i dowiedzieć się, czyjego

też dziwi owo zniknięcie. - Przesunęła dłonią po wycinkach.

- Kiedy zamierzasz wyruszyć na północ? - zapytała Audrianna.

- Jak tylko się do niej przygotuję.

Przyjaciółki oszczędziły jej uwag, ale wyraz ich twarzy zdradzał,

co myślą. Niewątpliwie nie miała po co się do tej podróży

przygotowywać, skoro decyzja należała do jej męża.

- Do diabła. - Hawkeswell zaklął na widok wysokiego

mężczyzny, który właśnie stanął na progu pokoju karcianego u

Brooksa. - Co go tu przyniosło?

Summerhays obejrzał się przez ramię.

- Jest jednym z członków klubu, oczywiście. Rzadko bywa, ale...

- Idzie w naszą stronę. Wywłókł się zapewne z łóżka jakiejś

dziwki, żeby mnie znaleźć i się wymądrzać. Przygotuj się na niezłą

awanturę, Summerhays. Niech mnie diabli wezmą, jeśli będę siedział

spokojnie, podczas gdy on będzie stroić sobie żarty...

- Castleford - powitał Summerhays nowo przybyłego, kiedy

tamten zbliżył się do ich stołu. - Dziwne widzieć cię tutaj przed

zapadnięciem nocy i do tego niemal trzeźwego. Jeszcze nawet nie ma

wtorku.

We wtorki książę Castleford oddawał się obowiązkom para Izby

Lordów i właściciela nieprzyzwoicie wielkiego majątku. W pozostałe

dni tygodnia przebywał na dnie piekła.

Hawkeswell i Summerhays kiedyś brali udział w orgiach.

Dojrzałość i odpowiedzialność wpłynęły na zmianę ich postępowania w ciągu ostatnich kilku lat. Castelford jednak nie uznawał żadnych ograniczeń, a mimo to nadal zachował w społeczeństwie i w rządzie większe wpływy, niżby przystawało człowiekowi o tak rozwiązłym trybie życia.

Młody książę, o miłej twarzy i bystrych błyszczących oczach, spojrział na nich z góry. Modnie ufryzowane brązowe włosy opadały w wystudiowanym nieładzie na czoło. Przedstawiał teraz sobą obraz dobrego starego przyjaciela, witającego towarzyszy grzesznej młodości. Jednak w jego oczach skrzyły się diabelskie ogniki. Hawkeswell już czuł narastającą złość, chociaż nie zamienili jeszcze ani jednego słowa.

- Co? To nie wtorek? - Castelford przeciągał słowa, udając zaskoczenie. - Zatem straciłem kompletnie poczucie czasu. Jednak dobrze wiedzieć. - Przyciągnął do stołu krzesło, usadowił się na nim w leniwej pozie, przywołał jednego ze służących i zamówił butelkę doskonałego drogiego wina.

- Twoje ulubione, o ile pamiętam - zwrócił się do Hawkeswella. - Mam nadzieję, że utrafiłem w twoje gusta, ponieważ kupiłem je, by wspólnie z tobą wypić.

- Bardzo jesteś łaskawy.

- To rzecz zwyczajna wśród przyjaciół uczcić szczęśliwą odmianę losu jednego z nich. Słyszałem, że twoja żona się odnalazła. Musisz być szczęśliwy i odczuwać ulgę.

- Naturalnie, że jest - odezwał się Summerhays.

Podano wino. Castleford nalegał, aby nalano do trzech kieliszków. Uniósł swój w stronę Hawkeswella w milczącym pozdrowieniu.

- A zatem - odezwał się po spełnieniu toastu - gdzie, do diabła, podziwiała się przez cały ten czas?

- A niech to, Tristan - powiedział Summerhays. - Jeśli przysiadłeś się do nas, żeby być niegrzecznym...

Hawkeswell dał znak Summerhaysowi, by zamilkł.

- Czy wstałeś wcześniej i postanowiłeś nie pić cały dzień tylko po to, żeby zrobić wrażenie osoby cywilizowanej, kiedy zadasz mi to pytanie? Czy twoje życie jest tak bardzo pozbawione celu, że od kilku dni bawiłeś się myślą o tym spotkaniu?

Castleford uśmiechnął się leniwie.

- Tak. To odpowiedź na oba pytania. Dwa dni temu, kiedy przekazano mi tę nowinę, od razu wytrzeźwiałem. Na Zeusa, to musi być pyszna historia, powiedziałem sobie. Może materiał na operę komiczną. - Napił się wina. - Od tamtego czasu starałem się usilnie wpaść na ciebie przypadkiem.

- Jeśli go szukałeś, mogłeś złożyć mu wizytę w domu - zauważył Summerhays.

Reakcja Castleforda świadczyła, że uznał to za dziwaczny pomysł. Skierował ponownie uwagę na swoją ofiarę.

- Powinieneś powiedzieć mi prawdę. Plotki, od których aż huczy,

nie przynoszą ci zaszczytu. Nie jestem w stanie cię bronić, nie wiedząc, czy to w istocie plotki.

- Jakie plotki?

- Nie mówiłeś mi? - zapytał Castleford Summerhaysa.

- Hawkeswell, nie musisz tego słuchać - odparł Summerhays. -

Jest bardziej podchmielony, niż się nam wydaje.

- Jakie plotki? - z trudem wycedził przez zaciśnięte zęby

Hawkeswell.

Castleford pochylił się do przodu, żeby nie być słyszonym przez innych.

- Ucieszysz się, gdy się dowiedziesz, że zapamiętałem, kto co mówił, na wypadek, gdybyś chciał kogoś wyzwąć na pojedynek.

- Jak miło z twojej strony.

- Po to są przyjaciele, czyż nie?

- Nie - powiedział z rozpaczą Summerhays. - Przyjaciele nie dolewają oliwy do ognia tylko po to, żeby się zabawić. Do diabła, jeśli on kogoś wyzwie, pożałujesz tej zabawy.

- Summerhays wciąż obawia się, że nie poskromię swojej porywczosci, ale prawdą jest, że byłem uosobieniem spokoju przez ostatnich pięć lat, co najmniej. Nie zamierzam nikogo wyzywać na pojedynek. No więc, jakie plotki?

Castleford kazał sobie dolać wina.

- Po pierwsze, mówi się, że uciekła od ciebie powodowana panińskim lękiem przed ślubnym łóżem. Ta historia nie ma w sobie

nie interesującego. Dużo ciekawsza jest ta, iż uciekła już po doświadczeniach w ślubnym łożu, w którym to spisała się jak najgorzej. - Castleford posłał mu spojrzenie „mężczyzna mężczyzną zrozumie”. - Spodoba ci się zapewne, że zaofiarowałem się wskazać dwadzieścia kobiet, które publicznie zaświadczą na twoją korzyść.

- Nikt nie uwierzyłby w podobny nonsens - stwierdził

Hawkeswell. - Dureń, który opowiada takie rzeczy, zdradza się z własną głupotą.

- Niewątpliwie. Z kolei ktoś inny zwierzył mi się, że wie z pewnego źródła, iż przez cały ten czas przebywała z kochankiem.

Takie jest, obawiam się, powszechne przekonanie i najbardziej popularne *on dit*. Że zostałeś rogiaczem, zanim atrament zdążył obeschnąć na dokumentach.

Plotkarze odważyli się zakwestionować prowadzenie się Verity.

To, że Hawkeswell w swoim czasie żywił podobne podejrzenia, nie miało żadnego znaczenia. Miał prawo podejrzewać, ale innym nie wolno było przedstawiać kłamstw jako faktów.

Jego porywcza natura zaczynała wyzwalać się z krępujących ją więzów. Niczym śpiący smok wyrwany gwałtownie ze snu, zrywała je jeden po drugim.

- Kto ci się zwierzył?

- Nie mów mu - ostrzegł Summerhays.

- Jeśli chcesz się pojedyńkować, to ten człowiek nie jest winny - oznajmił Castleford, machając wymijająco dłonią. - Poza tym, jak

wspomniałem, wszyscy to mówią, a nie możesz pozabijać wszystkich.

Nie, człowiekiem, którego niewątpliwie byś pragnął zabić, jest ten, który twierdzi, że twoja żona przebywała w Shrewsbury, gdzie została burdelmama w domu publicznym cieszącym się zasłużoną sławą wśród pozbawionych skrupułów członków socjety.

Smok wyrwał się na wolność i zionął ogniem.

- Jak się nazywa ten przeklęty kłamca?

- Do stu piorunów - wtrącił się natychmiast Summerhays. -

Castleford, nie podawaj mu tego nazwiska.

- Nie ma potrzeby, ponieważ nie jest chwilowo osiągalny.

Poradziłem łobuzowi, żeby zniknął, ponieważ będzie martwy, jak tylko Hawkeswell to usłyszy, a ja dopilnuję, żeby tak się stało.

Słyszałem dziś rano, że prysnął do Francji.

- Więc po co to zrobiłeś? Spójrz na niego. - Summerhays wskazał ręką na Hawkeswella.

Hawkeswell był pewien, że Sebastian wyglądał na bardziej poruszonego niż on sam. Napił się wina, rozważając wyjazd do Francji i poćwiartowanie człowieka, który śmiał obrazić Verity.

Castleford się skrzywił.

- A ty byś milczał, słysząc taką potwarz o jego żonie? Chciałbyś, żebym zachował to dla siebie, gdybym usłyszał coś podobnego o twojej żonie? On musi wiedzieć, co się mówi, i wyzwąć na pojedynek następnego śmiałka, który powtórzy tę plotkę.

- Dobrze, że mi powiedziałeś - stwierdził Hawkeswell. - I to

zadając sobie tyle trudu. Spodziewam się, że dasz mi znać, jeśli znów usłyszysz coś podobnego, a ja zrobię to, co do mnie należy.

- Oczywiście. Jednakże miałem trochę czasu do zastanowienia.

Dwa dni abstynencji pozwalają na to. Wpadłem na pomysł, jak odciągnąć uwagę od nieszczęsnego małżeńskiego interludium lady

Hawkeswell. Mam pewien plan. Hawkeswell napotkał wzrok Summerhaysa. Castleford wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

Uznał swój plan za genialny, co było u niego rzeczą zwykłą. Dziwić mogło tylko to, że w ogóle wymyślił jakiś plan.

- Plan? - odezwał się Summerhays.

- Bardzo dobry plan. Wierz mi, Hawkeswell, za miesiąc z kawałkiem nikt nie będzie szeptać o zniknięciu twojej żony, ponieważ znajdzie się temat znacznie bardziej interesujący. Złożę jej wizytę we wtorek, żeby zacząć wprowadzać plan w życie.

- Twój plan wymaga, żebyś się z nią spotkał?

- Muszę zobaczyć, czy jest tego warta. To, że widziałem ją na ślubie, nie wystarcza. Jeśli mam ją włączyć do grona moich przyjaciół, muszę przynajmniej porozmawiać z nią przez parę minut.

Hawkeswell i Summerhays ponownie spojrzeli sobie w oczy.

Żadnemu to się nie spodobało.

- Mówiąc o gronie przyjaciół, masz na myśli, jak sądzę, przyjaciół z wtorku? - zapytał Hawkeswell.

- W istocie.

Hawkeswellowi przemknęły przed oczami obrazy Verity

uczestniczącej w rozpustnych orgiach. To, że w swoim czasie z przyjemnością brał w nich udział, nie znaczyło, że pozwoli na to swojej żonie.

Smok drzemał, ale teraz znowu zionął ogniem.

Uwagę Castleforda odciągnęli jacyś mężczyźni w pobliżu, głośno dyskutujący o polityce. Hawkeswell próbował wrócić do poprzedniej rozmowy.

- Castleford... Tristan... Wasza Wysokość.

- Hm?

- Możesz, oczywiście, odwiedzić moją żonę jutro, gdy będę w domu. Albo kiedykolwiek indziej, w dowolnej porze, ale tylko wtedy, gdy i ja tam będę. Ostrzegam, nigdy nie składaj jej wizyty, kiedy mnie nie ma.

Castleford uznał, że to zabawne życzenie.

- Nie bądź durniem, Hawkeswell.

- Posłuchaj. Jeśli niczego nie knujesz, dziękuję ci. Jednak jeśli zamierzasz położyć kres plotkom na temat jej nieobecności, dając socjecie pożywkę w postaci jeszcze pikantniejszego skandalu, związanego z jej zachowaniem się w twoim kręgu, to nawet nie próbuj. I niech cię Bóg broni, gdyby w twojej pijackiej głowie powstała myśl o rozpuszczaniu plotek o twoim romansie z nią...

- Ledwie wymówiłeś słowa małżeńskiej przysięgi, a już zostawiła cię na dwa lata, przyjacielu, i taka jest ponura prawda. Wątpię, żeby potrzebowała całej tej ochrony, jaką jej teraz ciężką ręką zapewniasz.

Jednakże nie uwodzę żon przyjaciół, i chociaż ty i Summerhays staliście się nudziarzami, wciąż was do nich zaliczam. Mój plan to po prostu kolacja w gronie najlepszego towarzystwa. To wszystko.

- Nie wydajesz kolacji dla najlepszego towarzystwa.
- Nie, nie robię tego. Są nużące. Jednak w przypiływie nostalgii za naszą starą przyjaźnią postanowiłem wydać jedną, na którą ty i twoja żona zostaniecie zaproszeni. - Wstał zirytowany podejrzeniami, chociaż wiedział doskonale, że nie ma prawa się irytować. - Za miesiąc od tego wtorku. Oczekujcie na zaproszenia, wyślę je do was obu.

Zanim odszedł, Summerhays podniósł palec, żeby zwrócić uwagę na jeszcze jedną okoliczność.

- Castleford, osoby z dobrego towarzystwa nie przyjdą na twoje przyjęcie. Prawie wszystkich poobrażałeś.

- To prawda, ale powiedziałem: z najlepszego, nie z dobrego. A ci najlepsi przyjdą.

Codziennie rano, przed wyjściem do ogrodu, Verity jadła śniadanie w porannym pokoju. Zawsze piła herbatę - drobny luksus, żeby pamiętać, że pozycja hrabiny ma swoje dobre strony. Przynoszono wówczas pocztę, a kilka listów zawsze było do niej. Colleen zapraszała ją na wizytę u jednej z przyjaciółek, które pozostały w mieście. Daphne albo Celia donosiły o postępach budowy nowej szklarni, którą postanowiły postawić w Najrzadszych Kwiatkach. Audrianna przysłała liścik, żeby umówić się na wspólne wyjście. Rozpoznawała wszystkie charaktery pisma, więc kiedy przyszedł list zaadresowany inną ręką, od razu rzucił się jej w oczy. To pismo także poznała. Nancy Thompson, żona Bertrama. Verity zastanawiała się, czy go w ogóle otwierać, wiedziała jednak, że musi. Nancy zwracała się do niej, tytułując ją hrabiną, następnie wyrażała niezmierną ulgę, że Verity cieszy się dobrym zdrowiem, a na koniec oznajmiała, że razem z Bertramem zatrzymali się w hotelu Mivert i proszą o pozwolenie na złożenie wizyty. Pokusa, żeby okazać hrabiowską wyniosłość, o mało nie przeważyła. Przychodziły jej do głowy różne kąśliwe odpowiedzi, każda mająca na celu zerwanie wszelkich więzi z kuzynem i jego żoną. Użyłaby którejś z nich, gdyby uznała za możliwe i rozsądne na stałe zrazić do siebie człowieka, którego decyzje dotyczące interesów miały bezpośredni wpływ na jej majątek. Zamiast tego zeszła do biblioteki, usiadła przy biurku i odpisała krótki list, proponując, żeby

spotkali się wszyscy tego popołudnia w Hyde Parku.

Potem napisała kolejny liścik, do męża, zawiadamiając go o rychłym spotkaniu, i przesłała na górę, żeby czekał na Hawkeswella, kiedy ten się obudzi.

Verity wygląda wspaniale, pomyślał Hawkeswell, gdy wysiedli z powozu w Hyde Parku. Na głowie miała kapelusz zdobny w białe pióra, który obramowywał jej twarz niebieską krepą, a na sobie suknię spacerową, która podkreślała jej wiotką figurę. Otworzyła białą parasolkę, chroniąc się przed nisko już stojącym na niebie słońcem, i dołączyli do wolno płynącego strumienia spacerowiczów, którzy zapragnęli zaznać odpoczynku i rozrywki w ulubionej przez socjetę porze dnia.

Sezon towarzyski jeszcze się nie zaczął, więc w Hyde Parku nie było tłoku i Hawkeswell dojrzał z daleka Bertrama Thompsona. U Bertrama rzucały się w oczy nie tyle proste jak druty brązowe włosy i niewysoka, żylasta postać, ile bardzo jasna cera i nieco zaspany wzrok. Jego oczy, zawsze zakryte powiekami do połowy, patrzyły z wyższością albo ze znużeniem, niezależnie od jego nastroju.

Dama u jego boku zadbała o swój wygląd z równą starannością, co Verity. Dzięki przekrzywionemu z lekka kapeluszowi można było podziwiać jej złote włosy, w dłoni trzymała zwiniętą parasolkę, żeby świat zauważył dumny wyraz jej twarzy, surową urodę i wielkie zielone oczy.

Co pomyślał, kiedy Colleen ich przedstawiła? Nuworysze.

Ludzie, którzy dzięki temu małżeństwu próbowali szybciej wspiąć się w górę. Nie miał im tego za złe. Urodziwszy się na samym szczycie społecznej drabiny, rozumiał, dlaczego innym tak zależało, żeby wydobyć się z nizin.

Innym, ale nie Verity, rzecz jasna.

Thompsonowie podeszli bliżej. Nancy przystanęła na widok Verity, a potem podbiegła do niej z otwartymi ramionami.

Przechodnie to zauważyli - i na tym właśnie jej zależało.

- Lady Hawkeswell - zawołała, obejmując zeszywniałą Verity. -

Drogie dziecko.

Bertram zdobył się na niezgrabny pocałunek w policzek Verity.

- Cieszymy się niezmiernie, że wróciłaś do nas i masz się dobrze.

Hawkeswell miał nadzieję, że Verity nigdy nie poczęstuje go takim spojrzeniem jak teraz Bertrama. Chociaż jej zimna wściekłość, jeśli się nad tym zastanowić, przeznaczona była również dla niego. Jej oczy wyrażały całą jej niechęć wobec tego małżeństwa. Nawet jeśli główną winą obarczała Bertrama, dwoje pozostałych było jego współnikami.

- Ja także się cieszę, widząc was oboje. To piękny strój, pani

Thompson. W srebrzyście szarym kolorze jest pani do twarzy.

Kuzynostwo nie mogło, oczywiście, nie zauważyć, jak się do nich zwraca, i co to znaczy. Hrabina Hawkeswell właśnie dała do zrozumienia, że odtąd będą przestrzegane reguły etykiety.

- Chyba nie będziemy tak tu stać - odezwał się Hawkeswell. -

Tworzymy niepotrzebny zator.

Ruszyli we czworo. Bertram mruknął jakieś uprzejmości, a

Hawkeswell odmruknął coś w odpowiedzi. Damy podtrzymały rozmowę.

- Czy wszystko w porządku w Oldbury? - zapytała Verity. -

Czytałam gazety z wieściami z hrabstwa, kiedy tylko mogłam, ale wiem, że większość informacji o ludziach stamtąd do mnie nie dotarła.

- Tyle się pozmieniało, że trudno mi to wszystko naraz przekazać.

Ale wszystko opiszę w liście.

- Czy pan Travis nadal pracuje?

- Oczywiście. - W głosie Nancy zabrzmiała minorowa nuta.

Znaczyło to ni mniej, ni więcej „Nie mamy wyboru, prawda?”

- A proboszcz, pan Toynby... Czy wciąż co niedziela usypia swoje owieczki?

- Pan Toynby opuścił nas przeszło rok temu. Mamy nowego proboszcza.

Twarz Verity stężała.

- A syn Katy Bowman, Michael. Co się z nim w końcu stało, pani Thompson?

Zarówno mąż, jak i żona zareagowali bardzo żywo na to pytanie, chociaż każde w inny sposób. Nancy spłonęła rumieńcem i rzuciła Verity spłoszone spojrzenie. Bertram poczerwieniał z gniewu.

- Odszedł kawał czasu temu, ten tam - parsknął Bertram. -

Krzyżyk na drogę, powiadam. Same kłopoty przez niego,

niewdzięczny drań.

- Oszedł dokąd? - naciskała Verity.

- Kto wie? Pewnie do miasta. Żeby się przyłączyć do swoich przyjaciół rewolucjonistów. Wszystko mi jedno, dokąd, byle daleko od mojego hrabstwa i mojej walcowni.

Nancy milczała. Verity nie odwracała od niej spojrzenia, jakby jej milczenie samo w sobie było interesujące.

- Twojej walcowni, Thompson? - Hawkeswell poczuł się zmuszony zrobić tę uwagę. - Twoje oddanie interesom rodziny budzi podziw, ale się przejęczyłeś.

- Tak, przejęczyłeś się. Dziękuję, Hawkeswell, że to powiedziałeś. To mi oszczędziło konieczności przywołania mojego kuzyna do porządku osobiście. - Verity patrzyła na Bertrama oczekująco.

Thompson poczerwieniał jeszcze mocniej.

- Racja. Naszej walcowni, lady Hawkeswell.

Spotkanie nie zaczęło się najszcześliwiej, a atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Hawkeswell postanowił położyć kres tym mękom. Ujął Verity pod ramię.

- Miło zobaczyć was oboje. Minęło wiele czasu, Thompson. Mam parę pytań w sprawie interesów, napiszę do ciebie. Chodź, moja droga. Przed nami długi wieczór.

Podał rękę Verity i odeszli po niezręcznych pożegnaniach. Pani

Thompson wydawała się nieszczęśliwa, że nie wystosowano żadnych zaproszeń.

Verity szła zamyślona w powrotnej drodze do powozu. Pomógł jej wsiąść i usiadł naprzeciwko niej.

- Czy dobrze się bawiłaś? - zapytał. - Jeśli chciałaś dać im do zrozumienia, że z twojej strony nie mogą spodziewać się żadnego sentymentu i że spadli obecnie do roli zwykłych znajomych, to ci się udało.

Ledwie zwróciła uwagę na jego słowa.

- Bawiłam się doskonale, dziękuję. - Odpowiedziała, nadal zamyślona, nieobecna duchem. Coś innego zajmowało jej myśli.

Nie miał wątpliwości, co to za dźwięk. Przenikał przez ścianę i drzwi jego garderoby, kiedy się rozbierał. Przerwał jego rozmyślenia o spotkaniu w parku i o tym, dlaczego Verity ciekawił los kogoś o imieniu Michael.

Dźwięk dochodził z sąsiednich pokoi, prawdopodobnie z sypialni. Verity płakała. Drummund udawał, że nie słyszy, póki Hawkeswell nie podniósł ręki, uciszając go, by się wsłuchać w odgłosy zza ściany. Kamerdyner spojrzał na niego.

Hawkeswell go odprawił. Wciąż w koszuli i spodniach przeszedł przez garderobę Verity. Stała przy łóżku, kiedy wszedł, i już nie płakała. Przełknęła łzy smutku, słysząc jego kroki. Zawahał się, czy wyjść, żeby mogła bez świadków dać upust przepełniającym ją uczuciom.

- Nie jestem gotowa. Przepraszam. - Zsunęła pantofelek i

postawiła stopę na krześle.

Zaczęła rolować pończochę, tak jakby jego obecność w jej sypialni oznaczała tylko jedno. I tak było. Jednak uderzyło go, że czuła się zobowiązana do „gotowości”, nawet gdy chciało jej się płakać. Zastanawiał się, czy to zdarzało się często, a on tego nie zauważył, bo akurat nie było go w garderobie, kiedy płakała.

Może płakała każdej nocy, potem ocierała łzy, zdejmowała ubranie i wchodziła do łóżka, czekając na spełnienie małżeńskiego obowiązku. Ta myśl go rozgniewała.

Postawiła na krześle drugą stopę i zaczęła zdejmować pończochę.

- Przestań, Verity.

Była zaskoczona. Postawiła stopę na podłodze, patrząc na niego.

- Płakałaś, zanim wszedłem. Dlaczego?

Patrzyła na niego oczami bez wyrazu, ukrywając myśli. To rozgniewało go jeszcze bardziej.

Chciał nalegać, żeby mu to wyznała. O mało jej nie powiedział, że jako mąż ma prawo wiedzieć wszystko. Tylko że nie miał takiego prawa i ona o tym wiedziała. Mógł od niej żądać posłuszeństwa, jej ciała, decydować o jej przyszłości, ale jeśli pragnęła zachować własną duszę i serce, nie mógł jej tego pozbawić. Ku jego zdumieniu jej oczy zaszkliły się łzami. Wytarła oczy, pociągnęła mocno nosem i odwróciła się do łóżka. Podniosła leżący na nim papier.

- Nancy nie traciła czasu. Spełniła moje życzenie. Przysłała

wiadomości z Oldbury przez posłańca. Oto one. Lista sąsiadów, młodych i starych, którzy zmarli, a ja o niczym nie wiedziałam i nie mogłam ich opłakiwać. Załączyła także informacje o tych, którzy opuścili Oldbury, a nawet parę zdań o tych, którzy tam przybyli.

Wziął od niej kartkę i usiadł na łóżku koło lampy. Były tam kolumny nazwisk - każda z nagłówkiem. Zmarli. Przeprowadzili się. Przybyli. Zaginieni. Verity była wymieniona w tej ostatniej kolumnie; jej imię przekreślono. Nancy znalazła sposób, żeby w końcu dać wyraz swojej urazie.

Katy i Michael Bowmanowie figurowali pod nagłówkiem „Przeprowadzili się”.

- Nie pisze, że Katy zginęła czy zmarła - zauważył. - To dobry znak, jak sądzę?

- Przypuszczam. Jednak nie będę tego pewna, póki nie zobaczę

Katy. Napisałam do proboszcza, prosząc, żeby przeczytał jej dołączony list. Tylko że proboszcz jest na tej liście pod

„Przeprowadzili się”. Jeśli list za nim idzie, to może gdzieś po drodze zaginać albo wędrować przez cały kraj jak długi i szeroki.

- Czy płaczesz z powodu Nancy? Było okrucieństwem z jej strony wymienienie tych wszystkich nazwisk. Nie pomyślała o tym, jak to przyjmiesz?

Pokręciła głową.

- Wzruszyłam się, bo wielu z nich znam. Albo znałam. - Podeszła bliżej i wskazała palcem na kolumnę z nagłówkiem „Zmarli”. - Ta

mała dziewczynka. Miałaby teraz jakieś dziesięć lat. Śliczna dziewczuszka z rudymi loczkami. Mój ojciec pomagał jej ojcu zbudować dom, kiedy się urodziła.

Wskazała kilka innych nazwisk, ludzi z czasów jej dzieciństwa, i opisała, kim dla niej byli.

Pod koniec zaczęła się uśmiechać, wspomnienia rozczuliły ją, zamiast zasmucać. Postanowił poczekać jeszcze jeden dzień, zanim zapyta, kim był ów młody człowiek o imieniu Michael, o którego tak usilnie dopytywała się Nancy.

Wzięła list i złożyła go. Ujął jej dłoń i pocałował.

- Zostawię cię z twoimi wspomnieniami, Verity.

Jej oczy znowu się zamglily. Nie puściła jego ręki.

- Jak na mężczyznę, który znał nieskończoną liczbę kobiet, w gruncie rzeczy wcale kobiet dobrze nie znasz, Hawkeswell. Nie chcę, żeby mnie zostawiono ze wspomnieniami, nie chcę towarzystwa duchów w nocy.

- Zatem zostanę, jeśli chcesz.

Chyba była mu za to wdzięczna, co go wzruszyło. Odwróciła się i zaczęła się rozbierać. W jej ruchach nie było niczego uwodzicielskiego. Zamyślona, ledwie zauważała, co robi.

Patrzył na nią, oczywiście, gdy sam się rozbierał. Zwyczajność tej czynności, świadcząca o jej zadomowieniu się tutaj, oczarowała go. Spotkali się w pościeli i domyślił się, że nie prosiła, żeby został, dla zaznania przyjemności. Naprawdę nie chciała być sama.

Potrzebowała towarzystwa, niczego więcej.

Przyciągnął ją mocno i odwrócił plecami do siebie. Westchnęła głęboko i znieruchomiła. Oddychała spokojnie, w równym rytmie.

Pomyślał, że zasnęła. Zastanawiał się, czyby się nie wyslizgnąć i wrócić do swojej sypialni, żeby też zasnąć. Czułby się dziwnie, gdyby tu został, z jej pośladkami wtulonymi w jego nagie ciało.

Ku jego zaskoczeniu ujęła jego dłoń, tę spoczywającą na obejmującym ją ramieniu, i położyła na swojej piersi. Zaczął głaskać tę krągłość, a Verity westchnęła, wydając pomruk zadowolenia.

Nie potrzebował większej zachęty. Pieścił ją, aż usłyszał jej przyspieszony, urywany oddech, a jej pośladki jeszcze silniej przywarły do niego. Chciała się odwrócić.

- Nie. Zostań tak - szepnął.

Odsunął ją lekko, opierając się na drugiej ręce, żeby móc całować jej policzek i ramię, jej plecy i włosy. Nie ustawał w pieszczotach, a kiedy krótkimi okrzykami dała wyraz swej pełnej oczekiwania niecierpliwości, przesunęła się wyżej, ku jego erekcji, żądając więcej.

Pieścił jej pośladki. Jego palce dotarły do szczeliny i dotknęły najbardziej miękkiego, najgorętszego miejsca. Patrzył na jej twarz, na to, jak rozkosz ją zmienia, aż ściskając kurczowo w dłoni pościel, krzyknęła. Tym krzykiem wyrażała swe pragnienie, swe przyzwolenie i ostateczne spełnienie.

I wtedy ją wziął, a ona w ponownym przypiływie rozkoszy, wygięta w łuk, oddawała mu się w zgodnym rytmie ciała.

- Muszę jechać do domu.

- To jest twój dom.

- Chcę jechać do Oldbury - poprawiła się. - Powiedziałeś, że to możliwe.

Nie poruszyli się. Jego ciało wciąż przylegało do jej ciała. Jego dłoń obejmowała jej pierś, tak jak tego pragnęła, ale teraz w geście spokojnego posiadania, a nie drażniącej pieszczoty.

Tej nocy kochał się z nią długo. Pod koniec swoimi umiejętnymi ruchami doprowadził ją do ponownego orgazmu, wtedy gdy i on dochodził do szczytu. Krzyczała w namiętnym oddaniu i przyciągnęła jego głowę do swojej, by całować go bez opamiętania, dziko, intensyfikując doznawaną rozkosz. Była w ekstazie.

Ciągle

rozpamiętywał

przeżycia

tej

nocy,

dlatego

to

nieoczekiwane oświadczenie wzburzyło go.

- Powiedziałem, że możesz jechać, gdy będę mógł ci

towarzyszyć. To nie jest dla mnie dobry moment. Wkrótce zaczynają się sesje parlamentu i musimy być tutaj przed upływem miesiąca, nie później.

- Wróć o wiele wcześniej. - Poprawiła poduszkę, objęła ją i ułożyła się wygodnie. - Muszę jechać.

- A jeśli ci zabronię?

Nie odpowiedziała.

- Cóż, przynajmniej tym razem, jeśli uciekniesz, Verity, będę wiedział, gdzie jesteś.

Przewróciła się na drugi bok, by na niego popatrzeć.

- Są tam sprawy, które muszę załatwić, ludzie, których muszę zobaczyć. Ostrzegłam cię, że nie wyrzeknę się dla ciebie przeszłości, ale widzę, że ty tego właśnie ode mnie oczekujesz. Tak się nie stanie, bez względu na to, czego mi zabronisz albo jak wielką dasz mi rozkosz.

-

To
zbyt
niebezpieczne,
żebyś
podróżowała
sama.

Porozmawiamy o tym jutro.

Nie zamierzał tak po prostu skapitulować. Jednak akurat w tej chwili, kiedy miał ciągle w pamięci obrazy jej cudownej namiętności, nie chciał się kłócić ani zastanawiać, jak położyć kres temu buntowi.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Uznała, że wygrała. Cóż, jutro

pozna niemiłą prawdę.

- Dlaczego muszę być tutaj przed upływem miesiąca? - zapytała.

- Zostaniesz zaproszona na kolację przez księcia Castleforda.

Przyjęcie odbędzie się za miesiąc od tego wtorku. Sądzę, że będą obecni członkowie rodziny królewskiej.

- Kto by pomyślał, że córka właściciela walcowni zasiądzie przy jednym stole z rodziną królewską? Oto korzyści płynące z

małżeństwa z hrabią. Schowam się za tobą i jakoś przez to przebrnę.

- Nie wejdiesz do rezydencji księcia, gdzie zgromadzi się śmietanka towarzyska, schowana pod połami mojego surduta. Nie zdołasz się ukryć. Przyjęcie, w pewnym sensie, odbędzie się na twoją cześć.

Uniosła się na ramieniu. Zmarszczyła brwi w zamyśleniu, patrząc na własne palce wybijające marszowy rytm na jego piersi.

- Dlaczego księżę miałby zawracać sobie głowę moją osobą?

- Ja i on jeszcze parę lat temu byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

Wydaje mi się, że w przyływie nostalgii postanowił przetrzeć ci drogę. Złoży ci jutro wizytę. Będę przy tym.

Zastanawiał się, czy należy ją ostrzec. Niestety, w przypadku

Castleforda zapewne należało, niezależnie od tego, co księżę mówił o swoich zasadach. Verity z pewnością zafascynuje Tristana, zwłaszcza jeśli nie będzie mu okazywać nabożnej czci. Księżę mógłby uznać unżone zachowanie za prowokację, na co by nikomu nie pozwolił.

- Ma reputację libertyna i rozpustnika. Radzę ci go przyjmować wyłącznie w mojej obecności.

- Słyszałam, jaką ma reputację, znam ją z gazet donoszących o skandalach. Poza tym elita, która wie o nim trochę więcej, jak to ona, nie kryła się z tą wiedzą. Jeśli się przyjaźniliście, to i z ciebie jest niezłe ziółko. - Spojrzała na niego krytycznie. - Orgie i takie rzeczy.
- Tego rodzaju rozrywki już mnie nie bawią.
- Dlaczego? Sądzę, że one zawsze bawią.

Mogłaby zapytać, dlaczego jemu teraz bardziej podoba się kolor niebieski niż brązowy, i spokojnie zauważyć, że chociaż sama nigdy nie ubierała się w brązy, jej zdaniem noszenie z nawyku strojów w tym kolorze wcale nie musi się komuś znudzić.

- Gdy młody człowiek ma dziewiętnaście lat, upijanie się do nieprzytomności jest zabawne, śmiałe i buntownicze. Trzeba się upić, żeby bez zahamowań wziąć udział w orgii. Jakies pięć lat temu zdecydowałem, że nigdy się już nie upiję do tego stopnia. I wtedy orgie stały się dla mnie czymś dziwnym, a nie zabawnym.
- Chcesz powiedzieć, że zmieniły się twoje gusta.

- Tak. Interesują mnie mniej ekscytujące sprawy.

- Albo po prostu zacząłeś cenić prywatność. Przecież nie zostałeś mnichem. Przestałeś tylko chędożyć kobiety w obecności tłumu mężczyzn chędożących inne kobiety.

Nie, bez wątplenia nie dałoby się powiedzieć, że lady

Hawkeswell przejmuje się przesadnie doborem słów.

- Dlaczego postanowiłeś już nigdy się nie upijać?

Na tym polegał kłopot z kobietami. Choćby mężczyzna jak

najzręczniejszym omijał pewne sprawy i kluczył, choćby jak najsprytniej odwracał uwagę i mydlił oczy, kobiety miały niezwykłą zdolność dojrzenia tego, co usiłowano przed nimi ukryć, i bezlitośnie drażyły temat.

- Zauważyłaś może, że jestem dość wybuchowy.

Zachichotała.

- Nie? Naprawdę?

- Po pijanemu trudno jest nad sobą panować. Starłem się utemperować swój charakter, pogodziłem się więc z ograniczeniami.

Chyba uznała to wyjaśnienie za wystarczające. Nie spodziewała się niczego więcej. Może nie domagałaby się nawet niczego więcej, wiedząc, że to nie jest pełne wyjaśnienie.

Ułożyła się wygodniej, ziewnęła szeroko i zamknęła oczy.

- O mało nie zabiłem człowieka. Dlatego postanowiłem nigdy się nie upijać.

Uniosła powieki i spojrzała mu w twarz błękitnymi oczami.

- Ale nie zabiłeś go.

Pokręcił głową.

- Summerhays był tam, pijany jak ja, ale nie tak rozwścieczony.

Domyślał się, czym się to skończy, i odciągnął mnie od nieszczęśnika. Na wszelki wypadek uderzył mnie tak silnie, że straciłem przytomność. Kiedy oprzytomniałem i wytrzeźwiałem, zrozumiałem, co muszę zrobić.

Wspomnienia tamtej dawno minionej nocy zbladły, zatarte we

mgle pijackiej euforii, która przemieniła się w furiacką wściekłość.

Jedynie, co pamiętał wyraźnie, to zadawane przez niego w dzikiej furii ciosy pięścią.

- Ten człowiek mi ubliżył. Nie pamiętam nawet, co powiedział.

Gdyby Summerhaysa tam nie było...

Często zastanawiał się nad tym, jak przyszłoby mu żyć ze świadomością, że jego brak opanowania kosztował ludzkie życie. To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, nauczyło go powściągliwości.

- Większość mężczyzn nie przyznałaby, że źle postąpili, ani też nie chciałaby się zmieniać, zwłaszcza jeśli oznaczałoby to zrażenie do siebie dobrego przyjaciela, tak jak w przypadku Castleforda i ciebie.

To rozumiałe, że czasami ci go brakuje i zazdrościsz mu wolności.

- Nie tęsknię za nim. I z pewnością mu nie zazdroścę.

Jednak czasami tęsknił i zazdrościł. Jakie to podobne do Verity domyślić się, że i on odczuwa nostalgię za latami przyjaźni z Castlefordem i nie może zapomnieć dawnego przyjaciela.

Nie spierała się z nim. Podobała mu się ta jej cecha - nie była kłótniwa. Wyrażała swoją opinię, ale nie usiłowała nikogo przekonywać. Ani nie wzdychała nad jego głupotą, ani nie uśmiechała drwiąco, słysząc jego zaprzeczenia. Zamknęła oczy, chcąc zasnąć.

Jego także ogarnęła senność. Rozluźniony, zapadał się w materac i wtulał w miękkie ciało leżące obok. To pierwsze było dziwnie wygodne, drugie niezwykle przyjemne. Kusił go błogi spokój. Zmusił się do zachowania przytomności i zaczął zsuwać z siebie narzutę,

chcąc wrócić do własnych pokoi.

- Nie musisz odchodzić, jeśli nie chcesz - powiedziała, już zasypiając. - Chyba że to jakaś reguła, o której mi nigdy nie powiedziano.

Nie było takiej reguły, ale rozsądek nakazywał odejść. Pewne formalne reguły powinny być przestrzegane w kontaktach z kobietą.

Mówiła jednak, że nie chce zostać sama z duchami, a te czaiły się jeszcze, być może, gdzieś na krawędzi jej snu.

Zdecydował, że zostanie ten jeden raz. Dla niej.

Po raz kolejny Hawkeswell jechał konno za powozem w strumieniach deszczu. Podróż do Shropshire okazała się bardziej uciążliwa, niż oczekiwał.

Winę za to ponosiła Colleen. Usłyszawszy od Verity o planowanej podróży - podróży, na którą Hawkeswell nie wyraził jeszcze zgody - Colleen oznajmiła, że chciałyby się do nich przyłączyć. Od dwóch lat nie widziała kuzynki ich matek, pani Geraldson, która mieszkała niedaleko od Birmingham, poza tym towarzyszenie Verity pozwoliłoby jej upiec trzy inne pieczenie przy jednym ogniu.

Uciekłyby od upału i zaduchu Londynu latem, miałyby miłe towarzystwo w czasie podróży przez prowincję oraz nie musiałyby wracać do matki przed upływem co najmniej dwóch tygodni. Ten ostatni wzgląd sprawił, że Hawkeswell przestał się w końcu wahać i zdecydował się na wyjazd.

Skoro podróżowała Colleen, to podróżowała wraz z nią jej pokojówka. Obie służące jechały teraz ze swoimi paniami w załadowanym bagażami powozie.

Hawkeswell, kłusując za powozem, większość czasu spędzał na podziwianiu widoków, ale i tak miał go dosyć, żeby zastanawiać się nad naukami płynącymi z małżeństwa. Przede wszystkim już wiedział, że Verity nie była jedną z tych żon, które wymuszają od męża, w chwilach jego słabości po zaznaniu rozkoszy, klejnoty, za to

spełnienie każdej prośby, której spełnienia natychmiast, jeszcze przed opuszczeniem jej łóżka, nie odmówił, uważała za zagwarantowane.

„Pomówimy o tym jutro” zapowiadało jedynie jego porażkę.

Deszcz przestawał zacinać i wreszcie ustał, chmury na niebie przed nimi się rozwiały. Wkrótce mieli dojechać na miejsce. Pani Geraldson nalegała, żeby wszyscy się u niej zatrzymali, a że jej posiadłość leżała o godzinę jazdy powozem od Oldbury, Hawkeswell przystał na to.

Chociaż wyraził zgodę na ten wyjazd i odwiedzenie przez Verity jej rodzinnych stron, nie podobał mu się pomysł znalezienia kwatery na pobyt zbyt blisko walcowni. Godzinę drogi uznał za stosowny dystans.

Pani Geraldson mieszkała tuż za granicą hrabstwa Staffordshire.

Hawkeswell znał ją jako prostolinijną damę w średnim wieku, która kochała spokojne życie na wsi. Rozległy dom krył przestronne apartamenty, Hawkeswell i Verity dostali najlepsze pokoje. Pozbawione luksusu, ale bardzo wygodne. Rozgościwszy się, zostali zaproszeni przez gospodynię na lekki posiłek. Razem z Colleen odpoczywali w przyjemnej bawialni, pijąc poncz i częstując się małą ciasteczkami.

- Jestem zaszczycona, mogąc was gościć, lordzie Hawkeswell i

lady Hawkeswell. - Pani Geraldson uśmiechnęła się życzliwie do

Verity. - Niech mi zostanie wybaczony brak skromności, jeśli

powiem, że mam drobny udział w twoim szczęściu. Któż mógł

przewidzieć, że jeden zwykły list spowoduje lawinę szczęśliwych przypadków.

- Hermione nawiązuje do listu polecającego, który dała

Thompsonom, kiedy ci wybierali się do Londynu z pierwszą dłuższą

wizytą -wyjaśniła Colleen, widząc zakłopotanie Verity. - Chociaż

poznałam pana Thompsona, kiedy przyjeżdżałam tu jako dziewczyna, mając list polecający od niej, złożył nam wizytę i odnowił znajomość.

- Zna pani mojego kuzyna? - zwróciła się Verity do pani

Geraldson.

- Sądzę, że znam wszystkie znaczące postaci w okolicy

Birmingham. Jak się okazało, znała także ojca Verity. Miała nawet

wiadomości z walcowni.

- Coś się tam złego szykuje, powiadają. Cóż, jak wszędzie w tych

czasach. Ci wszyscy radykałowie i demonstracje. Lord Cleobury

twierdzi, że naokoło powstają nielegalne komitety rewolucyjne.

Człowiek nie czuje się bezpiecznie, jadąc własnym powozem, w

strachu przed napaścią ze strony tych, którzy naturalnym porządkiem

rzeczy powinni jeździć co najwyżej chłopskimi wozami lub ciągnąć

wózki.

- Czy użyto przemocy? - zapytał Hawkeswell. - Czy doszło

ostatnio do takich napaści? W Londynie o niczym takim nie

słyszeliśmy.

- To tylko kwestia czasu po tym, co stało się latem w Derbyshire

i w Manchesterze na wiosnę. Pan Albrighton stara się, jak może, nie

spuszczać tych ludzi z oka, ale to tylko jeden człowiek.

- Albrighton? Jonathan Albrighton? Jeśli to on, nie wiedziałem, że ma tutaj posiadłość ani nawet, że wrócił do Anglii.

- To w istocie on, lordzie Hawkeswell. Zna go pan? Otrzymał spadek po krewnym i zamieszkał w Losford Hall. Ta wiadomość bardzo zainteresowała Hawkeswella.

- Jutro go odwiedzę. Co najmniej pięć lat minęło od naszej ostatniej rozmowy.

- Jak pan Albrighton czuwa nad wszystkim? - zapytała Verity. - Ostrzega nieposłusznych? Ekspediuje ich z hrabstwa?

- Ponieważ aż tyle hrabstw ze sobą tutaj sąsiaduje, nic dobrego by z tego nie wynikło. Mogliby wskoczyć do naszego hrabstwa z powrotem, to jasne. Lord Cleobury obawia się, że bliskość granic innych hrabstw sprzyja buntownikom i że rebelia rozpocznie się właśnie tutaj. Sprowadził działa do swojej posiadłości. Ustawił je na tarasie, na wypadek ataku.

- Wątpię, żeby doszło do otwartej rebelii - stwierdził Hawkeswell. - Ludzie są rozgniewani i niespokojni, to prawda. Wojna spowodowała biedę. Większość demonstrantów daje wyraz swemu niezadowoleniu, a nie rewolucyjnym przekonaniom. Nie są zdrajcami.

- Boję się, że ocenia pan ich zbyt łagodnie i że to lord Cleobury ma rację. Nie uspokoją się, póki nie zniszczą wszystkiego, co dobre - odezwała się Colleen. - Trzeba im się twardo przeciwstawić. Armia

musi wkroczyć do akcji i ich poskromić, tak jak Brandretha i jego bandę.

- Gdyby doświadczył pan zdrady niemal we własnym ogrodzie, lordzie Lawkeswell, zrozumiałby pan obawy przyzwoitych ludzi mieszkających tutaj - odezwała się pani Geraldson.

- Ludzie chcą tylko wykarmić swoje rodziny - stwierdziła Verity.

- W interesie nas wszystkich leży, żeby im w tym pomóc. Pani Geraldson nie przywykła do sprzeciwu.

- Twoja własna rodzina postrzega to inaczej. Pan Thompson uprzedził swoich robotników, że jeśli wezmą udział w wywrotowych akcjach, zostaną wyrzuceni z walcowni i usunięci z domów. Nie zawahał się zeszłej zimy wezwać kawalerii, to znaczy członków pospolitego ruszenia, kiedy jacyś ludzie chcieli wywołać niepokoje.

- Nie odpowiadam za kuzyna. Jednak mój ojciec nigdy nie zabroniłby swoim robotnikom mówić otwarcie, co myślą. Jesteśmy wolnymi ludźmi.

- Tak, jesteśmy - przyznał jej rację Hawkeswell. Nie chciał kłótni. Należało zmienić temat. - Proszę mi powiedzieć, pani Geraldson, czy coś wiadomo o innych moich krewnych w tych stronach? Przyznaję, że nigdy nie poznałem części rodziny mojej matki. Ilu jest ich w tym hrabstwie?

- Więcej pańskich krewnych mieszka w Derbyshire.

Rozmowa przeszła na kuzynów, którzy przenosili się po wielokroć z miejsca na miejsce. Hawkeswell zdołał odwrócić uwagę

gospodyni od tematu rebelii, podejrzewał jednak, że Verity martwi się tym, co pani Geraldson powiedziała o Bertramie i walcowni.

Następnego dnia rano Verity włożyła strój do podróży. Posiłała się właśnie w pokoju śniadaniowym, kiedy wszedł Hawkeswell.

Zerkał na jej strój, parasolkę i torebkę, jedząc i gawędząc z panią Geraldson.

- Wybierasz się dokądś? - zapytał, gdy gospodyni przeprosiła ich i opuściła pokój.

- Zamierzam wezwać powóz i odwiedzić Oldbury -
odpowiedziała obojętnym tonem w nadziei, że to pomoże.

- Nie sama. Z pewnością nie.

- Mówiłeś o odwiedzinach u pana Albrightona, więc muszę jechać sama. Wrócę po południu. Będę bardzo ostrożna. Zadbam o swoje bezpieczeństwo.

Na jego twarzy pojawił się ten szczególny wyraz. Taki, który mówił, że bardzo się stara zachowywać rozsądnie. Tylko że w jego pojęciu rozsądne zachowanie oznaczało, iż oczekuje, że to ona uzna jego racje i odstąpi od swoich, gdy on kilka razy powtórzy, co sądzi w określonej sprawie.

- Verity...

- Po to przyjechałam. Nie będę spokojnie tu siedzieć, a co dopiero grać rolę uprzejmego gościa. - Wzięła do ręki parasolkę i torebkę, szykując się do wyjścia.

- Odłóż to. Nigdzie nie pojedziesz, jeśli ja na to nie pozwolę.

Woźnica nigdy nie okaże mi nieposłuszeństwa, nawet jeśli tyje okazujesz.

- Mój dom jest kilka mil stąd. Dlaczego przywiozłeś mnie tak daleko, skoro teraz mi nie pozwalasz tam pojechać?

- Na wszystko ci pozwalam, tylko nie na niezależność, która może się źle dla ciebie skończyć. To nie Manchester, ale słyszałaś, co mówiła pani Geraldson o panujących tu nastrojach. Nie jest bezpiecznie.

Chciała mu odpowiedzieć, że córka Joshuy Thompsona nie ma się czego obawiać w walcowni, którą zbudował ojciec, nie była jednak pewna, czy tak jest rzeczywiście. Niewykluczone że obecnie robotnicy widzą w niej tylko kuzynkę Bertrama i żonę arystokraty.

Odłożyła torebkę.

- Wiedziałaś, że nie pasujemy do siebie.

Twarz mu stężała, spojrzał na nią badawczo.

- Nie pasujemy? Żaden przyzwoity mężczyzna nie postąpiłby inaczej. Wolałabyś, żebym nie dbał o twoje bezpieczeństwo?

Nie, wcale by nie wolała. To by ją przygnębiło. Ale przez dwa lata prowadziła niezależne życie i nie lubiła, żeby ją zmuszano do zmiany planów, nieważne czy dla kaprysu, czy z rozsądnych powodów. Nie tolerowała tego, że ktoś wymaga od niej posłuszeństwa, jeśli ona nie zgadza się wykonać polecenia.

- Być może ty i ja do siebie pasujemy, ale ja nie pasuję do małżeństwa - stwierdziła. - Każdy mąż zirytowałby mnie, wtrącając

się w moje sprawy.

- Musisz się nauczyć z tym żyć. Skoro jesteśmy małżeństwem, a ja jestem twoim mężem. Chodź tutaj.

Był rozgniewany. Odczuła dawny, wstrętny strach. Ofuknęła się w duchu, stwierdzając, że to głupota z jej strony. Ten człowiek nigdy nie wykazał wobec niej okrucieństwa ani nie dał się ponieść gniewowi w jej obecności. A jednak to dręczące uczucie strachu, tak dobrze jej znane w przeszłości, odżyło i zawahała się, zanim obeszła stół i zbliżyła się do niego.

Odsunął krzesło i poklepał się po kolanach.

- Siadaj.

Posłuchała.

- A teraz pocałuj mnie tak, jak tamtej nocy, kiedy zostałem z tobą. Krzyknęłaś z rozkoszy, a potem mnie pocałowałaś.

Twarz jej płonęła. Obejrzała się przez ramię, sprawdzając, czy nikt nie patrzy. Nie była nawet pewna, czy wie, o co mu chodzi.

Dotknęła jego ust wargami i wtedy przypomniała sobie tamten pocałunek. Wyrażała nim intensywne emocje, które wówczas ją opanowały. Czy potrafi tak całować rano, w pokoju śniadaniowym?

Spróbowała jednak. Ośmieliła się i zaangażowała w ten pocałunek język i zęby. Tak jak wcześniej robił to on. Odwzajemnił go, całując ją w dzikim zapamiętaniu, a jej ciało natychmiast zareagowało.

Zmusiła się, żeby przerwać pocałunek, gdyż drzwi mogły się

otworzyć w każdej chwili. Zastanawiała się, czy wygląda na tak rozpaloną i podnieconą, jaką niewątpliwie w tej chwili była.

- A teraz poproś, żebym ci dzisiaj towarzyszył do Oldbury, by cię w razie potrzeby ochronić przed napastnikami.

Zdusiła w sobie odruch dumy.

- Bardzo bym chciała pojechać dzisiaj do Oldbury. Czy zabierzesz mnie tam?

Odłonił lekko zęby i zacisnął je delikatnie na jej palcu. W jego oczach pojawił się diabelski błysk. Nie mogła odwrócić wzroku. W jego spojrzeniu odnalazła żywe wspomnienie tamtej nocy. Jego, wchodzącego w nią głęboko, i siebie, szalejącą od doznań, gdy ją wypełniał.

Postawił ją na ziemi i wstał.

- Wezwę powóz, a Albrighona odwiedzę innym razem, jeśli zajdzie potrzeba.

- Dziękuję - odparła, nie mogąc wciąż przytłumić w sobie podniecenia.

Ujął ją za brodę i pocałował.

- Widzisz? Świetnie do siebie pasujemy, Verity.

Hawkeswella zaskakiwało zawsze, że uprzemysłowione rejony nadal wyglądały na wiejskie, niemal rolnicze. Odległa o milę od Oldbury walcownia, położona w odosobnionej części hrabstwa Shropshire, otoczonego ze wszystkich stron przez inne hrabstwa, również leżała wśród pól i łąk.

Budynki wykonano z cegły i miejscowego kamienia.

Przypominały zabudowania gospodarcze na farmie; otaczała je zieleń, drzewa, krzewy, a nawet rosły tam polne kwiaty. Około trzystu jardów dalej, na niskim wzgórzu, wznosił się dom z kamienia. Stał bokiem do walcowni, jego rozmiary wskazywały, że mieszkał tam jej właściciel albo zarządca.

Osiedle, złożone ze sporej liczby chat, wyrosło na północ od fabryki. Na skraju osady płynął szeroki strumień, przy walcowni napotykał tamę, a potem wpadał na ogromne koło, które poruszało młotem.

Verity nazywała to miejsce domem. Nie zdawał sobie sprawy, co miała na myśli. Dorastała w tym domu na wzgórzu, mając piec i kuźnię niemal w ogrodzie. Wyobraził sobie, jak zbiega ze wzgórza, żeby przyłączyć się do zabawy dzieci robotników.

- Chcesz zajrzeć do domu? - zapytał. - Thompsonowie nie wyjechali jeszcze z Londynu, kiedy my ruszyliśmy w drogę, więc nie sądzę, żeby tam byli. Gospodarz cię wpuści.

Przyjrzała się domostwu uważnie.

- Nie muszę tam chodzić. Nic tam po moim ojcu nie zostało. Ale ojciec jest nadal, w piecach i kuźniach. - Wskazała na strumień. - Tam się utopił. Trudno uwierzyć, że tamtej wiosny strumień zamienił się w rwącą rzekę. Pomagał robotnikom ratować domy, kiedy porwał go prąd i już się z wody nie wynurzył.

Ruszyła po ubitej ziemi, która stanowiła tu ulicę. Wszystkie oczy

podążały za nią i dżentelmenem u jej boku. Na koniec, minawszy

większość zabudowań, ujrzeli ułożone na ziemi szyny.

- Żelazo dowozi się do kanału specjalnymi wagonami, które poruszają się po tych szynach - wyjaśniła. - Trasa nie jest długa. Nie ma wielu walcowni jak ta. Tutaj robi się wszystko od początku do końca. Przywożą surową rudę, a wywożą pręty, odlewy i kute żelazo.

Skromniejszy, ale prawie równie duży dom stał z tej strony walcowni.

- To dom pana Trávisa. Teraz go tam nie będzie. Powinien być w fabryce.

Szedł za nią, aż zbliżyli się do niskiego budynku z kilkoma oknami. Nikt nie wyszedł ani nie wszedł, kiedy się zbliżali, z komina nie wydobywał się dym.

Wewnątrz sześciu mężczyzn pracowało na tokarkach, kładąc w imadła grube metalowe pręty, a następnie wydrążając je specjalnym narzędziem. Przerwali pracę, kiedy weszła Verity. Przyglądali się przybyszom z podejrzliwością, w milczeniu i nagle ogarnęło ich najwyższe zdumienie.

- Panie Travis - zawołał starszy mężczyzna. - Jest tutaj córka pana Joshuy. Może to duch, ale nie sądzę.

Otworzyły się drzwi, ukazując kolejne pomieszczenie, gdzie stały mniejsze tokarki i długi stół pokryty skrawkami żelaza i stali. Pan Travis popatrzył badawczo przez okulary, a potem zdjął je, wpatrując się nadal w Verity.

Był to wysoki, wielki mężczyzna o siwiejących jasnych włosach i czerwonej twarzy, równie surowej i twardej jak żelazo, które obrabiał. Uśmiech złagodził ją, a Hawkeswell pomyślał, że mężczyzna lada moment się rozplacze.

- To nie może być panna Thompson, Isaiah. Ta to urodzona dama. Prawdziwa dama, która pewnie zabłądziła.

- To naprawdę ja, panie Travis - oznajmiła Verity, podejmując grę.

Travis zbliżył się do nich, otwierając szeroko oczy i marszcząc brwi jak aktor komediowy. Podszedł bardzo blisko i schylił się nisko, żeby zajrzeć pod rondo jej kapelusza.

- A niech to. To ona. Lata uczyniły z dziewczyny kobietę, a do tego damę.

Verity objęła go, a potem przedstawiła Hawkeswella.

- Chciałabym pobyć z wami trochę, jeśli to panu nie przeszkadza, panie Travis.

- Nikt nie mówi, że nie możesz, więc uznajemy, że możesz - powiedział. - Zostań tak długo, jak chcesz i potrzebujesz, ponieważ kiedy wróci twój kuzyn, nie będzie zachwycony kolejną wizytą.

Wprowadził ich do drugiego pomieszczenia i zamknął drzwi.

Hawkeswell przyjrzał się kawałkom metalu na stole oraz narzędziom i tokarkom. To w tym musiał się kryć sekret. W innych tokarkach używano metalowych części uformowanych przez pana Trávisa i sama natura tych części stanowiła ów sekret.

- Pisałam do pana, panie Travis, z wiadomością, że żyję i mam się dobrze - oznajmiła Verity. - Czy nie dostał pan mojego listu?

- Dostałem i sprawił mi ogromną ulgę i mnóstwo radości. To niezwykle opłakiwać kogoś, a potem dowiedzieć się, że ten ktoś żyje. Zdumiewające doświadczenie.

- Tak zdumiewające, że nie mógł pan odpisać?

- Twój kuzyn także się dowiedział, że żyjesz. Przyszedł tutaj i zabronił mi odpisywać. Groził, że mnie zwolni i walcownię diabli wezmą. Mówił, że będę odpowiedzialny za tych wszystkich ludzi, którzy tracą pracę. Nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, że rozmawialiśmy tu dzisiaj. - Zdjął ze ściany dwa krzesła zawieszona na hakach i ustawił je na podłodze.

Verity usiadła. Hawkeswell wolał stać.

- Musimy porozmawiać o wielu sprawach, póki mamy możliwość, panie Travis. Zanim pomówimy o interesach, muszę zapytać, gdzie jest Katy. Napisałam także do niej, jak tylko... - zerknęła na Hawkeswella - jak tylko było to możliwe, ale przesłałam list przez proboszcza, który, jak się teraz dowiedziałam, odszedł.

- Odszedł, owszem. Stracił posiadłość. Na jego miejsce przyjęto krewnego pani Thompson. Pan Thompson uważał, że poprzedni ksiądz używał ambony do wzniecania niesnasek. To znaczy, często mówił o twoim ojcu pochlebniej niż o obecnym mieszkańcu dużego domu.

- A Katy?

- Mieszka w pobliżu. Żyje teraz z zasiłku z plebani, w chacie nieopodal kanału.

Przeszli do rozmowy na temat walcowni. Hawkeswell słuchał, ale przyglądał się także kawałkom żelaza i maszynom, których używał Travis.

Travis opisał niepokoje z zeszłej zimy, na które Bertram, jego zdaniem, zareagował w jak najgorszy sposób, oraz ogólne niezadowolenie robotników z powodu obniżki płac teraz, kiedy wojna się skończyła i nie potrzebowano już dział i muszkietów.

Verity pożegnała się z panem Travisem, obiecując, że niebawem wróci.

- Zawsze podejrzewałam, że Bertram nie jest dobrym następcą mojego ojca - odezwała się, kiedy wyszli na zewnątrz. - Zakazał mi tu przychodzić, odkąd został moim prawnym opiekunem, i lata minęły od mojej ostatniej rozmowy z panem Travisem sam na sam. Jestem pewna, że ma mi dużo więcej do powiedzenia.

- Powie ci to, kiedy mnie z tobą nie będzie.

- Nie obrażaj się. Nie zna cię i nie wie, co o tym wszystkim myślisz.

- Nie jest pewien, czy nie trzymam z Bertramem, chciałaś powiedzieć. - Nie mógł winić pana Trávisa, skoro nawet Verity miała wątpliwości.

- Jesteś hrabią. Nie będzie mówił swobodnie w twojej obecności, cokolwiek sądzi o twoich stosunkach z Bertramem. Izba Lordów

raczej nie wykazała zrozumienia dla ludzi takich, jak ci tutaj. -

Energicznie zmierzała uliczką przed siebie. - Teraz muszę znaleźć

Katy.

Chata przy śluzie kanału okazała się nędzną szopą z kamienia i słomy. Otaczał ją liche warzywniak, założony na kamienistej ziemi.

Tylko okiennice chroniły wnętrze przed deszczem czy wiatrem.

Serce Verity pękło z bólu na ten widok. Rozpaczliwie pragnęła zobaczyć Katy, ale niemal życzyła sobie, żeby się okazało, iż skierowano ich w złe miejsce.

Hawkeswell wysiadł z powozu. Wręczyła mu koszyk z żywnością, którą kupiła w Oldbury. Pomógł jej wysiąść.

- Poczekam tutaj - powiedział.

Zastanawiała się przedtem, jak go o to poprosić. Wzruszyło ją, że rozumiał, iż chce spędzić jakiś czas sama z Katy. Wolała, żeby

Hawkeswell o pewnych rzeczach nie słyszał, poza tym krępowałoby ją odsłanianie swoich uczuć przy nim.

- To może trochę potrwać. Czy chcesz zabrać powóz i wrócić za jakiś czas?

- Przejdę się do tamy i porozglądam się przez chwilę. Jeśli postanowię zabrać powóz, dam ci znać.

Znów wzięła koszyk i zaniósła pod drzwi chaty. Zapukała. W chacie ktoś się poruszył, potem rozległ się odgłos kroków na drewnianej podłodze. Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich Katy, chudsza i bardziej siwa niż kiedyś, ale wciąż sprawiająca wrażenie silnej i niepokonanej.

Zmarszczyła brwi na widok damy w eleganckim kapeluszu i

sukni, przechyliła głowę, przyglądając się powozowi widocznemu za małym ogródkiem.

- To ja, Katy. Verity.

Katy chwyciła framugę drzwi, wyszła na zewnątrz i spojrzała badawczo w twarz Verity. Poznała ją, w jej oczach pojawiły się łzy.

Wzięła Verity w objęcia, zamknęła w uścisku tak serdecznym, tak ciepłym, tak znajomym, że Verity również zapłakała.

- Moje dziecko - zawołała cicho Katy. - Moje drogie dziecko.

- To był twój mąż? - zapytała Katy. Nalegała, żeby Verity usiadła na jedynym krześle w izbie, a sama usadowiła się na stołku w pobliżu. - Przystojny mężczyzna.

- Tak, to prawda. - Być może zbyt przystojny. To ją czyniło bezradną wobec niego, teraz i w przyszłości. Był świadom, że jest atrakcyjnym mężczyzną, co w połączeniu z wysoką pozycją społeczną dawało mu ogromną pewność siebie, a ją jej pozbawiało. - Potrafi być bardzo dobry - dodała, nie chcąc, żeby Katy się o nią martwiła. Bywał bardzo dobry. - Przywiózł mnie tutaj, żebym cię odnalazła i dała ci znać, że żyję i mam się dobrze.

- Dawno straciłam nadzieję, że cię znowu zobaczę. To jak cud.

Skoro jest taki dobry, to dlaczego uciekaś, moje dziecko?

Jakie to podobne do Katy, żeby zapytać o to wprost. Ale przecież w przeszłości, jeśli uciekała, to właśnie do Katy.

W ramionach Katy przypomniła od razu, dlaczego uciekała, i wspomnienie napełniło jej serce tęsknotą. W tych ramionach dziecko

znalazło pociechę po śmierci matki, a młoda dziewczyna - po śmierci ojca. Kiedy guwernantka łajała ją za bardzo albo kiedy karała ją Nancy, wymykała się czasami, doskonale wiedząc, że za to odpokutuje, i biegła do domu Katy, szukając pociechy.

Wspomnienie zapachu i dotyku tej kobiety nie opuszczało jej przez ostatnie dwa lata. Teraz, kiedy siedziała w tej małej, smutnej chacie o podłodze z surowych drewnianych desek, miała wrażenie, że od dawna nie czuła się tak bardzo sobą.

A jednak nie mogła szczerze odpowiedzieć na pytanie Katy. Nie chciała jej martwić, zdradzając, czym groził Bertram.

- Uciekłam, ponieważ tak naprawdę nie zgodziłam się na to małżeństwo. - Opowiedziała o swoim planie, jak spodziewała się odzyskać wolność, osiągnąwszy pełnoletność, wrócić do domu i wyrzucić Bertrama. Opowiedziała Katy o wszystkim.

- To był dziecinny plan - stwierdziła Katy. - Plan godny córki twojego ojca, ale jednak dziecinny, świadczący o nieznajomości świata. Ale wróciłaś i jeśli ten lord potrafi być dobry, małżeństwo z nim nie przyniesie ci szkody. Będziesz przynajmniej bezpieczna.

- Teraz wiem więcej o świecie i jestem wreszcie zadowolona z tego, że cię zobaczyłam. - Pochyliła się w stronę stołka i ponownie objęła Katy. - A Michael? Jak on sobie radzi?

Katy zamknęła oczy i Verity zrozumiała, że sprawiła jej ból.

Serce w niej zamarło.

- Odszedł dawno temu. Nie ma go już dłużej, niż ciebie nie było.

Najpierw nic sobie z tego nie robiłam; to nie był pierwszy raz, jak tak odszedł, wiesz o tym dobrze, ale...

- Dokąd poszedł?

Katy powoli pokręciła głową.

- Nie wiem. Czasami śniłam o nim i o tobie, że jesteście razem, jak wtedy, kiedy byliście dziećmi, i bałam się, że sen oznacza także jego śmierć. - Otarła łzy i zmusiła się do uśmiechu. - Ale skoro ty żyjesz, o czym przekonałam się na własne oczy, może ten sen nic nie znaczy.

- Czy mogli go aresztować? Nie liczył się ze słowami, Katy.

Może był w coś zamieszany i trafił do więzienia.

- Jeśli tak, to nie w Shropshire ani Staffordshire. Gdyby była rozprawa w sądzie, powiedziano by mi o tym. Pan Travis usłyszałby o tym.

Verity ujęła rękę Katy.

- A więc przez cały ten czas czekałaś, nie wiedząc, czy go oplakiwać, czy nie.

- I ciebie, dziecko. I ciebie.

- Dowiem się, co się z nim stało, Katy, nawet jeśli nie będą to dobre nowiny, żebyś dłużej już na próżno nie wyczekiwała. -

Rozejrzała się po małej chatce, z dwoma małymi okienkami, w której panował półmrok. - Musi tu być ci niewygodnie, kiedy pada albo jest mróz.

- To szczęście, że ją mam. Po odejściu Michaela wyrzucono mnie

z domu przy walcowni, gdzie mieszkaliśmy.

Nie tak miało być. W umowie Bertram gwarantował, że Katy nigdy nie zostanie usunięta z własnego domu. Kolejny dowód zdrady Bertrama rozwścieczył Verity. Z trudem ukrywała gniew.

- Dopilnuję, żeby w przyszłości lepiej ci się żyło.

Chciała dać jej zapewnienie, ale przypomniawszy sobie w porę, że nie ma żadnych uprawnień, żeby przyrzec cokolwiek. Musi poprosić Hawkeswella o pozwolenie, jeśli chce pomóc Katy. Musi prosić, żeby otrzymać okrusz własnego dziedzictwa i pomóc tej drogiej jej sercu kobiecie.

Wstała i podeszła do stolika, na którym stał koszyk.

- Przyniosłam ci trochę jedzenia na później, ale także trochę na teraz. - Rozpakowała pasztet i gomółkę sera. - Posilmy się nieco.

Opowiedz mi o sąsiadach. Chcę usłyszeć od ciebie tylko dobre wieści, Katy. Resztę już znam.

Hawkeswell przyglądał się barce czekającej, aż otworzy się śluza kanału. Powstrzymywana przez dwie potężne bramy, podniosła się wyżej, kiedy woda zaczęła napływać. Zwały węgla na pokładzie nie stanowiły przeciwwagi dla sił natury i barka wznosiła się, aż znalazła się powyżej bram. Wtedy brama przed barką otworzyła się powoli i barka popłynęła.

Kanał Birmingham wił się w oddali, zakręcając kilka razy pomiędzy Wolverhampton a Birmingham. A i tak nie mógł ominąć niektórych wzgórz i musiano ustawić pompy parowe, żeby

pompowały wodę, zapewniając funkcjonowanie kanału w tych miejscach.

W parlamencie wciąż dyskutowano nad różnymi ustawami dotyczącymi kanałów, jako że ludzie chcący zarobić na przewożeniu dóbr albo wytwarzający dobra, które należało przewozić, domagali się skrócenia dróg wodnych. W związku z tym wiedział o kanałach więcej niż większość ludzi. Wiedział, że to nie był najlepszy kanał. Był kanałem wąskim i trudnym do przebycia ze względu na swój serpentynowy przebieg. Ale i tak przewożenie nim węgla było o niebo łatwiejsze niż drogą lądową.

Wrócił do powozu, sprawdzając na zegarku godzinę. Verity pewnie będzie chciała zostać z Katy o wiele dłużej.

Kiedy mu wcześniej mówiła o tej kobiecie, sądził, że jest ona dla Verity kimś w rodzaju opiekunki albo guwernantki. Widząc ich spotkanie, ich serdeczny uścisk i łzy, zmienił zdanie. Verity miała na myśli dokładnie to, co mówiła. Katy była dla niej jak matka.

Okolica wydawała się dość bezpieczna. Postanowił jednak zabrać powóz i posłał do Verity woźnicę z informacją, że wróci za dwie godziny.

Losford Hall stało na wzgórzu, na końcu drogi wijącej się wśród drzew. Hawkeswell uznał, że to ładna posiadłość, ale spowijała ją aura tajemniczości. Odpowiednia dla człowieka, który tam teraz zamieszkał.

Jonathan Albrighton przyjął go w bibliotece pełnej książek i

gazet. Niektóre przyjechały wraz z nowym właścicielem posiadłości.

Nieoprawione tomy i stosy czasopism mieszały się z oprawnymi woluminami, które zwykle przez lata gromadzono w tak dużych wiejskich rezydencjach.

- Cieszę się, że przyjechałeś. Miałem nadzieję, że mnie odwiedzisz - powiedział Albrighton.

Wydawał się chudszy niż Hawkeswell pamiętał, ale wciąż jego sposób bycia stanowił mieszaninę zarówno szacunku dla innych, jak i arogancji. Ciemne włosy nosił związane w staromodny harcap, a ciemne oczy i postawa skłaniały do zawierzenia temu człowiekowi i zaufania, jak zawsze. Hawkeswell wiedział jednak, że niezależnie od tego, jak długo się będzie wpatrywać w jego oczy i jak często mu się zawierzy, myśli skrywające się za tymi oczami zawsze pozostaną nieodgadnione.

- A zatem wiedziałeś, że przebywam w okolicy. - Nie kłopotał się, żeby sformułować pytanie. - Wieści na wsi szybko się rozchodzą, trzeba przyznać. Jako sędzia pokoju bez wątpienia dowiedziałeś się o tym jako jeden z pierwszych.

- To tylko potwierdziło to, czego się spodziewałem. Musiałeś w końcu przyjechać, żeby zająć się majątkiem odziedziczonym przez żonę.

Siedzieli w wygodnych fotelach. W takim fotelu można było godzinami zagłębiać się w lekturze. Z pewnością ten człowiek tak właśnie spędzał czas. Albrighton był najpilniejszym studentem na

uniwersytecie i wszyscy uważali, że zostanie dziekanem. Zamiast tego wybrał żywot nomady, podróżując po świecie i zatrzymując się w Londynie na krótko lub na dłużej, ale nigdy nie było wiadomo, na jak długo.

To, w połączeniu z niejasnymi źródłami jego dochodu, doprowadziło Hawkeswella, Summerhaysa i Castleforda do wniosku, że Albrighton brał udział w jakichś działaniach nie do końca legalnych, być może nawet na zlecenie rządu.

- A zatem zostałeś posiadaczem ziemskim i osiadłeś na wsi - stwierdził Hawkeswell, podziwiając bibliotekę. - Chociaż wśród tych książek zaspokajasz swoją intelektualną ciekawość, nie mogę sobie wyobrazić, żebyś długo tu wytrzymał. Oczywiście, jako sędzia pokoju, czynnie służysz społeczeństwu.

- Ta funkcja mnie zaskoczyła. Jednak staram się wypełniać dobrze swoje obowiązki.

- Z pewnością wywiązujesz się z nich doskonale. Zamierzasz robić to dłużej? Zostajesz w Anglii?

- To się okaże. - Albrighton uśmiechnął się uprzejmie.

Głębina jego ciemnych oczu fascynowała, ale, jak zwykle, nie ujawniała myśli.

- Opowiadano mi o działalności wywrotowej w tym regionie.

Moja gospodyni jest pewna, że nadchodzi rewolucja. Usłyszałem od niej jakąś bzdurną historię o Cleoburym i działach, które sprowadził.

Dzisiaj nie zauważyłem niczego, co uzasadniałoby takie obawy.

- Ludzie będą mówić. Stałem się bardziej ostrożny, rozmawiając z tymi, którzy mogą siać niezadowolenie, bo nie chcę podsycać złych nastrojów. A co do Cleobury'ego, cóż, nigdy nie był zbyt bystry.

- W parlamencie wielu uważa, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych raczej roznieca niepokoje, niż je uspokaja. Że działają tutaj agenci prowokatorzy, na usługach ministra lorda Sidmoutha.

Wiesz coś o tym?

Albrighton tylko na niego spojrział, w skrzywieniu jego ust i w oczach widać było lekkie rozbawienie.

- A ja myślałem, że to wizyta towarzyska. Czy parowie z Izby Lordów wysłali cię na przespiegi? Jeśli tak, to nie mogę ci pomóc.

Nie spotkałem żadnych agentów prowokatorów, jeśli w ogóle istnieją.

- Nikt mnie nie przysłał. Jestem po prostu ciekaw. - Głównie interesowało go, co robił tutaj Albrighton. Oczywiście, gdy wojna dobiegła końca, zapotrzebowanie na szpiegów zmniejszyło się, podobnie jak popyt na żelazo. Skoro jego umiejętności stały się państwu zbędne, musiał się gdzieś podziąć.

Hawkeswell wstał i podszedł do okna. Wychodziło na mały ogród, a dalej rozciągały się dzikie, niezagospodarowane tereny.

- Dawno wróciłeś do Anglii? Dziwne, że w Londynie nikt o tym nie wie.

- Może rok temu. W Londynie bawiłem bardzo krótko, przejazdem, i nie miałem czasu odwiedzić starych przyjaciół.

Hawkeswell nie sądził, żeby należał do przyjaciół, których

Albrighton miałby ochotę odwiedzić niezależnie od okoliczności.

Ciekaw był, czy tamten w ogóle miał jakichś przyjaciół.

- To piękna posiadłość. Część spadku zapewne?

- Dziękuję. Ja też sądzę, że to piękna posiadłość. Hawkeswell roześmiał się.

- Nie zdradzisz swoich tajemnic, co?

- To nie tajemnice, ale sprawy prywatne.

- Wątpię, żeby Cleobury pozwolił komuś zachować dyskrecję w prywatnych sprawach, jeśli się z nim zaprzyjaźniłeś.

- Nie nazwałbym lorda Cleobury'ego swoim przyjacielem.

Hawkeswell wstał z fotela i odwrócił się w jego stronę.

- Co ty, do czarta, tutaj robisz? Chyba nie postanowiłeś wycofać się na wieś dla świeżego powietrza.

- Czy chcesz, żebym cię okłamał, Hawkeswell? Żebym wymyślił historyjkę, która będzie pasowała do twoich wyobrażeń na mój temat?

Zrobię to, jeśli nalegasz. Ale wolałbym niczego nie wymyślać.

Znamy się zbyt długo, dzieliliśmy różne dobre chwile w przeszłości.

Ty i paru innych zasługujecie na coś lepszego. Tak, przeżyli wspólnie różne dobre chwile. Albrighton trzymał się solidarnie z

Summerhaysem, Castlefordem i nim - w dobrych i złych czasach. Ale nie ramię w ramię. Zawsze stał nieco na uboczu i w nieprzeniknionej

masce. Prywatność, jak to nazywał.

Hawkeswell znów usiadł w fotelu.

- Nie, nie kłam. Opowiedz mi za to, jak się sprawy mają w

Paryżu. Z pewnością byłeś tam po moim pobycie w tym mieście.

- Czy to już koniec wizyt na dzisiaj? - zapytał Hawkeswell, kiedy

Verity opuściła późnym popołudniem chatę Kąty

- Tak. - Usadowiła się w powozie, a on wsiadł za nią. - A ty

dokąd się wybrałeś?

- Rozejrzeć się po okolicy.

Verity patrzyła na niego w zamyśleniu. Ku jego zaskoczeniu

przeniosła się z ławeczki naprzeciwko i usiadła obok niego. Objął ją

ramieniem, tak żeby mogła przysunąć się doń tak blisko, jak chciała.

- Mój kuzyn wróci za dzień lub dwa. Nancy napisała do

gospodyni, że wracają, i oczywiście wieść się rozeszła.

- Nie spodziewałem się, żeby został w Londynie po twoim

wyjeździe, więc mnie to nie dziwi.

- Zamierzam porozmawiać z nim o Katy, ale on mnie nie

wysłucha. Nie przyzna się do kłamstwa i fałszywych obietnic, które

mi składał.

Przytuliła się mocniej, a potem odwróciła się i, dość nieporadnie,

wsunęła się mu na kolana. Pocałowała go gwałtownie, namiętnie, jak

rano na jego polecenie. Jako że tym razem się tego nie domagał, jej

śmiałość go zachwyciła.

- Jesteś pewna, że chcesz tego tu i teraz? - zapytał, kiedy w końcu

oderwała wargi od jego ust. Już nie był w stanie utrzymać rąk z dala

od jej ciała.

- Całkiem pewna - szepnęła, tracąc oddech.

Słyszając ten gorący, przerywany szept, stwardniał, pobudzony, i już nie miał zamiaru dłużej się powstrzymywać.

Pocałowała go znowu, by dowieść, jak bardzo jest pewna. Nie potrzebował zachęty, chociaż, trzymając ją na swoich kolanach, ocierającą się i wyginającą, miał wątpliwości, czy to jest rzeczywiście odpowiednia pora i miejsce.

Podniecony, zsunął ją z kolan. Stanęła, przechylona ku niemu, trzymając się brzegu oparcia za jego plecami, żeby utrzymać równowagę w kołyszącym się powozie. Przytrzymał jedną ręką jej głowę, złączony z nią w namiętym pocałunku, podczas gdy drugą ręką podnosił jej spódnicę.

Zadarł ją wysoko, powyżej bioder, koszulkę też.

- Przytrzymaj - polecił.

Była naga, aż do podwiązek podtrzymujących pończochy.

Uniosła pośladki, przechylając się do tyłu, i teraz, w tej pozycji, wyglądała zachwycająco erotycznie. Chciał ją przewrócić i smakować, i wziąć ją brutalnie, i ...

Nie teraz. Nie tutaj. I ma za mało czasu. Uniósł głowę i znów ją całował, pieszcząc wilgotne włoski, a potem sięgnął głębiej, aż usłyszał jej pierwszy krzyk, świadczący, iż pragnie zaspokojenia.

Pieścił nadal, delikatnie stymulując, a ona krzyczała raz za razem, czując jego dotyk.

Uniósł ją znad podłogi i znowu posadził na swoich kolanach, twarzą do siebie. Wdarł się w nią gwałtowniej, niż zamierzał, tak

gwałtownie, że jęknęła.

Powstrzymał się i czekał, aż jej ciało go przyjmie, w pełni akceptując. Tak dotąd najczęściej czynił. Powstrzymywanie się nigdy jednak nie było dla niego tak trudne, jak w tej chwili. Zaciskał zęby, gdy jej aksamitne ciepło miękko łagodniało i wreszcie chętnie przyjął go w sobie. Dopiero wtedy, trzymając jej pośladki, umiejętnie pokierował jej ruchami, pozwalając, by ogień buchnął gorącym płomieniem i wyrwał się spod kontroli.

Odpoczywała z głową na jego piersi, nie próbując nawet się poruszyć. Suknia nieco opadła, ale spod jej skraju wciąż widać było nagie śliczne, białe pośladki, o zachwycająco kobiecym kształcie.

Myślał, że zasnęła. Nie chciał jej budzić. Nie wypuszczał jej z objęć. W końcu jednak zbliżyli się do domu pani Geraldson. Nie mogli się tam pokazać w tym stanie.

Poruszył się lekko, a Verity usiadła, uświadamiając sobie nieład ubrania. Zsunęła się z jego kolan. Szybko doprowadzili się oboje do porządku.

- Przypuszczam, że to było skandaliczne zachowanie.

- Ani trochę tak skandaliczne, jak to, co bym chciał z tobą robić.

Zastanowiła się nad tym, próbując sobie wyobrazić, co jeszcze innego mógłby robić.

- Nie łam sobie głowy, Verity. Pokażę ci kiedyś.

Skinęła głową i nie odzywała się przez minutę.

- Bardzo mnie martwi to, jak żyje Katy. Takie warunki mogą

zrujnować jej zdrowie. Musi też chodzić po wodę do kanału.

Pieniądze z parafii ledwie starczą na jedzenie.

- To rzeczywiście niefortunne.

- Chciałabym wysłać ją do Surrey, do Greenlay Park. Z

pewnością znajdzie się tam domek, w którym będzie mogła

zamieszkać, może też pomagać kucharce lub gospodyni. Chętnie

zabrałabym ją do Londynu, ale Katy nie zna życia w mieście i nie

sądzę, żeby była tam szczęśliwa.

- Z pewnością Surrey jest odpowiedniejsze.

- Dziękuję. To dla mnie bardzo ważne.

Uznała, że jego odpowiedź oznacza wyrażenie zgody. Wydawała

się bardzo z siebie zadowolona.

- Verity, czy po to mnie dzisiaj sprowokowałaś swoim

uwodzicielskim zachowaniem, żeby uzyskać ode mnie pozwolenie?

- Dałeś mi dziś rano do zrozumienia, że pocałunki i te inne rzeczy

pomogą mi cię przekonać co do spraw, na których mi zależy.

Spełniłby jej prośbę, nawet gdyby nie wykazała takiej śmiałości,

jak teraz, w powozie. Widział, ile miłości okazały sobie te dwie

kobiety, spotykając się po tak długim czasie, i słyszał jak Katy

nazywa Verity swoim dzieckiem, więc jakżeby mógł odmówić? Nie

musiała używać swoich kobiecych czarów.

Uznał, że nie leży w jego interesie jej o tym mówić.

- Słyszałam, że Thompsonowie wrócili - oznajmiła pani

Geraldson dwa dni później. - Z pewnością będziesz chciała ich odwiedzić, Colleen. Być może pani również ma taki zamiar, lady Hawkeswell.

- Możemy pojechać same, kabrioletem - powiedziała Colleen. -

Dobrze powożę, a klacz Hermione jest bardzo spokojna, Verity.

- Żona narzekała rano na ból głowy - odezwał się Hawkeswell. -

A ty nie powinnaś zapuszczać się tak daleko bez ochrony. Pojadę z tobą, Colleen. I tak mam pewne sprawy do załatwienia w walcowni.

Verity wyglądała na wdzięczną mu, że oszczędził jej kłamstwa, kłamiąc samemu. Wiedział, że w ogóle nie miała ochoty widzieć się z kuzynem, a co dopiero odwiedzać go w towarzystwie Colleen.

Godzinę później ujął lejce zaprzęgu kabrioletu i ruszył w stronę Oldbury z Colleen u boku.

- Musisz przekonać Verity, żeby bardziej uważała na swoje zdrowie - odezwała się Colleen. - Dziś rano bardzo wczesnie wstała.

Wyszła na dwór i chodziła po rosie. Nie okryła się nawet szalem.

Nie miał o tym pojęcia.

- Ona nie jest chorowitą osobą. Sądzę, że gdyby była, już dawno by się rozchorowała, bo nie miała cieplarnianych warunków po śmierci ojca. Jednak ta wizyta wytrąciła ją z równowagi. Zapewne chciała się uspokoić, spacerując w ogrodzie.

- To jej zapewne przypomina, jak trudno będzie jej się odnaleźć

w środowisku londyńskiej socjety. Nigdy nie poczuje się tam jak w domu, zwłaszcza że tak silne więzi łączą ją z Oldbury. Nie mam prawa niczego ci radzić, ale to powinna być jej ostatnia tutaj wizyta. Może przecież spotkać się z Thompsonami, kiedy ci przyjadą do Londynu, a oni są jej jedynymi krewnymi.

- Nie, nie masz prawa radzić.

Colleen lekko zeszywniała, słysząc tę reprimendę, i Hawkeswell pożałował, że był tak obcesowy. Ujął jej rękę na znak, że się nie gniewa. Splotła swoje palce w rękawiczkach z jego palcami.

- Wybacz. Masz rację. Czasami zapominam, gdzie jest moje miejsce.

- Wcale nie o to mi chodzi. Tylko że najlepsza rada to nie zawsze jest ta rada, której należy posłuchać.

Uwolnił dłoń, chcąc trzymać lejce w obu dłoniach, ale uśmiechnął się do Colleen, żeby nie czuła się urażona.

Jej rada wypływała z życzliwości i brzmiała rozsądnie. Te odwiedziny uświadomiły Verity różnicę między nią a Colleen oraz światem, który Colleen reprezentowała. To był pierwszy argument, jaki wysunęła przeciwko małżeństwu z nim, a teraz, gdy wróciła w rodzinne strony, bliscy jej ludzie wyraźnie nie chcieli mieć z nim do czynienia. Przewidywała, słusznie, że kręgi, w których on się obracał, okażą się jeszcze bardziej dla niej zamknięte.

Zostawił Colleen u Thompsonów, a sam przeprosił ich i wyszedł.

Pani Thompson wyraziła rozczarowanie i nadzieję, że wkrótce wróci.

Zjechał powozem ze wzgórza i odszukał pana Trávisa.

Mężczyzna przywitał się z nim powściągliwie i natychmiast zaprosił do środka domu. Była tam pani Travis, niska kobieta o szczęśliwej, pełnej twarzy. Przyniosła piwo do małej bawialni i zniknęła.

- Mam kilka pytań co do walcowni - zaczął rozmowę

Hawkeswell. - Moja żona ma do pana ogromne zaufanie, więc postanowiłem zadać je raczej panu niż panu Thompsonowi.

Travis nie dopuścił, żeby jego twardo ciosana twarz odzwierciedliła jakąkolwiek reakcję.

- Verity twierdzi, że pan i ona to jedyni ludzie, którzy znają tajemnicę Joshuy. Byłem w tej części walcowni, ale nie wiem, o co w tym chodzi.

- Wiercenie to wiercenie, panie. Tokarki to tokarki. W tym nie ma nic nowego. Ważne jest narzędzie używane do wiercenia. Tego nie widać gołym okiem, ale wykonane jest ze stali, nie z żelaza.

Mężczyźni, których pan widział, używają tych głowic, ale ich nie robią, a opisywanie głowic nikomu na nic się nie przyda. Sádzam ludzi przy tokarkach, a potem zabieram głowice, tak żeby żadna nie zginęła.

- Czy pan Thompson nie mógłby jednej po prostu wziąć?

- Myślę, że mógłby, ale po moim trupie. A gdyby wziął, to co by z nią zrobił? Zaniósł do kogoś, żeby zrobił kopię? Tajemnica by się rozeszła i to by go zrujnowało, więc nie ma w tym sensu.

- To by oznaczało, że może się pana pozbyć.

Travis zachichotał.

- Owszem. Czasami miałby na to ochotę, ale te prace na tokarkach to jedyne, co podtrzymuje walcownię przy życiu, teraz, kiedy popytu na odlewy prawie nie ma. Thompson chce, żeby walcownia działała jeszcze co najmniej parę lat. Na świecie zajądą wielkie zmiany, lordzie Hawkeswell, a żelazo będzie potrzebne, żeby je umożliwić.

- Na razie jednak, jak rozumiem, walcownia nie jest zarzucana zamówieniami.

- Powiedzmy, że nie należy się spodziewać w tym roku takiego dochodu, jak dziesięć lat temu. Nie wątpię, że stary pan Thompson przetrwałby to wszystko pomyślnie, ale obecny nie dba o fabrykę, jak należy. Ciągłe wyjeżdża do Londynu, sam pan widzi. Przemysł jest tutaj, nie tam. Lepiej, żeby się wybrał do Manchesteru i do Leeds i tam się spotykał z innymi ludźmi handlu i przemysłu, a nie z hrabiami.

Hawkeswell popatrzył w głąb uliczki, na budynki, w których mieściła się walcownia. Dzisiaj odbywał się wytop żelaza i z potężnego komina wydobywały się wstęgi dymu.

- Proszę mi opowiedzieć o starszym panu Thompsonie.

Travis łyknął haust piwa. Hawkeswell napił się także, chcąc go zachęcić do mówienia.

- Niezbyt łatwy człowiek, jeśli pan wie, co mam na myśli.

Twardy na zewnątrz, ale w środku może za miękki. Jak wypieczony

bochen chleba. Miał własne zdanie; to pewne. Żaden człowiek nie potrafił obrabiać żelaza tak jak on. Czy to w kuźni, czy w odlewni, rozumiał je, jakby był zrobiony z tego samego materiału.

- Może rzeczywiście był.

Travis roześmiał się i skinął głową.

- Wszyscy to szanowaliśmy. Był jednym z nas. Aż do końca

życia w niektóre dni przychodził, zdejmował ten drogi płaszcz i kuł

żelazo. Trudno przeciwstawić się człowiekowi, który pocił się razem

z tobą. I był uczciwy, ale zdawał sobie sprawę, że to rzadka cecha.

Dlatego nie ma patentu. Żeby go dostać, trzeba wyjawić sekret, zrobić

rysunki i tak dalej, a inni, których patent obchodzi tyle, co

zeszłoroczny śnieg, ukradną pomysł.

- A jednak panu zaufał.

Travis wzruszył ramionami.

- Nie mógł sam tego wszystkiego robić. Kierować fabryką,

pilnować handlu, wytwarzać głowic. Musiał komuś zaufać, a ja byłem

tak samo dobry przy żelazie jak każdy inny.

- Ale Bertram Thompson nie był.

Travis milczał.

- Dlaczego przekazał sekret córce? Ona się nie zna na żelazie.

- Przypuszczam, że pokazał jej rysunki, żeby mogła je odtworzyć

w razie potrzeby. To da się zrobić, tak jak wtedy, gdyby starał się o

patent. A dlaczego - nie chciał, żebym to ja decydował o przyszłości

wynalazku? Przekazał go następnemu pokoleniu. A poprzez nią, jak

sądzę, komuś, kto miałby zająć jego miejsce.

Miał na myśli jej męża. Gdyby Joshua Thompson nie zginął w wodach wezbranego potoku w czasie tamtej powodzi, sam wydałby Verity za męża. Za mężczyznę podobnego do siebie. Który by kuł żelazo i był twardy na zewnątrz i być może za miękki w środku, kiedy chodziło o robotników i rodzinę.

Hawkeswell podejrzewał, że Verity miała rację co do tego, że Bertramowi szczególnie odpowiadało wydanie jej za lorda, ponieważ nie musiał się obawiać, że inny mężczyzna spróbuje wysadzić go z siodła. Żaden lord nie chciałby ubrudzić sobie rąk przyziemnymi interesami i Bertram mógł czuć się bezpieczny.

- Gdyby musiał pan przekazać tajemnicę innemu mężczyźnie, panie Travis, komu by pan ją wyjawiał? Jeśli Verity pewnego dnia stanie przed taką decyzją, do kogo ma się zwrócić?

Travis spoważniał, jak każdy człowiek, kiedy robiono aluzje do jego śmierci.

- Cóż, panie, to niełatwa sprawa. To musiałby być mężczyzna zarówno biegły w rzemiośle, jak i uczciwy. A te cechy trudno znaleźć w zadowalającym stopniu. Gdybym miał jednak wybierać, to byłby młody człowiek o zręczności dobrze wróżącej na przyszłość i któremu mógłbym zaufać, nawet wbrew innym.

- Czy jest ktoś taki?

- Trudno powiedzieć. Był, ale opuścił nasze strony. Michael Bowman, syn Katy Bowman.

Ten Michael zapewne, o którego Verity pytała Bertrama.

Hawkeswell unikał zastanawiania się nad tym i przypisywania jej pytaniom zbyt wielkiego znaczenia, podejrzewając, że nie doprowadziłoby to do niczego dobrego.

Teraz okazało się, że tenże Michael Bowman mógł mieć cechy, których brakowało Bertramowi i w związku z tym mógłby zostać następcą Joshuy.

Nie spodziewał się, że wyjdę za kogoś takiego jak ty, przypomniał sobie słowa Verity. Nie, jej ojciec nie spodziewał się tego. Chciał, żeby wyszła za kogoś takiego jak syn Katy, za człowieka, którego Verity usiłowała ochronić, wychodząc za hrabiego Hawkeswella. Hawkeswell stwierdził, że liczy pilnie kroki, wracając do kabrioletu.

Verity spędziła przedpołudnie niespokojnie, starając się unikać natrętnych rad pani Geraldson dotyczących jej bólu głowy. Kiedy tylko mogła, wyglądała niecierpliwie przez okno na drogę prowadzącą do posiadłości pani Geraldson.

Wreszcie dostrzegła jeźdźca zmierzającego w stronę domu.

Chciała dobiec do drzwi przed służącym, ale się spóźniła. Patrzyła, jak niesie list do swojej pani, żeby pani Geraldson mogła go obejrzyć i skierować do właściwego odbiorcy.

Niewyraźna pieczęć zirytowała panią Geraldson. Zmarszczyła brwi. Podniosła list do okna, usiłując przeczytać treść. Verity zakasłała lekko. Pani Geraldson odwróciła się. Miała na tyle

pryżwoitości, żeby się zaczerwienić.

- Jest list do pani, lady Hawkeswell. Nie został nadany na pocztę. Przywiózł go konny posłaniec, ale nie kurier pocztowy.

- Dziwne. Jeśli pani pozwoli, wezmę go i przeczytam na dworze.

Po opuszczeniu domu rozerwała kopertę. Ktoś pisał w imieniu Katy, tak jak się umówiły dwa dni wcześniej. W liście donoszono, że Katy wypełniła zadanie, które Verity jej powierzyła.

Verity wróciła do domu i powiadomiła panią Geraldson, że czuje się znacznie lepiej i że weźmie powóz Hawkeswella, żeby nacieszyć się dniem.

Trzej młodzi mężczyźni z ledwością mieścili się w chacie Katy.

Jeden z nich, podobnie jak Hawkeswell, był tak wysoki, że stojąc, musiałby się zginać, więc siedział na podłodze.

Przekazali jej miejscowe wieści, do których pani Geraldson nie miała dostępu. Dwóch pracowało w walcowni. Szczerze opisywali panujące tam niezadowolenie. Koniec wojny dotknął robotników we wszystkich walcowniach i Oldbury nie stanowiło wyjątku.

- Specjalne zamówienia trzymają ją przy życiu - stwierdził jeden.

- Kucie i wiercenie. Ale pan Thompson, cóż, milady, to nie jest pani ojciec, jeśli chodzi o zdobywanie tych zamówień, więc kilku starych pracowników musiało odejść, tak jak Timothy. Teraz parafia ma dbać o ich rodziny, tak jak o Katy, ale ta dobroczynność zda się psu na budę.

- Na dodatek zeszłej zimy obniżył płace - poskarżył się inny. - I

skąpi opału w zimie. Pewnie więcej potrzebuje dla siebie, żeby móc kupować swojej pani klejnoty.

Katy siedziała cicho, kołysząc się delikatnie. To była oznaka, iż w pełni zgadza się z tym, co ci chłopcy mówią. Verity czasami szukała jej wzroku, żeby się upewnić, że to nie jest tylko narzekanie niespokojnych młodych ludzi.

Katy nie było trudno zebrać tych młodzieńców, przyjaciół Micha-ela. Gdy już powiedzieli, co myślą o fabryce, Verity poprosiła ich, żeby wyszli i naprawili płot wokół warzywniaka Katy.

Stała możliwie daleko od domu, tak żeby Katy jej nie słyszała.

Przywołała gestem Timothy'ego.

- Nie chciałam mówić o tym przy niej, Tim, ale chcę się dowiedzieć, co wiesz o Michaelu.

Zacisnął usta.

- Wiem niewiele, a to, co wiem, to nie są dobre wieści.

- Powiedz mi.

- Mówił więcej od innych, kiedy się skarżył. Nie czekał, aż córka właściciela go do tego zachęci, nie tak jak my. Myślę, że był od nas odważniejszy. I porozumiewał się z innymi, w dużych miastach.

Czasami jeździł do Liverpoolu i na jakieś tajemne spotkania w pobliżu Shrewsbury.

Pan Travis mówił mu, żeby tego nie robił, ale on i tak jeździł. -

Wzruszył ramionami. - A potem jednego dnia wyjechał i już nie wrócił.

- Czy go aresztowano?

- Nigdy o tym nie słyszeliśmy. To dziwne. Trudno postawić przed sądem człowieka tak, żeby nikt o tym nie słyszał. Trudno, z pewnością. Ale czy niemożliwe?

- Niektórzy myślą, że po prostu odszedł, żeby szukać lepszego życia - mówił dalej Tim. - Trudno mieć do niego pretensję. Dobrze sobie radził z żelazem, jak pani wie. Lepiej niż większość z nas. Miał do tego smykałkę, jak pani ojciec. Pan go polubił, kiedy Michael był jeszcze chłopcem, także z tego powodu. Ale nowy pan ten go wcale nie lubił, prawda?

Owszem, wcale go nie lubił. Jej ojciec darzył Michaela sympatią i to nie tylko dlatego, że Katy była kimś ważnym w ich domu. Parę razy poszedł do walcowni i pokazał Michaelowi kilka sposobów, jak obrabiać kute żelazo; Michael był jedynym, który się szybko tego nauczył.

A teraz zniknął i to akurat wtedy, gdy Bertram groził, że go każe wywieźć z kraju. A jednak nikt tutaj nie słyszał o jego aresztowaniu i procesie.

Bertram, oczywiście, mógł to tak zorganizować, żeby Michaela sądzono w innym hrabstwie. Ale wówczas proces radykałów czy rewolucjonistów i tak przyciągnąłby uwagę opinii publicznej, a relacje z tego procesu trafiłyby zapewne do londyńskich gazet.

Przez dwa lata martwiła się, nie mając wiadomości o jego losie.

Pozwoliła sobie na nadzieję, że Nancy kłamała i Michael wciąż

pracował w zakładzie, doskonaląc swe umiejętności i opiekując się

Katy. I że wciąż czeka na powrót Verity, a ona miała mu

zapropionować spółkę na specjalnych warunkach. Okazało się jednak,

że Nancy nie kłamała. Bertram musiał się jakoś przyczynić do

zniknięcia Michaela.

- Czy tylko on jeden zniknął tak nagle? - zapytała. - Byli inni?

Timothy zamyślił się na chwilę.

- Był Harry Pratt, też z walcowni. On znikł na początku roku.

Jego żona nie mogła uwierzyć, że uciekł, ale ściał się przedtem z

panem Thompsonem, więc większość sądzi, że tak się właśnie stało.

Mówi się o kilku innych w Staffordshire, ale przy obecnie

obowiązującym prawie ja też bym odszedł, gdyby ktoś się mnie

zanadto czepiał.

- Chciałabym porozmawiać jeszcze z innymi pracownikami.

Może któryś ze starszych robotników wie coś, o czym ty nie wiesz.

Timothy pokręcił głową.

- Nie radziłbym pani chodzić samej do walcowni, milady. To nie

jest tak, jak za czasów pani ojca. Ludzie są rozeźleni i nie

spodziewają się wiele dobrego po tym lordzie, za którego pani

wyszła. Wciąż mają dla pani serdeczne uczucia, ale... Ale już nie była

jedną z nich. Lata minęły od czasów, gdy zbiegała z górki, żeby

pobawić się z wiejskimi dziećmi. Jako mężatka była dla nich kobietą,

z którą już nie mogliby pozwolić sobie na poufałość. A jako hrabina

utraciła nawet ich zaufanie.

Timothy zerknął w bok, coś na drodze przyciągnęło jego wzrok.

Bez jednego słowa jego towarzysze zareagowali na milczące ostrzeżenie. Odstąpili od płotu Kąty i podeszli, żeby stanąć w grupie.

Verity odwróciła się, żeby sprawdzić, co ich zaniepokoiło. Drogą galopował koń, którego dosiadał wysoki mężczyzna. Hawkeswell.

Ruszyła w jego stronę, żeby nie zbliżył się zaudto do przyjaciół Michaela. Przyjrzał im się jednak uważnie, kiedy zatrzymał wierzchowca. Sam jego wzrost i siła onieśmiały, a teraz w dodatku kipiał z gniewu. Panował nad nim, ale jego wzrok i napięcie ciała dowodziły, że z ledwością. Nie widziała go w takim stanie od owego pierwszego dnia w Cumberworth.

W końcu, niestety, spojrział na nią.

- Przedziwne zgromadzenie, Verity.

- Prosiłam Katy, żeby ich tu ściągnęła. Chcę się dowiedzieć, co naprawdę dzieje się w walcowni.

- Po co? Nie masz prawa głosu w tych sprawach, a kuzyn nie będzie zadowolony, jeśli spróbujesz się wtrącać. Pewnie dlatego, między innymi, chciał cię wydać za mąż.

To była część okrutnej prawdy i nie zawahał się rzucić jej tego w twarz. Był bardziej rozgniewany, niż sądziła.

W jego twarzy nie było czułości, kiedy patrzył na nią z góry.

- Oszukałaś mnie dzisiaj. Mogę więc tylko przypuszczać, że robiłaś to przedtem. - Nie czekał na jej odpowiedź. Ruszył do powozu; woźnica na widok pana podjechał bliżej. - Odwieź ją do

domu.

Nie miała wyboru. Wsiadła do powozu, gdy woźnica otworzył drzwi, i powóz zaczął się toczyć. Hawkeswell został na miejscu.

Wyjrzała przez okno. Prowadził wierzchowca w stronę Timothy'ego i pozostałych.

Po powrocie do domu Verity stwierdziła, że Colleen i pani Geraldson wzięły kabriolet, by późnym popołudniem odwiedzić sąsiadkę.

Czyżby Hawkeswell poprosił je, żeby się usunęły? Mógłby wtedy bez świadków przywołać niesforną żonę do porządku. Czy też Colleen, zobaczywszy, w jakim jest stanie, domyśliła się powodu i postanowiła opuścić dom wraz z gospodynią?

Verity poszła do swojego pokoju, zdjęła kapelusz i usiadła na krześle. Powinien zjawić się wkrótce. Niezależnie od tego, co powiedział tym młodym ludziom, a nie sądziła, żeby to były miłe słowa, powrót nie mógł zająć mu dużo czasu.

Usiłowała nie wpadać w panikę. Starła się opanować bolesne skurcze żołądka. Minęło tak dużo czasu, tak cudownie dużo czasu, odkąd musiała nie okazywać po sobie strachu, i zdążyła wyjść z wprawy. Zimny strach wydobywał się z tajemnego miejsca, gdzie go ukryła. Wstrętne uległość podpowiadała, że musi błagać o wybaczenie i mieć nadzieję, że to się szybko skończy.

W ciągu kilku minut stała się z powrotem małą dziewczynką, samotnym dzieckiem, które mogło się tylko modlić, żeby gniew szybko minął i skończyła się kara. Powróciły odczucia, dźwięki i obrazy z przeszłości, burząc jej panowanie nad sobą. Próbowwała uciec, daleko od świata i ludzi, schować się w sobie. Tak było lżej. Odgłos końskich kopyt na drodze położył kres chwili

wytechnienia Poczwała mdłości. Usłyszała kroki na dole i od uderzenia krwi zaszumiało jej w głowie.

Miał to w sobie. Jak każdy mężczyzna. Jak wszyscy. Przyznał że wpada w gniew, ogromny. Teraz nad nim panował, jak twierdził, ale społeczeństwo przyznawało mu prawo, żeby obrócił go przeciwko niej jeśli zechce.

Chciała wierzyć, że tego nie zrobi, ale wcale nie miała pewności

Gniew wyzwalał w ludziach niewyobrażalne okrucieństwo i dopuszczali się wtedy czynów, które, jak wiedziała, niezwykle łatwo im przychodziły.

Usłyszała jego kroki za drzwiami i zebrała siły. Myśli się rozbiegły. Zadrżała ze strachu. Gniew budził bunt.

Przeprosi, jeśli będzie musiała, ale nie będzie błagać. Nie prosiła o to, na nic się nie zgodziła. Do diabła, już nigdy więcej nie stanie się tamtą dziewczyną, której wolę przemocą złamano.

Hawkeswell był przygotowany na porządną kłótnię, kiedy otwierał drzwi pokoju Verity. Miał wiele do powiedzenia, kilka poleceń i parę pytań, i chciał to zrobić, na Zeusa, teraz. Bezzwłocznie.

Nie wiedział, czego się spodziewać za tymi drzwiami, ale wiedział, że nie tego, co zobaczył.

Verity siedziała na krześle, podobnie jak pierwszego dnia w

Cumberworth. Miała także podobny wyraz twarzy. Zdecydowany.

Spokojny. Biła od niej siła, musiał przyznać, siła wewnętrzna. Jej zachowanie jeszcze pogorszyło mu humor, tak jak wtedy.

Podniosła utkwiony w podłogę wzrok. To, co zobaczył w jej oczach, zdumiało go. Siła, tak. Bunt. Ale także rezygnacja. I strach.

Prawdziwy strach ukryty na samym dnie, ale tak dojmujący, że przenikał powietrze. Uświadomił sobie, że ona się go boi. Jego gniewu. Boi się, że może ją ukarać. Użyć fizycznej przemocy.

To go zaszokowało. Obraziło. Nigdy nie dał jej powodu, żeby...

I nagle przyszła mu do głowy straszna myśl. Już dawno to podejrzewał. Ta myśl tylko wzmogła jego gniew, choć skierowany na kogoś innego i z innego powodu.

Później. Nie teraz. Staął z dala od niej, żeby ją uspokoić.

- Mam nadzieję, że nigdy więcej mnie tak nie oszukasz, Verity.

- Nigdy nie zgodziliby się ze mną spotkać, gdybyś ty był ze mną.

- Nie obchodzi mnie to. Dla nich jesteś bezwartościowa, bo w niczym im nie pomożesz, więc wiadomości od nich są bezwartościowe dla ciebie.

Schyliła głowę. Nie był głupi. Czekał na to i nie rozczarował się.

- To nie tak miało być.

- Nie, nie miało. Miałaś poślubić jednego z nich. Dlatego przekazano ci sekret.

- Nie miałam poślubić jednego z nich. To nie było konieczne.

Ale, jak mówiłam, ojciec spodziewał się, że mój mąż będzie kierował walcownią.

- Czy postanowił, że powinien nim zostać ów Michael, o którego tak się martwisz? - Mimo całej złości głos mu lekko zadrżał i czekał

na odpowiedź z dziwnym niepokojem.

- Michael i ja byliśmy dziećmi, kiedy mój ojciec umarł.

Martwiłam się o Katy, a pytam o jej syna, ponieważ sędzę, że mój kuzyn go skrzywdził.

- Myślę, że kryje się za tym coś więcej. Chcę poznać prawdę.

Chcę, żebyś przysięgła. Czy...

- Jeśli chcesz, żebym przysięgała, czy wierzysz na tyle mojemu słowu, żeby uwierzyć przysiędze?

- Do diabła, nie wiem. To najwięcej, co mogę uzyskać i zrobię to.

- Ujął pytanie inaczej, żeby ją przekonać, że chodziło nie tylko o urażoną dumę. - Kiedy Katy zobaczyła cię po raz pierwszy na progu, na jej twarzy zobaczyłem szok, a potem żal.

- Żal, nie. Łzy, owszem, ale nie żal.

- Wracałem do tego wspomnienia wiele razy i jestem pewien, że to był żal. Widziałem jej twarz, kiedy cię obejmowała. Ty nie widziałaś. Jej słowa, „moje dziecko”: myślałem, że mówiła do ciebie, ale teraz uważam, że nie ciebie miała na myśli.

- A więc kogo...

- Syna. Swoje biedne dziecko. Sądziła, że przez te dwa lata był z tobą, Verity. Myślała, że oszedł, żeby się do ciebie przyłączyć, kiedy uciekłaś. Nigdy nie sądziła, że umarłaś, tylko że przebywasz gdzieś z jej synem. Twoje pojawienie się dowiodło, że było inaczej. Jej obawy i troski nie skończyły się, kiedy otworzyła drzwi. Dopiero się zaczęły.

Nie spodobało jej się, co mówił, ale widział, że sama przeżywa

ponownie tamto popołudnie.

- Czy ty także oczekiwałaś, że Michael ucieknie, by się do ciebie przyłączyć, Verity?

Znowu ten duszący, głęboko ukryty lęk. Żal i lęk. Nienawidził tego lęku i żalu. I słabości, nieodłącznie im towarzyszącej, skupił się więc na uczuciu gniewu, żeby zapomnieć o wszystkim innym.

- Zastanawiałem się, odkąd cię znalazłem żywą i całą, czy taki był prawdziwy powód twojej ucieczki. Teraz, kiedy się tak o niego niepokoisz i próbujesz się dowiedzieć, co się z nim stało, myślę, że upewniłaś się, iż stało mu się coś złego, ponieważ się do ciebie nie przyłączył.

- Między mną a Michaelem nie było nic takiego.

- Nie? Kiedy wymykałaś się, żeby zobaczyć Katy, widziałaś także jego. Przyjaciel z dzieciństwa stał się przyjacielem dorastającej dziewczyny. - Spojrzał na nią gniewnie, bo przypomniało mu się coś jeszcze. - Ten pierwszy pocałunek. To był on, do diabła. Czy tak?

Odwróciła wzrok, ale jej rumieniec przekonał go, że miał rację.

Obok wściekłości pojawiło się nowe uczucie. Niespodziewane. Już wiedział, skąd ten lęk. Rozczarowanie. Rozczarowanie tak silne, że nawet gniew nie zdołał go przytłumić.

Kochała tego młodego człowieka i nadal go kocha. Spodziewała się wyjść za niego za mąż. Zgodziła się na małżeństwo z innym mężczyzną, żeby go ratować, i uciekła, żeby z nim być. Jej obecne małżeństwo, pozycja społeczna, mąż, stanowiły część życia, którego

nigdy nie chciała i nigdy nie będzie chciała. „To nie tak miało być”.

Odwrócił się, kiedy uświadomił to sobie w pełni. W duchu śmiał się sam z siebie. Do diabła, przecież mu to powiedziała. Punkt po punkcie wyjaśniła niemal wszystko i podała sposób, jak mógł się od niej uwolnić. Skąd więc ten... lęk i poczucie straty? To wszystko i tak nie miało znaczenia.

- Nie uciekłam dlatego, żeby być z nim razem. Przysięgam. Na ojca. Uciekłam z powodów, które ci przedstawiłam. Martwię się o Michaela, ponieważ Bertram groził, że go skrzywdzi, a Nancy powiedziała, że naprawdę to zrobił. Więc muszę wiedzieć, co się z nim stało.

- A zatem wyszłaś za mnie, żeby go chronić?

- To syn Katy. Jej rodzina. Jej żywiciel. Znałam go całe życie.

Oczywiście, że zrobiłam, co musiałam, żeby go chronić. A i tak na próżno.

Podszedł bliżej, żeby powiedzieć, co myśli, nie stojąc tak daleko od niej. Gdy tylko się poruszył, zeszywniała i cofnęła się, żeby utrzymać między nimi jak największą odległość.

Znowu strach. W jej oczach i postawie. Strach przed nim. Przed gniewem, jaki okazał na drodze koło domu Katy. Czy też przed czymś innym, co teraz w nim dostrzegła.

Nie kłamała, ale też nie mówiła całej prawdy. Przedstawiała to w lepszym świetle ze strachu przed nim i przed tym, co mógłby zrobić, gdyby przyznała, że kochała tamtego młodzieńca.

Znowu przypomniał sobie poprzednie podejrzenie, które odżyło, kiedy wszedł do pokoju.

- Verity, powiedziałaś, że cię zmuszano, zanim padły groźby pod adresem tego młodego człowieka i Katy. Co miałaś na myśli?

Zmiana tematu ją zmieszała. Nie odpowiedziała od razu. Jej wielkie oczy wpatrywały się w niego, ale nic nie dało się z nich wyczytać.

- Czy kuzyn cię bił, Verity?

Wzruszyła ramionami.

- Dzieci często się bije. Czy ciebie oszczędzono?

- Guwernanci i nauczyciele używali trzcinki, to prawda, ale nie żyłem w wiecznym strachu przed karą. A jak było z tobą, przez te wszystkie lata z Bertramem?

Wstała nagle.

- Nie chcę o tym mówić. To było dawno.

- Czy tak? Wyglądałaś jak osoba, która jest pewna, że zostanie uderzona, kiedy wszedłem do pokoju. Nie dałem ci powodu, żebyś tak myślała.

- Tamten człowiek. Mówiłeś, że o mało...

- Byłem pijany, on mnie obraził i to był mężczyzna. Postąpiłem źle. Pytam jeszcze raz, Verity. Czy twój kuzyn podniósł kiedyś na ciebie rękę?

- Dlaczego teraz o to pytasz? To było lata temu. To ciebie nie dotyczy.

- Myślę, że dotyczy mnie, i to bardzo. Powiedz mi.

Jego naleganie doprowadzało ją do rozpacz. Nie patrzyła na niego. Wodziła wzrokiem dookoła. Jej twarz wykrzywiła się, w oczach widniał gniew, strach i... nienawiść.

- Nie robił tego często. Pozwalał, żeby wyręczała go Nancy. -

Przetarła oczy wierzchem dłoni. - Była wściekła, że nie dostali więcej w spadku. On nie mógł znieść, że istnieję. Nie mogłam ich zadowolić.

Nie mogłam...

Zaszlochała. Zakryła oczy i odwróciła się.

- Niech mi Bóg wybaczy, pod koniec chciałam ich oboje zabić.

Wciąż tego chcę, kiedy ich widzę. Moje cierpienie sprawiało im przyjemność. - Wyrzucała z siebie z trudem gniewne słowa, dysząc ciężko. - Ledwie śmiałam oddychać w tamtym domu. Nie mogłam sobie pozwolić na żadną radość. Wszyscy, których znałam, widzieli mnie w domu, który do mnie należał, a ja nie mogłam już być sobą.

Jego gniew nie zelżał, ale teraz skierował się w całkiem inną stronę. Może będzie dalej się na nią gniewał, kiedy zastanowi się nad tym, czego się dzisiaj dowiedział o Michaelu, ale w tej chwili, widząc jej rozpacz, wszystko, co wiązało się z tą sprawą, nie miało żadnego znaczenia.

Podszedł i wziął ją w objęcia. Już się nie mogła powstrzymać i zapłakała gwałtownie, rozpaczliwie.

Trzymał ją w ramionach, kiedy płakała, usiłując nie wyobrazić sobie Verity sprzed lat, dziewczynki, która ukrywa swoje myśli i

udaje, że jej nie ma, w nadziei, że tego dnia nie zostanie wychłostana czy zbita. Uspokoila się. Oddychała już normalnie. Poglądził ją po głowie i zapytał, zanim ją wypuścił z ramion.

- Czy on wiedział? Czy Bertram wiedział, jak traktuje cię jego żona?

Skinęła głową.

- Kiedy próbowała wymusić na mnie zgodę na to małżeństwo, wręczał jej trzcinę.

Pocałował ją w głowę.

- Muszę iść. Skończę tę rozmowę tak, jak ją zacząłem, Verity.

Proszę, nie opuszczaj tej posiadłości beze mnie.

Stajenny nie zdążył rozsiodłać konia, więc ponowne przygotowanie go do jazdy nie zajęło dużo czasu. Hawkeswell wskoczył na siodło i ruszył galopem w stronę Oldbury.

Zapadał zmierzch, kiedy zjawił się w domu na wzgórzu. Służący wziął od niego wizytówkę, a potem wrócił pośpiesznie, żeby zaprowadzić go do pana.

Thompsonowie siedzieli w bawialni. W bawialni Verity, gwoli ścisłości. Hawkeswell mierzył ich ponurym spojrzeniem, gdy oni wyrażali radość z powodu jego wizyty, nawet jeśli przybył o dość szczególnej porze.

- Dowiedziałem się dzisiaj czegoś niezwykle szokującego, Thompson. Mam nadzieję, że może pan rzucić na to światło - powiedział Hawkeswell, odkładając na bok kapelusz i bicz.

- Będę zaszczycony, mogąc cokolwiek panu objaśnić, sir.

- Dowiedziałem się dzisiaj od Verity, że kiedy próbowaliście ją nakłonić do przyjęcia moich oświadczeń, pańska żona biła ją trzcina, i to często, a pan nie tylko na to pozwalał, ale jeszcze ją do tego zachęcał.

Twarz Nancy wykrzywiła się ze zdumienia. Bertram otworzył szeroko usta.

- Jest nikczemnicą, jeśli mówi coś podobnego - stwierdziła Nancy.

- Twierdzi pani, że to kłamstwo?

- Była pełna złej woli i uparta, lordzie Hawkeswell, z czystej złościwości. Nie sprzeciwiała się tak naprawdę temu małżeństwu.

Która młoda dama mogłaby się sprzeciwiać?

- Wciąż nie powiedziała pani, czy to kłamstwo, pani Thompson.

Czy biła pani Verity trzcina, czy nie, kiedy mieszkała tutaj, oddana pod opiekę pani męża?

- Tylko kiedy była nieposłuszna.

- Na przykład, kiedy nie chciała poślubić mnie na wasz rozkaz?

Zapadło milczenie.

Bertram parsknął. Uniósł ciężkie powieki, w jego oczach błysnął gniew.

- Lordzie Hawkeswell, nie podoba mi się sposób, w jaki...

- Pani Thompson, byłoby lepiej, gdyby zostawiła nas pani teraz samych.

Z głową uniesioną wysoko i wyniosłą miną Nancy wykonała dramatyczny w tył zwrot i opuściła pokój. Bertram wsunął dłoń za kamizelkę i wypiął pierś.

- Nie podoba mi się to, jak pan zwraca się do mojej żony.

- Zadałem jej tylko pytania, które mocno mnie w tej chwili nurtują.

- Trochę już późno, nie sądzi pan, żeby martwić się stanem umysłu mojej kuzynki, kiedy przyjmowała pańskie oświadczenia.

Wtedy niewiele to pana obchodziło, dlaczego więc chce pan to teraz wiedzieć?

- Nie miałem pojęcia, że nakłoniliście ją do tego biciem.

- Nie obchodziło pana, w jaki sposób. Mówmy otwarcie, sir. Jej majątek to było wszystko, na czym panu zależało, i nie interesowało pana, jak te pieniądze trafiły do pańskiej kieszeni. Zostawił pan to mnie, a ja tego dopilnowałem.

Hawkeswell od paru godzin nie był w najlepszym nastroju.

Wręcz kipiał z gniewu. Zachowanie pani Thompson, a teraz oskarżenia Bertrama przerwały tamę, dając ujście rwącej rzece. To, że Bertram miał więcej racji, niż Hawkeswell chciał przyznać, tym bardziej utrudniało zachowanie powściągliwości.

- Interesuje mnie teraz, Thompson. Pańska kuzynka jest moją żoną i odpowiadam za nią, bez względu na to, jak niefortunnie się to małżeństwo zaczęło.

- Niech pan nas nie obwinia, że sprawiała panu kłopoty od

pierwszego dnia. Nam nie było trudno nad nią panować.

- Grożąc pasem, ręką czy pięścią? To nie jest panowanie. To łamanie charakteru. Był pan jej opiekunem. Miał pan ją chronić, a nie krzywdzić.

Bertram skrzywił się szyderczo.

- Nie złamałem prawa. Miała jedzenie, ubranie, mieszkała w tym domu. Jej obecność w rodzinie codziennie przypominała mi o zdradzie Joshuy. Nie mam sobie nic do zarzucenia co do niej i nie zniosę pańskiego

strofowania

z

powodu

obudzonej

poniewczasie

czułości. Przekazałem panu jej majątek, jak zostało ustalone, więc nie ma pan powodów do skarg.

Hawkeswell złapał Bertrama za kamizelkę i przyciągnął do siebie.

- Jesteś pan draniem - warknął prosto w twarz zaskoczonego

Bertrama. - Biłeś bezbronną dziewczynę. Co z ciebie za mężczyzna?

- Nie robiłem tego często! Niech pan ją zapyta!

- Jeden raz to już za często, tchórz, a pozwalałeś swojej żonie, tej suce, bić ją regularnie.

- Miałem prawo. Była buntownicza i nieposłuszna, ja się nią

opiekowałem. Nic pan nie może na to poradzić.

- Mylisz się. Mogę zrobić to. - Wziął zamach i dał Bertramowi w twarz.

Głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu. Nogi się pod nim ugięły.

- Jest pan szalony! Chory! - Bertram chwycił się za twarz i zatoczył, usiłując odzyskać równowagę. - Słyszałem o panu, o tym, że jest pan skory do pięści i ma gwałtowny charakter. Nie pozwolę na to.

Ja...

- Słyszałeś o mnie? - Miał wrażenie, że teraz naprawdę zwariuje.

- Myślałeś, że jestem brutalem i gwałtownikiem, a i tak mi ją dałeś?

Niech cię diabli!

Bertram skulił się i zasłonił głowę rękami. Jego wzrok ześlizgnął się na bok. Skoczył i złapał bicz Hawkeswella. W chwilę później palące ciosy spadły na ramiona i ręce hrabiego. Sycząc mściwie, Bertram znowu zamachnął się biczem.

Hawkeswell pochwycił ramię i wyrwał bicz z rąk Bertrama.

Wściekły i nieprzytomnie przerażony Bertram zamachał pięściami i uderzył Hawkeswella.

Hawkeswellowi zaszumiało w głowie z wściekłości, pierwszy raz od wielu lat. Bronił się, ale za każdym razem, kiedy wymierzał cios, w istocie wyrównywał rachunki Verity.

Stukanie i krzyki obudziły Verity. Ktoś walił w drzwi, wykrzykując nazwisko Hawkeswella. Kobieta.

Verity wstała i wyrzała za drzwi. Colleen, w białym szlafroku, stała w wąskim korytarzu. Zastukała znowu i wykrzyknęła jego imię wściekłym głosem.

Verity wyslizgnęła się z pokoju, przyglądając się scenie. Drzwi pokoju Hawkeswella się otworzyły. Smuga światła z wewnątrz wskazywała, że lampa się jeszcze paliła. Nie spał.

Drzwi stanęły otworem i Colleen wkroczyła do pokoju kuzyna.

Verity przeszła dwadzieścia kroków, które dzieliły ją od sypialni Hawkeswella, i zajrzała do środka. Hawkeswell wciąż miał na sobie spodnie i koszulę. Colleen stanęła na wprost niego, z rękami na biodrach i twarzą wykrzywioną gniewem.

- Czyś ty zwariował? - Z gniewu jej głos brzmiał niemal jak syk.

- Czy chcesz koniecznie dać się poznać w tych stronach jako bezrozumny, zapalczywy człowiek, którego przyzwoici ludzie muszą omijać?

Odwrócił się, dotykając kartki leżącej na sekretarzyku. Podniósł pióro i schylił się, żeby coś zanotować.

- Chodzi ci zapewne o Thompsona.

- Owszem, tak. Właśnie dostałam wiadomość.

- A więc to dlatego słyszałem tętent konia. Czy podniósł krzyk na całe hrabstwo?

- Nancy przysłała mi list przez posłańca.

- Ciekawe, czego się po tobie spodziewa. W odpowiedzi z

pewnością dałaś jej do zrozumienia, że twoim zdaniem w tej historii

jest coś więcej niż to, co ci przekazała. - Odłożył pióro.

Verity, bardzo zainteresowana, weszła do pokoju.

- Jeśli to dotyczy Bertrama, chcę to usłyszeć.

Colleen rzuciła Hawkeswellowi wściekłe spojrzenie.

- Proszę, każ jej wyjść. Muszę pomówić tylko z tobą.

- Powiedz, czego chcesz. Ona i tak się dowie.

- Hawkeswell...

- Jeśli chce zostać, zostanie. Ma do tego znacznie większe prawo od ciebie.

Twarz Colleen wykrzywił grymas, gdy usłyszała z ust kuzyna tę uwagę. Opanowała się i zwróciła się do niego tak, jakby Verity zdecydowała się wyjść.

- Czy to prawda? Wychłostałeś pana Thompsona?

- Tak.

- Hawkeswell! - Chodziła po pokoju wstrząśnięta i podniecona. -

Na Boga, myślałam, że ty już nie... Czy piłeś?

- Byłem nieprzyzwoicie trzeźwy.

- A więc dlaczego?

- To sprawa między nim a mną. Nie winię cię za to, że poznałaś mnie z tym człowiekiem, Colleen, ale to łajdak. W przyszłości nie chcę mieć z nim nic do czynienia, chyba że w sprawie majątku

Verity.

- Winić mnie? Jak mogło ci w ogóle przyjść do głowy, żeby mnie za coś winić?

- Powiedziałem, że cię nie winię. Jednak z naszego poznania się wynikło wiele złego. Nie sądzę, żebyś знаła prawdziwy charakter tego człowieka.

- Cokolwiek o nim myślisz, twoje zachowanie jest niewybaczalne.

- Mam jedno z najlepszych usprawiedliwień na świecie. Jeśli państwo Thompson chcą, żeby świat się o tym dowiedział, podamy tę sprawę do publicznej wiadomości. I zapewniam cię, że żaden przyzwoity człowiek nie stanie po stronie Bertrama.

- Czy mnie przynajmniej zdradzisz przyczynę kłótni?

Spojrzał na Verity.

- Nie, nie zrobię tego.

Colleen zauważyła to spojrzenie. Odęła wargi.

- Rozumiem. Wybacz. To z obawy, że wróciłeś do starych nawyków, zareagowałam zbyt silnie. Dobranoc.

Przeszła szybkim krokiem obok Verity, zaczerwieniona i z płonącymi oczami. Verity zamknęła za nią drzwi.

- Wychłostałeś Bertrama?

Wzruszył ramionami.

- Dziwne, że pani Thompson wysłała posłańca do Colleen. Może spodziewała się, że kuzynka wyzwie mnie na pojedynek z tego

powodu. - Uśmiechnął się na tę myśl.

- Nie wysłała posłańca, żeby prosić Colleen o interwencję.

Błagała raczej, żeby Colleen załagodziła sytuację.

- Upokorzyłem jej męża. Wątpię, żeby chciała jakiejś ugody.

- Nancy jest ambitna. Poświęci Bertrama, żeby zachować

koneksje, które zdobyła dzięki temu małżeństwu. - Podeszła do niego.

- Ponieważ wszystko, co dotyczy mojego kuzyna i ciebie, dotyczy także mnie, czy powiesz mi, dlaczego dałeś się ponieść gniewowi?

- Powiedzmy tylko, że straciłem panowanie nad sobą, działając w dobrej sprawie. - Zabrał się do składania listu, który przedtem pisał.

Wyjęła list z jego rąk i odłożyła go. Domyśliła się, że nie był dumny z tego, iż wpadł w furję, ale nie wydawał się także skruszony.

- Czy zrobiłeś to z powodu tego, co powiedziałam ci dzisiaj po południu?

Spojrzał na nią i opuszkami palców odsunął kosmyki włosów z jej twarzy.

- Nie zaprzeczył. Ani jego żona. Jej nie mogłem, naturalnie, wychłostać.

- Naturalnie.

Znowu to czułe, delikatne dotknięcie. Mówił teraz cicho, zamyślony.

- Wyobrażałem sobie ciebie w tamtym domu, zastraszoną i nieszczęśliwą, i tamtą kobietę. Mam tylko nadzieję, że nie będziesz się mnie przez to bardziej bała.

Przycisnęła jego rękę do policzka, potem odwróciła twarz, żeby pocałować wewnątrz jego dłoni.

- Już się nie boję. W przyszłości też się nie będę bała. - Zdumiało ją, że to, jak ona się czuje, jest dla niego ważne. - Znowu pocałowała jego dłoń. - To może źle o mnie świadczy, ale wzruszyło mnie, że tak się rozgniewałeś z mojego powodu i że w ogóle stawiałeś mi jakiekolwiek zarzuty.

Od śmierci ojca nie było komu jej bronić i bardzo ją poruszyło, że Hawkeswell teraz stanął w jej obronie.

Otoczył jej talię dłońmi. Spojrzał jej w oczy. Patrzył tak poważnie. Z takim namysłem. Jakby szukał w niej znacznie więcej, niż spodziewał się kiedykolwiek znaleźć.

- Zmuszono cię do tego małżeństwa, tak jak powiedziałaś.

Złamali w tobie ducha, zanim zaczął grozić Katy i jej synowi.

Przypuszczała, że powinna czuć się pomszczona. Albo odczuwać ulgę, że teraz jej uwierzył. Lecz, przeciwnie, jego głęboka zaduma wprawiała ją w zakłopotanie.

- Bertram powiedział, że wtedy mnie nic nie obchodziło -

odezwał się. - Myślał, że to znaczy, że teraz także mnie nie obchodzi.

W ten sposób usprawiedliwiał swoje zachowanie wobec ciebie.

Jakie to głupie ze strony Bertrama, żeby prowokować

Hawkeswella w ten sposób. Czy on i Nancy nie widzieli ognia, który płonie?

- Miał rację - ciągnął Hawkeswell. - Podobnie jak ty, oskarżając

mnie w Cumberworth i Essex. Myślałem o twoim majątku, nie o

twoim szczęściu. Uznałem, w swoim zarozumiałstwie, że,

oczywiście, chcesz mnie poślubić. - Pocałował ją w czoło. -

Skrzywdziłem cię ogromnie.

- Nie można cię obwiniać o coś, o czym nie wiedziałeś.

- Wtedy nie, ale wiedziałem, kiedy uwiodłem cię w Surrey, a w każdym razie podejrzewałem. Ale związałem cię ze sobą w ogrodzie tamtej nocy nie dla twojego majątku, Verity. Gdyby chodziło tylko o to, mógłbym postąpić inaczej.

- A zatem dlaczego?

- Chciałem ciebie. Pragnąłem cię. Dwa lata temu byłaś nieśmiałą, cichą dziewczyną. Ale kobieta, którą ujrzałem w Cumberworth, doprowadzała mnie do szaleństwa i wiedziałem, co to znaczy.

Pożądałem cię. To najstarsza męska wymówka na świecie i żadne usprawiedliwienie...

Zastanawiała się nad tym, co jej wyznał, dotykając palcami jego skóry w miejscu, gdzie koszula rozchyłała się pod szyją. To, że jej pożądał, nie miało aż takiego znaczenia, jakie swej żądzy przypisywał. To obopólne miłosne podniecenie i obopólna przyjemność zadecydowały o ich obecnym położeniu. Uwiódł ją, to prawda, ale ona się jemu nie opierała. Teraz też w jego ramionach, podczas rozmowy, którą już dawno powinni odbyć, nie chciałyby się uwolnić z tego uścisku.

Pożądanie, bliskość, pocieszenie, opieka - to wszystko oferowały

jej jego silne ręce, trzymające ją i nie pozwalające jej upaść, a także doprowadzające ją do dreszczy ekstazy.

- Co się stało, to się nie odstanie - powiedziała, aż nazbyt świadoma, że tymi słowami wyraża zgodę na tę sytuację.

Dotąd tego unikała. Ale nie żałowała swej decyzji. Przeciwnie, ogarnęła ją radość, gdy dała mu przyzwolenie.

- Bywają gorsze fundamenty, na których buduje się małżeństwo, niż majątek i przyjemność. - Pociągnęła go za koszulę, żartując. -

Jako że ja wniosłam majątek, sądzę, że weźmiesz odpowiedzialność za przyjemność.

Roześmiał się, a ona poczuła się szczęśliwa, że humor mu się poprawia.

- Jeśli będziesz współpracować.

- Już się starasz zrzucić z siebie odpowiedzialność i zostawić mnie ten obowiązek. Od ciebie zależy, czy zechcę współpracować, Hawkeswell.

Odwróciła się, chcąc odejść. Zrobiła dwa kroki i wtedy uwięził ją w swoich ramionach. Pocałunek sparzył jej szyję.

- Nie możesz rzucić mi rękawicy i oczekiwać, że ci pozwolę wymigać się od pojedynku, Verity. - Pieścił jej ciało. - Myślę, że im bardziej będę ci utrudniał współpracę, tym bardziej, buntowniczo, jej zapragniesz.

- Nie wiem, jak możesz zabronić.

- Nie wiesz? - Gorący szept sparzył jej ucho.

Ujął dłońmi jej piersi od dołu i kciukami zaczął drażnić sutki osłonięte tkaniną. Zaczynała rozumieć, jak mógł uniemożliwić jej współpracę. Nie mogła go objąć, bo odwrócona do niego tyłem, słaniając się na nogach, mogła tylko brać rozkosz, którą jej dawał. Sięgnęła za siebie, żeby objąć go, dotykać.

- No, no - zganił ją. - Żadnych manewrów na flance. Muszę znaleźć sposób, żeby temu zapobiec. To może być skuteczne. -

Pociągnął za ozdobne wstążeczki związujące z przodu dwie poły gorsetu sukni. Rozwiązywał kolejno jedną po drugiej, a suknia rozchylała się coraz szerzej.

Zsunął oblużowaną suknię z jej ramion i rąk, aż materiał zatrzymał się na biodrach. Jednak mankiety wokół nadgarstków nie pozwoliły sukni zsunąć się całkowicie. Próbowwała dosięgnąć ręką jednego z mankietów, ale materiał sukni skutecznie krępował jej ruchy.

- Wydaje się, że jesteś unieruchomiona - stwierdził. - Będziesz musiała się z tym pogodzić, niestety.

To oznaczało bierne przyjmowanie jego pieszczot. Całował jej ramiona i szyję. Patrzyła, jak jego piękne ręce drażnią delikatnie jej piersi, coraz bardziej wrażliwe na dotyk, sprawiając jej przyjemność wręcz nie do zniesienia. Przeszywały ją strzały doprowadzającego do szaleństwa podniecenia, któremu nie mogła dać ujścia, pozbawiona możliwości ruchu.

Podniósł ją z podłogi, nie wypuszczając z ramion, i położył na

łóżku, twarzą do poduszki, a w tej pozycji mankiety uwięziły jej ręce jeszcze bardziej. Położył się obok niej i, oparty na łokciu, patrzył na nią. Pochwycił kraj spódnicy i powoli przesunął materiał w górę, aż zwinął się w gruby rulon na wysokości talii. Była teraz naga poniżej i powyżej wąskiego pasa zrolowanej sukni.

Wodził wzrokiem po jej ciele, z góry na dół. Powoli, wręcz leniwie pochylił się i całował jej plecy. Każdy pocałunek był drobnym, rozkosznym szokiem. Zamknęła oczy, dziwiąc się, jak coś tak delikatnego może oddziaływać na nią tak przemożnie.

Pocałunki dotarły do talii i ustały.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że znów się jej przygląda. Teraz leciutko muskał opuszkami palców jej plecy, ale tym razem palce nie zatrzymały się nad zwiniętą suknią. Sunęły niżej, muskając pośladki i uda, torturując pieścizotą lekką jak piórko.

- Wyglądasz niezwykle erotycznie w tej pozycji - powiedział, znów wodząc delikatnie opuszkami po wypukłości jej pośladków.

Drżała w słodkim oczekiwaniu, pobudzona do najwyższego stopnia, choć w swych pieścizotach nie posunął się dalej.

Palce powędrowały między jej uda. Powstrzymała oddech, przymknęła powieki i czekała. Czekał i on, a gdy była już półprzytomna, dotknął ją pewnym i wprawnym ruchem. Znów wstrzymała oddech.

- Jesteś już gotowa. Tak szybko.

Głaskał ją, a ona drżała i dygotała, rozpalona i niezaspokojona.

- Mam cię wziąć już teraz, natychmiast? Gdy leżysz przy mnie, nie mogąc się tego doczekać? Ja, przeciwnie, chciałbym zobaczyć, że udało mi się zachęcić cię do współpracy.

Nie rozumiała. Patrzyła na niego zdezorientowana.

- Współpraca nie oznacza jedynie zgody czy poddania się rozkoszy, Verity. - Manipulował guzikami przy mankiecie wokół jej nadgarstka przyciśniętego do jego biodra. - Współpraca oznacza także dawanie rozkoszy i dzielenie się nią. Czy sprawiłem, że tego chcesz? Czy sprawił? To było niesamowicie zmysłowe. Bierność, którą jej narzucił, podniecała ją. Teraz jednak zapraszał ją do czegoś innego. Być może do czegoś więcej.

- To ty mnie spętałeś tak, że mogę tylko brać i poddawać się.

- Mankiet jest już rozpięty. Możesz się uwolnić z pęt. Albo nie. -

Położył się na plecach i rozpiął mankiety rękawów swojej koszuli. -

Za parę minut wybór nie będzie należał do ciebie. Kiedy cię widzę taką, gotową i pełną oczekiwania, myślę, że ze współpracą możemy poczekać do następnej nocy. Zdecydowała, że może poczekać bierne poddanie się. Wysunęła rękę z rękawa i usiadła na łóżku. Szybko wyjęła z rękawa drugą rękę i wyplątała się ze zwojów materiału.

Hawkeswell zdążył zrzucić z siebie ubranie, zanim ona uwolniła się z fałdów sukni. Pochylił się ku niej, przyciągnął do siebie, tak że leżała na nim, i pocałował. To był pierwszy prawdziwy pocałunek tej nocy. Dzielenie się, powiedział. Współpraca. Wiedziała, że lubi, gdy ona go całuje. Postarała się, najlepiej jak umiała, odwzajemnić jego

pocałunek.

A potem popatrzyła na niego.

- Nie mam doświadczenia. Moja współpraca może cię rozczarować.

- Nie rozczarowała mnie dotąd. I nie sądzę, żeby w przyszłości rozczarowała.

Uniosła się na kolana i uklękła, a potem usiadła na jego udach.

Niebieskie oczy, rozbawione i rzucające jej zmysłowe wyzwanie, zachęcały ją do większej śmiałości.

Położyła ręce na jego ramionach, a potem zaczęła wolno głaskać jego pierś, przesuwając dłonie w dół i w górę torsu. Pod miękkim aksamitem skóry wyczuwała fascynująco silne, twarde mięśnie.

To wcale nie było takie trudne, szybko się przekonała. Należało tylko robić to, co on przedtem robił, pomijając oczywiste różnice.

Przechyliła nad nim, oparta na dłoniach i kolanach, całowała jego usta, potem niżej, szyję, i jeszcze niżej, tors.

Teraz była bardzo śmiała, całowała go i smakowała. Przepełniło ją słodkie uczucie. Troska o niego. Chciała dać mu radość, nie tylko przyjemność. Chciała, żeby poczuł, jak jest mu wdzięczna za to, że i on się o nią troszczy.

Intymna bliskość wyzwoliła w niej nieoczekiwane pragnienia.

Całowania go, dotykania, wciąż i wciąż, nie mogła się przed tym powstrzymać.

Usiadła znów i patrzyła na niego, nie zaprzestając pieszczot. Na

jego zwichrzone ciemne włosy i cudowne błękitne oczy. Płonął w nich ogień. Zgodziła się na to małżeństwo, na to, że jego fundamentami będą przyjemność i majątek, ale czuła w sobie teraz coś znacznie większego niż przyjemność. A jednak przyjemność i majątek miały dla niego znaczenie. I dla niej. Przeniosła wzrok na jego wzniesioną męskość, tuż przed nią. I ponownie na jego twarz. Oczami i uśmiechem zachęcał ją, by podjęła wyzwanie.

Dotknęła czubka i od razu wiedziała, co ma zrobić, czego on od niej oczekuje. Jej palce obsunęły się niżej.

Przechylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Ze ściśniętymi szczękami, z twarzą, z której rozpoznała, że traci nad sobą kontrolę, przyjmował z jej rąk rozkosz, a ona uczyła się, co go najbardziej zadowala. Odkrywała to zafascynowana.

Nagle wyciągnął ku niej rękę, spojrzał płonącymi oczami, obnażając lekko zęby, podniósł ją i nasunął na siebie. Złączyli się, a ona pozwoliła mu na to bez oporu.

Sama już wiedziała, jak będzie wygodniej.

- Teraz jest inaczej. - Czuła go w sobie tak głęboko, jak nigdy dotąd. - Podoba mi się ta współpraca.

Uśmiechnął się.

- To ja mam sprawić, że się do niej przekonasz. Pamiętasz?

Wyciągnął ku niej rękę i otoczył palcami sutki. W jej ciele, zjednoczonym z jego ciałem, odezwał się bezgłośny werbel.

Wzmagał się, gdy ją pieścił, tym bardziej im pieszczota stawała się

delikatniejsza.

Nachyliła się do przodu i lekko uniosła, zatrzymując się na granicy dzielącej ją od rozłączenia się z nim. A potem obsunęła w dół, znów w pełni się z nim jednocząc. Sprawiało jej to niewysłowioną rozkosz. Nie mogła się powstrzymać, napierając silniej, by był w niej jeszcze głębiej.

Jego ręce obejmowały jej biodra, ale już nie kierował jej ruchami.

Poruszała się coraz śmieiej, coraz szybciej, wypróbowując coraz nowe pozycje. Werbel wybijał coraz głośniejszy rytm, gdy odkrywała kolejne tajemnice.

Jego ręce zacisnęły się na jej biodrach silniej. Przejął kierowanie.

Chciał, by jej ruchy współgrały z jego. Poddała się ich mocy. Werbel ogłuszył ją, ciało dygotało od cudownych dreszczy. Niebiańskie doznania, jakich nigdy dotąd nie zaznała, ześrodkowały się gdzieś głęboko w niej, tam gdzie on się zagłębiał. A potem wzniosły się potężną falą i wyzwoliły w spazmie spełnienia.

Krzyknęła zalana falą rozkoszy. Krzyknęła ponownie, gdy i on dochodził w niej do ostatecznego spełnienia. Niczego podobnego jeszcze nie doświadczyła. Opadła na niego, wyczerpana i oszołomiona. Obejmował ją mocno, tuląc do piersi długo, długo w nocy.

Zasnął, ale na nią sen nie spływał. Zagłębiała w głąb swego serca, badając uczucia, które stały się jej udziałem w ostatnich dniach.

Pocałowała znowu jego pierś, kiedy spał, i tak leżała z ustami

przyciśniętymi do jego skóry, czując bliskość z nim, jakiej się nie spodziewała.

Pogodziła się z losem, przyznając, że to małżeństwo będzie trwało, czy chciała tego, czy nie. Czy jednak tylko o to chodziło? Czy gdyby mogła odzyskać wolność, dążyłaby do tego? Pytanie ją zaszokowało w momencie, gdy je postawiła.

Nie знаła odpowiedzi, ale pewnych rzeczy była pewna. Czułaby żal, gdyby się teraz rozstali. Brakowałoby jej intymnej bliskości i namiętności. Z Michaeliem nigdy nie zdobyłaby się na podobną śmiałość, ani też, nie budziłby w niej takiego pożądania. Wiedziała, że pozostając w tym małżeństwie, nie znieawidzi życia, które nie miało być jej udziałem.

Nie drgnęła, zanim Hawkeswell się nie poruszył. Wtedy zsunęła się z łóżka i narzuciła suknię, żeby wrócić do siebie. Obudził się na tyle, żeby to zauważyć. Wyciągnął do niej rękę.

Schyliła się i pocałowała go.

- Myślę, że już pora wrócić do Londynu. Dowiedziałam się już niemal wszystkiego, czego się mogłam tutaj dowiedzieć. Ale najpierw chcę złożyć wizytę lady Cleobury. Zaniedbałam to, jak dotąd. Potem możemy wracać.

Lord Cleobury, par królestwa, był właścicielem najbliższej Oldbury posiadłości ziemskiej, w której tak wysoko usytuowany arystokrata, członek Izby Lordów, przebywał większą część roku. Pozostałe na ogół puszczano w dzierżawę farmerom lub kopalniom. W rezultacie lord Cleobury miał znaczące wpływy w hrabstwie Staffordshire.

- Zazwyczaj uczestniczy we wszelkich zgromadzeniach, ważnych i mniej ważnych, w hrabstwie. Na jego przybycie, wraz z lady Cleobury, wszyscy wyczekują w wielkim podnieceniu - wyjaśniła pani Geraldson, kiedy jechały powozem wśród pól, gdzie zboże czekało już na żniwa. - Swoją pozycję w hrabstwie traktuje bardzo poważnie i słusznie uważa za swój obowiązek czuwanie nad tym, co się dzieje w naszych stronach.

- Przypuszczam, że ma coś do powiedzenia, jeśli chodzi o wybór sędziego pokoju, koronera i tym podobnych urzędników państwowych - powiedziała Verity.

- Nie sądzę, żeby mogło dojść do ich wyboru bez jego aprobaty.

Pani Geraldson wprosiła się na tę wizytę, oznajmiając, że to świetna okazja, żeby zobaczyć się ze swoją najdroższą przyjaciółką lady Cleobury po kilku tygodniach niewidzenia się. Słyszając to, Colleen także postanowiła dołączyć do nich. Skoro jechały we trzy, z woźnicą i stajennym w dodatku, Hawkeswell uznał, że jego obecność nie jest konieczna.

Lord Cleobury był tym bardzo rozczarowany. Raczył przyjąć damy wraz z małżonką, żywiąc nadzieję, że hrabia, czcigodny kolega z ław Izby Lordów, także pojawi się w jego bawialni.

- Jakże nieszczęśliwie się złożyło - szepnął, usłyszawszy wyjaśnienie Verity, że Hawkeswell postanowił objechać konno hrabstwo, żeby samemu przekonać się, jakie w nim panują nastroje. - Mógłbym mu wszystko opowiedzieć. W istocie czekałem na spotkanie z nim w nadziei, że uniknę jesienią wyjazdu do Londynu na sesje parlamentu. Obawiam się, że tak się nie stanie. - Odwrócił łysiejącą, wąską głowę do żony. - Także będziesz musiała wyjechać, moja droga. Nie śmiem cię tu samej zostawić, gdy wokół panuje zamęt.

- Słyszałam, że jest pan przygotowany do odparcia buntowników

- zauważyła Verity.

- Owszem, tak, ale ktoś musi dowodzić obroną. Pod moją nieobecność nie będzie tu bezpiecznie, a boję się, że jeśli ten dom padnie, to samo spotka całe hrabstwo.

- Hawkeswell zainteresował się podjętymi przez pana środkami

ostrożności.

- Ach tak? Szkoda, że nie przyjechał, sam mógłby ocenić. Surrey leży niedaleko od Londynu i lord Hawkeswell też powinien zrobić to, co ja. Jeśli zechce pani pójść ze mną, lady Hawkeswell, pokażę, jak się przygotowałem, a pani mu to opisz.

Jego żona nie ruszyła się z miejsca, żeby im towarzyszyć. Zajął ją panią Geraldson rozmową, dając do zrozumienia, że ona już nieraz widziała owe linie obrony. Pani Geraldson i Colleen pozostały w bawialni, lord Cleobury zaś wyprowadził Verity na tylny taras.

Relacje o jego przygotowaniach nie były przesadzone. Na tarasie stały cztery okazałych rozmiarów działa, których długie lufy wystawały poza niski mur tarasu. Stos kul armatnich czekał na buntowników.

Czy lord Cleobury sam zamierzał obsługiwać te działa? Czy też spodziewał się, że jego służba będzie walczyć, ryzykując własne życie, w obronie przywilejów arystokracji?

- Manchester leży tam - powiedział znacząco, wskazując lasy.

- Jeśli buntownicy ruszą, czy nie wybiorą raczej głównej drogi?

- Są sprytniejsi, niż pani podejrzewa, lady Hawkeswell. Dużo sprytniejsi. Zaznaczyłem na mapie najprostszą trasę z Manchesteru do mojej rezydencji i zapewniam panią, że nadejdą od strony lasu i tego ogrodu. Wyraziła podziw dla dział i uznanie dla jego przemyślności.

- To hrabstwo ma doprawdy szczęście, że pan jest tutaj.

Buntownicy muszą przejść tędy, żeby rabować pozostałe posiadłości.

- Zakłada pani, że są tylko na północy. Z przykrością muszę stwierdzić, że są wszędzie dookoła. Wszędzie trzeba zachować czujność. Należałoby jeszcze kilku powiesić, żeby przypomnieć ludziom o nienaruszalnym prawie własności.

- Czy takie kroki są konieczne? Londyńskie gazety nie wspominały o rabunkach w Staffordshire.

- Londyńskie gazety nie wiedzą wszystkiego. Proszę być pewną, że nie pozwalamy tutaj na działalność wywrotową i potrafimy szybko ją ukrócić.

Czy to pan stoi za tajemniczym znikaniem ludzi? Czy dokonano tu egzekucji, o których nie wiadomo prasie i mieszkańcom hrabstwa?

Marzyła, żeby zadać te pytania. Ujawniłby się wtedy prawdziwy charakter lorda Cleobury, kryjący się pod jego dobroduszną powierzchownością. Serce się jej ścisnęło z przerażenia. Znała odpowiedzi na oba pytania.

Spojrzała na kule. Żelazo, solidnie wykonane. Działa także wydawały się znajome. Odlano je w jednym kawałku, w którym wywiercono otwory.

- Czy odlano je dla pana w walcowni mojego ojca?

- Tak. Wojsko uważa, że działa tam wykonane są niezrównane.

Mam szczęście, że fabryka znajduje się zaledwie kilka mil stąd.

- Mój kuzyn z pewnością uważa, że to on ma szczęście, znajdując w panu klienta i protektora.

- Marny podobne interesy, droga lady Hawkeswell, i to jest

źródło mojej protekcji. Osoby znaczące w hrabstwie muszą się w dzisiejszych czasach trzymać razem, pomimo różnic ich społecznego statusu. Nie jestem aż tak zagorzałym zwolennikiem przestrzegania naturalnego porządku społecznego, żeby odmówić pomocy człowiekowi, któremu grożą bandyci.

- Ma pan zapewne na myśli zamieszki w walcowni zeszłej zimy, kiedy to wezwano szlachtę z pospolitego ruszenia. Pański głos niewątpliwie zaważył na decyzji o wezwaniu tej pomocy.

Uśmiechnął się pobłaźliwie i ściągnął brwi z tajemniczą miną.

- Te zamieszki i inne. Spodziewam się dalszych. Bertram Thompson wie, co go czeka. Zauważył to przed wielu innymi i ma dość rozumu, żeby wyrwać korzenie, zanim wyrośnie trujące zielsko.

Proszę się nie martwić o kuzyna, moja droga.

Zaprowadził ją z powrotem do bawialni. Następną godziną upłynęła na rozmowie o najnowszej modzie dotyczącej damskich czepków i kapeluszy. Verity, żywo dyskutując, ukrywała przez cały ten czas bolesny smutek, którym była przejęta.

Podejrzewała, że lord Cleobury, Bertram i inne „osoby znaczące” w tym hrabstwie przed dwoma laty wyrwały z korzeniami chwast nazywający się Michael Bowman.

Nie było jej przykro, że stąd odjeżdża. Dowiedziała się tego, czego chciała się dowiedzieć - o odziedziczonej po ojcu fabryce i, niestety, o Michaelu.

Przesłała Nancy i Bertramowi króciutki liścik anonsujący jej

wyjazd. Poza panią Geraldson tylko jedną jeszcze osobę należało pożegnać i Hawkeswell zabrał ją do chaty Katy po południu, w przeddzień ich wyjazdu.

Tym razem podprowadził ją do samych drzwi chaty i przywitał się z Katy, po czym, przeprosiwszy starszą kobietę za to, że nie wejdzie dalej, odszedł. Raz jeszcze Verity usiadła na jedynym całym krześle, a Katy na stołku w izdebce, w której chyba zawsze panował półmrok.

- Chcę, żebyś ze mną pojechała - zwróciła się do Katy. - Jutro. W powozie, obok mnie. Hawkeswell się zgodził. Możesz zamieszkać na wsi, jeśli sobie życzysz. Jego gospodyni w Surrey to miła kobieta i nie tylko nie będzie cię źle traktować, ale przyjmie z otwartymi ramionami.

W oczach Katy wezbrały łzy, ale uśmiechnęła się radośnie.

- Ciągle jesteś małą dziewczynką, która się martwi o swoją Katy nawet teraz, kiedy została hrabiną. Ale nie mogę stąd wyjechać. Jak Michael mnie odnajdzie, kiedy wróci?

- Zapyta w walcowni i tam mu powiedzą, gdzie cię znaleźć. -

Zacisnęła zęby, nie chcąc się rozplakać. Była pewna, że Katy domyślała się, iż Michael nie żyje, ale nie chciała wyzbyć się nadziei. Pochyliła się i ujęła ręce Katy w swoje. - W Surrey możesz na niego czekać równie dobrze jak tutaj.

Katy spuściła nisko głowę, aż dotknęła nią ich splecionych rąk.

Nie poruszyła się, a jej wysiłek, żeby zachować panowanie nad sobą,

uwidaczniał się w napięciu pleców.

- To mój dom, Verity. Mieszkałam tutaj całe życie. Ta chatka jest biedna i niewiele mi zostało, ale ludzie, których znam od dziecka, wciąż mieszkają przy drodze do mojej chaty, a moi przyjaciele leżą na cmentarzu przy kościele. Nie mogę odejść stąd w moim wieku i żyć wśród obcych.

- Ja nie jestem kimś obcym, Katy.

Kobieta podniosła głowę i poklepała Verity po twarzy.

- Nie jesteś, ale będziesz się stawała obcą w miarę upływu czasu.

Jesteś hrabiną i z każdym dniem będziesz nią coraz bardziej. Nie ma w tym nic złego. To wspaniałe i jestem z ciebie dumna. Ale to cię zmieni, dziecko. Kiedy jutro odjedziesz, Oldbury nie będzie już twoim domem. Myślę, że ty już o tym wiesz.

Wiedziała. Już nie było, nawet podczas tej wizyty. Nie było takim, jakie zapamiętała czy o którym marzyła.

Wszyscy jego mieszkańcy patrzyli też na nią inaczej i uważali na słowa wypowiedane w jej obecności. Nawet pan Travis, mimo całej poufałości, ani razu nie zapomniał, że zwraca się do hrabiny. Jej marzenie o powrocie do domu było snem dziecka - o niewinnych zabawach i szczęśliwych czasach przed śmiercią ojca. Nie mogła już tego odzyskać. Gdyby Hawkeswell dał jej wolność, pozwalając stać się znowu Verity Thompson, nigdy nie byłaby tamtą Verity Thompson.

Teraz ona się poruszyła. Zsunęła się z krzesła, na podłogę, obok

nóg Katy. Położyła jej głowę na kolanach, jak robiła to często jako dziecko i nieszczęśliwa młodziutka dziewczyna. W chacie zaległa cisza. Katy głaskała pieszczotliwie jej włosy, a z oczu Verity płynęły łzy.

Hawkeswell otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na taras. Za domem panowało spore zamieszanie.

Trzej ogrodnicy pracowali na tyłach ogrodu. W czterech rogach prostokąta wykopali już głębokie doły, a teraz kilofami i łopatami kopali rowy według poleceń Verity.

Daphne Joyes stała obok Verity, trzymając z jednej strony duży rysunek, a Celia przytrzymywała go z drugiej strony. Od czasu do czasu Verity wskazywała na rysunek, a potem na ziemię, wydając dalsze instrukcje ogrodnikom.

Colleen także stała tam z nimi, przyglądając się pracy. Zauważyła Hawkeswella i weszła na taras.

- Rujnuje ogród - stwierdziła. - W żadnej miejskiej rezydencji nie jest potrzebna tak wielka cieplarnia. I w dodatku wybrała dość brzydki projekt. Cieplarnia nawet nie będzie miała połączenia z domem.

- Ależ to ma być coś więcej niż jedynie schronienie dla kilku palm i drzewka cytrynowego. Z pewnością projekt jest zgodny z jej intencjami.

- Czy nie mogłeś jej przekonać, że jedna cieplarnia w Surrey zupełnie wystarczy? Boję się, że zostanie uznana za ekscentryczkę. A te kobiety... - Machnęła, zniechęcona, ręką w stronę przyjaciółek Verity. - Naprawdę powinieneś mieć na względzie jej przyszłość, Hawkeswell, i postępować z nią bardziej stanowczo.

Miał ochotę powiedzieć Colleen, żeby zajmowała się własnymi sprawami, ale ugryzł się w język. Służyła Verity pomocą i ofiarowała jej przyjaźń, podczas gdy większość innych dam z towarzystwa powtarzała jedynie okrutne plotki. Gdyby Colleen chciała kiedyś posunąć się w tej przyjaźni za daleko, nie wątpił, że Verity utrzymają na odpowiedni dystans.

Ponadto pomagając Verity, Colleen zyskała jakiś cel w życiu i miała przy tym wymówkę, żeby choć na krótko uciec od matki pozostającej w Surrey. Natychmiast otworzyła londyński dom matki i wyraźnie przedkładała obecnie miasto nad wieś. Odwiedzała ich i Hawkeswell, wracając wieczorem do domu, często zastawał ją razem z Verity.

- Obiecałem jej, że będzie miała wolną rękę w sprawach ogrodu, Colleen. A jeśli chodzi o damy z Najrzadszych Kwiatów, Verity nigdy nie wyrzeknie się przyjaźni z nimi. Gdybym jej zabronił je widywać, i tak by to robiła.

Colleen, pełna niesmaku, nie ukrywała, co sądzi o tak samowolnej żonie.

- To może mógłbyś ją chociaż pouczyć, że damie nie przystoi samej kopać w brudnej ziemi? Albo zakazać jej nosić te okropne stare sukienki i te koszmarne czepki?

Uważał, że Verity wygląda czarująco w starej sukience i czepeczku.

- Zawsze będzie sama grzebać się w ziemi, więc lepiej, żeby

nosiła wtedy stare sukienki.

Colleen zmarszczyła brwi.

- Nie jesteś szczególnie pomocny, Grayson.

Roześmiał się.

- Prawda jest taka, że nie jestem skłonny postępować z nią

stanowczo w wielu sprawach, droga kuzynko. Wróc do tego tematu

za rok czy dwa lata, kiedy pierwsza namiętność, być może, przeminie.

Zerknęła na niego ciekawie.

- Nie... nie miałam pojęcia, że małżeństwo tak ci odpowiada. -

Spojrzała w stronę Verity, która strofowała człowieka z łopata. -

Jestem, oczywiście, szczęśliwa, widząc twoje szczęście.

Ale nie całkiem szczęśliwa, to się dało zauważyć. Istniała między

nimi wieloletnia, silna więź i ich obopólna samotność stanowiła jej

część. Samotność Colleen wynikała z rozpacz i żalu, jego samotność -

z zobojętnienia, ale było to coś, co ich zbliżało. Odgadywali bez słów

swoje myśli.

Prawdopodobnie sądziła, że Verity okaże się posłuszną, choć

nijką żoną, a on mężem, który ledwie zauważy, że się ożenił. A

niech to, on też tak sądził. Jego przyznanie się, że było w tym

małżeństwie coś więcej, zdumiało go tak samo jak kuzynkę.

A jednak to powiedział i ogarnęło go uczucie, które, jak sądził,

nazywa się radością. Gdyby Colleen była mężczyzną, przyjacielem

jak Summerhays, nie oparłby się potrzebie wyznania, że ta pierwsza

namiętność, niezwykle intensywna, to coś cudownego. Mógłby nawet

wyznać, że przez cały prawie dzień myśli o żonie i że teraz nie wyobraża sobie, iż mógłby trzymać w swoich objęciach inną kobietę.

- Może nadszedł czas, Colleen, żebyś i ty zapomniała o dawnej i znalazła nową miłość. Minęło parę lat od jego śmierci.

Odwróciła gwałtownie głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Nie jest dla ciebie za późno, żeby wyjść za mąż. Z odpowiednim posagiem, nigdy nie jest za późno. Jestem teraz w stanie ci go zapewnić. Ty musisz tylko znaleźć mężczyznę, który będzie ciebie wart.

W jej oczach zalśniły łzy. Usta zadrżały. Znowu spojrzała na ogród.

- Może masz rację. Jestem ci wdzięczna, jak zawsze, Hawkeswell, za twoje wielkoduszne zainteresowanie moim losem.

- Po to są bracia, nie zaprzeczysz? - zapytał kpiąco, nawiązując do ich dawnych dziecięcych przekomarzań.

Myślał, że się naprawdę rozplacze. Pocałowała go w policzek i weszła do domu.

- Ja tylko powiedziałam, że ona mnie w ogóle nie obchodzi - stwierdziła Audrianna. - Chce być jedną z nas, ale nigdy nie zrozumie, na czym polega reguła. Nigdy jej nie zaakceptuje i nie przestanie wściubiać wszędzie nosa.

Verity przyglądała się krzaczkowi mirtu. Kończono budowę szklarni w jej londyńskim ogrodzie i przyjechała do Najrzadszych Kwiatów, żeby wybrać rośliny do przyszłej uprawy.

- Colleen nie chce być jedną z nas, jestem tego pewna.

- Oczywiście, że nie. Lekceważy nas - zauważyła Celia. - Ale

Audrianna ma rację. Jest bardzo wścibska, jak większość kobiet.

- A zatem chce, żeby jej przyjaźń zastąpiła ci naszą - powiedziała Audrianna.

- Nie sądzę, aby to było prawda - odparła Verity. - Ona nie chce być moją przyjaciółką. Chce być moją siostrą, żeby nadal występować w roli jego siostry.

- Siostry mają większą władzę niż przyjaciółki - odezwała się Daphne. - Byłabyś, rzecz jasna, młodszą siostrą w jej mniemaniu.

Verity roześmiała się. Tak było. Colleen chciała w równym stopniu dyrygować nią, jak pomagać.

- Jest miła i ma dobre serce. Czasami wtrąca się bardziej, niżbym sobie życzyła, i daje mi rady, które mi nie odpowiadają. Ponieważ sądzę, że zawsze będzie w mojej rodzinie, postanowiłam się z nią nie kłócić. Nie chcę, aby powstały jakieś niesnaski na tle rzeczy bez znaczenia, nieistotnych. Przyznaję, że zajmują mnie poważniejsze sprawy niż wyobrażenia Colleen na mój temat.

Daphne postawiła kiełkujący amarylis na stole, na którym sortowały rośliny przeznaczone do wysłania do Londynu.

- Przykro mi słyszeć, że wciąż się czymś martwisz, Verity.

Twarz Daphne nie zdradzała niepokoju, ale Audrianna ściągnęła brwi. Celia nie przestawała przycinać pokrytego brązowymi liśćmi drzewka kauczukowego. Na zewnątrz, w ogrodzie, Katherine

przekopywała ziemię. Katherine zaakceptowano. Według Daphne nie było jej trudno się przystosować i przyjąć regułę, według której żyły. Ale nie mieszkała tutaj za czasów Verity, więc Verity cieszyła się, że Katharine nie była teraz obecna przy ich rozmowie.

- Pamiętacie te wycinki prasowe, które wam pokazałam w moim pokoju? I zwróciłam wam uwagę na pewne dziwne okoliczności? - Oczywiście - zapewniła Celia. - Czy dowiedziałaś się w Oldbury wszystkiego, na czym ci zależało? - Obawiam się, że tak, i nie wiem, co mam teraz robić. W Oldbury powiedziano mi, że syn Katy znikł jeszcze przed moim ślubem i od tamtego czasu nie dawał znaku życia ani też nikt go nie widział. Nie było procesu, żaden z jego przyjaciół nic nie wie o jego aresztowaniu.

Przyjaciółki zastanowiły się.

- Myślę... Boję się, że on nie żyje. Że go zabito.

Celia odłożyła nożyce. Daphne przestała się interesować roślinami.

- Zrobił to twój kuzyn? - zapytała Celia.

- Mój kuzyn i inni. - Opowiedziała im o lordzie Cleobury i jego aluzjach do wrywania chwastów.

- Trudno to uznać za przyznanie się. Wygląda na to, że lord Cleobury traci rozum. Ustawianie dział armatnich na tarasie, coś podobnego! - oceniła Celia. - Martwego syna Katy nikt nie widział. Być może dopatrujesz się spisku tam, gdzie go nie ma. Ten chłopak mógł po prostu opuścić Oldbury, szukając lepszego życia.

- Prawda, nie mam dowodów. Mogę się mylić i czasami próbuję przekonać siebie samą, że tak jest. Nie mam podstaw do wyjawiania komukolwiek moich podejrzeń z wyjątkiem trzech drogich przyjaciółek, które w niczym mi nie pomogą poza tym, że pozwolą mi o tym mówić. Wiem, że i ja nic nie mogę zrobić, ale ta sprawa wciąż zaprzęta moje myśli.

- To zrozumiałe - odezwała się Audrianna. - Czy nie możesz jednak powiedzieć o tym Hawkeswellowi? On mógłby przynajmniej sprawdzić, czy nie doszło do aresztowania i procesu. Par może uzyskać wszelkie możliwe informacje od władz i sądów. To mogło się, na przykład, zdarzyć w innym hrabstwie.

- Nie śmiem mu powiedzieć. Wie, że dowiadywałam się o Michaela - tak się nazywa ów młody człowiek - i podejrzewa, że Michael był dla mnie kimś więcej, niż był w istocie.

- Ach - westchnęła Celia.

- Co ma znaczyć to „ach”? - zapytała Daphne.

- To, że Verity ma rację. Młody człowiek znika dwa lata temu, a Verity ucieka ze swojego wesela wkrótce potem. Hawkeswell, naturalnie, łączy te dwa fakty. Każdy mężczyzna łączyłby, zwłaszcza że jego żona zaczyna rozpytywać o tego człowieka.

- Ty jednak, mam nadzieję, nie podzielasz podejrzeń

Llawkeswella - domagała się odpowiedzi Daphne.

- Oczywiście, że nie. Ja tylko zgadzam się z Verity, że nie może teraz prosić go, żeby szukał Michaela czy też pomógł wyjaśnić, co się

z nim stało.

- Myślę, że może - oznajmiła Audrianna. - Sądzę, że Hawkeswell spełni jej prośbę, jeśli ona go o to poprosi. Celia przewróciła oczami.

- Audrianno, wiemy, że lord Sebastian jest twoim niewolnikiem, ale to nie znaczy, że każdy mężczyzna po ślubie jest spętany łańcuchami miłości. Wręcz przeciwnie.

Daphne nie zwracała uwagi na ich sprzeczkę.

- Czy uwierzył ci, kiedy zaprzeczyłaś, że Michael był twoim dawnym kochankiem, Verity?

Uwierzył? Nie była pewna.

- Myślę, że raczej tak, ale wciąż się zastanawia.

- Czy twoje małżeństwo jest teraz harmonijne?

- Powiedziałabym, że w dużym stopniu harmonijne. W pewien sposób. - Poczowała ciepło na twarzy. - Na ogół się nie kłócimy, to mam na myśli. Rozumiemy się dobrze w... pewnych sprawach.

Celia zachichotała.

- Cofam swoje „ach”, skoro te „pewne rzeczy” wywołują u ciebie taki rumieniec.

- A więc nie boisz się go? - zapytała Daphne.

- Wcale. Wiem, że widziałyście, jak wpadł w gniew, ale wierzcie mi, proszę.

Daphne zdjęła fartuch i rękawiczki. Popatrzyła przez okno, tam gdzie w ogrodzie pracowała Katherine.

- Dziękuję, że pozwoliłaś mi na tę odrobinę wścibstwa.

Audrianna uspokajała mnie, ale martwiłam się. - Odwróciła się. - Być może powinnaś poprosić go o pomoc w tej sprawie, Verity. Byłoby dobrze przekonać się, jak się sprawy mają. Jeśli dopuszczono się bezprawia, jeśli się morduje ludzi, niezależnie od motywów, nie wolno pozwolić, żeby to trwało.

Verity przyznawała jej rację. Ale jednocześnie nie sądziła, żeby rozmowa z Hawkeswellem o Michaelu zwiększyła ową małżeńską harmonię, o której wspomniała Daphne.

- Zawołajmy Katherine i odpocznijmy - zaproponowała Daphne.

- Audrianno, czy przywiozłaś nuty tej nowej piosenki - Napisałaś nową? - zapytała Verity. - Nie wiedziałam.

- To dlatego, że Colleen zawsze ostatnio ci towarzyszyła, kiedy cię odwiedzałam - odparła Audrianna. - Ale Celia ją zaśpiewa i wszystkie moje przyjaciółki usłyszą ją teraz po raz pierwszy.

- Być może powinnaś ją sama zaśpiewać na kolacji u Castleforda w przyszły wtorek - zażartowała Verity.

Celia otworzyła szeroko oczy.

- Będiesz na kolacji u Castleforda?

- Verity również - oznajmiła Audrianna. - Sebastian twierdzi, że kolacja będzie wydana specjalnie na jej cześć.

Celia uchwyciła spojrzenie Daphne. Brwi Daphne uniosły się leciutko do góry.

- Ach.

W następny wtorek Verity szykowała się do umówionej wizyty u

Castleforda.

- Denerwuję się bardzo - wyznała, gdy pokojówka pomagała jej włożyć suknię. - Hawkeswell twierdzi, że sobie poradzę, ale boję się, że na kolacji u księcia Castleforda mogę stać się obiektem żartów, a nie podziwu.

Pokojówka nie odpowiedziała. Verity żałowała, że nie ma przy niej Daphne ani Celi. Daphne powiedziałyby coś miłego, żeby ją uspokoić, a Celia kilkoma fachowymi ruchami ułożyłyby jej włosy i suknię tak, że wyglądałyby sto razy lepiej. Zerknęła w lustro. Zmusiła się do uśmiechu, żeby nie mieć zbolącej miny.

Coś błysnęło za jej plecami. Dwadzieścia małych kulek kołysało się w powietrzu i połyskiwało w świetle; potem pojawiło się ich jeszcze więcej, kiedy służąca prezentowała klejnoty. Naszyjnik ze sznurów pereł zawisł przed nią, a potem spoczął na jej skórze, podczas gdy palce służącej zapinały zameczek na jej karku.

Wieczorowa suknia była w kolorze pereł i naszyjnik zawieszony nad perłową materią olśniewał urodą. Przesunęła palcami po nieskazitelnej powierzchni pereł.

Po pamiętnej nocy w Surrey długo nie chciała ich nosić. Zrzuć winę na perły, powiedział, i tak uczyniła. Wciąż nie mogła na nie patrzeć bez buntu i lekkiego gniewu za to, że schwytał ją w pułapkę, wykorzystując jej słabość.

Znaczyły tak wiele. Stanowiły symbol. Małżeństwa i tego domu, a nawet tego świata, w który wkroczyła. Teraz miała w nich wystąpić

na przyjęciu u księcia, akceptując swoją pozycję hrabiny noszącej starodawne arystokratyczne nazwisko, w otoczeniu elity towarzyskiej.

Nie była tak głupia, żeby odnosić się do tego z niechęcią i nie dostrzegać licznych korzyści z odmiany losu. Żałowała tylko, że nie może nadal być także dziewczyną z Oldbury.

Kiedy jutro odjedziesz, Oldbury nie będzie już twoim domem, powiedziała Katy. Katy miała rację, ale serce wzbrania się przed zaakceptowaniem smutnej prawdy. Jej serce wciąż tęskniło za zabawą nad strumieniem, za chlebem upieczonym przez Katy, za śmiechem z Michaeliem. Wciąż chciałaby mieć taką władzę, żeby nie pozwolić Bertramowi źle traktować tych dobrych ludzi.

- Jest pani taka piękna, madam - odezwała się pokojówka. -

Różyczki na staniku sukni są prześliczne.

Martwiła się o te różyczki, jak o wszystko tego wieczoru. W myśli zrobiła ponownie przegląd tematów konwersacji, które sobie uprzednio przygotowała.

- Zejdę już na dół.

Hawkeswell, widząc Verity w sukni koloru pereł, uznał, że będzie najpiękniejszą kobietą na przyjęciu. Po przybyciu do rezydencji księcia stwierdził, że się nie mylił.

Jej nieco sztywne, pełne rezerwy zachowanie zdawało się wynikać z dumy, a nie z ostrożności i obawy o popełnienie nietaktu.

Ponieważ otaczali ją ludzie dumni ze swojej pozycji, jej dobre manieri świadczyły na jej korzyść. Castleford nie kłamał,

zapewniając, że przyjdą najlepsi z najlepszych. Verity musiała dać sobie radę sama, kiedy ją przedstawiono dwóm innym księżętom, w tym jednemu królewskiej krwi i to księciu regentowi we własnej osobie.

Castleford wyglądał na trzeźwego. Nie można było powiedzieć tego samego o kilku innych gościach. Jeden z nich, hrabia Rawsley, najwidoczniej sądził, że w stanie lekkiego zamroczenia alkoholowego może sobie pozwolić na większą swobodę.

- Jest pani piękną kobietą, lady Hawkeswell - powiedział, pochylając się nad stołem, żeby spojrzeć na Verity siedzącą dwa miejsca dalej. - A zatem pani mąż odniósł podwójną korzyść.

Rozmowy wokół trwały dalej, ale, jak zauważył Hawkeswell, większość gości przysłuchiwała się tej wymianie zdań co najmniej jednym uchem.

- Dziękuję, lordzie Rawsley. Jeśli mój mąż uważa, że skorzystał na tym chociaż pod jednym względem, już mi to pochlebia.

- Bogactwo dodaje uroku każdej kobiecie, która jest bogata - zachichotał Rawsley. Zwrócił zamglone alkoholem oczy na siedzących obok przy stole, żeby się upewnić, czy docenili jego dowcip. - Fabryka? Bawełna?

- Żelazo - odparła Verity bez mrugnięcia okiem. - Mój ojciec był wynalazcą i przemysłowcem, a zajmował się głównie obróbką żelaza.

Pozostali przedstawiciele śmietanki towarzyskiej uśmiechnęli się pobłaźliwie, a nawet przepraszająco. Nie dlatego, że ich zdaniem to

było zupełnie w porządku, że ojciec Verity obrabiał żelazo, ale dlatego, że jeden z nich robił z siebie głupca.

- Żelazo, powiada pani. Kuźnie, piece i tym podobne? - Rawsley przeszył Hawkeswella krytycznym spojrzeniem. - Brudne i nieprzyjemne zajęcie.

- Także niebezpieczne - dodał Hawkeswell. - Trzeba odwagi, żeby zbliżyć się do rozpalonego pieca.

- Nie dalibyśmy rady Bonaparteemu bez tych dzielnych ludzi - zauważył książę regent.

- Słusznie, słusznie. - Rawsley napił się jeszcze bordeaux, chociaż w tym stanie powinien był kieliszek odstawić. - A jednak... - Popatrzył z pogardą na Hawkeswella.

- Jestem właścicielem kopalni żelaza - oznajmił Castleford.

Pochylił się w przód na tyle, żeby dać wyraz swojemu zainteresowaniu tematem. Kosmyk włosów opadający nad jedną brwią nadawał mu niepokojąco groźny wygląd.

Hawkeswell wyobraził sobie Tristana przed lustrem, jak upewnia się, że prezentuje się jak książę doskonały, a potem przesuwa jeden kosmyk nad oko, by dać do zrozumienia, że to pozorna doskonałość.

Damy siedzące blisko niego nie mogły oderwać oczu od tego przeklętego, wyzywająco hultajskiego kasztanowego loku.

- Czy usiłujesz powiedzieć coś obraźliwego na temat żelaza, Rawsley, ale wino otumaniało cię tak, że nie jesteś w stanie się wysłowić? - zainteresował się Castleford.

- Nie mówiłem nic o kopalniach, Castleford.

- Mówiłeś o żelazie. Słyszałem wyraźnie.

- Do ciebie w ogóle nie mówiłem. Zwracałem się do lady Hawkeswell.

- Czy chcesz powiedzieć, że usiłowałeś obrazić damę zamiast mnie? Doprawdy, Rawsley.

Gdyby Rawsley miał teraz zawiązane oczy, byłby równie zdezorientowany. Jednak jego młoda żona zachowała przytomność umysłu. Wyczuła, dokąd prowadzi ta rozmowa, i spojrzała z niepokojem na męża. Najlepsi przyjmowali zaproszenie Castleforda na kolację, ale najinteligentniejsi unikali zbytniego zwracania na siebie jego uwagi.

Rawsley, na nieszczęście, nie należał do inteligentnych. Nie zauważył też coraz większego niepokoju żony.

- Jeśli kobieta jest córką walcownika, nie ma nic obraźliwego w stwierdzeniu, że jest córką walcownika - powiedział Rawsley wyniośle, sarkastycznym tonem, najwyraźniej nie zamierzając załagodzić sytuacji. - A co do twoich kopalni, to gratuluję. Dzięki nim twój majątek musiał się potroić w czasie wojny, a ty sam nigdy nie musiałeś brudzić sobie rąk.

Konwersacja urwała się w tym momencie. Hawkeswell zauważył, że Castleford opuszcza powieki w sposób, który dobrze znał. Zauważył także ostrzegawcze spojrzenie Summerhaysa. Verity, której nie nauczono w trakcie lekcji etykiety, jak ukryć zdumienie,

kiedy najlepsi z najlepszych zachowują się niewłaściwie, otworzyła usta.

Książę regent zażądał więcej wina, po czym rozsiadł się wygodnie, żeby oglądać rozgrywające się przed jego oczami przedstawienie uszczęśliwiony zapewne, że nie popełnił błędu, wybierając to właśnie, a nie inne zaproszenie.

- Nazywanie lady Hawkeswell córką walcownika w istocie nie stanowi obrazy, jako że ona sama mówi o tym z dumą, i nie bez powodu. Jednak insynuowałeś, że Hawkeswell zajmuje się teraz handlem i to bardzo brudnym. Wątpię, żeby mu się to podobało - stwierdził Castleford. - Co ty na to, Hawkeswell?

Wszystkie oczy oderwały się teraz od Castleforda i zwróciły na Hawkeswella. Ten zaklął po cichu.

- Szczerze mówiąc, Castleford, wolę, żeby nazywano mnie handlarzem niż kimś, kto skorzystał na wojnie.

- Tak - powiedział powoli Castleford. - Właśnie chciałem się do tego odnieść.

- Rawsley - syknęła żona hrabiego przez stół.

Jej mąż zawahał się, ale wybrał wykazanie się brawurę, zamiast ustąpić.

- Czy zaprzeczasz, że odniosłeś niezłe zyski z kopalni podczas wojny? Summerhays westchnął. Westchnienie było słychać w całej pałacowej komnacie, ponieważ teraz nikt się nie odzywał.

- Będę musiał zapytać zarządców moich kopalni. Wątpię,

żebyśmy

wydobywali rudę ze stratą. To byłoby głupie, niepatriotyczne. Czy rozdałeś w czasie wojny zboże ze swoich ziem lub wełnę ze swoich owiec, Rawsley? Rawsley próbował się zastanowić, jak mógłby uzasadnić czerpanie zysków z własnego ziemskiego majątku.

- Nie tylko wspomniałeś, że czerpałem zyski, ale także napomknąłeś, że z powodu wojny były to zyski nadmierne - ciągnął Castleford. - Jednak jeśli mnie przeprosisz, a także Hawkeswella i jego żonę, możemy kontynuować kolację bez obaw o konsekwencje.

Żadnych wyzwaniań.

Rawsley zbladł na aluzję do pojedynku. Parsknął i zaczerwienił się, a ponieważ był podchmielony, usiłował zmniejszyć rozmiary porażki.

- Wcale nie obraziłem tej damy, już to mówiłem.

- Tracę cierpliwość - stwierdził Castleford. Tak było i biada

Rawsleyowi, gdyby przekroczył granice cierpliwości księcia. -

Staraleś się wprawić ją w zakłopotanie, a poprzez nią Hawkeswella, a ja nie pozwolę, żeby jednego z moich najdawniejszych przyjaciół traktowano w ten sposób przy moim stole. Nie udało ci się tylko dlatego, że lady Hawkeswell nie zwraca uwagi na kogoś, kto plecie nonsensy, i nie czuje się zakłopotana swoim pochodzeniem, którego nie ma powodu się wstydić.

Rawsley, zapędzony w kozi róg, widząc oczy wszystkich

obecnych skierowane w jego stronę, stał się głównym bohaterem sceny, o której miano mówić w towarzystwie tygodniami. Wiercił się niespokojnie, w końcu wykrztusił coś, co można było uznać za przeprosiny, wyjaśniając swoje niestosowne zachowanie nadmiarem wypitego wina.

Castleford uśmiechnął się i odwrócił do księcia regenta z jakimś pytaniem. Ponownie rozległ się gwar rozmów. Hawkeswell domyślał się, że za lepsze zakończenie dramatu uznano by pojedynek, ale odniósł wrażenie, że goście i tak bawili się doskonale. Reputacja księcia potwierdziła się po raz kolejny.

Po kolacji damy opuściły dżentelmenów. Castleford podał Rawsleyowi cygaro jako pierwszemu, żeby ukoić jego dumę.

Summerhays zapalił swoje cygaro i usiadł obok Hawkeswella.

- Wydaje się, że twoja żona cieszy się jednak względami księcia.

Rawsley knuł coś złego i podejrzewam, że w tym przedstawieniu chodziło o to, żeby go sprowokować.

- Być może. Chociaż nie ma powodu do żadnych względów. Jego wizyta u niej trwała bardzo krótko i był taki miły i uprzejmy, że sądziłem, iż wstąpił w niego jakiś dobry duch. Był też trzeźwy, czyli musiał narzucić sobie co najmniej trzy kolejne dni abstynencji. -

Spojrzał przez pokój na Castleforda, który zanosił się rubasznym śmiechem razem z księciem regentem. - A niech to, on się czuje za nas odpowiedzialny. Summerhays parsknął śmiechem.

- Upadek Castleforda to upadek świata?

- To dość, żebym zaczął pić zamiast niego.

- Za późno. Teraz jesz z ręki własnej żony. Oblaskawiła cię. I

jeśli wolno mi zauważyć, nie wydajesz się ani trochę przez to gorszy.

- Małżeństwo nie jest problemem dla mężczyzny. To ona musiała się zmienić.

Summerhays uznał to stwierdzenie za całkiem zabawne.

- Oczywiście.

- Nie jestem w nastroju, żeby znosić twoje samozadowolenie.

Wybacz, mam pytanie do naszego gospodarza.

Zostawił Summerhaysa i usiadł na krześle obok Castleforda. Po

jakimś czasie ktoś inny zwrócił uwagę księcia regenta i Hawkeswell mógł podjąć rozmowę z przyjacielem.

- To było niezłe przedstawienie - odezwał się. Castleford zaciągnął się mocno dymem z cygara.

- Możesz mi podziękować w dowolnym dogodnym czasie.

- Powinienem ci podziękować?

- Gdybym nie zrobił mu sceny, spotkałbyś się z biednym

Rawsleyem o świcie na jakiejś łące. Zamierzał cię obrazić głupimi uwagami. Ponieważ chodziło o twoją żonę, nie mógłbyś puścić tego płazem. Nie, nie mógłby.

- Lady Rawsley wydawała się niezwykle wdzięczna, że sam go nie wyzwaleś.

- Lady Rawsley, jak się przekonałem, zawsze jest niezwykle wdzięczna. Taką ma naturę.

- Cóż, teraz wiem, dlaczego wykazałeś się szlachetnością. Po co zabijać mężczyznę, skoro można mu przyprawić rogi.

- Pojedynek wszystko by skomplikował.

Hawkeswell rozumiał, dlaczego. Castleford nie chciał, żeby lady Rawsley okazała mu nadmierną wdzięczność.

- Co do twoich kopalni. Ile ich masz?

- Podczas wojny tylko jedną. To część majątku. Jednak kupiłem kolejne.

- Doprawdy? Popyt na żelazo spadł bardzo w ciągu ostatnich dwóch lat. Wartość odziedziczonego przez moją żonę majątku to cień tego, co było.

- To prawda, że popyt spadł gwałtownie. Dlatego kupuję kopalnie tak tanio.

- Spodziewasz się kolejnej wojny?

- Spodziewam się skutków wojny bez wojny. Hawkeswell, nie jesteś głupi. Ani trochę. Myślę, że wiesz, że twój majątek rodzinny uległ ruinie z dwóch powodów. Jeden to konsekwentność twojego ojca w przegrywaniu pieniędzy w karty. Drugi to przywiązanie twojej rodziny do ziemi jako jedyne źródła dochodów.

Hawkeswell lepiej niż inni orientował się, jak niewiele zyskuje się z gospodarki rolnej. Nikt nie musiał go o tym przekonywać.

Castleford przysunął bliżej głowę.

- Trzymaj się tej walcowni, przyjacielu. Staraj się, żeby była opłacalna, choćbyś miał zaprzedać duszę. Za dziesięć lat popyt na

rudę z moich kopalni i żelazo z twoich pieców sprawi, że nasze

obecne majątki wydadzą się skromne.

Sięgnął po butelkę porto i przywołał kolejnego przyjaciela,

porzucając temat rozmowy równie szybko, jak go podjął.

Rozmyślając o minionym wieczorze w powrotnej drodze do domu, Verity uznała, że odniosła sukces. Chociaż ludzie ze śmietanki towarzyskiej mogli nie akceptować jej jako hrabiny albo współczuć Hawkeswellowi, że upadł tak nisko zmuszony do mezaliansu, potrafili jednak zachować pozory i odłożyć plotkowanie na później. Była bardzo zadowolona, wręcz w euforii, dzięki czemu nabrała pewności siebie, co ułatwiło jej podjęcie decyzji, gdy służąca rozczesywała jej włosy.

Włożyła nową koszulę nocną, którą wcześniej zamówiła. Uszyta z cieniutkiego batystu, tak delikatnego i miękkiego, że układał się jak jedwab, nie wymagała żadnych ozdób. Zdaniem Colleen była zbyt skromna. Podobnie uważają ci, dla których kwiatki z pojedynczą obwódką płatków są nie tak piękne jak kwiaty z pełną koroną.

Uniosła ręce, żeby zdjąć naszyjnik pereł, ale po chwili namysłu się powstrzymała. Lubił, kiedy je nosiła. Mówił o tym wieczorem w karecie. Uważał, że dodają jej uroku. Nie, nie to powiedział. To ona dodawała urody perłom. Dość niezwykle stwierdzenie.

Odprawiła służącą i zapukała delikatnie do drzwi garderoby Hawkeswella. Uchylił je i przez szparę zobaczyła wychodzącego z drugiej strony Drummunda.

- Nie chciałam przeszkadzać. Jeśli nadal jest ci potrzebny kamerdyner, to...

- Wejdz. Muszę się tylko umyć i możemy porozmawiać o

przyjęciu, jeśli chcesz.

Usiadła na krześle. Zdjął koszulę i odwrócił się do miski z wodą, którą przygotował mu do kąpieli Drummund. Namydlił się i przystąpił do ablucji.

W świetle lampy widziała go całego. Podziwiała jego silne plecy i zdecydowane, ale płynne ruchy, kiedy oddawał się tej prostej czynności. Jej podniecenie rosło, gdy przyglądała się jego harmonijnie umięśnionym, smukłym ramionom i torsowi.

- Chcę z tobą porozmawiać, ale nie o przyjęciu.

Wziął ręcznik i wytarł twarz. Odwrócił się do niej, wycierając klatkę piersiową i ramiona.

- Zamieniam się w słuch.

- Chcę cię o coś prosić.

- Z twojego wyrazu twarzy domyślałam się, że nie chodzi o nową suknię.

- Nie. Nic materialnego.

- Oczywiście, że nie. To byłoby za łatwe. Nie spodoba mi się ta prośba, niech zgadnę?

Co mogła odpowiedzieć? Nie, nie spodoba mu się. Już o tym wiedział. Nie musiał pytać. Oczy mu pociemniały, jak zwykle, kiedy był niezadowolony. Spojrzenie spoważniało.

- Widzę, że wciąż masz na szyi perły. To znaczy, że ta prośba naprawdę mi się nie spodoba. - Roześmiał się lekko.

Wstała i podeszła do niego. Kilka kropli wody nadal lśniło na

jego piersi. Dotknęła każdej po kolei palcem.

- Powiedziałaś, że zapominasz się na ich widok.

- Otóż powiedziałem, że zapominam się na ich widok na twoich nagich piersiach. - Ujął jej dłoń i położył płasko na swojej piersi. -

Jeśli zamierzasz mnie poprosić o coś, co mi się nie spodoba, lepiej użyj wszystkich swoich kobiecych czarów, Verity.

- A jeśli moje czary nie wystarczą?

- Nie doceniasz siebie.

Niestety, wcale nie była pewna, czy rzeczywiście wystarczą.

Nawet zdobywając się na największą śmiałość, nie była zbyt śmiała.

Pocałowała jego pierś, tam gdzie przedtem były krople wody.

Potem odsunęła się. Zaczęła rozpinąć guziki przy koszuli. Piękny biały materiał rozsunął się, odsłaniając alabastrową skórę szyi, piersi i brzucha. Brzegi koszuli nocnej falowały wokół boków ciała.

Nie poruszył się, żeby ją objąć. Zrozumiała, że czeka, żeby to ona dokończyła negliżu, nie on. Drżąc od dotyku własnych palców, zsunęła białą szatę z ramion, pozwalając jej opaść u stóp.

Delikatnie przesunął palcami wzdłuż sznura pereł, a potem trochę niżej.

- Chciałaś, żebym to zrobiła.

- Tak. Ale perły zostaw.

- Czy powiesz mi, co jeszcze mam zrobić, czy też sama mam się domyślić?

- Jeśli ci powiem, poczujesz się zobowiązana to zrobić, żeby

dostać to, o co prosisz.

- Nie zrobię niczego pod przymusem. To nie leży w mojej naturze. Uśmiechnął się, podczas gdy opuszki jego palców sunęły wciąż niżej i niżej.

- A zatem powiem ci i pokażę, a ty wybierzesz, co będziesz chciała. A ja się przekonam, czy potrafię cię jakoś przekonać, żebyś wybrała wszystko.

To, o co go chciała prosić, przestało być ważne. Liczyły się teraz doznania zmysłowe, sposób, w jaki patrzył na jej ciało i na perły, i ten delikatny, kuszący i podniecający dotyk.

Nie potrzebowała instrukcji. Przejęła inicjatywę, przynajmniej na początku. Przysunęła się bliżej i położyła mu obie dłonie wysoko na piersi. Pocałowała jego skórę na wysokości swoich ust, potem szyję i wargi.

Przyciągnął ją do siebie i zaczął zachłannie całować.

Chwycił w ręce jej pośladki i przycisnął ją do siebie, tak że jej piersi napierały na jego pierś, a jego wzniesiona męskość wbijała się w jej brzuch, gdy wpił się w jej usta w namiętym, odbierającym dech pocałunku. Rozpalony obsypywał pocałunkami jej szyję, piersi, a ona pragnęła już poczuć go w sobie i zaspokoić pragnienie, tak jak i on pragnął.

Teraz ona gładka tył jego ciała, a potem jej palce zaczęły igrać wokół wzniesionego przodu spodni. Odnalazła guziki i rozpięła je, po czym, zniecierpliwiona, szarpnęła materiał, by uwolnić go ze spodni.

Z bielizny też. Ukazał się w całej swej męskiej nagości.

Uklęka i pochyliła się ku niemu, odsłaniając w całości jego nogi.

Spojrzał na nią, ze stężałą twarzą i płonącymi oczami. Całe jego ciało wyprężyło się. Należało do niej. Wyprężone, pełne życiowej siły, wrażliwe. Pomogła mu zsunąć spodnie ze stóp.

- Wyglądasz tak pięknie. Tak erotycznie - powiedział. -

Alabastrowa. W perłach. Gotowa.

Tak, gotowa. Wstała, choć przyszło jej to z trudem. Jej ciało chciało czegoś innego niż utrzymywanie się na wyprostowanych nogach. Jego palce delikatnie krążyły wokół jej szyi, bawiąc się skórą i perłami. Przesuwały powoli ku największej centralnej perle nad jej piersiami, potem sunęły po ich wypukłościach, coraz bliżej i bliżej nabrzmiąłych sutek. W jej ciele rozbrzmiała pieśń niecierpliwego błagania, jak zawsze, gdy była gotowa. I jak zawsze nie mogła opanować żądz, którą w niej wzbudzał.

- Myślę, że muszę wypróbować coś nowego - powiedziała. -

Tego? - Zacisnęła lekko dłoń wokół jego męskości.

Drgnął napięty.

Pieściła kciukiem czubek, a potem obie dłonie zajęły się pieszczotą. Jego dotyk stał się mniej delikatny. Pocierał silnie jej sutki, aż wyczuł, że doznania stały się tak intensywne, iż zapragnęła, aby jego palce powędrowały niżej.

- A ty czego chcesz? - zapytał.

Ciebie, we mnie, szybko. Nie mogła ustać na osłabłych nogach.

Nie mogła oddychać ani mówić.

- Mam na myśli twoją prośbę.

Zerknęła w dół, na swoje dłonie. Była w tym lepsza, niż sądziła, skoro skapitulował tak szybko.

- Myślałam, że chcesz, bym wypróbowała jeszcze kilka sztuczek.

I będzie bardzo się starała, bez względu na to, czego od niej zażąda.

Ujął w dłonie jej głowę i głęboko spojrział w oczy.

- Chcę tego, co teraz robimy. I nie chcę, żebyś mi ulegała tylko z tego powodu, że to robimy. Wszystko, o co mnie poprosisz, spełnię.

Nie musisz dawać mi rozkoszy, bym to uczynił.

- Przecież nie wiesz, o co poproszę.

Skinął głową. Objęła go mocno, bardzo mocno i gorąco ucałowała.

- Doprawdy, to wielkie szczęście, że mam męża, który jest tak ustępliwy w chwilach rozkoszy.

Odpowiedzią był jeszcze gorętszy pocałunek i jeszcze mocniejszy uścisk otaczających ją ramion. A potem jego ręka ścisnęła jej pośladek i, powoli sunąc wzdłuż linii między dwoma półkulami, znalazła te najwrażliwsze na dotyk wargi. Prawie krzyknęła, upojona cudownym doznaniem, a po dwóch subtelnych dotknięciach zaczęło w niej narastać znane jej szaleństwo.

- Dotykaj mnie znowu - wyszeptał w jej ucho. - Znowu mnie pieść. Zrobiła to, sama tonąc w zalewie fali rozkoszy.

- Czy to wszystko, czego ode mnie chcesz? To już było.

- Nie wszystko - powiedział, w króciutkiej przerwie między żarłocznymi pocałunkami.

- Więc co?

- Usta. Jeśli zechcesz.

Pomyślała, że mówi bez sensu, ale wnet pojęła, czego od niej chce.

- To skandaliczne życzenie.

- Niektórzy tak uważają. Szokuję cię. - Pocałował ją. - Zapomnij o tym. Chodźmy do sypialni.

Podniósł ją, zaniósł do swojej sypialni i złożył na łóżku. Czekala.

Przygaszał światło lampy, a ona przyglądała się jego ciału w padającym nań złotawym świetle. Ciemne włosy zwichrzyły się wokół jego głowy. Stał przy łóżku. Ciągle się zastanawiała nad jego prośbą. Spojrzała na obiekt fascynacji.

- Być może... - zaczęła.

- Być może?

- Czy damy to robią?

Położył się.

- Nie wszystkie, sędzę. Niektóre.

- Te, które biorą udział w orgiach?

- Inne też. Niektóre. Nie myśl już o tym. Powinienem odczekać z pięć lat, zanim bym wspomniał ci o tym.

- Za pięć lat? Należy kuć żelazo, póki gorące.

- I ja tak uważam. Jednakże...

- Waham się, ale nie jestem zgorszona. - Jeszcze raz spojrzała. -

Chyba nie jest to całkowicie bezsensowny pomysł. A będzie jeszcze mniej dziwny, jeśli się przekonam, czy mi smakuje.

Zakrył ręką oczy i wybuchnął śmiechem.

- Nie oczekuj ode mnie pomocy. Nie wiem. Dotknęła go tam, pytając. - Masz tutaj jakieś wino?

Oderwał rękę od oczu i zerwał się z łóżka wyraźnie ucieszony.

- Porto.

- Lubię porto.

Wybiegł i wrócił z kieliszkiem i butelką wina. Napełnił kieliszek i podał jej. Spróbowała i wskazała ręką łóżko. Położył się. Polała stróżką wina jego klatkę piersiową i lędźwie, a potem, większym strumieniem, tę część ciała, która ją teraz najbardziej interesowała.

Kilka kropli spłynęło na prześcieradło, brudząc je.

- Och, twój Drummond się wścieknie.

- Do diabła z Drummondem. - Pochylił się, by ją pochwycić.

Odsunęła jego rękę.

- Nie ruszaj się. Nie chcę być oblana winem, a poza tym mogłoby uszkodzić perły. Leż spokojnie i nie trać nadziei, że nie zrobię ci nic złego.

Założył ręce pod głowę.

- Jestem przygotowany na najgorsze. Przeżyję.

Odważny, pomyślała. Pochylona nad nim, oparta na kolanach i dłoniach, zaczęła zlizywać wino z jego piersi. Było go sporo na pła-

skich męskich sutkach, a to, co robiła, bardzo mu się podobało. Jej język spijał spływający coraz niżej strumyk ciemnego płynu, ściekający po brzuchu. Mięśnie brzucha napięły się, w odruchowym silnym skurczu. Gdy dotknęła językiem jego erekcji, zdało jej się czymś całkowicie naturalnym nieprzerywanie zlizywania wina i nie tylko wina. Posmakowała, i smakowała dalej, a Hawkeswell jęczał w spazmie euforii.

Był skazany.

Ta myśl przemknęła przez jego głowę, gdy leżał później, obezwładniony niebiańską błogością, z Verity w ramionach.

Skazany. Nie dbał o to teraz, ale nawet cudownie zaspokojony w niebywałym orgazmie, jakiego dotąd nigdy nie doświadczył, uświadamiał sobie tę prawdę.

Sprawiało mu satysfakcję, że tej nocy w żaden sposób nie nakłaniał jej do samodzielnych poszukiwań. Przyrzekł jej spełnić wszystko, o co go chciała prosić, zanim się zgodziła na eksperymentowanie.

Tylko że teraz wszystko... mogło być wszystkim.

Co gorsza, nie wątpił, a nawet był pewien, że właśnie odkryła sekret, jak może dostać od niego wszystko, cokolwiek przyjdzie jej do głowy, i to do końca życia.

Nie mógł się pozbyć wrażenia, że właśnie ustąpił pola w bitwie, co do której nie miał nawet pewności, że faktycznie ją toczy.

Nie spała, też pogrążona w błogostanie. Ale przeżywała go nie

tak, jak on. Nie tak, jak tego pragnął. Zastanowi się na tym później, gdy niebawem odzyska pełnię męskich sił. Jego ciało już reagowało na samą myśl o tym.

Dotknął sznurów pereł, podziwiając miękki blask perłowych kulek nad jej nagimi piersiami.

- Jaka jest twoja prośba? Twoje życzenie?

Zagryzła dolną wargę i spojrzała na jego palce spod przymrużonych powiek.

- Nie trzymam cię za słowo. Dałeś je, bo cię skusiłam.

- Nie zwiodłaś mnie żadnymi sztuczkami. Nie potrzebuję przeprosin. O co chodzi?

- Musisz mi pomóc w jednej sprawie. Jesteś lordem i masz szerokie znajomości, znasz wielu ludzi. Powiedzą ci to, czego mnie nigdy by nie powiedzieli. Proszę cię, byś mi pomógł się dowiedzieć, co się stało z synem Katy.

- Michaelem.

- Tak.

- Chcesz, żebym znalazł Michaela.

Nie wpadł w gniew, ale jego nastrój natychmiast się zmienił i błogość się ulotniła. To zrozumiałe, że ona chce wiedzieć, co się wydarzyło, przekonywał sam siebie. To nic nie znaczy. Ten Michael nie był rywalem.

Jakiś głos płynący z głębi, z jego duszy, przypominał mu jednak, że urodziła się, żeby należeć do Michaela albo do innego mężczyzny

podobnego do Michaela, i że nigdy tak naprawdę nie chciała hrabiego Hawkeswella.

Najdziwniejsze i najtrudniejsze, a nawet najbardziej zaskakujące było to, że ów głos brzmiał tak smutno.

Gniew się w końcu pojawił. Większy niż się spodziewał. Gniew zmieszany z bólem. Spojrzał na perły, na śnieżną biel jej skóry, delikatny profil i w tej chwili słabości nie mógł nie uświadomić sobie źródła tych odczuć. Mała Verity Thompson, córka walcownika, ukradła mu serce i został skazany na miłość do niej. Bez wzajemności.

Skazany. Na karę cięższą, niż mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić.

- Dobre czy złe wieści, chcę tylko wiedzieć, co się z nim stało.

Nawet jeśli prawda jest taka, że nie żyje.

- A jeśli żyje? Co wtedy? Czy będziesz chciała także, żebym go

uwolnił lub sprowadził z powrotem do Oldbury? - Z trudem powstrzymywał gniew, na przekór słabości. Gniew miał zagłuszyć smutek ciężący mu ołowiem w piersi.

Odwróciła się na bok i spojrzała mu w twarz.

- Przepraszam, że o to proszę. Ale nie chodzi tylko o Michaela...

Domyślam się, że innych mógł spotkać podobny los. - Opowiedziała

mu, o co podejrzewa Bertrama, lorda Cleobury i innych, może nawet

Albrightona, za których sprawą znikają ludzie. Kiedy skończyła,

pocałowała go. - Nie mam, oczywiście, dowodów. Wiem, że to nie w

porządku prosić cię o to.

A jednak to zrobiła. Wierzyła, że jest lepszy, niż był. Poprawił perły tak, żeby leżały wysoko na jej szyi. Sięgnął ręką do stolika, na którym stał kieliszek porto.

- Myślę, że powinienem zrobić dla ciebie to, co ty zrobiłaś dla mnie.

Zmarszczyła brwi, kiedy płyn rozlał się na jej piersiach. Podążyła wzrokiem za struzką porto, spływającą w dół jej ciała, dziwiąc się coraz bardziej. Wstrzymała oddech, gdy polał winem jej łono.

Odstawił kieliszek. Dotknął językiem porto na jej piersi.

- Połóż się, jak ja przedtem, i po prostu to przyjmij.

Wsunęła ręce pod głowę, lekko wyginając w łuk plecy. Jej piersi uniosły się ku niemu.

- Rozsuń uda - polecił.

Posłuchała go, a jego erotyczne marzenia wreszcie się spełniły.

Sprawiał jej rozkosz ustami i językiem, doznając rozkoszy równie wielkiej jak ona. Cień gniewu w nim pozostał, nasycając przeogromne pożądanie bezwzględnością. Czynił to nieśpiesznie, napawając się jej skórą, jej zapachem, winem i jej krzykiem. Nie ustawał zdecydowany nie posunąć się teraz dalej, niż ona mu przyzwoli. Przyzwalała na wszystko. Wiedział jednak, że nigdy nie posiada tego, na czym mu najbardziej zależało.

Zdumiała się, gdy nie przestał, choć wina już nie było. Całował jej łono.

- Ale ty chyba nie...

- Zaufaj mi.

Pieścił ją, tam gdzie kryło się intymne miejsce, by czując rozkosz, zapomniała o szoku.

- Obiecuję, że ci się to spodoba.

Kusił ją dotykiem i słowami, sprawiając, że powoli przemogła w sobie obawę.

Drgnęła, w reakcji na jego dotyk, i przymknęła oczy.

Instynktownie, bezwiednie rozsunęła uda nieco bardziej. Otoczył go zapach piżma.

I wtedy już się nie powstrzymywał. Doprowadzał ją pieszczotami na szczyt doznań. Jęczała, a w chwilę potem krzyknęła, błagając o więcej. Błagała o spełnienie. Błagała o niego.

Wyprężyła się, wijąc się i przeciągle krzycząc. Nie panował już nad sobą. I z jego ust wydobył się krzyk. Był jej zgłodniały, jej ciała i jej duszy. Poderwał się z łóżka i przesunął ją na jego skraj, opierając jej stopy na podłodze.

Odwrócił ją plecami do siebie i tak przechylił, że jej pośladki uniosły się zachęcająco. Obejrzała się na niego, znów zdumiona, marząc o bezzwłocznym spełnieniu. Nie dbał teraz o to, chciał tylko sycić oczy jej niewiarygodnie erotyczną pozycją. Zgrzytając zębami, z zaciśniętymi szczękami, ustawił ją tak, jak uznał za stosowne, jak od dawna chciał to uczynić. Z ramionami i głową opartymi na łóżku i z uniesionymi pośladkami, ukazywała mu tajemnicę swej kobiecości,

różową i wilgotną.

Pieścił ją, aż jej ciało przeszły dreszcz gwałtownego

niezaspokojonego pożądania, i wtedy w nią wtargnął. Gwałtownymi

pchnięciami uwalniał z siebie gniew i zaspokajał głód dręczący jego

ciało i duszę.

Hawkeswell jechał konno StranDEM, londyńską ulicą ciągnącą się równoległe do Tamizy, spędziwszy bezowocnie dwa dni na poszukiwaniach Michaela Bowmana.

Godzinami przeglądał zakurzone księgi w urzędach. Michael nie został wywieziony, to przynajmniej było pewne. Nie wsadzono go także na statek więzienia. Nie sądzono go w żadnym hrabstwie. Nie stanął przed sądem w żadnej sesji kwartalnej w Shropshire, Staffordshire czy Worcestershire.

To były fakty. Wydawało się, że młody człowiek po prostu wyruszył w świat szukać szczęścia gdzie indziej. Takie wyjaśnienie Hawkeswell przyjąłby z radością.

Pogrążony w myślach, zbliżał się do zachodniego krańca Strandu.

Pojawienie się innego jeźdźca tuż obok obudziło jego czujność.

Bertram Thompson, w wysokim kapeluszu i niebieskim kubraku, zrównał się z hrabią, jakby miał prawo do towarzyszenia mu, nie pytając o pozwolenie.

- Muszę z panem porozmawiać, Hawkeswell. Nie odpowiedział pan na moje listy.

- Nie obchodzą mnie pańskie listy. Sądziłem, że mój zamiar nieoglądania więcej pana jest oczywisty, Thompson. Czy ścigał mnie pan przez cały Londyn, żeby wreszcie mnie tutaj dopaść?

- Nie miałem wyboru. Pewni dżentelmeni pytali mnie o walcownię. Nie mogę im odpowiedzieć, zanim pan rozważy ich

ofertę.

- Złożono ofertę? - Hawkeswell ściągnął wodze wierzchowca i stanął z boku ulicy.

Bertram podjechał za nim zadowolony, że udało mu się zatrzymać hrabiego.

- Bardzo interesującą ofertę.

- Walcownia nie jest na sprzedaż. Czerpię z niej dochód, ale walcownia wciąż należy do Verity. Sędzia zażąda zapewnienia, że z własnej woli zgodziła się na sprzedaż. Jestem pewien, że moja żona nigdy na to nie przystanie.

- Oferta nie dotyczy kupna, tylko dzierżawy.

Hawkeswell wiedział wszystko na temat dzierżawy gruntów, ale nie miał zielonego pojęcia, jak to wygląda w odniesieniu do przedsiębiorstwa. Nie zamierzał jednak zdradzać się z tym przed Bertramem.

- Ile proponują?

- Średni dochód z ostatnich pięciu lat, minus piętnaście procent.

Przy zmiennym popycie na żelazo w obecnych czasach i spadku zamówień zapewnienie takiej sumy rocznie jest bardzo atrakcyjne.

Z pewnością tak było. A byłoby jeszcze bardziej, gdyby tych pięć lat nie obejmowało najchudszych lat w historii walcowni. Ale i tak tylko głupiec nie zastanowiłby się poważnie nad ofertą, która

uwalniała od niepewności związanej z prowadzeniem jakiegokolwiek interesu.

- Jak długo miałyby trwać dzierżawa?

- Pięćdziesiąt lat.

Pięćdziesiąt lat stałego dochodu, o ile dzierżawcy nie okazaliby się durniami i nie doprowadzili firmy do bankructwa. Nie mógł zaprzeczyć, że oferta jest atrakcyjna, a znaczący uśmiezek Bertrama wskazywał, że i on dobrze o tym wie.

- A pan, Thompson? Co pan zrobi, jeśli dojdzie do dzierżawy?

- Mam inne zajęcia, niech pan się nie martwi. Mogę zostawić ten dom, wzgórze i wszystkie kłopoty. Czy powiedzieć im, żeby przygotowali potrzebne papiery, tak żebyśmy mogli przejść do szczegółów?

Pięćdziesiąt lat. Umrze, zanim dzierżawa wygaśnie. Z takim zabezpieczeniem finansowym mógłby zająć się swoimi włościami i obowiązkami, nie martwiąc się już, skąd co roku wziąć na to pieniądze.

Oczywiście, Verity wpadłaby w panikę, gdyby podpisał te dokumenty. Byłaby wściekła. Jej wspomnienia, życie wiązały się z Oldbury, a dzierżawa zmuszałaby ją do przecięcia więzów z tym miejscem. Obecny układ tych więzów nie zrywał. Nie mógłby jej o to prosić. Nawet nie chciał.

- Nie ma potrzeby. Nie puścimy walcowni w dzierżawę.

Rozczarowanie Bertrama wyraziło się w grymasie zdumienia.

- Nie? To niezwykle korzystna oferta.

- Nie.

- Pozwolę sobie wyjaśnić to bardziej przystępnie, milordzie.

Powiedzmy, że posiada pan farmy, które wydzierżawił pan właścicielom owiec. Otrzymuje pan dochód bez względu na to, czy owce zdechną, czy nie, zanim się z nich uzyska wełnę. -

Gestykulował szeroko, podkreślając, jakie to oczywiste i jak bardzo te wyjaśnienia są zbędne. - Finanse kraju są w takim stanie, że walcownia może nie wyprodukować odpowiedniej ilości wełny, że się tak wyrażę. Lepiej, żeby inni ponosili ryzyko hodowli owiec. To jedyny rozsądny wybór.

- Sugeruje pan, że jestem albo nierozważny, albo głupi. A ja mam po prostu więcej wiary w angielski przemysł od pana. Tak samo jak ludzie, którzy złożyli panu tę zadziwiająco hojną ofertę.

Bertram ściągnął wodze i gwałtownie zawrócił konia.

- Nic pan nie wie o tych rzeczach. Związałem się na całe życie z durniem.

- Mogę być durniem, ale nie widzę korzyści płynącej z płacenia piętnastu procent za właściwe zarządzanie firmą. Dobry fachowiec kosztuje mniej. Pan Travis i inni wyrażali się dobrze o młodym człowieku o imieniu Michael. Lepiej go ściągnąć z powrotem, żeby pomagał panu Travisowi pozyskiwać dalsze zamówienia.

- Do diabła, czy nikt mnie nie słyszy, kiedy mówię, że on odszedł? Nie wróci. Jeśli pan się przy tym upiera, wszyscy umrzemy w biedzie.

Wydawał się bardzo pewny swego. Thompson wiedział, że Michael zniknął na zawsze, w to Hawkeswell nie wątpił.

- Tak czy inaczej każę sporządzić dokumenty i je panu przesłać.

Mam nadzieję, że porozmawia pan z ludźmi, którzy się bardziej znają na rzeczy i przemówią panu do rozumu. Thompson oddalił się kłusem. Hawkeswell odczekał kilka minut, po czym skierował konia w tę samą stronę.

Kuzyn Verity mógł zachęcać tamtych ludzi do wywierania na niego nacisku, ale on nie podpisze żadnego aktu dzierżawy. Verity zasługiwała na coś lepszego i Hawkeswell nie mógłby znieść jej smutku i rozczarowania, gdyby przyjął tę ofertę.

Nie zamierzał też pytać o radę ludzi, którzy lepiej znali się na biznesie. Już mu takiej rady udzielił człowiek, który niemal zawsze wygrywał w karty i którego bogactwo dowodziło wrodzonego talentu do zbierania tłustej śmietanki. Trzymaj się tej walcowni, przyjacielu. Taka rada, udzielona w chwili, kiedy Castleford był co najmniej na pół trzeźwy, zasługiwała na uwagę.

- Minęło, jak sądzę, trochę czasu, odkąd odwiedzałeś go prywatnie - zauważył jadący konno obok Hawkeswella Summerhays.

- Tak. Czuję się głupio, składając tak wczesną wizytę. Jest ranek.

Z pewnością będzie na nas wściekły.

- Nie mamy wyjścia. Jeśli nie chcemy czekać do wtorku, musimy spotkać się z nim, zanim zacznie... robić, cokolwiek zamierza robić.

- Masz na myśli łajdaczenie się.

- Bardziej prawdopodobne, że się łajdaczył zeszłej nocy. Mogą być jeszcze u niego kobiety.

- O radości. Nie będę jednak czekał.

- Chcesz prosić go o przysługę, Hawkeswell. Nie możesz być zbyt wymagający.

- Proszę go o to, żeby wejrzał w ciemną stronę natury ludzkiej, a nie o przysługę. A jeśli on się jeszcze w ogóle nie obudził? - Jeśli nie wstał, poczekamy.

Hawkeswell wstrzymał konia.

- Ty możesz czekać. Ja nie będę. I co z tego, że jest Castlefordem, ale ja jestem Hawkeswell. Moja rodzina doradzała królom, kiedy jego przodkowie byli zwykłą szlachtą z ambicjami. Hawkeswell może czekać tylko na króla, na nikogo innego. Z pewnością nie na parweniuszy, jakimi są St. Ives.

- Wybacz. Miałem na myśli, że jeśli on jeszcze nie wstał, możesz odjechać i wrócić we wtorek.

Przekazali konie jednemu z trzech stajennych w perukach stojących przed pałacem Castleforda. Hawkeswell popatrzył na fasadę.

- Spójrz na tę okropność. Większy niż Somerset House i pruski od fundamentów po gzymsy. Jego dziadek nie znał umiaru. Cecha dziedziczna w tej rodzinie.

- Podobnie jak skłonność do robienia długów w twojej.

- Dzięki, Summerhays, za przypomnienie, że wszyscy mamy swoje słabości. Nie masz pojęcia, jak mi to poprawia nastrój.

Majordomus w liberii i peruce wprowadził ich do holu, wziął ich

karty wizytowe i odszedł. Hawkeswell czekał z niecierpliwością pewny, że Summerhays popełnił poważny błąd, namawiając go, żeby udali się do Castleforda w nadziei, iż zapijaczony umysł Tristana wskaże jakieś wyjście ze ślepego zaułka, w jaki zabrnęli, poszukując Michaela Bowmana.

Wcale nie chciał go znaleźć, do wszystkich diabłów. Gdyby tak się stało, Verity załkałaby pewnie z radości i rzuciła w ramiona owego młodego człowieka, a może nawet wdałaby się z nim w romans. Jej ojciec pobłogosławiłby ów bezprawny związek z za grobu.

- Co cię tak złości? - zapytał Summerhays.

- Los. Namiętność. Głupota życia.

Lokaj wrócił. Księżę, poinformował, przyjmie ich w swoich apartamentach.

Wspięli się po pałacowych schodach. Weszli do ogromnego salonu, a potem przez garderobę nieprawdopodobnych rozmiarów, ozdobioną większą ilością mosiądzu w barwie złota, niż pozwalała przyzwoitość zostali wprowadzeni przez lokaja wprost do księżęcej sypialni. Zostawił ich obok masywnego, okrytego jedwabiem łoża.

Spoczywał na nim, popijając kawę, podparty co najmniej dwudziestoma poduszkami, wciąż nagi pod jedwabnym okryciem Castleford Na szczęście nie towarzyszyły mu już damy lekkich obyczajów.

- Miło z twojej strony, że zgodziłeś się nas przyjąć - powiedział Summerhays.

- Niewiele brakowało, żebym się nie zgodził. Jestem wykończony. Pośpieszcie się, proszę, z tym, z czym przychodzicie, żebym mógł jeszcze pospać.

Hawkeswell popatrzył na jego nagą pierś i potargane włosy.

- Czy spodziewasz się, wasza wysokość, że będziemy tu stać przed tobą, leżącym w tak obraźliwym dezabilu, niczym służba, przyglądając się, jak się pożywiasz? Do diabła, przynajmniej się jakoś przyodziej.

Castleford zerknął na niego leniwie. Zwrócił spojrzenie na Summerhaysa.

- Co mu jest, że się tak nadał, jakby nagromadziły się w nim wiatry, które nie mogą znaleźć ujścia?

- Los. Namiętność. Głupota życia.

Castleford napił się kawy.

- Innymi słowy, zakochał się.

- Summerhays, odejdz, proszę. Chcę udusić naszego starego przyjaciela bez świadków.

- Nie rób z siebie durnia, Hawkeswell. Myślę, że to urocze, iż kochasz swoją małą zbłąkaną żonkę. To niemodne, ale bardzo wzruszające. - Odstawił tacę i wskazał na krzesła. - A więc dlaczego zakłóacie mój spokój? Lepiej, żeby to było coś zabawnego.

Tłumiąc z wysiłkiem irytację, Hawkeswell złapał krzesło i postawił je obok przeklętego łoża. Summerhays zrobił to samo.

- Zastanawiamy się, czy mógłbyś zająć swój umysł

niegodziwymi spekulacjami, do czego wykazujesz talent. Mieliśmy okazję przekonać się o tym w dość odległej przeszłości - powiedział Hawkeswell. - Przyjmijmy, że pewni wysoko postawieni ludzie chcieliby się kogoś pozbyć. Tak, żeby zniknął, nie zostawiając żadnych śladów. W jaki sposób mogliby to osiągnąć?

Castleford wzruszył ramionami.

- Najłatwiej jest, oczywiście, zabić. Problem polega na tym, że ktoś mógłby znaleźć ciało. Ważne jest to, że mówisz o „ludziach”. W liczbie mnogiej. Morderstwa dokonuje się najlepiej w pojedynkę; nie ma wtedy współnika, który mógłby wszystko wyśpiewać i zaprowadzić cię na szubienicę albo szantażować.

- Przemyślałeś już? - zapytał Summerhays.

- Przelotnie.

- A jeśli, z powodów, jakie podałeś, nie zdecydowano się na morderstwo? - odezwał się Hawkeswell.

Castleford chwilę się zastanawiał.

- Dziesięć lat temu wpakowałbym takiego na statek i wyekspediował do Indii Zachodnich. Teraz to by się nie udało. Wojna się skończyła i jest za dużo chętnych do pracy. Żaden kapitan nie chciałby narażać się na kłopoty.

- Zatem to rozwiązanie też odpada.

- W takim razie wsadziłbym go na statek więzienie.

- Nie było aresztowania. Procesu ani wyroku.

- Te statki to skorumpowane ciała, dusze i prawo. Strażników

można kupić. Wyobraź sobie, że ty czyja podpływamy w nocy łodzią i oznajmiamy strażnikowi, że mamy skazańca, i posyłamy go na górę z ładną sakiewką. Czy myślisz, że strażnik dopytywałby się o tożsamość nieszczęśnika albo dlaczego par królestwa przekazuje go bez żadnych dokumentów?

- Gdyby w ogóle się dopytywał o cokolwiek, byłaby katastrofa.

- Zgadzam się. Ale nie bądź tchórzem, Hawkeswell. Następnie wymieniamy twojego człowieka na prawdziwego skazańca. Jeśli twój nieszczęśnik protestuje, że nie jest żadnym przestępcą, kto go będzie słuchał?

Summerhays zamarł. Hawkeswell wpatrywał się w Castleforda, który odpowiedział mu obojętnym spojrzeniem.

- Czy mogę go już udusić, Summerhays?

Summerhays westchnął.

- Tristan, źle nas zrozumiałeś. Nie zamierzamy się nikogo pozbyć.

- Powiedzieliście: wysoko postawieni ludzie. Uznałem...

- Chcemy znaleźć kogoś, kto zniknął za sprawą innych.

- Rozumiem. To nudniejsze, ale też może być całkiem interesujące.

- Cieszę się, że nie staliśmy się dla ciebie przeraźliwie nudni, nie będąc kryminalistami, a tylko trochę nudni - odparł rozeźlony Hawkeswell.

- Nadal twierdzę, że powinniście rozejrzeć się po tych statkach.

Nie wszyscy chcą wiedzieć, co się tam naprawdę dzieje.

- On ma rację - stwierdził Summerhays. - Warto spróbować.

Mogę wysłać prawnika do sądu królewskiego i uzyskać pisemną zgodę na przeszukanie więzień i...

- Takie nudne formalności - jęknął Castleford niecierpliwie. -

Hawkeswell i ja po prostu to zrobimy. Żaden z tych ludzi nie sprzeciwi się hrabiemu i księciu i nie zażąda papierów. Ty też możesz z nami pójść, jeśli nie będziesz się zachowywał jak członek Izby

Gmin, którym jesteś. - Uśmiechnął się radośnie do Hawkeswella. -

Musimy koniecznie wziąć szpady.

Hawkeswell był zaskoczony, że Castleford zamierza się do nich przyłączyć. Summerhayse, początkowo, także.

- Żałuję, Castleford, ale nie możemy z tym czekać do następnego wtorku.

- To prawda - zgodził się Hawkeswell. - Muszę się tam wybrać za dwa dni, i wierzę, że udzieliliście nam mądrej rady. Wezmę szpadę, jak sugerujecie, i trochę nią pomacham na twoją cześć.

- Za dwa dni?

- Wcześniej rano.

- O ósmej - dodał Summerhays. - Nie, lepiej o siódmej. - Wstał. -
Bardzo nam pomogłeś. Idziemy, żebyś mógł się przespać.

Niemal się wymknęli, ale głos Castleforda zatrzymał ich przy drzwiach.

- Siódma to piekielna godzina, ale przypuszczam, że przyda wam

się mój jacht. Niech mnie szlag, jeśli sam się pozabawię takiej
rozrywki. Spotkamy się w porcie.

Ponury nastrój nie opuszczał Hawkeswella przez resztę dnia i dużą część następnego. O mało nie napisał do Summerhaysa i Castleforda list odwołujący wyprawę na statki więzienia.

Początkowo starał się wymówić od tych poszukiwań niezałatwieniem owych nudnych formalności, których Castleford tak nienawidził. Ale ciężar w piersi, podobny do tego, jaki czuł, przewidując złe wieści, zdradził mu całą prawdę. Bez względu na to, co twierdziła Verity, nie wierzył, że ponowne spotkanie z przyjacielem z dziewczęcych lat nic dla niej nie znaczy.

Ponury nastrój się pogarszał, a wyobrażenia podsuwała mu coraz bardziej przygnębiające obrazy. Analizował wszystko, co Verity kiedykolwiek powiedziała o Oldbury, o Katy i Bowmanie, a nawet o powodach, dla których uciekła po ślubie.

Swoją gotowość do tłumaczenia sobie, że odważyła się na to, rozgniewana, iż została oszukana, uznał teraz za głupotę. Tak, był skończonym, naiwnym głupcem. Jego początkowe podejrzenia nabierały coraz większego prawdopodobieństwa. Uciekła do innego mężczyzny. Był pewny, że Katy Bowman też tak sądziła.

Cóż, teraz Verity nie ucieknie. Ta droga została przed nią zamknięta. Jednak żadne prawo nie miało wpływu na jej uczucia. To było sedno problemu, z przerażeniem musiał przyznać w przeddzień wyprawy na statki więzienia. Na razie był gotów odsunąć podejrzenia, by cieszyć się jej bliskością, radować się, iż jest z nim.

Gdyby jednak okazało się, że serce Verity należy do innego

mężczyzny, nie zamierzał jej zatrzymywać.

Całkowicie pochłonięty smutnymi myślami o końcu małżeństwa, minął Summerhaysa w klubie u Brooksa, nie zauważając go. Dopiero dźwięk własnego nazwiska wyrwał go z zamyślenia.

- Czy ktoś umarł? Masz taką minę - stwierdził Summerhays, odsuwając dla niego krzesło nogą.

Usiadł, odmawiając napicia się brandy.

- Myślę o jutrzejszym dniu.

- Nie sądzę, żebyś zamartwiał się zamiarem wykorzystania tej odrobiny władzy, jaką posiadasz.

- Raczej nie.

Summerhays przyglądał mu się długo i uważnie. A potem na jego twarzy pojawił się uśmiech, którym podbijał świat.

- Na początku mojego małżeństwa udzieliłeś mi pewnej rady.

Czy mam ci teraz odplacić przysługą za przysługę?

- Wtedy nie miałem pojęcia o małżeństwie. To jedyne usprawiedliwienie bagatelizowania przeze mnie twojej zazdrości.

- A jednak, jeśli małżeństwo nie zostało zawarte z miłości, to była niezła rada. Ze romansów nie da się uniknąć i byłbym głupcem, spodziewając się, iż będzie inaczej.

- Tak, to dobra rada. Taki ze mnie cholerny mądrala, że posłałbym siebie do wszystkich diabłów.

Patrzył przed siebie pustym wzrokiem, czepiając się jednak, jak

ostatniej deski ratunku, owej niegdysiejszej mądrości. Nieco mu poprawiła samopoczucie, ale ciężar w piersi pozostał, złe przeczucia również.

- W takim razie go nie zabiję, skoro twierdzisz, że mam rację - stwierdził ponuro.

- To ładnie z twojej strony. To, co ją kiedyś z nim łączyło, jej przeszłość, nie ma teraz znaczenia, a przyszłości nie sposób przewidzieć.

Tyle że przeszłość miała znaczenie i mogła wpłynąć na przyszłość. Był tego pewien. A to, komu Verity odda swoje ciało, było w tym wszystkim najmniej ważne.

Do końca dnia nie mógł się opędzić od przygnębiających myśli.

Z tym większą intensywnością odczuwał tej nocy rozkosz. Kochał się z nią powoli i długo, smakując wszystko, co miała do zaofiarowania, i doprowadzając ją do ekstazy w kolejnych orgazmach.

Złączony z nią, przytrzymał jej uniesione nogi i wpatrywał się, ponad nią, jak namiętność zmienia rysy jej twarzy. Przy każdym pchnięciu jego umysł, ciało i krew wyśpiewywały gniewnie słowo „moja”, jakby potęga tego słowa mogła wypalić piętno w jej sercu i duszy.

Zdumiał ją. Nie sądziła, że jeszcze ją czymś zadziwi, ale tej nocy tak się stało. Nigdy dotąd rozkosz nie była tak słodka, doznania tak silne. Trzymał ją w objęciach niczym bezcenny skarb i wzruszenie ścisnęło jej serce.

Całym sobą domagał się, by mu się całkowicie oddała. Nie
pojmowała tego, ale się nie broniła. Gdy ją brał, uległa, przepelnioną
beźmiarem uczuć, straciła oddech. Odczuła w sobie bolesną pustkę,
kiedy się z nią rozłączył i opadł na łóżko obok niej.

- Nie będzie mnie, kiedy się obudzisz - powiedział. - Mam coś do
załatwienia wcześniej rano.

To nie był, według niej, odpowiedni moment, żeby mówić o
takich przyziemnych sprawach. Ta noc domagała się innych słów.
Czułych i pełnych obietnic. Uciekła znad przepaści i wkroczyła w
świat tajemnic i cudów, a jego głos sprowadził ją z powrotem na
ziemię.

- A mnie nie będzie, kiedy ty wrócisz. Spotykam się z
przyjaciółkami. Daphne zorganizowała dla nas spotkanie z panem
Banksem w Kew Gardens i zwiedzanie tych prywatnych ogrodów.
- Możesz spędzić z przyjaciółkami kilka dni - oznajmił, siadając i
sięgając po ubranie.

Nie spodziewała się, że tak wcześnie, zanim ona zaśnie, opuści
jej sypialnię.

- Chętnie. Wróciłybyśmy twoim powozem do Cumberworth, a
powóz odeślę potem tutaj.

- Najrzadsze Kwiaty. Znowu wszystkie razem. To ci się będzie
podało. Zobaczę cię zatem za kilka dni, jeśli nie wcześniej.

Pocałował ją i smutna słodycz pocałunku wzruszyła ją jeszcze raz
tej nocy, tak jak jego pierwsze pieszczoty. Przepelniał go głęboki

smutek, czuła to, bo smutek przepływał do niej w pocałunku.

- Zapomniałeś szpady - zauważył Summerhays.

- Nie potrzebuję szpady, żeby strażnik wiedział, z kim ma czynienia. Castleford może jej potrzebuje, ale ja nie. - Popatrzył na imponujący jacht, który dziesięcioosobowa załoga przygotowywała do rejsu. - Płyniemy tylko w dół rzeki, nie do Francji.

- Z pewnością oficerowie tych statków od razu będą wiedzieli, z kim mają do czynienia, widząc jacht Castleforda.

- Ma dwie minuty, żeby przywieźć tutaj swój tyłek, albo odpłyne jachtem bez niego. - Nawet dwie minuty to za długo. Skoro pozwolił, by przeważyły w nim cikliwe uczucia, i postanowił postąpić wobec Verity szlachetnie, nawet wbrew własnemu dobrze pojętemu interesowi, nie chciał zastanawiać się dłużej nad własnym szaleństwem.

- Oto i on. - Summerhays wyteżył wzrok, wpatrując się w drugi koniec mola. - A niech to, nie jest sam.

Nie, nie był. Szedł zwawo, z dwiema kobietami po bokach i z butelką wina w ręce.

- One nie popłyną - oznajmił Hawkeswell, gdy Castleford podszedł dostatecznie blisko.

- Oczywiście, że popłyną. To mój jacht. Wchodźcie, śliczne gołąbeczki. - Podprowadził je do jednego z członków załogi, który przerzucił każdą z dam z rozmachem przez burtę. - Dowiedziały się, że rano wybieram się na jacht, i chciały mi towarzyszyć, a ja

uwielbiam kobiecą wdzięczność - wyjaśnił.

Wydawał się dosyć trzeźwy, ale Hawkeswell i tak wyjął mu wino z ręki. Castleford nie sprzeciwił się.

- Zapomniałeś szpady - powiedział, poklepując własną.

- Rzeczywiście. Masz szczęście.

- Panowie, odpływamy - oznajmił Castleford. - Wyruszamy na spotkanie z tajemnicą i przygodą. A zatem w drogę. Rozwińcie główny żagiel i tak dalej, i tak dalej.

Zdaniem obu ładacznic był niezrównanie dowcipny i błyskotliwy.

On także tak sądził. Summerhays westchnął i wskoczył na pokład.

Hawkeswell za nim, z jak najgorszymi przeczuciami.

- Nie ma potrzeby rozwijać żagli, milordzie - odezwał się jeden z marynarzy. - Jest za spokojnie, trzeba się wziąć za wiosła.

- A więc dobrze się składa, że jest was dziesięciu. - Castleford odpiął szpadę, rozsiadł się na kanapie pod baldachimem i gestem przywołał do siebie kobiety.

Summerhays ustawił się możliwie daleko od kanapy, patrząc na wodę ze stoickim spokojem.

Hawkeswell stanął obok.

- Myślisz, że będzie gzić się z tymi dwiema na naszych oczach?

- Myślę, że jest rozeźlony, iż nie poczekaliśmy do wtorku, i chce udowodnić, że ma prawo robić, co chce, niezależnie od naszych planów. Spodziewaj się zaproszenia do zabawy.

- Mam nadzieję, że poczeka z tym chociaż do powrotnego rejsu.

Chyba nie chcesz przybić do statku pełnego skazańców w trakcie
urządzanego przez tych troje przedstawienia. Wybuchłby bunt.

Summerhays zerknął przez ramię.

- Wydaje się, że wszelkie nadzieje na dyskrecję i rozsądek, są, jak
zwykle, płonne, jeśli chodzi o niego.

Kobiece chichoty i piski wypełniły powietrze. Hawkeswell
wpatrywał się w wody Tamizy. Nie opuszczała go niepokojąca myśl,
że dopuszcza się bezprawia, wchodząc na pokład statków,
przekształconych w pływające więzienia, i szukając w nich Michaela
Bowmana.

- Nie rozumiem, po co mu, do cholery, taka świta. To robotnik, prawdopodobnie radykał, i znaleźliśmy go w tym parszywym więzieniu - narzekał Castleford. - A co więcej, nie mam pojęcia, dlaczego ja wchodzę w skład tej świty

- Zasnąłeś kamiennym snem, jak tylko opuściliśmy Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. W żaden sposób nie mogliśmy cię obudzić, więc dlatego się tu znalazłeś - odparł Hawkeswell.

Castleford skrzywił się i wyjrzał przez okno.

- Trzy karety, wszystkie z herbami. Wyglądamy jak królewskie wesele. Dlaczego Summerhays przywłókł ze sobą Wittonbury'ego?

- Zabiera żonę i wyjeżdża na pewien czas do Essex.

- A dlaczego ty jesteś tutaj ze mną zamiast we własnej karecie?

- Ponieważ dużo bardziej mi odpowiada twoje towarzystwo niż towarzystwo naszego nowego przyjaciela.

To wyjaśnienie udobruchało Castleforda. Oczywiście, jego towarzystwo jest lepsze od towarzystwa kogokolwiek. Ziewnął parę razy, skrzyżował ramiona i usiadł wygodnie.

- Więc dlaczego Summerhays jest w swojej karecie, zamiast tutaj cieszyć się moim towarzystwem?

- Ponieważ, wasza wysokość, kiedy śpisz, rozwalasz się niemożebnie. Rzucasz się. Wymachujesz rękami. Zajmujesz miejsce trzech ludzi. Summerhays nie mógł się doczekać, kiedy przesiądzie się do własnej karety.

Hawkeswell sądził, że Castleford znowu się zdrzemnie i będzie spać, póki nie zakończy się ostatni rozdział obecnego żalosego przedstawienia. Ale Castleford uśmiechnął się szeroko.

- Sidmouth miał zabawną minę, kiedy wciągnęliśmy Thompsona za krawat do jego gabinetu. - Zaczął naśladować zaszokowaną minę ministra, kiedy tam wtargnęli.

Summerhays chciał zachowywać się z większą godnością, Hawkeswell natomiast - jak najszybciej z tym skończyć. Castleford, widząc pasywność Hawkeswella, nabrał ochoty wzięcia szturmem ministerstwa, tak jak wcześniej statku więzienia.

Odsunęli na bok urzędników i sekretarzy, zignorowali sprzeciwy licznych funkcjonariuszy i wmaszerowali rano do gabinetu

Sidmoutha, ciągnąc ze sobą przerażonego Thompsona.

Hawkeswell bezceremonialnie kazał Sidmouthowi usiąść i słuchać. Potem, na rozkaz, Bertram, który jednak już rozumiał, że ma do wyboru albo się przyznać, albo umrzeć, zeznał całą prawdę o nadmiernej, zbrodniczej wręcz czujności, tak pełną przemocy, że zmroziłaby każdą angielską duszę.

- Zirykowało mnie, że Sidmouth twierdził, iż to tylko potwierdziło jego podejrzenia - powiedział Castleford. - Jest zarozumiałym pyszałkiem. Nie chciał przyznać, że wykryliśmy spisek, który on przeoczył.

To Verity wykryła spisek. Gdyby nie jej upór w poszukiwaniu zaginionego Michaela Bowmana, Cleobury i inni dalej by bezkarnie

doprowadzali do bezpowrotnego znikania niektórych ludzi.

- Wierzę, że Sidmouth coś podejrzewał. Sądzę, że ma w tym hrabstwie swojego człowieka, który usiłuje dociec, co się tam dzieje.

Spotkałem go. To Albrighton.

- Albrighton? A niech mnie. Wrócił?

- Tak. Wiedzie życie wiejskiego szlachcica w Staffordshire.

- Co za nuda. Dziwię się, że jeszcze nie przystawił sobie pistoletu do głowy.

- Ja też. Stąd moje przypuszczenie, że to człowiek Sidmoutha.

Ale nie tajny prowokator. Nie pozwala mu na to urząd, który pełni. A więc po co by tam siedział?

- Cóż, dzięki mnie już nie będzie musiał.

- Widzę, że przypisujesz sobie całą zasługę.

- Mam prawo. To był mój pomysł, żeby szukać tego człowieka w statkach więzieniach, mój jacht nas tam zabrał, mój kamerdyner umył Bowmana i dał mu moje ubrania, moja perswazja przekonała Thompsona do mówienia.

To wszystko było prawdą, zwłaszcza ostatni punkt. Hawkeswella nie było poprzedniego dnia przy tym, jak Thompsona poddawano owej perswazji, ale okazała się bardzo skuteczna.

- Co mu powiedziałeś? Albo zrobiłeś?

- Podziałało, zgodzisz się, cokolwiek to było.

Hawkeswell spojrział na niego. Castleford odwzajemnił spojrzenie.

- Lepiej że ja, a nie Albrighton.

Powóz skręcił. Hawkeswell rozpoznał drogę wiodącą do

Najrzadszych Kwiatów. Starał się nie zauważać ścisku serce na myśl

o tym, że już przyjechali.

- Co to za miejsce? - zapytał Castleford, kiedy wszystkie trzy

powozy się zatrzymały. Przysunął głowę do okna, przyglądając się

uważnie domowi i rozciągającemu się przed nim ogrodowi.

Hawkeswell sięgnął ręką do drzwi powozu.

- Mieszkają tu przyjaciółki mojej żony. Są także przyjaciółkami

lady Sebastian.

- Czy te przyjaciółki są równie śliczne jak twoja żona?

Hawkeswell zamarł, otwierając drzwi.

- Nawet o tym nie myśl. Mówię także w imieniu Summerhaysa.

Te kobiety są dla siebie jak siostry i zapłacisz nam obu za każde

niegodne zachowanie wobec nich.

- Do diabła. Tylko zapytałem czy są śliczne.

- Śpij dalej.

Wysiadł z powozu. Summerhays podszedł już do drzwi

domostwa. Hawkeswell czekał z tyłu własnego powozu, póki

Audrianna nie wyszła z domu i razem z Summerhayssem podeszła do

niego.

- Na Boga, to musiała być imponująca parada na drodze -

powiedziała, obejmując spojrzeniem trzy karety. - Verity jest na górze

w swoim pokoju, Hawkeswell. Pozostałe w cieplarni.

Summerhays wręczył jej walizę woźnicy.

- A może też wybierzesz się do Essex na kilka dni, Grayson? -

zapropomował.

- Tak, przyjeżdż. Myślę, że Verity podobało się nad morzem i nie miałyby nic przeciwko ponownej wizycie - odezwała się Audrianna.

Summerhays uśmiechnął się smętnie, a potem spojrzał znacząco na Hawkeswella.

- Nieważne, w Essex czy w Londynie, wkrótce się zobaczymy.

Pożegnali się i poszli w stronę swojej karety.

- Czy to kareta Castleforda? Co on tutaj robi? - zapytała

Audrianna. Rozejrzała się, marszcząc brwi. - A kto jest w powozie Hawkeswella?

Summerhays ujął ją pod ramię.

- Wyjaśnię ci wszystko w trakcie podróży, kochana. - Wsadził ją do powozu, obejrzał się na Hawkeswella i wszedł za żoną do środka.

Lławkeswell patrzył, jak kareta odjeżdża. Potem spojrzał na dom.

Wciągnął głęboko powietrze, zacisnął zęby i podszedł do drzwi swojego powozu. Zajrzał do środka.

Złotowłosey, o zielonych, inteligentnych oczach chłopak spojrzał na niego z ciekawością. Hawkeswell z wysiłkiem powstrzymywał gniew. Nie pozwoli na to. Nie może. Bogu wiadomo, że nie zamierzał korzystać ze swoich praw, ale Verity zasługiwała na lepszy los. Nie chciał, żeby myślała, że powoduje nim zazdrość. Dzisiaj postawi sprawę jasno.

Otworzył drzwi karety.

- Chodź ze mną.

To był piękny, jesienny dzień; słońce świeciło, a świeży, chłodny wiatr wnosił przez okno zapach roślin. Verity siedziała na parapecie okna swojego dawnego pokoju, wyglądając na ogród i obserwując wirujące w powietrzu żółte liście.

Zeszłej nocy rozmawiały w nieskończoność, w poczuciu głębokiej, intymnej wspólnoty, do której zdolne są tylko kobiety.

Opowiedziała im w końcu o Bertramie, strachu, chłości i biciu.

Mogła o tym mówić spokojnie tylko dlatego, że najgorszy gniew i żal wylała z siebie w rozmowie z Hawkeswellem.

Audrianna zapłakała, jedyna. Daphne, jak się okazało, została utwierdzona w swoich podejrzaniach. Celia także. A Katherine - cóż, Katherine rozumiała ją lepiej niż pozostałe.

Rozmowa o tych smutnych latach miała działanie oczyszczające, podobnie jak tamta, z Hawkeswellem. A także wyczerpała ją. Spała tak twardo, że wszyscy w domu krzatali się już, zanim się obudziła.

Powinna się ubrać. Summerhays miał przyjechać po Audriannę, a spodziewała się, że po nią także przyjedzie kareta - z Hanover Square.

Cieszyła się tymi trzema dniami tutaj, ale nadeszła pora, żeby wrócić do domu.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Pewnie Katherine. Ta dziewczyna bardzo zbliżyła się do niej podczas tej wizyty i teraz połączyła je serdeczna przyjaźń. Verity zawołała, żeby weszła.

Drzwi otworzyły się, ale po drugiej stronie nie stała Katherine. To był Hawkeswell.

Wydawała się taka piękna, kiedy tak siedziała przy oknie. Wokół jej głowy wiatr utworzył ciemną koronę z rozwianych kosmyków włosów. Światło nadawało jej skórze blask perłowej rosy. Chłonał jej obraz; wyglądała tak świeżo i niewinnie, z rozpuszczonymi włosami i oczami błyszczącymi radością.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Podeszedł do niej i ucałował jej dłoń pełen miłości.

- Czy nie pocałujesz mnie tak jak należy całować? - zapytała. -

Spędziłam trzy noce, marząc o tobie i twoich pocałunkach.

- Oczywiście. - Dotknął wargami jej ust.

Ten dotyk, jej ciepło i radość, jaką w nim budziła, poruszył do głębi jego duszę. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował mocniej.

Smakował pocałunek, czując, jak wlewa w niego życie.

Położyła dłoń na jego dłoni spoczywającej na jej policzku.

- Ubiorę się szybko i możemy ruszać.

Dopiero wtedy zauważył, że jest w nocnej koszuli, okryta tylko zwykłym szalem. Pomyślał, czy powinien pozwolić jej się ubrać. Po czym roześmiał się w duchu, ale bez wesołości. To przecież teraz nie miało znaczenia.

Spojrzał w jej niebieskie oczy i miłość wypełniła najgłębsze zakamarki jego serca. Ale zapanował nad własnymi emocjami.

- Mam dla ciebie niespodziankę, Verity. Szczególny dar. Taki,

który sprawi, że na zawsze pozostaniesz moją dłużniczką.

- Tak? - Uśmiechnęła się jak rozradowane dziecko.

Ten uśmiech go oczarował. Była zdumiewająca. Niewinna, a w następnej chwili zachwycająco niebezpieczna. Zapamiętał radość, z jaką na niego patrzyła. Utrwalił tę chwilę w swojej duszy, żeby zachować ją na zawsze w pamięci. Potem podszedł do drzwi, otworzył je i przywołał kogoś gestem ręki. Do pokoju wszedł chudy, żyłasty młody mężczyzna o złotych włosach i zażenowanym uśmiechu.

Verity otworzyła szeroko oczy.

- Michael! - Zeskoczyła z parapetu.

Hawkeswell wyszedł, zamykając za sobą drzwi i nie oglądając się za siebie. Zszedł po schodach i wyszedł na zewnątrz. Minał własny powóz, zmierzając w stronę karety Castleforda. Lepiej, żeby Tristan spał. Nie chciał, by ktoś mu się teraz przyglądał. Nie miał ochoty na rozmowę.

Kazał woźnicy zrobić miejsce na koźle i wspiął się tam. Czuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu cios prosto w brzuch, odbierając sił i tchu. Poleciał woźnicy wracać do Londynu.

Woźnica szarpnął lejce. Konie ruszyły. Hawkeswell wpatrywał się bezmyślnie w ich rozwiane grzywy, starając się ze wszystkich sił nie wyobrazić sobie sceny powitania, jaka rozgrywała się teraz w Najrzadszych Kwiatkach.

- Jesteś skończonym głupcem, Hawkeswell.

Słowa zniewagi dobiegły z małego okienka w ścianie między wnętrzem karety a woźnicą.

- Owszem, jestem. Dziękuję, że mi przypomniałeś. Śpij dalej.

- Wiem, co knujesz, i to jest idiotyzm. To jasne, co do niej czujesz.

Hawkeswell jęknął. Nie mógł uwierzyć, że musi to znosić.

- Właśnie. A to oznacza, że twoje rady nie mają sensu. To nie jest jedna z twoich dziwek.

- Jeszcze jeden powód, żeby nie zachowywać się jak dureń.

- Nie jestem w nastroju, żeby pozwolić bezcielesnemu głosowi miotać na siebie obelgi godzinami. Mam ochotę kogoś pobić, więc byłoby rozsądniej, gdybyś zabrał swój nos od tego okienka.

- Pobić mnie? Do diabła. Zatrzymaj powóz.

Woźnica, naturalnie, posłuchał. Castleford wysiadł i w milczeniu pokazał mu, co ma robić. Woźnica odłożył lejce, zszedł na dół i stanął na schodkach z tyłu karety. Castleford wdrapał się na kozła, wziął lejce i spiał konie.

Hawkeswell skrzyżował ramiona, wpatrując się przed siebie.

Castleford miał dość rozsądku, żeby nie ofiarować mu nic więcej ponad milczącą obecność starego przyjaciela przez całą powrotną drogę do Londynu.

Verity objęła Michaela jak zaginionego, dawno niewidzianego przyjaciela. Hawkeswell miał rację. To był szczególny dar. Najlepszy z możliwych.

Zerknęła za plecy Michaela, żeby to powiedzieć Hawkeswellowi.

Żeby podziękować. Ale go nie było.

- Chodź i usiądź ze mną. Chciałabym patrzeć na ciebie

godzinami. Gdzie on cię znalazł? - Pociągnęła Michaela do parapetu.

Nie opierał się, mówiąc ze śmiechem.

- Wsadzili mnie na statek więzienie. Możesz w to uwierzyć?

Pewnego dnia ląduję w piwnicy lorda Cleobury potem wsadzają mnie

na wóz, a potem na inny wóz, pełen skazańców, jadący na południe.

Powtarzam im, jak się nazywam, że nie jestem tym, za kogo mnie

mają, ale dranie uznali, że pomyłki po prostu się nie zdarzają.

- Statek? Słyszałam, że to straszne miejsce.

- Straszne. Ludzie tam mrą jak muchy. - Jego uśmiech przygasł, a

oczy spowazniały. Nagle wydał się dużo starszy niż wtedy, gdy

wszedł do pokoju.

- A jednak dobrze wyglądasz, Michael. Chudy, ale poza tym

wydaje się, że nie ucierpiełeś.

- Umyli mnie przed spotkaniem z tobą. Ten książę Castle został

ze mną, kiedy wszyscy gdzieś poszli. - Wskazał swoje włosy. - Czy to

przypomina uczesanie chłopaków z Oldbury? Jego kamerdyner mnie

ufryzował. Wyglądam jak lalusz. Nie przeżyłbym, gdyby mnie tak

zobaczyli w domu.

Zaśmiewali się z jego fryzury. Podziwiała piękne ubranie, które

darował mu książę.

- Powinnaś zobaczyć jego dom, Veri. To pałac. Takie miejsce, w

którym nie śmiesz oddychać. I niech cię pan Bóg broní, żebyś puściła bąka.

Znów się zaśmiali. A kiedy śmiech zamarł, po prostu patrzyli na siebie. Nie mogła przestać się uśmiechać. Do niego. Do siebie. Do myśli, że jeszcze niedawno była przekonana, że ma obowiązek poślubić starego przyjaciela.

- Dorosłaś, prawda? - powiedział. - Masz też wspaniałego męża.

- Jest wspaniały. To dobry człowiek. Najlepszy.

- Skoro zadał sobie trud, żeby mnie odnaleźć, zgadzam się, że jest najlepszy. Szkoda, że nie widziałaś ich trzech jak wstąpili pod pokład, jakby morze miało się rozstać na ich rozkaz. Kapitan próbował się stawiać, ale ten książę Castle tylko dotknął szpady i popatrzył na niego, a kapitan zmałał o połowę. Wtedy hrabia wykrzyknął moje nazwisko. Do diabła, zerwałem się migiem na nogi; myślałem, że przyszli mnie powiesić.

Wyobraziła to sobie i znowu parsknęła śmiechem.

- Mam nadzieję, że posłałaś wiadomość matce.

- Napisałem do niej pierwszej nocy. Wysłałem list do pana Trávisa. On jej przeczyta.

Ogarnęła ją ulga, że Katy się dowie i że to się wreszcie skończyło. Michael uśmiechnął się znowu, lekko wykrzywając wargi.

- A zatem ten twój hrabia, czy on wie?

- Wie o moim pierwszym pocałunku. Przyznałam się do tego, ale

sądzę, że zastanawia się, czy nie było czegoś więcej.

- A więc niech się dalej zastanawia. Wygląda na kogoś, kto by się nie zawahał zabić człowieka. Chociaż, jeśli pozwala mi oglądać ciebie samą, w tym stroju, nie martwi się za bardzo.

- Pewnie uważa, że to przyzwoity strój, bo widuje mnie i bez niego.

Michael otworzył usta, udając zaszokowanie, i oboje ponownie wybuchnęli śmiechem.

- Nigdy by cię nie zabił, Michaelu, ale przyznaję, zostawmy go własnym domysłem, skoro chce się nad tym zastanawiać. To było dawno temu, byliśmy dziećmi, ale mężczyźni chyba nie zwracają uwagi na takie szczegóły, kiedy są zazdrośni.

- Nie, nie zwracają. - Wstał. - Powinniśmy już jechać, więc się przygotuj do podróży. Na dole czeka piękna karetka, którą z pompą zajedziemy przed dom. Nigdy już takiej nie zobaczę, więc zamierzam zatrzymać się w każdym zajeździe, jeść ile wlezie, nadrabiając ostatnie dwa lata. Będziesz musiała czekać, aż skończę.

- Ta karetka jest tylko dla ciebie, Michaelu. Nie dla mnie.

- Twój lord mówił co innego. Przełożył nawet twój bagaż.

Powiedział, że chciałabyś dopilnować, żeby walcownia była w dobrych rękach. Powiedział...

Była za drzwiami, zanim skończył. Zbiegła po schodach i na dwór. Powóz Hawkeswella, zaprzężony w cztery wspaniałe gniade konie, stał, czekając na pasażerów. Rozejrzała się gorączkowo w

poszukiwaniu samego Hawkeswella.

Zauważyła swój bagaż na dachu. Niejedną, ale trzy walizy.

Przestraszyła się. Michael wyszedł z domu, uśmiechnął się po swoim i zbliżył do powozu.

Była zdumiona. Nie mogła uwierzyć, że Hawkeswell pozwalał jej tak szybko wrócić do Oldbury i to samej, tylko z Michaeliem w charakterze eskorty.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi za plecami. Odwróciła się.

Kathenne.

- To dla ciebie - powiedziała, wręczając jej list. - Lord

Hawkeswell znalazł mnie w kuchni i prosił, żeby ci go oddać.

Wpatrywała się w list szeroko otwartymi oczami. Nazwisko adresata sprawiło, że zabrakło jej tchu. „Panna Verity Thompson”. Strach mieszał się z rozpaczą, kiedy otwierała list.

Moja Droga

Jak widzisz, odnaleźliśmy pana Bowmana. Później napiszę, podając pełny opis wypadków, a także opisze spisek, teraz jednak wystarczy, że syn Katy zmartwychwstał.

Twój kuzyn Bertram poczuł się zobowiązany przyznać się do złego traktowania ciebie i do tego, że zmusił cię do małżeństwa ze mną - na piśmie. Wyznał także inne swoje grzechy i wskazał współników. Z tymi dowodami i moją zgodą szybko otrzymasz unieważnienie małżeństwa, kiedy tylko zgłosisz petycję; jestem o tym przekonany. Postąpisz słusznie.

Twoja pokojówka zapewnia mnie, że spakowała twoje ulubione stroje, również klejnoty. Twój kuzyn i jego żona nie wrócą do kamiennego domu na wzgórzu, więc znowu należy on do ciebie. Nie wątpię, że wrócą dobre wspomnienia, a złe znikną, kiedy napelnisz jego pokoje swoim uśmiechem.

Zwracam ci twoje dawne życie nie dlatego, że jestem tobą zmęczony, Verity. Nie chcę, żebyś tak myślała. Wręcz przeciwnie.

Odkryłem jednak, że moja miłość do ciebie oznacza, że pragnę, żeby twoje życie wyglądało tak, jak miało wyglądać, nawet jeśli stracę żonę, która stała się dla mnie bezcenna.

Pan Bowman wydaje się dzielnym młodym człowiekiem. Podoba mi się bardziej, niżbym chciał. Jestem pewny, że odwiezie cię bezpiecznie do Oldbury i oszczędzi mi dzięki temu trudnego pożegnania.

Twój sługa Hawkeswell

Hawkeswell wszedł do biblioteki w swojej londyńskiej rezydencji, zrzucił surdut i rozwiązał fular. Wieczorne spotkanie stanowiłoby rozrywkę dla każdego normalnego mężczyzny, ale on nie był w stanie dać się porwać zabawie. Na szczęście Summerhays i Audrianna, którzy właśnie wrócili z Essex, jako dobrzy przyjaciele udawali, że ich gość nie jest nudziarzem.

Podszedł do szafki z alkoholem i nalał sobie brandy. Przechodząc obok biurka, zerknął na leżące na nim księgi rachunkowe. Nie mógł ich dłużej odsuwać na bok, ale nie spodziewał się po nich niczego dobrego. Miał dostęp do majątku, który mógłby wszystko zmienić.

Mógł sobie pomóc. A jednak te pieniądze nie były dla niego przeznaczone.

Nie nadeszła jeszcze wiadomość o petycji Verity, ale to była tylko kwestia czasu. Nie było jej już dziesięć dni, zdążyła się już pewnie znów zdomowić w Oldbury.

Dostał od niej jeden list, który nadała w drodze na północ. Był krótki, pełen wdzięczności i niezwykle dwuznaczny. Nauczył się go na pamięć i w pewne wieczory, jak dzisiejszy, udając godzinami, że słucha rozmów przy stole albo śledzi grę aktorów na scenie, wciąż się nad nim zastanawiał.

Drogi lordzie Hawkeswell

(Czy tytuł miał podkreślić powstały między nimi dystans, czy też wynikał z wpojonych zasad etykiety?)

Wyjechałeś, zanim mogłam wyrazić dozgonną wdzięczność za odnalezienie mojego serdecznego przyjaciela z czasów dzieciństwa. A teraz znowu korzystam z twojej szlachetności, dzięki której mogę znowu odwiedzić Oldbury.

Jesteś zbyt dobry. Dużo lepszy, niż ci się wydaje, i w co nie chcesz uwierzyć. I za to cię kocham.

Verity

I za to cię kocham. Zamknął oczy i zobaczył ją siedzącą na parapecie tamtego ostatniego dnia. Cóż, to już coś było, to zapewnienie o miłości, jakikolwiek rodzaj miłości miała na myśli. Było także uczciwe i śmiałe. Mogła napisać: „darzę cię z tego powodu głęboką wdzięcznością”.

Cieszył się, że to napisała. To niczego nie zmieniało, ale dobrze było przeczytać takie zapewnienie. Dzięki temu wiedział, że nie był pełnym głupcem, który widział i czuł tylko to, co chciał widzieć i czuć, a nie to, co naprawdę widział i czuł.

Przypuszczał, że kierowało nią poczucie obowiązku, a nie miłość, o której wspomniała. Nie mógł jej za to winić. Na kształt jego własnego życia w ogromnym stopniu wpływał obowiązek. Byłby grubianinem, przyjmując, że poczucie odpowiedzialności stało za jego wyborami, a nią powodowały inne motywy.

Zostawił przegląd rachunków na następny dzień i przeniósł się na sofę przed kominkiem, na którym palił się mały ogień. Noc zapowiadała się na bardzo chłodną. Musi pamiętać, żeby wstąpić do

szklarni i zapalić lampy, zanim pójdzie spać.

Jedna z roślin zwiędła mimo niezdarnych wysiłków jego i ogrodnika. Może wszystkie zwiędną przed końcem zimy. Miał nadzieję, że tak się nie stanie. Lubił tam chodzić, kiedy wracał z sesji parlamentu. W parlamencie rozpętywało się piekło, a jego ciągnęło do tego szklanego domu z zielonymi roślinami. Duch Verity wciąż był tam obecny i Hawkeswell mógł pozwolić sobie na cichą nostalgię.

Na sofie leżała mała książeczka, podniósł ją. Była to kieszonkowa mapa, na której śledził jej podróż na północ. Otworzył ją teraz na stronie pokazującej okolice Oldbury.

Słyszał za plecami, jak służąca wchodzi do biblioteki. Przyszła, żeby dołożyć drewno do ognia. Odwrócił głowę, żeby jej powiedzieć, że nie potrzeba, że on wkrótce uda się na spoczynek.

Serce podeszło mu do gardła. To nie była służąca.

Verity odłożyła torebkę i parasolkę, po czym rozwiązała wstążki czepka. Czepek także odłożyła na bok i dotknęła zapięcia spencera.

Wstał i patrzył na nią, zastanawiając się, co tutaj robi, mając nadzieję i nie śmiejąc dopuszczać nadziei.

Podeszła do niego z uśmiechem. Stała na palcach i dziobnęła go ustami w policzek.

- Masz taką minę jak pan Travis, kiedy wtedy weszliśmy do walcowni - powiedziała. - To naprawdę ja, Hawkeswell. Nie jestem duchem.

Nie, nie była.

Rozpięta spencer i zdjęła go, ukazując dekolt z mnóstwem małych, połyskujących miękko kulek, otaczających jej szyję licznymi pasmami. Włożyła perły.

Wziął ją w objęcia i mocno pocałował. Zbyt mocno. Zbyt rozpaczliwie, ale cała ulga i wdzięczność zawarły się w tym pocałunku i nie mógłby pocałować delikatniej, nawet gdyby się starał.

Usłyszał jakiś hałas na schodach. Kroki i głosy. Verity obejrzała się przez ramię.

- Wnoszą na górę moje walizy.

- A więc wróciłaś do mnie? Wróciłaś?

- Tak, Grayson. Wróciłam do domu.

Verity owinęła się szalem i wsunęła wygodnie pod ramię

Hawkeswella, kiedy usiedli na sofie w bibliotece.

- Nie byłaś w Oldbury zbyt długo - powiedział. - Odliczając podróż w obie strony, nie dłużej niż cztery dni.

- Zostałam na tyle długo, żeby kazać służbie spakować rzeczy kuzyna. Na tyle długo, żeby przegnać z domu ojca złe wspomnienia, jak mi radziłeś. A także na tyle długo, żeby się dowiedzieć, że pan Albrighton aresztował czterech mężczyzn za udział w spisku z moim kuzynem. Cleobury jest, rzecz jasna, poza jego zasięgiem. Wierzę, że Izba Lordów wkrótce się zajmie również Cleoburym.

Została także na tyle długo, żeby się upewnić, że nie chce zostać na zawsze. Musiała się przekonać, jakby to życie wyglądało, zanim z niego zrezygnuje. Michael nie odgrywał w nim żadnej roli. Od razu,

gdy tylko wszedł do pokoju w Najrzadszych Kwiatkach, zrozumiała, że nie byli sobie przeznaczeni.

Potrafiłaby jednakże spełnić wolę ojca w pozostałych sprawach.

Wiedziała to, kiedy spotkała się z panem Travisem. Problem jednak polegał na tym, że gdyby znowu stała się Verity Thompson, nie byłaby żoną Hawkeswella i kobietą, z którą spędzał noce.

Niemal natychmiast zdała sobie sprawę, że nie może bez niego żyć. Gdyby próbowała, w jej życiu nie byłoby radości, zadowolenia, namiętności. Ponieważ zawsze będzie kochać jego, nigdy innego mężczyznę, nie wyszłaby ponownie za mąż, nawet gdyby była wolna.

- Izba Lordów zajmie się Cleoburym - oznajmił Hawkeswełl. -

Fakty są obciążające.

- Pan Albrighton znalazł dwa ciała. Ci, którzy trafili na statki, mieli szczęście. Następni już nie. - Podniosła głowę. - Michael prosił, żeby ci podziękować za to, że wstąpiłeś do piekła, żeby go ratować.

Bardzo był wzruszony, że zadałeś sobie tyle trudu, uważa, że to szlachetnie z twojej strony.

- Nie zrobiłem tego, żeby mnie uznano za szlachetnego.

Wyciągnęła się i pocałowała go w policzek, a potem musnęła jego wargi palcami.

- Nie, zrobiłeś to dla mnie, ponieważ to było dla mnie ważne, nawet jeśli zastanawiałeś się, dlaczego. Wiem także, dlaczego zostawiłeś nas samych, Grayson. Mężczyźni musi bardzo zależeć na kobiecie, jeśli odwraca się i nie widzi, nie chce wiedzieć, nawet gdy

wątpi, czy postępuje właściwie.

- Zależć na tyle, chcesz powiedzieć, żeby zrobić z siebie

skończonego durnia.

- Nie straciłeś niczego tamtego dnia poza radością dwojga starych

przyjaciół ze spotkania oraz wyjaśnień kobiety, że jej mąż jest

najwspanialszym z ludzi, a ona jest bardzo szczęśliwa w małżeństwie.

Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na jej uniesioną ku niemu twarz.

- Naprawdę tak powiedziałaś?

- Tak. Powiedziałabym mu o rozkoszy, jaką mi dajesz, ale

pomyślałam, że to niewłaściwe. Wyznaję jednak, że dałam mu do

zrozumienia, iż często widzisz mnie nago.

Roześmiał się.

- Jesteś niezwykłą kobietą.

- Ale nie powiedziałam mu wszystkiego, co chciałam. Ani wtedy,

ani podczas podróży na północ. Nie dlatego, że to nie jest

przeznaczone dla jego uszu. Nie powiedziałam mu, ponieważ nie

powinnam o tym mówić, zanim porozmawiam z tobą. Jednak chcę to

powiedzieć innym. Moim i twoim przyjaciołom tutaj. Michaelowi i

Katy. Każdemu.

- Co to takiego?

Pocałowała go.

- Chcę powiedzieć, że kocham mojego hrabiego, że daje mi dużo

więcej niż opiekę i rozkosz. Ze porusza moją duszę, budzi serce do

życia i sprawia, że się uśmiecham. Czy to nie rozbawi naszych

przyjaciół, Hawkeswell? Uciekłam od małżeństwa i walczyłam, żeby zachować wolność, a teraz jestem wdzięczna, że związałeś mnie ze sobą.

Nie śmiał się już. Nawet się nie uśmiechnął. Odwrócił się, żeby spojrzeć w jej twarz. Zobaczyła jego zdumienie.

- Nie radzę sobie z wyrażaniem tego, co czuję, słowami, Verity.

Nie wtedy, kiedy to dla mnie tak ważne.

- Spodziewam się. Jednak twoje czyny przemawiają za ciebie.

Ofiarowanie Verity Thompson jej dawnego życia to największy akt miłości, jaki mogę sobie wyobrazić. Chcę ci powiedzieć, że nie jesteś głupcem. Jesteś wszystkim, czego chcę, i jestem dumna, że jestem twoją hrabiną.

Podniósł jej dłoń do długiego pocałunku, a potem pocałował ją w usta.

- Pogodziłem się z tym, że będę cię kochać bez wzajemności,

Verity. Że choć przystałaś na małżeństwo, twoje serce zawsze będzie się buntować i zawsze będziesz żałować, że twoje życie nie ułożyło się tak, jak miało. Twoje słowa uczyniły mnie najszczęśliwszym z ludzi.

Objął ją mocno i pocałowali się. Smakowała pocałunek, czując, jak znikają dawne urazy, żale i wątpliwości.

Trwała w jego ramionach, z głową na jego piersi, w słodkim milczeniu. To była chwila poza czasem, którą miała zachować na zawsze w pamięci. Ile ta chwila trwała, nie wiedziała. Godzinę albo

zaledwie kilka minut. Nie była pewna. Intensywność uczuć nie zmniejszyła się, ale już się nie bała, że znikną, jeśli się poruszy.

- Przypuszczam, że trzeba będzie znaleźć kogoś, kto zastąpi

Bertrama - powiedziała.

- Tak sędzę.

- Pan Travis może się zająć większością spraw, umowami i tak dalej.

- A zatem nie będzie mieć czasu na pracę przy maszynach. Nie da rady robić głowic i zajmować się papierkami.

Słowa zawisły w powietrzu i rozplynęły się. Nie śpieszyła się.

Wróćą do tego tematu innego dnia.

- Powiedziano mi, że młody człowiek, niejaki Michael Bowman, jest w stanie zastąpić Trávisa przy obróbce głowic, jeśli zaufamy mu i zdradzimy sekret - stwierdził. - Może przejmie część obowiązków

Trávisa, a Travis przejmie w znacznym stopniu to, czym zajmował się Bertram. Poważne decyzje zostawi nam.

- To jest niezłe rozwiązanie.

- Takie, które, jak sędzę, ci odpowiada.

- To by oznaczało odwiedzanie Oldbury przynajmniej parę razy do roku, żeby sprawdzać, jak się rzeczy mają.

- Nie przypuszczam, żeby to nam sprawiło kłopot.

Przytuliła się mocniej. Miłość przepelniała jej serce do bólu.

Zwracał jej dom ponownie. Będzie sprawować pieczę nad dziedzictwem ojca, tak jak miało być.

Nie zdawała sobie sprawy, że miłość, kiedy już zakiełkuje w duszy, może się rozwijać i rosnąć, nawet jeśli się wydaje, że nie można jej więcej w swojej duszy pomieścić. Ale teraz tak właśnie było, kiedy tak siedzieli przy ogniu kominka.

- Hawkeswell, czy sądzisz, że służący poszli już spać, ci na górze i ci z dołu?

- Tak przypuszczam. Dlaczego pytasz?

- Lepiej, żeby tak było, w razie gdyby mi przyszło do głowy coś bardzo zdrożnego.

Roześmiał się.

- Powiedz mi, że o tym myślisz.

- O tak, najdroższy. Marzyłam godzinami o wszystkich zdrożnych rzeczach, które razem robimy. Których nie mogłabym robić z żadnym innym mężczyzną. - Uklękła na sofie i pocałowała go, pozwalając swoim fantazjom przekształcić się w rzeczywistość.

Uniósł jej spódnicę, a ona usadowiła mu się na kolanach.

- Tak jest doskonale - oznajmiła. - Tak jak śniłam pewnego razu.

Tylko że obudziłam się, zanim... - Rozsunęła szal i zaczęła rozpinać guziki sukni. - Dobrze się składa, że ta suknia rozpina się z przodu.

- A jeszcze lepiej, że nie masz nic pod spodem. Nic dziwnego, że cię kocham. Planowałam to od samego rana, odkąd się obudziłam.

- Tylko o tym myślałam. - Rozsunęła suknię, odsłaniając piersi. -

Dotknij mnie. Dotknij mnie tak jak marzyłam. Dotknij i mów, że mnie kochasz, a ja ci będę mówić to samo. Będziemy to mówić dzisiaj i

będziemy mówić zawsze, ponieważ za sprawą miłości rozkosz jest tak radosna i doskonała.

- Kocham cię, Verity. Sprawiasz mi radość, ponieważ jesteś doskonała.

Powiedział, że ją kocha, pieszcząc jej piersi i uda. Powtórzył to między pocałunkami pełnymi pożądania i palącej namiętności.

Powtórzył, kiedy złączyli się ze sobą w ekstazie.

- To cudowne - szepnęła, łapiąc oddech w przerwie między stłumionymi okrzykami, - wypełniasz mnie całą. Moje zmysły, serce i ciało. Wypełniasz mnie kompletnie, Hawkeswell.

Zrozumiała teraz ostatecznie, że wszystko miało być właśnie tak, jak było.